



Michael Connelly
– najlepszy z najlepszych!

„PHILADELPHIA INQUIRER”

Czarna skrzynka



MICHAEL
CONNELLY

Żaden zabójca nie może się czuć bezkarnie – nawet
po 20 latach od popełnienia zbrodni! – jeśli
ściga go Harry Bosch...

O książce

Dziewiętnasta książka z Harrym Boschem

Los Angeles, 1992 rok. Podczas krwawych rozruchów, które wstrząsnęły miastem, zostaje zamordowana duńska dziennikarka. Harry Bosch zjawia się na miejscu zbrodni jako pierwszy detektyw z wydziału zabójstw. Niestety, może poświęcić tej sprawie zaledwie godzinę, zanim zostaje wysłany do kolejnych przestępstw.

Dwadzieścia lat później policja dla podreperowania swojego wizerunku postanawia wznowić śledztwa, którymi wówczas, w atmosferze chaosu, nie zajęto się właściwie. Bosch, teraz już doświadczony detektyw, prosi o przydzielenie mu sprawy europejskiej reporterki. Nie daje mu spokoju pytanie, co biała kobieta robiła w czarnej dzielnicy w momencie najsilniejszych zamieszek, i podejrzewa istnienie drugiego dna tej sprawy.

Kiedy jednak wpada na trop, przełożeni każą mu przystopować ze śledztwem.

Przełożeni... Z nimi Harry Bosch zawsze miał problem.

I zawsze jakoś sobie radził!

MICHAEL
CONNELLY

Czarna skrzynka

Z angielskiego przełożył
ANDRZEJ NIEWIADOMSKI

Wydanie elektroniczne



MICHAEL CONNELLY

Znakomity amerykański autor powieści kryminalnych. Studiował dziennikarstwo na University of Florida; tam też uległ fascynacji prozą Raymonda Chandiera. Pracował jako reporter specjalizujący się w sprawach kryminalnych. W 1992 r. ukazała się jego pierwsza książka, która zdobyła prestiżową Nagrodę Edgara Allana Poe. Łącznie napisał ponad 20 powieści, m.in. **Krwawa profesja** (sfilmowana przez Clinta Eastwooda), **Wydział spraw zamkniętych**, **Prawnik z lincolna** (ekranizacja z Matthew McConaugheyem w tytułowej roli), **Oskarżyciel**, **Piąty świadek**, **Dziewięć smoków**.

Connelly jest zdobywcą wszystkich najważniejszych wyróżnień przyznawanych w uprawianym przez niego gatunku literackim – Anthony Award, Macavity Award, Shamus Award, Nero Award i wielu innych. W latach 2003–2004 pełnił funkcję prezesa stowarzyszenia Mystery Writers of America.

Na podstawie powieści z Harrym Boschem powstały już dwa sezony serialu **Bosch** (2014, 2016).

www.michaelconnelly.com

Tego autora

STRACH NA WRÓBLE
TELEFON

Mickey Haller

PRAWNIK Z LINCOLNA
OŁOWIANY WYROK
OSKARŻYCIEL
PIĄTY ŚWIADEK
BOGOWIE WINY

Harry Bosch

WYDZIAŁ SPRAW ZAMKNIĘTYCH
DZIEWIĘĆ SMOKÓW
UPADEK
CZARNA SKRZYNKA

Tytuł oryginału:
THE BLACK BOX

Copyright © Hieronymus, Inc. 2012
All rights reserved

This edition published by arrangement with Little, Brown and Company,
New York, New York, USA. All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej
Kuryłowicz s.c. 2016

Polish translation copyright © Andrzej Niewiadomski 2016

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-7985-353-3

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) |

[Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, 88em

Spis treści

Królewna Śnieżka. 1992

CZEŚĆ 1. Wędrująca broń. 2012

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

CZEŚĆ 2. Słowa i zdjęcia

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

CZEŚĆ 3. Detektyw marnotrawny

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Królewna Śnieżka. 2012

Podziękowania

*Wszystkim czytelnikom, dzięki którym
Harry Bosch wciąż żyje.
Wielkie, gorące dzięki!*

*A także tym, którzy rozdzielili tłum
i pomogli mi przetrwać ów dzień w 1992 roku.
Wam też serdecznie dziękuję.*

Królewna Śnieżka
1992

Trzeciej nocy liczba ofiar śmiertelnych osiągnęła taki poziom i rosła w tak zastraszającym tempie, że funkcjonariuszy z wielu okręgowych wydziałów zabójstw przeniesiono z linii frontu rozruchów do South Central, by pracując w systemie zmianowym, spróbowali opanować kryzys. Detektywa Harry'ego Boscha i jego partnera Jerry'ego Edgara ściągnięto z wydziału Hollywood i wcielono do oddziału lotnego Straży B, dla ochrony przydzielając im dwóch funkcjonariuszy uzbrojonych w strzelby bojowe. Wysyłano ich tam, gdzie akurat byli potrzebni – czyli gdzie pojawiały się kolejne zwłoki. Czteroosobowy zespół poruszał się czarno-białym radiowozem, przenosząc się z jednego miejsca zbrodni na drugie, ale nigdzie nie zagrzewając dłużej miejsca. Nie tak pracowało się w wydziale zabójstw, nie miało to z tym nic wspólnego, jednak nic lepszego nie pozostawało im do roboty w mieście, które stopniowo obracało się w ruinę.

South Central przypominała strefę wojenną. Wszędzie płonęły ogniska. Bandy szabrowników przeskakiwały od jednej wystawy sklepowej do drugiej, a w unoszącym się nad miastem dymie zniknęły wszelkie pozory godności czy zasad moralnych. Gangi południowego Los Angeles nie próżnowały, próbując przejąć ciemność we władanie... ba, nawet wzywały do rozejmu, zaprzestania bratobójczych walk i stworzenia wspólnego, jednolitego frontu przeciw policji.

Zginęło już ponad pięćdziesiąt osób. Właściciele sklepów i Gwardia Narodowa strzelali do szabrowników, ci z kolei strzelali do swoich koleśków po fachu, a do tego dokładali się inni – zabójcy, którzy wykorzystując chaos i niepokoje społeczne, załatwiali zadawnione porachunki, niemające nic wspólnego z obecnym wybuchem frustracji i uczuć znajdujących swój wyraz na ulicach.

Dwa dni wcześniej, z siłą trzęsienia ziemi, wybuchły skrywane, chociaż od dawna wrzące podziały rasowe, społeczne i ekonomiczne. Proces czterech policjantów z Los Angeles oskarżonych o brutalne pobicie po zażartym pościgu czarnego motocyklisty zakończył się wyrokiem uniewinniającym. Odczytanie werdyktu sędziów przysięgłych w sali rozpraw położonego siedemdziesiąt kilometrów za miastem sądu,

do którego przeniesiono proces, od razu wywołało oddźwięk w południowym Los Angeles. Na rogach ulic zbierały się grupki rozwścieczonych ludzi potępiających jawną niesprawiedliwość. Wkrótce doszło do wybuchu przemocy. Jak zawsze czujne środki masowego przekazu wzbily się w powietrze i z lotu ptaka nadawały informacje do wszystkich domów w mieście, a potem na cały świat.

Policja ocknęła się z ręką w nocniku. W momencie ogłaszania wyroku naczelnik, stojąc przed Parker Center – siedzibą Komendy Głównej Policji Los Angeles – wygłaszał akurat przemówienie polityczne. Jego zastępców też nie było na stanowiskach pracy. W rezultacie nikt natychmiast nie objął dowodzenia, a co gorsza, nie zarządził interwencji. Policja jak jeden mąż zrejterowała, a na ekranach telewizorów, niczym pożar, rozprzestrzeniały się obrazy niepohamowanej przemocy. Wkrótce miasto, nad którym nikt nie panował, stanęło w ogniu.

Dwa dni później, nocą, nadal wszędzie unosił się gryzący swąd palonej gumy i puszczonego z dymem marzeń. Płomienie tysiąca ognisk odbijały się na ciemnym niebie niczym tańczący diabeł. Za wozem patrolowym bez przerwy rozbrzmiewały wystrzały z broni palnej i wściekłe okrzyki. Ale czteroosobowa załoga radiowozu, kod wywoławczy 6-King-16, nie reagowała na takie rzeczy. Zatrzymywała się tylko tam, gdzie doszło do morderstwa.

Był piątek, pierwszy maja. Straż B, jednostka wyznaczona do służby w sytuacjach kryzysowych na nocnej zmianie, pracowała od godziny osiemnastej do szóstej rano. Miejsca z tyłu zajęli Bosch i Edgar, a z przodu funkcjonariusze Robleto i Delwyn, który, siedząc obok kierowcy, trzymał na kolanach strzelbę pod takim kątem, by lufa wystawała przez otwarte okno.

W żółwym tempie jechali do zwłok znalezionych w zaułku odchodzącym od Crenshaw Boulevard. Zgłoszenie przekazała do kryzysowego centrum łączności kalifornijska Gwardia Narodowa, którą rozlokowano w mieście na czas stanu wyjątkowego. Była dopiero dziesiąta trzydzieści, a telefony już się urywały. Od rozpoczęcia zmiany King-16 przyjął już jedno wezwanie w sprawie morderstwa – zastrzelono szabrownika na progu dyskontu obuwniczego. Strzelał

właściciel interesu.

Ponieważ miejsce zbrodni znajdowało się w obrębie sklepu, Bosch i Edgar mogli pracować we względnie bezpiecznych warunkach – na chodniku przed wejściem stanęli Robleto i Delwyn, w pełnym rynsztunku do tłumienia rozruchów i ze strzelbami w garści. Dzięki temu detektywi mieli czas na zebranie dowodów rzeczowych, wykonanie szkiców miejsca zbrodni oraz zrobienie zdjęć. Spisali zeznanie właściciela, obejrzeni też nagranie z monitoringu. Kamera zarejestrowała, jak szabrownik wali w szklane drzwi sklepu aluminiowym kijem do softballu. Następnie włamywacz przecisnął się przez wybity nierówny otwór i natychmiast zarobił dwie kulki od właściciela, który ukrył się pod ladą z kasą i czekał.

Biuro koronera dostawało więcej wezwań do zabójstw, niż było w stanie obsłużyć, dlatego zwłoki zabrali ze sklepu ratownicy medyczni i przewieźli do miejskiego Centrum Medycznego przy Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Miały tam pozostać do czasu, gdy – jeśli w ogóle – zapanuje spokój albo kiedy koroner upora się z nawałem pracy.

Jeśli chodzi o strzelającego, Bosch i Edgar nie dokonali aresztowania. Później biuro prokuratora okręgowego oceni, czy działał w obronie własnej, czy też zaczął się, żeby zabić.

Musieli tak postąpić, chociaż nie było to zgodne z procedurą. Panujący chaos powodował, że mieli niezwykle proste zadanie: zabezpieczyć dowody rzeczowe, jak najszybciej przeprowadzić dokumentację miejsca zbrodni oraz zabrać denata.

Wkroczyć i wycofać się. Byle bezpiecznie. Czas na prawdziwe śledztwo przyjdzie później. Może.

Jadąc Crenshaw Boulevard na południe, od czasu do czasu mijali grupki przeważnie młodych ludzi, którzy albo gromadzili się na rogach ulic, albo bandami wałęsali się po okolicy. Przy Crenshaw i Slauson ubrani w charakterystyczne niebieskie barwy gangu Cripsów gówniarze wygwizdali radiowóz pędzący bez włączonej syreny i błyskającego koguta. Poleciały butelki i kamienie, ale wóz mknął tak szybko, że pociski spadły za nim, nie wyrządzając żadnych szkód.

– Nie bójcie nic, pojeby! Jeszcze tu wrócimy!

To Robleto wyrwał się z tym tekstem. Bosch musiał założyć, że tamten tylko strugał chojraka. Groźba młodego posterunkowego była warta tyle samo co mizerna reakcja policji po tym, jak w środę po południu w telewizji na żywo odczytano sentencję wyroków.

Siedzący za kierownicą Robleto nieco zwolnił, zbliżając się do blokady złożonej z pojazdów i żołnierzy Gwardii Narodowej. Strategia opracowana po przybyciu gwardii poprzedniego dnia nakazywała odzyskać kontrolę nad głównymi skrzyżowaniami w południowym Los Angeles, a następnie przesuwać się ku obrzeżom i w końcu zlikwidować wszystkie ogniska zamieszek. Radiowóz znajdował się niecałe półtora kilometra od jednego z najważniejszych skrzyżowań, tego przy Crenshaw i Florence – po jego obu stronach, na odcinku kilku przecznic, rozstawili się już gwardziści wraz z pojazdami. Podjeżdżając do barykady przy Sześćdziesiątej Drugiej, Robleto opuścił szybę po swojej stronie.

Do radiowozu podszedł gwardzista z dystynkcjami sierżanta i schylił się, by obejrzeć pasażerów samochodu.

– Sierżant Burstin z San Luis Obispo – przedstawił się. – Mogę wam jakoś pomóc, chłopaki?

– Wydział zabójstw – odparł Robleto, wskazując kciukiem siedzących z tyłu Boscha i Edgara.

Burstin wyprostował się i machnął ręką na znak, żeby oczyścić im drogę i ich przepuścić.

– No dobra – powiedział. – Ona leży w zaułku po wschodniej stronie między Sześćdziesiątą Szóstą a Sześćdziesiątą Siódmą. Dawajcie tu, moi chłopcy was zaprowadzą. Otoczymy was ciasnym kręgiem i będziemy stale obserwować dachy. Mamy niepotwierdzone doniesienia o snajperze walącym do ludzi w tej dzielnicy.

Robleto podniósł szybę i przejechał za barykadę.

– Moi chłopcy – powiedział, przedrzeźniając Burstina. – W świecie realnym gość jak nic jest nauczycielem albo co. Słyszałem, że ci faceci, których tu ściągnęli, nie są nawet z Los Angeles. Zwieźli ich z całego stanu, tylko nie z LA. Pewnie nie znaleźli na planie miasta parku Leimerta.

– Chłopie, dwa lata temu też byś go nie znalazł – dociął mu

Delwyn.

– No i co z tego? Facio nie ma bladego pojęcia o tym mieście, a teraz co, przejął tu dowodzenie? Pierdolony niedzielny wojownik. Ja tylko twierdzę, że nie potrzeba nam tu tej zbieraniny. Psują nam opinię. Wychodzi na to, że sami nie dawaliśmy sobie rady i musieliśmy ściągnąć zawodowców z jebanego San Luis Obispo.

Edgar odchrząknął.

– Mam dla ciebie nowiny – odezwał się z tylnego siedzenia. – Myśmy naprawdę nie dawali rady, a nie możemy już wyglądać gorzej, niż wypadliśmy w środek w nocy. Chłopie, wszyscy siedzieliśmy na dupach, nie przejmując się tym, że miasto płonie. Oglądasz czasem ten szajs w telewizji? To zobaczysz tam wszystko, tylko nie nas, jak wychodzimy na ulicę, skopać parę tyłków. Więc nie miej pretensji do nauczycieli z Bispo, stary. Sami jesteśmy sobie winni.

– No i co z tego? – powtórzył Robleto.

– Z boku radiowozu jest wypisane „Bronić i służyć” – dorzucił Edgar. – I ani jedno, ani drugie też nam się nie udaje.

Bosch milczał, ale nie dlatego, że się nie zgadzał z partnerem. Policja na własne życzenie postawiła się w kłopotliwym położeniu, nieudolnie reagując na początkowy wybuch przemocy. Jednak Harry nie o tym myślał. W pamięć zapadły mu słowa sierżanta o tym, że ofiarą jest kobieta. Po raz pierwszy ktoś ujawnił ten fakt, a z tego, co wiedział, wśród ofiar zabójstw, jak dotąd, nie było ani jednej kobiety. Nie znaczyło to wcale, że nie brały udziału w zamieszkach, które ogarnęły miasto, wręcz przeciwnie. W dziedzinach szabru i podkładania ognia panuje równouprawnienie. Bosch widział kobiety zajmujące się jednym i drugim. Poprzedniej nocy uczestniczył w tłumieniu rozruchów na Hollywood Boulevard, gdzie obserwował, jak rozkradają magazyn Frederick's – słynny sklep z damską bielizną. Połowę rabusiów stanowiły kobiety.

Jednakże słowa sierżanta skłoniły go do zastanowienia. Jakaś kobieta zanurzyła się w ten chaos i przyplącała to życiem.

Robleto, przejechawszy przez wyrwę w barykadzie, nadal kierował się na południe. Cztery ulice przed nimi jakiś żołnierz wymachiwał latarką, celując w przesmyk między dwoma z szeregu sklepów stojących

po wschodniej stronie ulicy.

Pomijając żołnierzy rozstawionych co dwadzieścia pięć metrów, Crenshaw Boulevard na tym odcinku był wyludniony. Ciemność i bezruch sprawiały dość niesamowite wrażenie. Światła we wszystkich sklepach po obu stronach ulicy były pogaszone. Kilka z nich rozkradziono albo podpalono. Inne jakimś cudem ostały się nietknięte. A jeszcze inne miały zabite deskami witryny od frontu, z wymalowanymi sprejem napisami „Czarny właściciel”, w charakterze mizernej ochrony przed tłuszczą.

Wylot zaułka znajdował się pomiędzy splądrowanym sklepem o nazwie Felgi Marzeń, sprzedającym koła i opony, a doszczętnie spalonym komisem ze sprzętem AGD pod szyldem Pierwsza Klasa Z Drugiej Ręki. Spalony budynek otoczono żółtą taśmą, a inspektorzy miejscy wywiesili czerwoną tablicę na znak, że nie nadaje się on do zamieszkania. Bosch domyślił się, że ta okolica ucierpiała na samym początku zamieszek. Znajdowali się jakieś dwadzieścia przecznic od skrzyżowania Florence i Normandie – miejsca, gdzie doszło do pierwszych aktów przemocy, gdzie ludzi wyciągano z samochodów osobowych i ciężarówek i bito, a cały świat obserwował to z góry.

Gwardzista z latarką ruszył przed 6-K-16, pilotując radiowóz w głąb zaułka. Dziesięć metrów od wylotu zatrzymał się i podniósł zaciśniętą w pięść rękę, jakby wypuścili się na rekonesans za linie wroga. Czas wysiadać. Edgar grzbietem dłoni trzepnął Boscha w ramię.

– Pamiętaj, Harry, nie włącz na mnie. I nie waż się podchodzić bliżej niż półtora metra.

Tym żartem chciał rozładować sytuację. Z czwórki policjantów w aucie tylko Bosch był biały. I jako taki prawdopodobnie zostałby pierwszym celem snajpera. Albo, skoro już o tym mowa, każdego innego zabójcy.

– Jasne – odparł Bosch.

Edgar znów szturchnął go w ramię.

– I włóż ten swój kapelusz.

Bosch sięgnął w dół i z podłogi samochodu podniósł biały hełm bojowy, który wydano mu podczas odprawy. Rozkaz brzmiał: nie zdejmować go na służbie ani na chwilę. Zdaniem Boscha błyszczący

biały plastik bardziej niż cokolwiek wystawiał ich na cel.

Musiał poczekać z Edgarem, aż Robleto i Delwyn wysiądą i otworzą im tylne drzwi radiowozu. W końcu wyszedł w noc. Niechętnie włożył hełm, jednak nie zapiął sprzączki pod brodą. Miał ochotę zapalić, lecz czas naglił, a poza tym w paczce, którą nosił w lewej kieszeni koszuli munduru, został mu ostatni papieros. Musiał go zachować na potem, zwłaszcza że nie miał pojęcia, gdzie i kiedy uda mu się zrobić nowy zapas.

Rozejrzał się. Nie zobaczył zwłok. W zaułku zalegały stare i nowe gruzy. Pod ścianą komisju Pierwsza Klasa Z Drugiej Ręki stały popsute sprzęty AGD, których naprawa najwyraźniej się nie opłacała. Wszędzie walały się śmieci, a w wyniku pożaru zawałiła się część okapu dachu.

– Gdzie ona jest? – zapytał Bosch.

– Tutaj – odparł gwardzista. – Pod ścianą.

Zaułek oświetlały jedynie reflektory radiowozu oraz latarka gwardzisty. Sprzęt AGD i inne rupiecie rzucały cienie na ściany i ziemię. Bosch zapalił swoją latarkę Mag-Lite i skierował światło tam, gdzie wskazywał gwardzista. Ścianę komisju ze sprzętem AGD pokrywały graffiti gangu. Nazwiska, upamiętnianie poległych, groźby – ściana stanowiła tablicę informacyjną lokalnego odłamu Cripsów, Rolling 60's.

Idąc trzy kroki za gwardzistą, Bosch wkrótce zobaczył denatkę. Drobna kobieta leżała na boku pod ścianą, kiepsko widoczna w cieniu przeżartej rdzą pralki automatycznej.

Zanim się do niej zbliżył, najpierw poświecił latarką po ziemi dookoła. Niegdyś zaułek był brukowany, teraz jednak podłoże stanowił spękany beton, ziemia i żwir. Nie zauważył odcisków stóp ani śladów krwi. Powoli ruszył do przodu i przykucnął. Oparłszy na ramieniu mieszczący sześć grubych baterii ciężki korpus latarki, przesunął snop światła po ciele. Na podstawie wieloletniego doświadczenia w oględzinach zwłok ocenił, że kobieta nie żyła od co najmniej dwunastu, może nawet dwudziestu czterech godzin. Ostro zgięte w kolanach nogi dowodziły, że jest to rezultat stężenia pośmiertnego albo wskazówka, że tuż przed śmiercią denatka klęczała. Widoczne fragmenty skóry na ramionach i szyi były szarawe, z ciemnymi plamami z zakrzepłej krwi. Dłonie miała niemal czarne, a w powietrzu unosił się

już odór zgnilizny.

Twarz kobiety w dużej mierze przesłaniały potargane włosy. Zlepiały je strupy krwi – zarówno z tyłu głowy, jak i na grubym paśmie, prawie całkowicie zasłaniającym twarz. Bosch oświetlił ścianę nad zwłokami i ujrzał ślady po rozbryzganej i spływającej krwi, świadczące o tym, że właśnie tutaj dokonano zabójstwa, a nie tylko porzucono ciało.

Wyjął z kieszeni ołówek, wyciągnął rękę i odgarnął nim włosy z twarzy ofiary. Wokół prawego oczodołu zobaczył czarne kropki z prochu po wystrzale, a na miejscu gałki ocznej widniała rana wlotowa. Strzał padł z odległości nie większej niż kilka centymetrów. Z przodu i w gruncie rzeczy z przyłożenia. Bosch schował ołówek do kieszeni, nachylił się bardziej i poświecił za głowę kobiety. Wielka, poszarpana rana wylotowa świadczyła o tym, że śmierć była natychmiastowa, bez dwóch zdań.

– Kurde balans, czy ona jest biała?!

To Edgar wyraził swoje zaskoczenie. Stanął za Boschem i zaglądał mu przez ramię niczym sędzia baseballu przyczajony za plecami łapacza.

– Na to wygląda – odparł Bosch.

Teraz przesuwiał światło latarki po ciele ofiary.

– Na miłość boską, co biała dziewczyna robiła w tej okolicy?

Bosch nie odpowiedział. Zauważył coś ukrytego pod jej prawą pachą. Odłożył latarkę, żeby włożyć rękawiczki.

– Poświeć na jej klatkę piersiową – polecił Edgarowi.

Włożywszy rękawiczki, znów się pochylił nad ciałem. Denatka leżała na lewym boku; spoczywająca w poprzek piersi prawa ręka zakrywała zwisający z jej szyi przedmiot. Bosch wyciągnął go delikatnie.

Była to jasnopomarańczowa przepustka prasowa wystawiona przez policję Los Angeles. Bosch naoglądał ich się przez lata. Ta wyglądała na nową. Laminowana koszulka wciąż była czysta i bez zadrapań. Fotografia w stylu zdjęć policyjnych przedstawiała jasnowłosą kobietę. Poniżej widniało nazwisko oraz firma, dla której pracowała:

Anneke Jespersen
Berlingske Tidende

- Była z prasy zagranicznej – oznajmił Bosch. – Anneke Jespersen.
- Skąd? – zapytał Edgar.
- Nie wiem. Chyba z Niemiec. Tu jest napisane Berlin...

Berlincośćam. Nie mam pojęcia, jak to się wymawia.

– Po cholere przysyłali kogoś aż z Niemiec w związku z czymś takim? To już nie mają tam własnych kłopotów?

– Nie jestem pewny, czy to Niemka. Nie znam się na tym.

Bosch przestał słuchać paplaniny Edgara, przyglądając się uważnie zdjęciu na przepustce prasowej. Nawet policyjna fotka nie odarła tej kobiety z atrakcyjności. Poważna mina, brak makijażu, profesjonalny wygląd, zebrane za uszy włosy, cera tak blada, że niemal przezroczyta. Jej oczy były pełne rezerwy. Tak jak wzrok znanych Boschowi gliniarzy i żołnierzy, którzy za dużo naoglądali się w zbyt młodym wieku.

Odwrócił przepustkę. Na jego wyczucie była prawdziwa. Wiedział, że przepustki prasowe należy odnawiać co rok i każdy przedstawiciel środków masowego przekazu, który chciał się dostać na policyjne briefingi albo przejść przez kontrolę na miejscu zbrodni, musiał posiadać nalepkę z aktualnym terminem ważności. Ten dokument miał nalepkę z roku 1992. Oznaczało to, że denatka zdobyła ją w ciągu ostatnich stu dwudziestu dni, lecz sądząc z niemal dziewiczego stanu przepustki, Bosch uważał, że stało się to raczej niedawno.

Wrócił do oględzin zwłok. Ofiara miała na sobie dżinsy, białą koszulę i kamizelkę – taką do noszenia sprzętu, z mnóstwem wypchanych kieszeni. To podsunęło mu myśl, że zabita była fotoreporterem. Przy ciele ani nigdzie w pobliżu nie znaleziono jednak aparatów. Widocznie ktoś je zabrał, może nawet stanowiły motyw zabójstwa. Większość fotoreporterów, których Bosch widział, nosiła po kilka najwyższej klasy aparatów wraz z osprzętem.

Wyciągnął rękę i rozpiął jedną z kieszeni na piersi kamizelki. Normalnie poprosiłby o to śledczego z biura koronera, ponieważ zgodnie z jurysdykcją zwłoki należały do okręgowego Zakładu Medycyny Sądowej. Tyle że nie miał pojęcia, czy ktoś od koronera w ogóle pojawi się na miejscu zbrodni, a nie zamierzał czekać, żeby się o tym przekonać.

W kieszeni znajdowały się cztery czarne tulejki na błonę

fotograficzną. Nie wiedział, czy te klisze zostały naświetlone, czy są nieużywane. Zapinając guzik kieszeni, przy okazji wyczuł pod spodem twardą powierzchnię. Wiedział, że stężenie pośmiertne ustępuje w ciągu doby, a ciało jest potem miękkie i daje się poruszać. Pociągnął kamizelkę i uderzył w nią pięścią na wysokości piersi. Była twarda, co potwierdził także głuchy odgłos. Denatka nosiła kamizelkę kuloodporną.

– Hej, popatrz na czarną listę – rzucił Edgar.

Bosch oderwał się od zwłok. Edgar celował latarką w ścianę nad nim. Dokładnie nad denatką widniało graffiti: liczba 187¹, czyli czarna lista – spis nazwisk niektórych bandziorów, którzy polegli w ulicznych walkach. Ksywy takie jak Ken Dog, G-Dog, OG Nasty czy Neckbone. Miejsce zbrodni leżało na terytorium Rolling 60's – odłamu potężnego gangu Cripsów, który prowadził nieustającą wojnę z innym odłamek tego samego gangu, 7-Treys.

Przeważająca część społeczeństwa odnosiła wrażenie, że wojny gangów, szalejące w prawie całym południowym Los Angeles i noc w noc przynoszące kolejne ofiary śmiertelne, sprowadzały się do walki Bloodsów z Cripsami o to, kto podporządkuje sobie ulice. Tak naprawdę jednak najbardziej brutalna była rywalizacja między odłamekami tego samego gangu i to ona pociągała za sobą najwięcej zabójstw. A szczyt tej listy zajmowali Rolling 60's i 7-Treys. Obie te frakcje Cripsów działały na zasadzie zabijania konkurencji bez ostrzeżenia, a liczbę ofiar na bieżąco podawano na okolicznych graffiti. Nekrologi poległych upamiętniały ziomali, którzy stracili życie w tej niekończącej się wojnie, a nazwiska pod nagłówkiem 187 tworzyły tak zwaną czarną listę – spis zabójstw.

– Wygląda na to, że mamy tu Królową Śnieżkę i siedmiu-Treyów od Cripsów – dodał Edgar.

Bosch z irytacją pokręcił głową. W mieście zapanował kompletny obłęd, czego rezultat mieli tu przed oczami – kobietę, na której wykonano egzekucję, postawiwszy ją pod ścianą – a jego partner, jak widać, nie był w stanie podejść do tego poważnie.

Edgar chyba prawidłowo odczytał mowę ciała Boscha.

– Tylko żartowałem, Harry – rzucił szybko. – Rozchmurz się. Trzeba nam tu trochę wisielczego humoru.

– Niech ci będzie – odparł Bosch. – Ja się rozchmurzę, a tymczasem ty zamelduj przez radio, co tu mamy, wbij im do głowy, że chodzi o kogoś z zamiejscowej prasy, i upewnij się, czy przyślą nam pełną ekipę. A jeśli nie pełną, to chociaż fotografa i jakieś oświetlenie. Przekaż im, że tym razem naprawdę potrzebujemy i czasu, i pomocy.

– Dlaczego? Bo jest biała?

Bosch nie śpieszył się z odpowiedzią. Edgar nie powinien się popisywać tak bezmyślną uwagą. Ale chciał się odgryźć za to, że Bosch nie docenił jego żartu o Królowie Śnieżce.

– Nie, nie dlatego, że jest biała – odparł w końcu spokojnie. – Dlatego, że nie wybrała się tu na szaber, nie należała do gangu, a poza tym niech sobie wbijają do łbów, że wszystkie media upomną się o kogoś ze swoich i rzucają się na to jak sępy. Jasne? Dotarło?

– Dotarło.

– No i dobrze.

Edgar wrócił do samochodu, żeby skorzystać z radionadajnika, a Bosch z powrotem zajął się miejscem zbrodni. Przed wszystkim wytyczył miejsce do pracy. Kazał kilku gwardzistom cofnąć się w głąb zaułka, dzięki czemu stworzył wolną strefę na długości siedmiu metrów po obu stronach zwłok. Z trzeciej i z czwartej strony teren ograniczały ściana komisju ze sprzętem AGD oraz ściana sklepu oponiarskiego.

Przy okazji odgradzania terenu zauważył, że zaułek przecinał willową ulicę biegnącą równoległe do Crenshaw na tyłach stojących przy niej sklepów. Nie obowiązywało jednolite ogrodzenie podwórek wychodzących na zaułek. Jedne domy chroniły betonowe mury, inne drewniane parkany albo druciane siatki.

Bosch wiedział, że w idealnych warunkach przeszukałby wszystkie te podwórka i zapukał do wszystkich drzwi, teraz jednak musieli odłożyć to na później, albo i na święty nigdy. Chwilowo musiał się ograniczyć do miejsca zbrodni. Jeśli uda mu się przepytac okolicznych mieszkańców, uzna, że miał fart.

Zauważył, że Robleto i Delwyn ze strzelbami w garści zajęli pozycje u wylotu zaułka. Stojąc obok siebie, rozmawiali – jak nic na coś narzekali. W czasach, gdy Bosch służył w Wietnamie, takie coś nazywali wyprzedają dla snajpera – dwie sztuki za cenę jednej.

Na końcu zaułka stało ośmiu gwardzistów. Bosch zwrócił uwagę, że u wylotu po drugiej stronie zbiera się coraz większa grupa gapiów. Ruchem ręki przywołał gwardzistę, który ich tu zaprowadził.

– Jak się nazywacie, żołnierzu?

– Drummond, ale wszyscy wołają mnie Dobosz.

– W porządku, Dobosz, ja jestem detektyw Bosch. Powiedzcie mi, kto ją znalazł.

– Zwłoki? Dowler. Cofnął się tutaj, żeby się odlać, i wtedy ją zobaczył. Powiedział, że najpierw ją wyczuł. Znał ten zapach.

– Gdzie on jest teraz?

– Zdaje się, że na posterunku przy południowej barykadzie.

– Muszę z nim porozmawiać. Ściągniecie mi go?

– Tak jest.

Drummond ruszył w kierunku wylotu zaułka.

– Zaczekajcie, Dobosz, jeszcze nie skończyłem.

Tamten się odwrócił.

– Kiedy wysłano was na to miejsce?

– Jesteśmy tu od osiemnastej, detektywie.

– Czyli że od tamtej pory panujecie nad okolicą? I tym zaułkiem?

– Niezupełnie. Wczoraj wieczorem zaczęliśmy przy rogu

Crenshaw i Florence i przesuwaliśmy się na wschód od Florence i na północ od Crenshaw. Ulica po ulicy.

– A kiedy dotarliście do tego zaułka?

– Nie wiem dokładnie. Myślę, że obstawiliśmy go dzisiaj o świcie.

– Jak już szabrownicy i podpalacze wynieśli się z najbliższej okolicy?

– Tak jest. Z tego, co słyszałem, tutaj rozrabiali pierwszej nocy.

– W porządku, Dobosz, ostatnia sprawa. Potrzebujemy więcej światła. Możecie nam tu ściągnąć jeden z tych waszych wozów, ten ze światłami na dachu?

– Te wozy to humvee, detektywie.

– Jak zwał, tak zwał. Dajcie tu jeden z tamtego końca zaułka.

Przejdźcie obok tych ludzi i wycelujcie światła dokładnie na miejsce zbrodni. Rozumiemy się?

– Tak jest.

Bosch wskazał w stronę przeciwną do tej, gdzie stał radiowóz.
– Świetnie. Chcę, żeby ich światła się skrzyżowały, jasne? Chyba niczego lepszego nie wykombinujemy.

– Tak jest.

Gwardzista oddalił się truchtem.

– Hej, Doboszu!

Drummond znów się odwrócił i przytruchtał z powrotem.

– Słucham.

Bosch zniżył głos do szeptu.

– Wszyscy wasi ludzie się na mnie gapią. Chyba powinni stać odwrócenie w drugą stronę i pilnować ulicy?

Drummond cofnął się o krok i zakręcił palcem nad głową.

– Ej, tam! W tył zwrot, pilnować ulicy! Jesteśmy w pracy. Macie stać na straży.

Wskazał palcem tłum gapiów zebranych na końcu zaułka.

– I żeby żaden z nich mi tu nie wlaź!

Gwardziści wykonali rozkaz, a Drummond wyszedł z zaułka, przywołać przez radio Dowlera i ściągnąć wóz z baterią świateł na dachu.

Na biodrze Boscha zabrzączał pager. Detektyw sięgnął do paska i wyrwał urządzenie z etui. Widząc na wyświetlaczu numer stanowiska dowodzenia, wiedział, że razem z Edgarem za chwilę zostaną wysłani gdzie indziej. I chociaż nawet jeszcze tu nie zaczęli, już chciano ich stąd zabrać. Bosch nie miał na to najmniejszej ochoty. Schował więc pager do etui.

Podszedł do pierwszej siatki, zaczynającej się przy tylnym rogu komisju ze sprzętem AGD. Drewniany parkan był za wysoki, nie mógł zajrzeć na drugą stronę. Zauważył jednak, że deski niedawno odmalowano. Ani śladu graffiti, nawet po stronie zaułka. Zwróciło to jego uwagę, ponieważ świadczyło o tym, że po drugiej stronie jest właściciel dbający o swój dom na tyle, by zmywać graffiti. Może była to osoba z gatunku tych, co to same stają na straży, więc mogła coś usłyszeć, a nawet zobaczyć.

Przeszedł na drugą stronę alejki i przykucnął na najdalszym skraju miejsca zbrodni. Wyglądał jak bokser w narożniku, czekający na

wznowienie walki. Omiótł latarką podłoże z popękanego betonu i ziemi. Padające pod kątem światło odbijało się od niezliczonych powierzchni, tworząc niezwykły widok. Wkrótce mignęło mu coś błyszczącego, więc zatrzymał światło na tym czymś. Przybliżył się i znalazł leżącą na żwirze mosiężną łuskę.

Kucnął i uważniej przyjrzał się znalezisku, nie chcąc go ruszać. Poświeciwszy latarką z bliska, zobaczył, że jest to mosiężna łuska kaliber 9 milimetrów, z wytłoczonym na płaskiej podstawie charakterystycznym logo Remingtona. Iglica zostawiła wgłębienie na spłonce. Bosch zwrócił uwagę, że łuska leżała na wierzchu warstwy żwiru. Nikt jej nie nadepnął ani nie kopnął, chociaż jego zdaniem zaulek należał do bardzo uczęszczanych. Oznaczało to, że łuska leżała tam od niedawna.

Rozglądał się za czymś, czym mógłby zaznaczyć położenie łuski, kiedy na miejsce zbrodni wrócił Edgar. Taszczył skrzynkę z narzędziami. Powiadomił Boscha, że nie dostaną żadnej pomocy.

- Znalazłeś coś, Harry?
- Łuskę remingtona, dziewięć milimetrów. Całkiem świeża.
- No to przynajmniej mamy coś przydatnego.
- Może. Gadałeś ze stanowiskiem dowodzenia?

Edgar odstawił skrzynkę z narzędziami. Ważyła swoje. Wrzucił do niej cały sprzęt, jaki w pośpiechu zdołał zebrać na posterunku Hollywood, kiedy dowiedzieli się, że w terenie nie mają co liczyć na pomoc ze strony techników.

– Ehe. Dodzwoniłem się do nich, ale twierdzą, że nic się nie da zrobić. Wszyscy są zajęci gdzie indziej. Zostaliśmy z tym pasztetem sami, brachu.

– Od koronera też nikt się nie zjawi?

– Koronera nie będzie. Po ciało przyjedzie Gwardia Narodowa. Zabiorą je wojskowym transporterem.

– Jaja sobie ze mnie robisz? Wywiozą ją stąd na pace jakiejś pierdolonej ciężarówki?

– Mało tego, wzywają nas już gdzie indziej. Do gościa, co wysechł na wiór. Strażacy znaleźli go w spalonej budzie z meksykańskim żarciem na Martin Luther King Boulevard.

– Jasny gwint, przecież dopiero co tu przyjechaliśmy!
– Niby tak, ale co z tego, skoro to nasza zmiana, a jesteśmy najbliżej MLK. Dlatego chcą, żebyśmy pakowali manatki i zwijali się.
– No to co? Na razie nie skończyliśmy tutaj. I nieprędko skończymy.

– Nic na to nie poradzimy, Harry.

Ale Bosch się zawziął.

– Ja nigdzie się nie wybieram. Za dużo tu mamy do roboty, a jeśli to odłożymy na przyszły tydzień czy Bóg wie kiedy, to stracimy miejsce zbrodni. Nie wolno nam tego zrobić.

– Nie mamy wyboru, partnerze. Nie my ustalamy zasady.

– Gówno prawda.

– Dobra, zrobimy tak. Dajmy sobie piętnaście minut. Cykniemy trochę zdjęć, spakujemy łuskę, załadujemy zwłoki na ciężarówkę, a potem poturlamy się dalej. W poniedziałek, czy kiedy tam to się skończy, to już nie będzie nasza broszka. Jak zapanuje spokój, wrócimy do Hollywood, a ta sprawa zostanie tu. Przejmą ją inni. Ten rejon podlega tym z posterunku przy Siedemdziesiątej Siódmej. To będzie ich problem.

Bosch miał gdzieś, co stanie się później i czy sprawa trafi do śledczych z posterunku przy Siedemdziesiątej Siódmej, czy nie. Obchodziło go wyłącznie to, co miał przed sobą. Kobieta o imieniu Anneke pochodząca z jakiegoś dalekiego kraju nie żyła, a on chciał się dowiedzieć, kto ją zabił i dlaczego.

– Nieważne, że to nie będzie nasza sprawa – odparł. – Nie taki jest sens tej roboty.

– Harry, tu nie ma żadnego sensu – zaprotestował Edgar. – Nie teraz, kiedy wszędzie dookoła panuje kompletny chaos. Człowieku, teraz już nic się nie liczy. Nikt nie panuje nad tym miastem. Nie oczekuj, że...

Ciszę rozdarła seria z broni maszynowej. Edgar padł na ziemię, a Bosch odruchowo skoczył pod ścianę komisju ze sprzętem AGD. Hełm spadł mu z głowy. Kilku gwardzistów odpowiedziało ogniem, aż w końcu strzelanie położyły kres głośne okrzyki:

– Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień!

Strzały ucichły. Zaułkiem nadbiegł Burstin, sierżant z barykady.

Bosch zobaczył, jak Edgar wstaje powoli. Wyglądało na to, że nic mu się nie stało, ale spoglądał na Boscha z dziwnym wyrazem twarzy.

– Kto zaczął strzelać?! – ryknął sierżant. – Kto otworzył ogień?

– Ja! – odkrzyknął jeden z żołnierzy w zaułku. – Zdawało mi się, że na skraju dachu widzę lufę broni.

– Gdzie, żołnierzu? Na którym dachu? Gdzie był snajper?

– Tam. – Wojskowy wskazał dach sklepu z oponami.

– Ożeż w dupę! – wrzasnął sierżant. – Wstrzymać ogień.

Oczyściliśmy ten dach. Nie ma tam nikogo poza naszymi! To nasi ludzie!

– Przepraszam, sierżancie. Zobaczyłem...

– Synu, mam gdzieś to, co zobaczyłeś. Zabij któregoś z moich ludzi, a osobiście skopię ci dupę.

– Tak jest, sierżancie. Przepraszam.

Bosch wstał. Dzwoniło mu w uszach, nerwy miał napięte jak postronki. Nagła kanonada z broni maszynowej nie stanowiła dla niego nowości. Jednak od czasu, gdy w jego życiu było to na porządku dziennym, minęło już blisko dwadzieścia pięć lat. Ruszył po swój hełm, podniósł go i włożył na głowę.

Podszedł do niego sierżant Burstin.

– Pracujcie dalej, panowie – powiedział. – Gdybym był potrzebny, będę na północnym skraju. Ciężarówka po zwłoki jest już w drodze. Z tego, co zrozumiałem, mamy eskortować wasz radiowóz na inne miejsce, do innych zwłok.

Co rzekłszy, wybiegł pędem z zaułka.

– Chryste Panie, dasz wiarę? – odezwał się Edgar. – Co to jest, Pustynna Burza? Wietnam? Chłopie, co my tu w ogóle robimy?

– Bierzmy się do pracy – odparł Bosch. – Ty zrób rysunki miejsca zbrodni, ja się zajmę zwłokami, zrobię zdjęcia. Do roboty!

Przykucnął i otworzył skrzynkę z narzędziami. Chciał sfotografować łuskę tam, gdzie leżała, zanim spakuje ją jako dowód rzeczowy. Edgarowi nie zamykały się usta. Jeszcze nie pozbył się adrenaliny wywołanej strzelaniną. A kiedy był podekscytowany, gadał jak najęty. Czasami stanowczo za dużo.

– Harry, kojarzysz, co zrobiłeś, jak ten burak zaczął napierdalać

z karabinu?

– Tak, uskoczyłem jak wszyscy inni.

– Nie, Harry. Zakryłeś zwłoki. Widziałem to. Osłoniłeś tę Królową Śnieżkę własnym ciałem, jakby wciąż żyła.

Bosch nie odpowiedział. Podniósł górną tacę skrzynki z narzędziami i sięgnął w głąb po polaroida. Zwrócił uwagę, że ma tylko dwa opakowania klisz. Szesnaście zdjęć plus to, co zostało w aparacie. W sumie może ze dwadzieścia klatek, a mieli do zrobienia to miejsce zbrodni oraz kolejne, na MLK. Tyle im nie wystarczy. Jego irytacja sięgała zenitu.

– Dlaczegoś to zrobił, Harry? – dopytywał Edgar.

Bosch w końcu stracił cierpliwość.

– Nie wiem! – wydarł się na partnera. – Kapujesz? Nie wiem. Więc bierzmy się lepiej do roboty, zróbmy dla niej chociaż tyle, żeby może, przy odrobinie szczęścia, ktoś wszczął w tej sprawie śledztwo.

Jego wybuch nie uszedł uwagi większości gwardzistów w zaułku. Ten, który wcześniej rozpoczął strzelaninę, zmierzył go ostrym wzrokiem, cały szczęśliwy, że nareszcie ktoś inny ściągnął na siebie niepożądaną uwagę.

– W porządku, Harry – odparł Edgar spokojnie. – Wracajmy do pracy. Zrobimy, co w naszej mocy. Kwadrans, a potem jedziemy do następnej ofiary.

Bosch skinął głową, spoglądając na martwą kobietę. Kwadrans, pomyślał. Ręce mu opadły. Wiedział, że jest już po sprawie, zanim się zaczęła.

– Przepraszam – szepnął.

CZEŚĆ 1
Wędrująca broń
2012

Rozdział 1

Kazali mu czekać. Wyjaśnili, że Coleman właśnie dostał żarcie, więc ściągnięcie go przysporzyłoby kłopotów, bo potem musieliby go odstawić na stołówkę w drugim bloku, gdzie mógł mieć wrogów, o których strażnicy nie wiedzieli. Ktoś mógłby go załatwić, zanim by się zorientowali. Woleli tego uniknąć, kazali więc Boschowi objąć się przez czterdzieści minut, żeby Coleman mógł spokojnie dokończyć mielonego z fasolką szparagową, siedząc przy stole ogrodowym na dziedzińcu D i ciesząc się tym, że w grupie bezpieczniej. Wszyscy członkowie Rolling 60's osadzeni w San Quentin dostawali to samo żarcie i mieli ten sam spacerniak.

Bosch zabijał czas, powtarzając swoją ofertę i ćwicząc przemówienie. Wszystko było na jego głowie. Żadnej pomocy ze strony partnera. Cięcia w policyjnych wydatkach na delegacje sprawiły, że do więzień niemal zawsze jeździło się w pojedynkę.

Złapał pierwszy poranny samolot, nie zastanawiając się, o której przybędzie na miejsce. W gruncie rzeczy zwłoka nie robiła mu różnicy. I tak lot powrotny miał dopiero o osiemnastej, a rozmowa z Rufusem Colemanem nie powinna trwać długo. Coleman albo łyknie propozycję, albo nie. Tak czy siak, Bosch się tu nie zasiedzi.

Przesłuchania odbywały się w stalowej kabinie przedzielonej pośrodku wpuszczonym w podłogę stołem. Bosch usiadł tak, że dokładnie za plecami miał drzwi, którymi wszedł, a takie same były w ścianie naprzeciwko. Wiedział, że to tamtędy wprowadzą Colemana.

Bosch prowadził śledztwo w sprawie zamordowania przed dwudziestu laty Anneke Jaspersen, fotoreporterki zastrzelonej podczas rozruchów w 1992 roku. Wtedy poświęcił tej sprawie i spędził na miejscu zbrodni niecałą godzinę, ponieważ wysyłany do kolejnych morderstw popełnianych tej szalonej, kipiącej przemocą nocy, stale przenosił się od jednego zabójstwa do drugiego.

Po ustaniu rozruchów policja powołała RCTF, Riot Crimes Task Force – specjalną jednostkę do badania zbrodni popełnionych w trakcie zamieszek – i właśnie jej przydzielono dochodzenie w sprawie zabójstwa Jaspersen. Sprawy nigdy nie wyjaśniono, a po dziesięciu latach, kiedy

miała jeszcze status śledztwa w toku, po cichu spakowano do pudeł akta oraz nieliczne dowody rzeczowe i wyniesiono do archiwum. Dopiero w obliczu zbliżającej się dwudziestej rocznicy rozruchów komendant główny policji, który potrafił owinąć sobie media wokół małego palca, wysłał wytyczne porucznikowi kierującemu sekcją spraw otwartych i niewyjaśnionych, nakazując świeże spojrzenie na wszystkie nierozwikłane morderstwa popełnione w trakcie zamieszek z roku 1992. Chciał być gotowy na chwilę, gdy dziennikarze zaczną wypytywać o kwestie związane z tym, o czym pisali przed dwudziestu laty. W 1992 roku policja obudziła się z ręką w nocniku, ale dwadzieścia lat później powtórka nie wchodziła w rachubę. Komendant chciał móc oświadczyć, że śledztwa w sprawie wszystkich niewyjaśnionych morderstw z okresu zamieszek są w toku.

Bosch specjalnie poprosił o przydzielenie mu sprawy Anneke Jespersen, by mógł do niej wrócić po dwudziestu latach. Jednak nie bez obaw. Wiedział, że większość spraw wyjaśnia się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od popełnienia zbrodni, a po tym czasie szanse na sukces drastycznie maleją. Tymczasem tej sprawie nie poświęcono nawet jednej z tych czterdziestu ośmiu godzin. Zaniedbano ją ze względu na okoliczności, a jednak do tej pory czuł się z tego powodu winny, jakby porzucił Anneke Jespersen, zostawił ją samą sobie. Żaden śledczy z wydziału zabójstw nie lubi zostawiać niezakończonych śledztw, lecz wtedy Boschowi nie zostawiono wyboru. Odebrano mu tę sprawę. Łatwo mógł zrzucić winę na śledczych, którzy przejęli ją po nim, tyle że siebie także zaliczał do grona winnych. To on zapoczątkował dochodzenie, jako pierwszy zjawiając się na miejscu zbrodni. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że choć przebywał tam tak krótko, na pewno coś przegapił.

Teraz, dwadzieścia lat później, dostał drugą szansę. Niestety, bardzo mizerną. Wierzył, że każde śledztwo ma czarną skrzynkę, gdzie zapisane są jakieś dowody rzeczowe, osoby bądź ciąg faktów, które doprowadzą do określonych wniosków i pomogą wyjaśnić, co się wydarzyło i dlaczego. Jednak w sprawie Anneke Jespersen nie było czarnej skrzynki. Jedynie wyciągnięte z archiwum dwa trącające stęchlizną kartonowe pudła, które nie dawały mu ani wskazówek, ani nadziei. Pudła zawierały ubranie ofiary oraz jej kamizelkę kuloodporną,

paszport i inne przedmioty osobistego użytku, a także plecak i sprzęt fotograficzny zabrany z jej pokoju po stłumieniu rozruchów. Do tego dochodziła jedna łuska kalibru 9 mm znaleziona na miejscu zbrodni oraz cienka teczka z wynikami dochodzenia wypichconymi przez RCTF – tak zwana księga morderstwa, czyli wszystkie akta i dowody w śledztwie dotyczącym zabójstwa.

Księga morderstwa Anneke Jespersen w dużej mierze była zapisem bezczynności ze strony RCTF. Ta jednostka specjalna działała przez rok, badając setki zbrodni, w tym dziesiątki przypadków zabójstw. Była zawałona robotą niemal tak samo jak śledczy tacy jak Bosch w trakcie zamieszek.

RCTF postawiła w południowym Los Angeles billboardy z reklamą linii telefonicznej dla informatorów i z wysokością nagrody za wiadomości prowadzące do aresztowania i skazania sprawców zbrodni powiązanych z rozruchami. Na wielu billboardach widniały różne zdjęcia podejrzanych, miejsc zbrodni albo ofiar. Trzy przedstawiały Anneke Jespersen i prosiły o jakiegokolwiek informacje na temat tego, co robiła, i jej zabójstwa.

Jednostka działała głównie na podstawie doniesień uzyskanych dzięki plakatom oraz innym apelom skierowanym do społeczeństwa i zajmowała się sprawami, co do których miała wiarygodne informacje. Ale w przypadku Jespersen nie zdobyto nic wartościowego, więc śledztwo nie ruszyło z miejsca. Utknęło w martwym punkcie. Nawet jedyny dowód rzeczowy zebrany na miejscu zbrodni – łuska po naboju – był guzik wart bez broni, do której można by go dopasować.

Przeglądając zapisy archiwalne i efekty dochodzenia, Bosch zauważył, że najbardziej godne uwagi informacje zebrane w ciągu pierwszego śledztwa dotyczyły ofiary. Jespersen miała trzydzieści dwa lata i pochodziła z Danii, a nie z Niemiec, jak Bosch sądził przez dwadzieścia lat. Pracowała dla gazety z Kopenhagi pod tytułem „Berlingske Tidende”, jako fotoreporterka w pełnym sensie tego słowa. Pisała artykuły ilustrowane własnymi zdjęciami. Jeżdżąc po świecie jako korespondentka wojenna, dokumentowała toczące się wszędzie potyczki zarówno słowem, jak i obrazem.

Do Los Angeles przyleciała rankiem następnego dnia po wybuchu

zamieszek. A nazajutrz rano już nie żyła. W ciągu kolejnych tygodni w „Los Angeles Times” przedstawiono pokrótce sylwetki osób zabitych podczas rozruchów. Materiał o Jespersen cytował wypowiedzi jej redaktora naczelnego oraz brata z Kopenhagi, a także opisywał dziennikarkę jako ryzykantkę, która zawsze pierwsza na ochotnika zgłaszała się do wyjazdów w najbardziej niebezpieczne miejsca na świecie. W ciągu czterech lat przed śmiercią zdawała relacje z walk w Iraku, Kuwejcie, Libanie, Senegal i Salwadorze.

Niepokoje w Los Angeles, rzecz jasna, nijak nie miały się do wojen czy innych konfliktów zbrojnych, które fotografowała i opisywała, jednak według „Timesa”, gdy w Mieście Aniołów wybuchły zamieszki, akurat podróżowała po Stanach Zjednoczonych, dokąd wybrała się na wakacje. Czym prędzej więc zadzwoniła do działu fotograficznego „BT”, jak powszechnie nazywano gazetę w Kopenhadze, i zostawiła naczelnemu wiadomość, że pędzi z San Francisco do Los Angeles. Tyle że zginęła, zanim zdążyła wysłać do swojej gazety jakieś zdjęcia albo artykuł. Po odsłuchaniu wiadomości naczelny nigdy więcej już z nią nie rozmawiał.

Kiedy rozwiązano RCTF, niewyjaśnioną sprawę Jespersen przydzielono wydziałowi zabójstw z posterunku przy Siedemdziesiątej Siódmej, bo właśnie jemu podlegał teren, gdzie popełniono zabójstwo. A ponieważ detektywi mieli na głowie własne śledztwa w toku, akta trafiły na półkę. Adnotacje w kartotece dotyczące chronologii zdarzeń, nieliczne i rozproszone w czasie, przeważnie informowały, że ktoś z zewnątrz interesował się tą sprawą. Policja Los Angeles nie wykazywała zapału w prowadzeniu tego śledztwa, ale rodzina Jespersen oraz znajomi z międzynarodowej społeczności dziennikarskiej nie porzucili nadziei. Chronologiczne zapisy dotyczyły więc ich częstych zapytań o postępy dochodzenia. Prowadzono je do czasu, kiedy akta oraz przedmioty osobiste odesłano do archiwum. Później wszystkich dopytujących się o Anneke Jespersen ignorowano dokładnie tak, jak puszczono w niepamięć tę sprawę.

O dziwo, nigdy nie odesłano rodzinie przedmiotów osobistego użytku denatki. Pudła w archiwum zawierały plecak oraz rzeczy przekazane policji kilka dni po morderstwie, kiedy kierownik motelu

Travelodge przy Santa Monica Boulevard skojarzył nazwisko ofiary zamieszek wydrukowane w „Timesie” z tym, które widniało w jego księdze gości. Uznano, że Anneke Jespersen po prostu związała, nie płacąc za pokój. Rzeczy, które zostawiła, zamknięto w motelowym magazynie. A kiedy kierownik interesu doszedł do wniosku, że Jespersen nie wróci, bo nie żyje, plecak z jej rzeczami przekazano RCTF, która działała w tymczasowej siedzibie w Wydziale Centralnym w śródmieściu.

Plecak znajdował się w jednym z pudeł archiwalnych, które Bosch wziął z magazynu. Zawierał dwie pary dżinsów, cztery białe bawełniane koszule oraz zapas bielizny i skarpetek. Jak widać, Jespersen podróżowała bez nadmiernego bagażu – nawet na wakacje pakowała się jak korespondentka wojenna. Ale to może dlatego, że zaraz po urlopie w Stanach Zjednoczonych jechała na wojnę. Jej naczelny zdradził „Timesowi”, że prosto ze Stanów gazeta wysyłała Jespersen do Sarajewa w byłej Jugosławii, gdzie ledwie kilka tygodni wcześniej wybuchła wojna. W mediach królowały doniesienia o zbiorowych gwałtach i czystkach etnicznych, dlatego Jespersen wybierała się w sam środek działań wojennych – planowała wylot w poniedziałek po wybuchu zamieszek w Los Angeles. Szybki wypad do LA, by zrobić zdjęcia uczestnikom rozruchów, potraktowała zapewne jako dobrą rozgrzewkę przed tym, co ją czeka w Bośni.

W kieszeniach plecaka znajdował się także duński paszport Jespersen oraz kilka rolek nienaświetlonego filmu 35 mm.

Paszport zawierał stempel wjazdowy wbity przez służbę imigracyjną na nowojorskim lotnisku międzynarodowym imienia Johna F. Kennedy’ego sześć dni przed śmiercią dziennikarki. Według akt sprawy i doniesień prasowych reporterka podróżowała samotnie i dotarła do San Francisco w momencie, gdy w Los Angeles ogłoszono werdykt sądu i doszło do wybuchu przemocy.

Ani w aktach, ani w artykułach prasowych nie było informacji, gdzie Jespersen przebywała w Stanach Zjednoczonych przez pięć dni przed zamieszkami. Najwyraźniej uznano, że dla dochodzenia w sprawie jej śmierci jest to nieistotne.

Oczywiste wydawało się tylko to, że wybuch przemocy w Los Angeles podziałał na nią jak magnes, bo natychmiast zmieniła plany i –

wszystko na to wskazywało – nocą wyjechała do Los Angeles, samochodem wynajętym na lotnisku międzynarodowym w San Francisco. W czwartek rano, trzydziestego kwietnia, okazała swój paszport oraz duńską legitymację prasową w biurze prasowym policji Los Angeles, żeby uzyskać przepustkę dziennikarską.

Bosch spędził większą część lat 1969 i 1970 w Wietnamie. Spotkał tam wielu reporterów i fotografów, zarówno w bazach wojskowych, jak i w strefach pod ostrzałem. Wszyscy z nich prezentowali jedyną w swoim rodzaju odwagę. Nie odwagę wojowników, lecz niemal naiwną wiarę w to, że koniec końców każdy z nich przeżyje. Zupełnie jakby wierzyli w to, że aparaty fotograficzne i przepustki prasowe są tarczą, która ochroni ich bez względu na okoliczności.

Szczególnie dobrze poznał jednego z nich. Facet nazywał się Hank Zinn i pracował dla Associated Press. Kiedyś wszedł za Boschem do tunelu w Cu Chi. Zinn był z tych, co to nigdy nie przepuszczą okazji, by się zapaść na terytorium Wietkongu i poczuć, jak się wyrażał, „to coś”. Zginął na początku 1970 roku w zestrzelonym hueyu, do którego wskoczył, żeby się zabrać na front. Z katastrofy ocalał nienaruszony jeden z jego aparatów i ktoś w bazie wywołał film. Okazało się, że Zinn robił zdjęcia przez cały czas ostrzału śmigłowca, nawet wtedy, kiedy maszyna spadała już na ziemię. Nie wiadomo, czy dzielnie dokumentował własną śmierć, czy też uważał, że po powrocie do bazy będzie miał wspaniałe ujęcia. Jednak znając Zinna, Bosch uważał, że ten miał się za niepokonanego i nie brał pod uwagę, że katastrofa śmigłowca to już jest koniec.

Wracając po tylu latach do sprawy Anneke Jespersen, Bosch zastanawiał się, czy Dunka była podobna do Zinna. Przekonana o swojej nieśmiertelności, pewna, że aparat i przepustka ochronią ją przed kulami. Nie ulegało wątpliwości, że narażała się na niebezpieczeństwo. Bosch był ciekaw, o czym myślała, kiedy zabójca wycelował pistolet w jej oko. Czy była taka jak Zinn? Czy go sfotografowała?

Według listy dostarczonej przez jej naczelnego z Kopenhagi i włączonej do akt śledztwa RCTF, Jespersen nosiła ze sobą dwa aparaty Nikon 4 wraz z zestawem obiektywów. Oczywiście sprzęt, który miała przy sobie w terenie, został skradziony i nigdy go nie odzyskano.

Cokolwiek znajdowało się na zrobionych przez nią zdjęciach, dawno przepadło.

Śledczy z RCTF wywołali rolki filmu znalezione w kieszeni jej kamizelki. Niektóre z tych czarno-białych odbitek formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, wraz z czterema arkuszami stykówek wszystkich dziewięćdziesięciu sześciu klitek, trafiły do księgi morderstwa, lecz nie zawierały żadnych dowodów ani nie podsuwały nowych tropów. Część zdjęć przedstawiała po prostu kalifornijską Gwardię Narodową zbierającą się na stadionie Coliseum po wezwaniu do opanowania burd w Los Angeles. Inne pokazywały gwardzistów stojących na barykadach ustawionych na rogach ulic w strefie zamieszek. Na żadnym nie było scen przemocy, szabru czy podpalania, chociaż kilka przedstawiało gwardzistów pilnujących splądrowanych albo spalonych sklepów. Wszystkie te zdjęcia najwyraźniej zrobiła w dniu przyjazdu, zaraz po odebraniu przepustki prasowej na policji.

Pomijając ich wartość historyczną jako dokumentu z zamieszek, w 1992 roku zdjęcia uznano za nieprzydatne dla śledztwa dotyczącego morderstwa; a dwadzieścia lat później Bosch mógł jedynie zgodzić się z tą oceną.

Akta RCTF zawierały także spis mienia datowany jedenastego maja 1992 roku, w którym opisano odzyskanie samochodu wypożyczonego przez Jespersen w filii Avisa na lotnisku międzynarodowym w San Francisco. Auto porzucono na Crenshaw Boulevard, siedem przecznic od zaułka, w którym znaleziono zwłoki. Stało tam przez dziesięć dni i w tym czasie włamano się do niego i ogołoco go z wyposażenia. W raporcie stwierdzono, że samochód i jego zawartość, a raczej jej brak, nie mają wartości dla śledztwa.

Wynikało z tego, że największą nadzieję na wyjaśnienie sprawy dawał dowód rzeczowy znaleziony przez Boscha w pierwszej godzinie śledztwa. Łuska po naboju. Przez ostatnie dwadzieścia lat technologie śledztwa przeszły niewiarygodny rozwój. Rzeczy, o których wówczas nikomu się nie śniło, dziś były na porządku dziennym. Wraz z nadejściem nowinek technicznych, które można było zaprząć do zbierania dowodów i prowadzenia dochodzeń, na całym świecie wracano do starych, niewyjaśnionych spraw. W każdym większym mieście

policja tworzyła specjalne jednostki i przydzielała im dawno umorzone, a teraz wznawiane śledztwa. Okazało się, że prowadzenie starych spraw przy zastosowaniu nowych technologii czasami było proste jak drut: badania porównawcze DNA, odcisków palców i balistyczne powodowały, że z hukiem skazywano sprawców zbrodni, którzy od lat żyli w przekonaniu, że morderstwo uszło im na sucho.

Czasem jednak okazywało się to bardziej skomplikowane.

Jednym z pierwszych posunięć Boscha po ponownym otwarciu sprawy numer 9212-00346 było przesłanie łuski do działu balistyki w celu dokonania analizy. Na odpowiedź czekał trzy miesiące – balistyka była zavalona pracą, a zlecenia przekazywane przez sekcję spraw otwartych i niewyjaśnionych nie mogły być załatwiane w pierwszej kolejności. Nie uzyskał panaceum, środka umożliwiającego natychmiastowe rozwiązanie sprawy, ale zobaczył światło w tunelu. Całkiem nieźle, zważywszy, że Anneke Jespersen przez dwadzieścia lat nie mogła doczekać się sprawiedliwości.

Raport z balistyki dał Boschowi Rufusa Colemana, lat czterdzieści jeden – zatwardziałego członka Rolling 60's, odłamu gangu Cripsów, obecnie odsiadującego w kalifornijskim Więzieniu Stanowym San Quentin wyrok za morderstwo.

Rozdział 2

Dochodziło południe, gdy otworzyły się drzwi i dwaj strażnicy więzienni wprowadzili Colemana. Z wykręconymi do tyłu rękami przykuto go do krzesła przy stole naprzeciwko Boscha. Strażnik ostrzegł go, że będą obserwowani, po czym zostawił ich, mierzących się wzrokiem nad stołem.

– Jesteś pies, dobrze mówię? – odezwał się Coleman. – Wiesz, co mnie czeka, jak któryś z tych klawiszy puści farbę, że siedziałem w jednym pokoju z psem?

Bosch nie odpowiedział. Przyglądał się siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie. Widział jego zdjęcia policyjne, ale te przedstawiały tylko twarz. Wiedział, że Coleman to kawał chłopca – był przecież znanym egzekutorem Rolling 60's – nie sądził jednak, że jest aż tak potężny. Miał przerośnięte mięśnie, doskonałą rzeźbę ciała i szyję szerszą niż głowa razem z uszami. Szesnaście lat robienia pompek, przysiadów i tego wszystkiego, co jeszcze mógł ćwiczyć w celi, wyrobiło mu klatkę piersiową wystającą daleko ponad brodę, a imadłem z bicepsów i tricepsów mógłby kruszyć orzechy włoskie na proch. Na zdjęciach policyjnych zawsze miał wystylizowaną, cieniowaną fryzurę. Teraz był ogolony na pałę, a łysina posłużyła mu za płótno na cześć Pana. Na obu skroniach miał wykonane niebieskim tuszem więzienne tatuaże – krzyże owinięte drutem kolczastym. Bosch był ciekawy, czy miało to na celu urobienie członków komisji do spraw zwolnień warunkowych. Jestem zbawiony. Mam to wypisane na czaszce.

– Tak, jestem psem – przyznał Bosch. – Z Los Angeles.

– Z biura szeryfa czy z policji?

– Z policji. Nazywam się Bosch. Posłuchaj, Rufus, czeka cię najbardziej fartowny albo najbardziej pechowy dzień w życiu. Dobra wiadomość jest taka, że sam podejmiesz decyzję i wybierzesz jedną z tych możliwości. Większość z nas nigdy nie ma szansy wybierać między fartem a pechem. Przyjmujemy to, co nas spotyka. To się nazywa przeznaczenie. Ale tym razem to ty decydujesz. Sam dokonasz wyboru. Właśnie teraz.

– Ciekawe. Niby jak? Bo to ty nosisz cały fart po kieszeniach?

Bosch skinął głową.

– Dzisiaj tak.

Zanim wprowadzono Colemana, położył na stole teczkę na akta. Teraz otworzył ją i wyjął dwa listy. Zaadresowaną i ofrankowaną kopertę zostawił w teczce, na tyle daleko od więźnia, żeby ten nie mógł odczytać słów.

– Podobno w przyszłym miesiącu znowu chcesz się ubiegać o zwolnienie warunkowe – powiedział.

– Zgadza się – przytaknął Coleman; w jego głosie zabrzmiała lekka ciekawość i niepokój.

– Nie wiem, czy masz pojęcie, jak to działa, w każdym razie ci sami dwaj członkowie komisji, którzy słuchali twoich argumentów dwa lata temu, zjawią się, żeby wysłuchać cię jeszcze raz. Czyli przyjedzie dwóch facetów, którzy już raz odrzucili twoje podanie. A to oznacza, że przyda ci się pomoc, Rufus.

– Mam już po swojej stronie Boga – wtrącił więzień.

Nachylił się i przekręcił głowę z boku na bok, żeby Bosch mógł obejrzeć wytatuowane krzyże. Harry’emu skojarzyło się to z logo drużyny futbolistów umieszczonym po bokach kasków.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, dwa tatuaże ci nie wystarczą.

– A na chuj mi twoje zdanie, śledziu? Nie potrzebuję twojej pomocy. Na moją korzyść przemawia dobrze przygotowany wniosek, kapelan z bloku D i dobre zachowanie. Nawet rodzina Regisa przysłała mi list, w którym mi wybacza.

Człowiek, którego Coleman zamordował z zimną krwią, nazywał się Walter Regis.

– Tak? Ciekawe, ileś za to zapłacił?

– Nikomu nie płaciłem. Modliłem się do Pana, a On mnie wysłuchał. Rodzina mnie poznała, wie, jak bardzo się zmieniłem. Wybaczyli mi grzechy tak samo jak Bóg.

Bosch pokiwał głową. Przez dłuższy czas wpatrywał się w listy przed sobą.

– No dobra, czyli wszystko idzie po twojej myśli – podjął w końcu.

– Masz list, masz poparcie Boga. Może nie potrzebujesz mojej pomocy, Rufus, ale na pewno nie chcesz, żebym ci zaszkodził. Właśnie tu jest

pies pogrzebany. Tego ci nie potrzeba.

– No to nawijaj. W co ty, kurwa, pogrywasz?

Bosch skinął głową. Nareszcie przeszli do rzeczy. Podniósł kopertę.

– Widzisz tę kopertę? Jest zaadresowana do komisji do spraw zwolnień warunkowych w Sacramento. Tu w rogu masz zapisany twój numer więzienny, znaczek jest już naklejony, nic, tylko wrzucić do skrzynki.

Odłożył kopertę, podniósł listy i trzymając je obok siebie, po jednym w każdej dłoni, podsunął Colemanowi w taki sposób, żeby ten mógł przeczytać ich treść.

– Jak tylko stąd wyjdę, włożę do koperty jeden z tych listów i wrzucę do skrzynki. Ale to ty zdecydujesz który.

Gdy Coleman się pochylił, Bosch usłyszał szcęk kajdanek, które potarły o metalowe oparcie krzesła. Gangster był tak olbrzymi, że sprawiał wrażenie, jakby ramiona pod szarym więziennym kombinezonem miał wypchane ochraniaczami futbolisty.

– O czym ty gadasz, śledziu? Nie dam rady odczytać tego gówna.

Bosch oparł się na krzesło i odwrócił listy tak, by mógł je przeczytać.

– No więc oba te listy są skierowane do komisji do spraw zwolnień warunkowych – powiedział. – Jeden przedstawia cię w bardzo korzystnym świetle. Napisano w nim, że żałujesz popełnionych zbrodni i że pomagałeś mi w wyjaśnieniu sprawy morderstwa sprzed lat. Na koniec...

– Ja ci pomagam, człowieku? Takiego wała! Nie przylepisz mi łątki kapusia. Weź, kurwa, uważaj, co mówisz.

– Na koniec zalecam komisji, żeby przyznała ci zwolnienie warunkowe.

Bosch odłożył list i zajął się następnym.

– Natomiast ten drugi nie wróży ci nic dobrego. Nie ma w nim ani słowa o tym, że czujesz skruchę. Tu jest napisane, że odmówiłeś współpracy w śledztwie dotyczącym morderstwa, mimo że masz istotne informacje na ten temat. Kończy się stwierdzeniem, że jednostka rozpracowująca gangi z Los Angeles dowiedziała się od informatora

z wewnątrz, że Rolling Sixties nie mogą się doczekać, kiedy wyjdiesz na wolność, bo znowu chcą cię zatrudnić jako płatnego cyngla do...

– To wszystko gówno prawda! Łgarstwo! Nie możesz wysłać takiego badziewia!

Bosch spokojnie odłożył list na stół i zaczął go składać, jakby zaraz miał go włożyć do koperty. Z kamienną twarzą spojrzał na Colemana.

– Tobie się zdaje, że możesz tu siedzieć i rozkazywać mi, co mam prawo robić, a czego mi nie wolno? Marzenie ściętej głowy, Rufus. Dasz mi to, czego od ciebie chcę, a w zamian dostaniesz to, na co mi przyjdzie ochota. Tak to działa.

Wygładził palcem zgięcia listu, po czym zaczął go wsuwać do koperty.

– O jakim morderstwie gadasz? – zapytał skazaniec.

Bosch spojrzał na niego. A oto i pierwsze ustępstwo. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął fotografię Jespersen, kopię jej zdjęcia z przepustki prasowej. Podniósł je tak, by Coleman mógł się dobrze przyjrzeć.

– Biała panienska? Ja tam nic nie wiem o zabójstwie jakiejś białej cizi.

– Wcale tego nie twierdzę.

– To co my tu, kurwa, robimy? Kiedy odstrzelili jej dupsko?

– Pierwszego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego.

Coleman przeprowadził jakieś obliczenia, pokręcił głową i uśmiechnął się, jakby miał do czynienia z debilem.

– Trafiłeś pod zły adres. W dziewięćdziesiątym drugim odsiadywałem pięć lat w Corcoran. Wsadź se to w dupę, szanowny panie śledczy.

– Świetnie wiem, gdzie byłeś w dziewięćdziesiątym drugim. Myślisz, że bym się tu telepał taki szmat drogi, gdybym nie wiedział o tobie wszystkiego?

– Ja wiem jedno, nie maczałem palców w zabójstwie żadnej białej cizi.

Bosch pokręcił głową na znak, że co do tego nie zamierza się sprzeczać.

– Pozwolisz, Rufus, że ci to wyjaśnię, bo mam tu jeszcze spotkanie z kimś innym, a muszę zdążyć na samolot. Słuchasz, co do ciebie mówię?

– Słucham. Wciskaj mi ten swój bałach.

Bosch ponownie uniósł zdjęcie.

– Chodzi o to, co się zdarzyło dwadzieścia lat temu. Nocą z trzydziestego kwietnia na pierwszego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego. Drugiej nocy zamieszek w Los Angeles. Anneke Jespersen z Kopenhagi jest na Crenshaw ze swoimi aparatami. Robi zdjęcia dla gazety z Danii.

– A po chuj ją tam zanosło? Nie powinna się tam pchać.

– Tu akurat przyznaję ci rację, Rufus. W każdym razie dość, że tam była. A ktoś ją postawił pod ścianą w zaułku i strzelił jej prosto w oko.

– Nie ja, i nie mam o tym bladego pojęcia.

– Wiem, że to nie byłeś ty. Masz alibi doskonale. Siedziałeś w więzieniu. Czy mogę mówić dalej?

– Jasne, człowieku, mów, co masz do powiedzenia.

– Anneke Jespersen zastrzelono z beretty. Na miejscu zbrodni została łuska. Badanie wykazało, że ma cechy charakterystyczne dla kuli wystrzelonej z beretty model dziewięćdziesiąt dwa.

Bosch uważnie obserwował Colemana, by się przekonać, czy gangster rozumie, do czego to zmierza.

– Nadażasz za mną, Rufus?

– Nadażam, ale nie mam pojęcia, o czym ty, kurwa, nawijasz.

– Broni, z której zastrzelono Anneke Jespersen, nigdy nie odnaleziono, a sprawa nie została wyjaśniona. Aż tu cztery lata później, ledwo wyszedłeś z Corcoran, trafiłeś do pudła pod zarzutem zabójstwa członka konkurencyjnego gangu, Waltera Regisa, lat dziewiętnaście. Strzeliłeś mu w twarz, kiedy siedział w boksie w klubie na Florence. Rzekomo dlatego, że dilował koką na jednym z rogów na terenie Sixties. Skazano cię za tę zbrodnię na podstawie zeznań kilku naocznych świadków i tego, co sam zeznałeś na policji. Nie mieli tylko dowodu w postaci pistoletu, którym się posłużyłeś... beretty model dziewięćdziesiąt dwa. Nigdy go nie znaleziono. Rozumiesz, do czego piję?

– Jeszcze nie.

Coleman wyraźnie nabrał wody w usta. Bosch nie miał nic przeciwko temu. Gangsterowi zależało tylko na jednym: żeby się wyrwać z więzienia. W końcu zrozumie, że Bosch albo może mu pomóc, albo definitywnie pogrzebać jego szanse.

– Wobec tego opowiem tę historię do końca, a ty staraj się za mną nadążyć. Postaram się podać ci ją jak najprościej.

Przerwał. Coleman nie zgłosił zastrzeżeń.

– Przenosimy się teraz do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego. Zostajesz skazany, dostajesz wyrok od piętnastu lat do dożywocia i idziesz do mamra, jak przystało na dobrego żołnierza Sixties. Mija następne siedem lat, mamy rok dwa tysiące trzeci, i dochodzi do kolejnego morderstwa. Niejaki Eddie Vaughn należący do Cripsów z Grape Street, diler handlujący na ulicy, został załatwiony i okradziony, kiedy siedział w swoim wozie z flaszką i blantem. Ktoś zajrzał do auta od strony chodnika i wpakował mu dwie kulki w łeb i dwie w tułów. Tylko że wsadzenie ręki z pistoletem do środka auta to kiepski pomysł. Wyskakujące łuski rozsypały się po całym samochodzie. Nie było czasu ich pozbierać. Więc zabójca chwytą tylko dwie i daje w długą.

– Człowieku, a co ja mam do tego? Wtedy już kiblowałem tutaj.

Bosch energicznie skinął głową.

– Masz rację, Rufus, siedziałeś tutaj. Tylko że widzisz, w dwa tysiące trzecim mieli już coś, co się nazywa Krajową Zintegrowaną Bazą Informacji Balistycznych. To komputerowa baza danych prowadzona przez ATF², w której zapisują dane nabojów i łusek znalezionych na miejscach zbrodni i w ciałach ofiar zabójstw.

– To jakieś pierdolone science fiction.

– Rufus, balistyka to dzisiaj coś takiego jak odciski palców.

Porównali te łuski z samochodu Eddiego Vaughna z tymi, które siedem lat wcześniej znaleźli koło Waltera Regisa. Obu zabójstw dokonano z tego samego pistoletu, ale zrobili to dwaj różni sprawcy.

– Niezłe jaja, co nie, panie śledczy?

– Owszem, niezłe, ale dla ciebie to nie nowina. Wiem, że przyjechali tu pogadać z tobą o sprawie Vaughna. Tamci śledczy chcieli

wiedzieć, komu dałeś broń po tym, jak załatwiłeś Regisa. Chcieli wiedzieć, kto z Rolling Sixties zlecił ci tę robotę. Bo uważali, że ten sam facet mógł kazać sprzątnąć Vaughna.

– Coś mi się chyba przypomina. To było lata temu. Gównu im wtedy powiedziałem i tobie też gównu powiem.

– No, wyciągnąłem ich raport. Kazałeś im się walić i spadać do domu. No, ale wówczas jeszcze byłeś żołnierzem, silnym i dzielnym. Tylko że to było dziewięć lat temu i nie miałeś wtedy nic do stracenia. Obiecałeś, że za dziesięć lat będziesz mógł się ubiegać o warunkowe, uważałeś za gruszki na wierzbie. Ale teraz to całkiem inna para kaloszy. Teraz mówimy o trzech morderstwach popełnionych z tej samej broni. Na początku roku wziąłem łuskę znalezioną w dziewięćdziesiątym drugim na miejscu zabójstwa Jespersen i wrzuciłem do bazy danych ATF. Pasowała do Regisa i Vaughna. Trzy zabójstwa przypisane do jednego pistoletu... beretty model dziewięćdziesiąt dwa.

Bosch rozparł się na krześle, czekając na reakcję. Wiedział, że Coleman posiada informacje, które chciał od niego wydobyć.

– Nie potrafię ci pomóc, człowieku – oświadczył Coleman. – Możesz już wezwać po mnie klawiszy.

– Na pewno? Bo mogę ci pomóc. – Podniósł kopertę. – Albo zaszkodzić.

Czekał.

– Mogę załatwić, że minie co najmniej dziesięć lat, zanim znów zechcą rozpatrzyć twoje podanie o zwolnienie warunkowe – dodał. – Tak chcesz to rozegrać?

Coleman pokręcił głową.

– A jak ci się zdaje, człowieku, jak długo tam przeżyję, jeśli się rozniesie, że ci pomogłem? – odparł.

– Przyznaję, że niedługo. Ale nikt nie musi się o tym dowiedzieć, Rufus. Nie proszę, żebyś zeznawał przez sądem albo złożył oświadczenie na piśmie – zapewnił go Bosch.

Przynajmniej na razie, pomyślał.

– Ja tylko chcę dostać nazwisko. Wszystko zostanie między nami i na tym koniec. Chcę wiedzieć, kto zlecił to zabójstwo. Kto dał ci pistolet i kazał sprzątnąć Regisa. I komu oddałeś broń po robocie.

Zastanawiając się, Coleman wbił wzrok w stół. Bosch wiedział, że liczy lata pozostałe do odsiadki. Wytrzymałość nawet najtwardszych żołnierzy ma swoje granice.

– To nie tak – odezwał się w końcu gangster. – Ten, kto nadaje robotę, nigdy nie gada z zabójcą. Takie coś się załatwia przez pośredników.

Jednostka rozpracowująca gangi przygotowała Boscha przed wyjazdem. Powiedziano mu, że hierarchia najstarszych gangów z South Central zazwyczaj jest wzorowana na strukturze organizacji paramilitarnych. Miała ona kształt piramidy i tworzący jej podstawę ludzie najniższego szczebla, egzekutorzy tacy jak Coleman, w żadnym razie nie wiedzieliby, kto zlecił zabójstwo Regisa. Tak więc Bosch zadał to pytanie jedynie jako test – gdyby Coleman podał nazwisko zleceniodawcy, wiedziałby, że gangster kłamie.

– W porządku, rozumiem – odparł. – Dlatego nie komplikujmy sprawy. Skupmy się na broni. Kto ci ją dał tego wieczoru, kiedy sprzątnąłeś Regisa, i komu ją potem oddałeś?

Coleman skinął głową, nie podnosząc wzroku znad stołu. Milczał. Bosch tymczasem czekał. Prowadził z nim rozgrywkę. Właśnie po to tu przyjechał.

– Ja już nie daję rady – wyszeptał gangster.

Bosch nie odpowiedział, usiłował oddychać normalnie. Jeszcze chwila i Coleman się załamie.

– Mam córkę – ciągnął skazaniec. – To już właściwie dorosła kobieta, a nigdy nie widziałem jej w normalnym miejscu. Widuję ją wyłącznie w pierdlu.

Bosch pokiwał głową.

– Tak być nie powinno – przyznał. – Sam też mam córkę i przez wiele lat musiałem się obywać bez niej.

Zobaczył, że oczy Colemana zwilgotniały, zabłyśły. Żołnierza gangu wykończyły lata spędzone za kratkami, poczucie winy i strach. Od szesnastu lat bez przerwy musiał się mieć na baczności. Pod zwałami mięśni ukrywał się po prostu złamany człowiek.

– Podaj mi nazwisko, Rufus – ponaglił go. – A ja wyślę list. Dobijemy targu. Bo wiesz, że jeśli nie dasz mi tego, czego chcę, nigdy

nie wyjdiesz stąd żywy. I zawsze już będziesz rozmawiał z córką przez szybę.

Mając ręce skute za plecami, Coleman nijak nie mógł zetrzeć łzy, która spłynęła mu po policzku. Zwiesił głowę. Bosch usłyszał jego szept:

– Trup zmory.

Policjant czekał. Coleman nic więcej nie dodał.

– Mów – polecił w końcu Bosch.

– O czym? – zapytał gangster.

– Jak to było z tym trupem zmory. Gadaj.

Coleman pokręcił głową.

– Nie, człowieku, nie chodziło mi o żadnego trupa zmory. Tylko o imię i nazwisko. Trumont Story. A wołają go Tru Story, tak jak „prawdziwa historia”, z tym że ksywkę ma pisaną T-r-u, bez „e” na końcu. Właśnie on mi dał pistolet, żebym wykonał robotę, i to jemu go potem zwróciłem.

Bosch skinął głową. Dostał to, po co przyjechał.

– Jest tylko jeden problem – dorzucił Coleman.

– Jaki?

– Trumont Story nie żyje, człowieku. A przynajmniej tak tu słyszałem.

Bosch po drodze do więzienia odrobił pracę domową. W ciągu ostatnich dwóch dekad liczba zabitych członków gangów w południowym Los Angeles szła w tysiące. Miał świadomość, że według wszelkiego prawdopodobieństwa szuka nieboszczyka. Wiedział jednak, że trop niekoniecznie wietrzeje wraz ze śmiercią Trumonta Story’ego.

– I co, wciąż chcesz wysłać ten list? – zapytał Coleman.

Bosch wstał. On już skończył. Siedzący przed nim zwyrodnialec zabijał z zimną krwią i zasłużył na to, żeby zgnić w tym więzieniu. Z drugiej strony Bosch zawarł z nim umowę.

– Pewnie zastanawiałeś się nad tym z milion razy – powiedział. – Co zrobisz, jak już się stąd wyrwiesz i uściskasz córkę?

– Znajdę sobie róg na ulicy – odparł Coleman bez chwili wahania.

I odczekał chwilę, wiedząc, że policjant wyciągnie pochopny wniosek.

– A potem zacznę głosić słowo boże. Opowiem wszystkim, czego się nauczyłem. O tym, co wiem. Nie przysporzę kłopotów społeczeństwu. Wciąż będę żołnierzem. Tylko że teraz będę żołnierzem Chrystusa.

Bosch pokiwał głową. Wiedział, że wielu wychodzących stąd skazańców miało taki sam plan. Pójść drogą Boga. Nielicznym się udało. Ale ten system opierał się na recydywistach. W głębi serca wiedział, że Coleman zapewne jest jednym z nich.

– Wobec tego wyślę ten list – obiecał.

Rozdział 3

Rano Bosch udał się do Biura Południowego policji Los Angeles przy Broadwayu, na spotkanie z detektywem Jordym Gantem z oddziału do walki z gangami. Gdy wszedł do jego gabinetu, Gant siedział przy biurku i rozmawiał przez telefon, widocznie jednak nie było to nic ważnego, bo zaraz skończył.

– I jak ci poszło z Rufusem? – zapytał.

Uśmiechnął się na znak, że zrozumie, jeśli Bosch odpowie, że zgodnie z oczekiwaniami wyjazd do San Quentin to jeden wielki niewypał.

– Hm, podał mi nazwisko, ale powiedział też, że facet nie żyje, więc nie jest wykluczone, że pogrywał ze mną tak, jak ja pogrywałem z nim.

– Co to za nazwisko?

– Trumont Story. Słyszałeś o takim?

Gant tylko skinął głową i odwrócił się do stosu teczek na skraju biurka. Obok nich stała mała czarna skrzynka z napisem „Rolling 60’s 1991–1994”. Bosch wiedział, że w dawnych czasach w takich skrzynkach trzymano notatki z przesłuchań robionych w terenie. Oczywiście jeszcze zanim policja zaczęła przechowywać materiały ze śledztw w komputerach.

– Dasz wiarę, że przypadkiem mam tu akta Trumonta Story’ego? – rzucił Gant.

– Przypadkiem, już to widzę – mruknął Bosch, biorąc teczkę.

Otworzywszy ją, na wierzchu zobaczył zdjęcie o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów przedstawiające trupa mężczyzny leżącego na chodniku. Na lewej skroni widniała rana wlotowa po strzale z przyłożenia. Olbrzymia rana wylotowa zastąpiła prawe oko. Niewielka strużka krwi, która wyciekła na beton, zdążyła zakrzepnąć, zanim zrobiono zdjęcie.

– Ładnie – ocenił. – Wygląda na to, że śledztwo nadal jest w toku?

– Zgadza się.

Harry odrzucił zdjęcie na bok i sprawdził datę protokołu ze zdarzenia – Trumont Story nie żył od niemal trzech lat. Zamknął teczkę

i spojrzał na Ganta, który siedział za biurkiem, wyraźnie zadowolony z siebie.

– Trumont Story nie żyje od dwa tysiące dziewiątego, a ty przypadkiem masz jego akta na biurku?

– E tam, wyciągnąłem je dla ciebie. Razem z dwoma innymi, a poza tym pomyślałem, że będziesz chciał przejrzeć nasze fiszki z dziewięćdziesiątego drugiego. Nigdy nie wiadomo, może trafisz tam na jakieś znajome nazwisko.

– Może. A dlaczego wyciągnąłeś właśnie te teczki?

– Wiesz, po tym, jak rozmawialiśmy o twoim śledztwie i o tym, że ATF powiązało broń z dwoma innymi... rozumiesz: trzy sprawy, jedna broń, trzech zabójców... No to zacząłem...

– Prawdę mówiąc, na razie to tylko hipoteza, ale zabójców mogło być dwóch. Facet, który zabił moją denatkę w dziewięćdziesiątym drugim, wrócił i załatwił Vaughna w dwa tysiące trzecim.

Gant pokręcił głową.

– Niewykluczone, ale mocno wątpię. To bardzo naciągana teoria. I, tak czysto teoretycznie, pomyślałem, że są trzy ofiary, ale jest trzech niezależnych zabójców i tylko jedna broń. Przejrzałem więc nasze dochodzenia związane z Rolling Sixties. A konkretnie te, w których występowali zarówno jako sprawcy przemocy, jak i jej ofiary. Jako zabójcy albo zabici. Wyciągnąłem teczki spraw ewentualnie powiązanych z tą bronią i znalazłem trzy przypadki strzelaniny, w których nie znaleziono dowodów z balistyki. Dwa to zabójstwa Seven-Treys, a jedno, jak się pewnie domyślasz, to morderstwo Trumonta Story'ego.

Bosch, który nadal stał, przysunął sobie teraz krzesło i usiadł.

– Mogę zerknąć na te dwie inne sprawy?

Gant podał mu teczki nad biurkiem. Bosch przerzucił je szybko. To nie były księgi morderstwa, tylko akta gangów, dlatego zawierały jedynie skróty relacji i protokołów dotyczących zabójstw. Pełne księgi morderstwa mieli w swoich rękach śledczy przydzieleni do danych spraw. Gdyby Bosch chciał się dowiedzieć czegoś więcej, musiałby oficjalnie o nie wystąpić albo wpaść do śledczego nadzorującego dochodzenie i załatwić, żeby pozwolił mu zerknąć na akta.

– Typowe rzeczy – powiedział Gant, gdy Bosch czytał papiery. – Starczy, że dilujesz nie na tym rogu ulicy, co trzeba, albo odwiedzasz cizię w nie swojej dzielnicy, i sam wydajesz na siebie wyrok. Wziąłem teczkę Trumonta Story’ego z tego prostego powodu, że zastrzelono go gdzie indziej i podrzucono w jakieś miejsce.

Bosch spojrział nad teczkami na Ganta.

– A dlaczego to takie ważne? – zapytał.

– Bo to może oznaczać, że załatwił go ktoś ze swoich. Jego własna ekipa. W przypadku porachunków między gangami podrzucanie zwłok gdzie indziej należy do rzadkości. Wiesz, prują do siebie z przejeżdżających samochodów albo popełniają tradycyjne zabójstwa. Jak ktoś stuknie jakiegoś gościa, to nie traci czasu na przewożenie zwłok, chyba że ma ważny powód. Takim powodem może być ukrywanie tego, że chodziło o porządki na własnym podwórku. Jego wyrzucono w rejonie Seven-Trey, więc przyjęto, że prawdopodobnie stuknięto go na własnym terenie, a potem podrzucono na terytorium wroga, żeby wyszło na to, że się zapuścił na drugą stronę granicy.

Bosch przetrawiał te wiadomości. Gant wzruszył ramionami.

– To tylko robocza hipoteza – powiedział. – Śledztwo wciąż jest w toku.

– To nie jest tylko robocza hipoteza, w tym musi być coś więcej – odparł Bosch. – Wiesz coś, co pozwoliło ci sformułować taki wniosek. Co to jest? Czy pracujesz nad tą sprawą?

– Jestem wywiadowcą, nie robię w wydziale zabójstw. Ściągnięto mnie w charakterze konsultanta. Ale to było dawno... trzy lata temu. Teraz wiem tylko tyle, że śledztwa nadal nie umorzono.

Oddział do walki z gangami był główną jednostką policji Los Angeles przeznaczoną do zwalczania gangów. Miał własne brygady do spraw zabójstw, brygady śledczych, wywiadowców oraz programy pomocy społecznej.

– No dobra, a więc robiłeś za konsultanta – rzekł Bosch. – I co ci zostało w pamięci sprzed trzech lat?

– Hm, Story zajmował całkiem wysokie miejsce w piramidzie, o której ci opowiadałem. Na tym szczeblu łatwo o kłótnie. Każdy chce się wdrapać na sam szczyt, a jak już się tam dostanie, musi się stale

oglądać przez ramię, żeby na bieżąco wiedzieć, kto się czai za jego plecami.

Gant wskazał teczkę, którą trzymał Bosch.

– Na widok tego zdjęcia sam tak powiedziałeś. Pozwolił komuś podejść za blisko. To akurat jest pewne jak dwa a dwa cztery. Czy wiesz, jak często w porachunkach gangów zdarzają się rany kontaktowe? Prawie nigdy... no, chyba że się komuś przydarzy na strzelnicy, ale i to rzadko. Ci goście przeważnie nie wykańczają się z bliska, nie lubią kontaktu. A jednak tym razem, w przypadku Trumonta Story'ego, tak się zdarzyło. Dlatego wysnuto wówczas teorię, że Sixties zrobili to sami. Ktoś blisko szczytu piramidy miał powód uznać, że Trumont Story ma iść do piachu, i tak się stało. W sumie grunt, że może to była ta sama broń, której szukasz. Nie wydobyli kuli ani nie znaleźli łuski, ale rana pasowała do kalibru dziewięć milimetrów, a skoro w San Quentin Rufus Coleman przyznał się, że oddał tę twoją berettę model dziewięćdziesiąt dwa Trumontowi Story'emu do rąk własnych, to wygląda jeszcze lepiej.

Bosch skinął głową. Nie było to całkiem bez sensu.

– A OWG nigdy nie odkrył, o co w tym chodziło?

Gant pokręcił głową.

– Nie, do niczego nie doszli. Musisz zrozumieć jedno, Harry: organom ścigania najłatwiej się dostać do piramidy na samym dole. Na poziomie ulicy. I tam też jest najbardziej widoczna.

Chciał przez to powiedzieć, że wysiłki OWG w dużej mierze skupiały się na dilerach i przestępstwach ulicznych. Jeśli nie znaleziono sprawcy zabójstwa w ramach porachunków gangów w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, wkrótce mieli na głowie kolejny mord. Po obu stronach była to wojna na wyniszczenie.

– Dobra – powiedział Bosch. – Wobec tego cofnijmy się do zabójstwa Waltera Regisa, którego dokonał Rufus Coleman i za które został skazany w dziewięćdziesiątym szóstym. Coleman twierdzi, że Trumont Story dał mu broń i instrukcje, a on po wykonaniu roboty zwrócił mu pistolet. Powiedział też, że to nie Story wymyślił, żeby załatwić Regisa. Że on też dostał polecenie z góry. To jak, mamy pojęcie, kto wydał rozkaz? Kto w dziewięćdziesiątym szóstym zlecał zabójstwa w imieniu Rolling Sixties?

Gant znów zaprzeczył ruchem głowy. Coś za często kręcił głową.

– To było nie za moich czasów, Harry. Jeździłem wtedy radiowozem na patrole na południowym wschodzie. I jeśli mam być całkiem szczerzy, powiem ci, że w tamtych czasach byliśmy dosyć naiwni. To się działo w okresie, kiedy rzuciliśmy przeciwko nim CRASH. Pamiętasz jeszcze, co to było?

Bosch pamiętał. Wzrost liczebności członków gangów i towarzysząca temu przemoc następowały tak błyskawicznie, jak błyskawicznie rozszerzała się epidemia kokainy w latach osiemdziesiątych. Przeciążona nawąłem pracy policja Los Angeles z South Central odpowiedziała programem zatytułowanym Community Resources Against Street Hoodlums – elitarną jednostką policji skierowaną do zwalczania gangów i handlu narkotykami. Program miał na tyle pomysłowy akronim³, że zdaniem niektórych więcej czasu poświęcono na jego wymyślenie niż na opracowanie zadań. CRASH atakował jedynie najniższe poziomy piramidy. Zakłócał uliczne interesy gangów, ale rzadko sięgał wyżej. Nic w tym dziwnego. Uliczni żołnierze handlujący prochami, parający się wymierzaniem kar i zastraszaniem rzadko wiedzieli coś więcej, niż jakie mają zadanie na dany dzień, a i to nieczęsto zdradzali.

Ci młodzi ludzie zostali wykuci we wrogiej policji kuźni południowego Los Angeles. Potem, doprawieni rasizmem, narkotykami, nieprzystosowaniem społecznym, korozją tradycyjnego modelu rodziny i struktur wychowawczych, byli wysyłani na ulice, gdzie jednego dnia zarabiali więcej niż ich matki przez miesiąc. Do takiego stylu życia zagrzewał ich rap dudniący ze wszystkich przenośnych kaseciaków i odbiorników samochodowych – którego teksty namawiały, żeby walić policję i resztę społeczeństwa. Zamknięcie dziewiętnastoletniego drobnego gangstera i zmuszenie go, żeby wydał następnego w hierarchii, było równie łatwe jak otwarcie puszkę groszku gołymi palcami. Gnojek nie wiedział, kto jest następny w hierarchii, a nawet gdyby wiedział, i tak nie puściłby pary z gęby. Areszt i więzienie traktowano jako normalne przedłużenie gangsterki – część procesu dojrzewania, metodę awansowania w hierarchii. Współpraca nie dawała niczego, przeciwnie, miała same wady – pociągała za sobą wrogość rodzimego gangu, z czym

zawsze się wiązał wyrok śmierci.

– Krótko mówiąc, twierdzisz, że nie wiemy, dla kogo pracował wtedy Trumont Story ani od kogo dostał pistolet, który dał Colemanowi, żeby stuknął Regisa – podsumował Bosch.

– Większość się zgadza. Z wyjątkiem tego o broni. Podejrzewam, że Tru zawsze miał tę giwerę i dawał ją wszystkim, którzy akurat potrzebowali klamki, żeby kogoś załatwić. Widzisz, teraz wiemy o wiele więcej niż wtedy. Dlatego, biorąc dzisiejszą wiedzę i stosując ją do tej sprawy sprzed lat, wygląda to tak: zaczynamy od gościa na szczycie albo blisko szczytu piramidy ulicznego gangu o nazwie Rolling Sixties. To ktoś w rodzaju kapitana. Chce posłać do piachu Waltera Wielkie Bary Regisa, bo ten dilował tam, gdzie nie powinien. Woła więc swojego zaufanego przybocznego, niejakiego Trumonta Story’ego, i szepcze mu na ucho, że trzeba się zająć Regisem. Od tej chwili to już zadanie Tru, musi je wykonać, jeśli chce utrzymać swoją pozycję w organizacji. Zwraca się więc do jednego ze swoich zaufanych ludzi, Rufusa Colemana, daje mu broń, mówi, że celem jest Regis, i informuje, w jakim klubie lubi przesiadywać. Coleman idzie na robotę, a Story wychodzi załatwić sobie alibi, bo przecież to jego pistolet. Tak na wypadek, gdyby kiedyś ktoś go powiązał z tą klamką. Tak to załatwiają teraz, więc przypuszczam, że tak samo robili wtedy... ale my o tym nie wiedzieliśmy.

Bosch skinął głową. Stopniowo docierała do niego bezowocność jego poszukiwań. Trumont Story nie żył, a wraz z nim znikło powiązanie z bronią. W gruncie rzeczy Bosch ani trochę nie zbliżył się do wyjaśnienia tego, kto zabił Anneke Jespersen, wiedział dokładnie tyle, co tej nocy przed dwudziestu laty, kiedy patrząc na jej zwłoki, przeproszał. Czyli nic.

Gant wyczuł rozczarowanie kolegi.

– Przykro mi, Harry.

– To nie twoja wina.

– Tak czy siak, pewnie zaoszczędziłem ci chociaż kupę fatygi.

– Tak? Niby w jaki sposób?

– No, wiesz, wszystkie te niewyjaśnione sprawy z tamtych lat. Jak by to wyglądało, gdybyśmy umorzyli tylko śledztwo w sprawie białej

dziewczyny? W społeczeństwie nie zyskałoby to aprobaty. Chyba wiesz, o czym mówię?

Bosch spojrzał na kolegę – Gant był czarnoskóry. Dotychczas właściwie nie rozpatrywał tej sprawy pod kątem rasowym. Chciał tylko znaleźć sprawcę morderstwa, które prześladowało go od dwudziestu lat.

– No, raczej – mruknął.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, aż w końcu Harry zadał pytanie:

– Jak sądzisz, czy to się może powtórzyć?

– Co? Mówisz o rozruchach?

Bosch skinął głową. Gant całe życie zawodowe spędził w południowym Los Angeles. Kto lepiej niż on mógłby odpowiedzieć na to pytanie?

– Jasne, tutaj wszystko jest możliwe – odparł. – Czy stosunki policji ze społeczeństwem układają się lepiej? Jasne, o niebo lepiej. Nareszcie choć część ludzi naprawdę nam ufa. Liczba morderstw wciąż spada. Diabła tam, w ogóle spada liczba przestępstw, a bandyci nie rządzą już bezkarnie na ulicach. Teraz my panujemy nad sytuacją, społeczeństwo odzyskało kontrolę.

Na tym urwał. Bosch czekał na ciąg dalszy, ale to już był koniec.

– Ale... – zachęcił kolegę, żeby mówił dalej.

Gant wzruszył ramionami.

– Od groma ludzi nie ma roboty, od groma sklepów i małych firm się zamyka. Tu nie ma zbyt wielu możliwości, Harry. Wiesz, do czego to zmierza. Rośnie frustracja, niepokoje, desperacja. Dlatego twierdzę, że wszystko może się zdarzyć. Historia kołem się toczy. Lubi się powtarzać. Jasne, że to się może powtórzyć.

Bosch pokiwał głową. Pogląd Ganta na sytuację niezbyt odbiegał od tego, co sam o tym sądził.

– Mogę zatrzymać te akta na jakiś czas? – zapytał.

– Bylebyś tylko je oddał – odparł Gant. – I pożyczę ci jeszcze tę czarną skrzynkę.

Sięgnął za siebie i wziął skrzynkę z fiszkami. Gdy się odwrócił, Bosch szczerzył się do niego w uśmiechu.

– Co jest? Już ich nie chcesz? – zdziwił się Gant.

– Nie, skąd. Chcę je dostać. Tylko przypomniał mi się taki mój dawny partner. To było kupę czasu temu. Nazywał się Frankie Sheehan i...

– Znałem Frankiego. Szkoda, że tak skończył.

– No. Ale wcześniej, jak jeszcze byliśmy partnerami, miał takie swoje powiedzonko o robocie w wydziale zabójstw. Musisz znaleźć czarną skrzynkę, mawiał. To najważniejsza rzecz, znaleźć czarną skrzynkę.

Mina Ganta świadczyła o tym, że nie rozumie.

– Masz na myśli taką jak w samolocie?

Bosch przytaknął ruchem głowy.

– No. Po katastrofie lotniczej muszą odszukać czarną skrzynkę, w której są zapisane wszystkie parametry lotu. Jeśli ją znajdą, będą wiedzieli, co się stało. Frankie mawiał, że tak samo jest z miejscem zbrodni i śledztwem w sprawie morderstwa. Zawsze jest jeden element, który spina całość do kupy tak, że wszystko nabiera sensu. Znajdź go, a trafisz na żyłę złota. Tak samo jest ze znalezieniem czarnej skrzynki. A tutaj, proszę, sam mi ją dajesz.

– No, akurat po tej nie spodziewaj się zbyt wiele. Nazywamy te skrzynki CRASH. Zawierają tylko fiszki z tamtych czasów.

Przed erą MDT, przenośnych terminali komputerowych instalowanych we wszystkich radiowozach, policjanci nosili w tylnych kieszeniach spodni tak zwane petetki: kartki formatu siedem na dwanaście centymetrów, służące do sporządzania notatek z przesłuchań w terenie. Zapisywano na nich datę, godzinę oraz miejsce dokonania przesłuchania, a także nazwisko, wiek, adres, ksywki, tatuaże oraz rodzaj powiązań z gangiem przepytywanego osobnika. Do tego miały one wydzielone miejsce na komentarze funkcjonariusza, gdzie zamieszczano dodatkowe informacje na temat tejże osoby, jeżeli coś zasłużyło na wzmiankę.

Miejscowy oddział Amerykańskiego Związku Swobód Obywatelskich (ACLU) od dawna potępiał policyjną praktykę przesłuchiwanie w terenie, twierdząc, że jest to nieuzasadnione i sprzeczne z konstytucją, i porównując to do działania bandytów wymuszających haracz. Niezrażona tym policja nadal praktykowała ten

zwyczaj, a wśród funkcjonariuszy upowszechniła się nazwa fiszek „petetki”, od „przesłuchania w terenie”.

Bosch wziął skrzynkę, otworzył i zobaczył, że jest pełna mocno zużytych fiszek.

– Jakim cudem to przetrwało czystkę? – zapytał.

Gant wiedział, że koledze chodzi o przejście policji na cyfrowy system przechowywania danych. Wszędzie dokumentację na papierze przetwarzano na pliki cyfrowe, szykując podwaliny pod elektroniczną przyszłość.

– Stary, wiedzieliśmy, że jeżeli wrzucą to do komputerów, po drodze pogubią całe mnóstwo różności. To wszystko jest pisane ręcznie. Czasami charakter pisma jest taki, że za diabła nie da się go odczytać. Wiedzieliśmy, że większość informacji z tych fiszek by przepadła, nikt by ich nie wprowadził do bazy danych. Rozumiesz? Dlatego zachowaliśmy tyle czarnych skrzynek, ile się dało. Miałeś szczęście, Harry, że znalazła się wśród nich ta z Sixties. Mam nadzieję, że znajdziesz tam coś przydatnego.

Bosch odsunął krzesło i wstał.

– Dopilnuję, żebyś to dostał z powrotem.

Rozdział 4

Bosch wrócił do sekcji spraw otwartych i niewyjaśnionych jeszcze przed południem. Powitały go pustki, bo większość śledczych przychodziła do pracy wcześniej i wcześniej robiła sobie przerwę na lunch. Partner Harry'ego, David Chu, zniknął bez śladu, ale nie było powodu do niepokoju. Chu mógł wyjść na lunch, zajrzeć do innego pomieszczenia w budynku albo pojechać do któregoś z laboratoriów kryminalistycznych w okolicy. Bosch wiedział, że Chu pracuje nad wieloma sprawami na ich początkowym etapie, kiedy to szykuje się dowody genetyczne, balistyczne oraz odciski palców i przekazuje różnym laboratoriom do analizy i w celach porównawczych.

Odłożył akta i czarną skrzynkę na swoje biurko, po czym wziął telefon, by sprawdzić, czy ma jakieś wiadomości. Niczego nie było. Usadowiwszy się, właśnie zabrał się do przeglądania materiałów otrzymanych od Ganta, gdy obok jego boksu przeszedł nowy porucznik jednostki. Cliff O'Toole był nowy nie tylko w SON, lecz w ogóle w wydziale rabunków i zabójstw. Przeniesiono go z biura w dolinie San Fernando, gdzie kierował całą brygadą śledczych w Van Nuys. Jak dotąd Bosch nie miał z nim wiele do czynienia, lecz to, co sam widział i co słyszał od kolegów z jednostki, nie wyglądało dobrze. Po przejęciu dowodzenia sprawami otwartymi i niewyjaśnionymi porucznik w rekordowym czasie zyskał nawet nie jedno, lecz dwa przezwiska o wyraźnie negatywnym wydźwięku.

– I jak ci tam poszło, Harry? – zainteresował się O'Toole.

Zanim zatwierdził wyjazd do San Quentin, został poinformowany ze szczegółami o związku broni ze sprawy Jespersen z morderstwem Waltera Regisa, dokonany przez Rufusa Colemana.

– I dobrze, i źle – odparł Bosch. – Coleman podał mi nazwisko. Niejaki Trumont Story. Coleman twierdzi, że Story dostarczył mu pistolet, z którego załatwił Regisa i który po robocie zwrócił. Sęk w tym, że nie mogę się wybrać do Tru, bo już nie żyje... sprzątnęli go w dwa tysiące dziewiątym. Dlatego rano posiedziałem w Biurze Południowym, poszperałem trochę, żeby upewnić się, jak to wyglądało w czasie i czy da się do tego dopasować Trumonta. Myślę, że Coleman mówił prawdę,

a nie próbował zwalić winy na truposza. Dlatego ten wyjazd nie był stratą czasu, choć nie przybliżyłem się do poznania tożsamości zabójcy Anneke Jespersen.

Ruchem ręki omiół teczki z aktami i czarną skrzynkę na swoim biurku.

O'Toole w zamyśleniu pokiwał głową, założył ręce na piersi i przysiadł na biurku Dave'a Chu dokładnie tam, gdzie Chu miał zwyczaj stawiać kubek z kawą. Gdyby Chu to zobaczył, nie byłby zachwycony.

– Nie znoszę naruszać funduszu na delegacje na finansowanie podróży bez sensu – oświadczył.

– Ta podróż nie była bez sensu – zaprotestował Bosch. – Dopiero co panu powiedziałem, że dostałem nazwisko i że to nazwisko pasuje.

– Tak, no to może zawistujmy sprawę i zrobmy sobie fajrant – rzekł O'Toole.

„Zawistowanie sprawy”, od skrótu WIST, oznaczało, że sprawa została „wyjaśniona innym sposobem albo techniką”. Określenia tego używano, żeby oficjalnie zamknąć śledztwo, bo chociaż znano sprawcę, nikogo nie można było aresztować ani postawić przed sądem, ponieważ podejrzany albo nie żył, albo z innych powodów był dla wymiaru sprawiedliwości nieosiągalny. W sekcji spraw otwartych i niewyjaśnionych „wistowano” wiele dochodzeń, dlatego że najczęściej miały po kilkadziesiąt lat, więc porównanie odcisków palców albo DNA wskazywało sprawców, którzy od dawna nie żyli. Jeśli nowo otwarte śledztwo pozwalało stwierdzić, że podejrzany przebywał w krytycznym czasie na miejscu zbrodni, wówczas szef jednostki miał prawo umorzyć sprawę i odesłać akta prokuraturze okręgowej w celu formalnego zatwierdzenia decyzji.

Jednak Bosch nie zamierzał jeszcze rezygnować ze sprawy Jespersen.

– Nie, tego się nie da zawistować – oświadczył stanowczo. – Potrafię udowodnić, że Trumont Story miał tę broń w ręku dopiero cztery lata po zabójstwie Jespersen. Przez ten czas pistolet mógł się przewinąć przez wiele innych rąk.

– Niewykluczone – przyznał O'Toole. – Ale nie chcę, żebyś zajmował się tym hobbystycznie. Mamy sześć tysięcy innych spraw. Ta

robota sprowadza się do zarządzania czasem.

Złączył nadgarstki, jakby chcąc pokazać, że przez formalne wymogi tej pracy ma związane ręce. Prezentował tę swoją nadgorliwość, do której Bosch jak dotąd nie potrafił się przekonać. Był administratorem, a nie gliną z krwi i kości. Właśnie dlatego najpierw dorobiono mu przydomek „The Tool⁴”.

– Zdaję sobie z tego sprawę, poruczniku – odparł Bosch. – Zamierzam popracować nad tym materiałem, a jeśli nic z tego nie wyjdzie, wezmę się do kolejnej sprawy. Ale to, co na razie mamy, nie kwalifikuje się jako WIST. Nie poprawi nam statystyk wykrywalności. Sprawa wróci do archiwum jako wciąż niewyjaśniona.

Starał się dobitnie pokazać temu nowemu, że ani mu się śni poprawiać statystyki. Śledztwo zostanie umorzone dopiero wtedy, kiedy będzie absolutnie przekonany, że nic więcej nie da się zrobić. A do tego nie wystarczało wtykanie broni do ręki egzekutorowi gangu cztery lata po zabójstwie.

– No nic, zobaczymy, co ci się uda znaleźć, jak już to wszystko przejrysz – rzekł O’Toole. – Nie naciskam na wygrzebywanie czegoś, czego nie ma. Ale ściągnęli mnie tu po to, żebym naciskał na zespół. Mamy zamykać więcej spraw. A żeby to osiągnąć, musimy mieć ich więcej na tapecie. Chcę przez to powiedzieć, że jeśli w tej niczego nie znajdziesz, bierz się do następnej, bo może właśnie ją uda nam się zamknąć. Nie pracujesz dla przyjemności, Harry. Kiedy tu nastąpiłem, zbyt wielu z was brało te sprawy, które ich zainteresowały. Teraz nie mamy już na to czasu.

– Rozumiem – wycedził Bosch przez zęby.

O’Toole oddalił się do swojego gabinetu. Bosch udał, że salutuje do jego pleców, spojrzął na spodnie szefa i zauważył, że na tyłku odcisnęło mu się kółko z kawy.

O’Toole niedawno zastąpił panią porucznik, która lubiła przesiadywać w gabinecie przy zaciągniętych żaluzjach. Kontakty z zespołem ograniczała do minimum. O’Toole przeciwnie – jego bezpośredniość czasami stawała się nie do zniesienia. Na domiar złego był młodszy od połowy brygady, a od Boscha o blisko dwadzieścia lat. Zupełnie niepotrzebnie wtrącał się do pracy zespołu składającego się

przeważnie z doświadczonych śledczych i Boscha już na sam jego widok świerzbiły ręce.

Jakby tego było mało, zachowywał się jak maszyna licząca. Dążył do zamykania kolejnych spraw tylko po to, by się wykazać w comiesięcznych i corocznych sprawozdaniach, które przesyłał na dziewiąte piętro. Nie miało to nic wspólnego z wymierzaniem sprawiedliwości sprawcom zabójstw, których ofiary już dawno zapomniano. Jak dotąd wyglądało na to, że ludzki wymiar tej pracy zupełnie go nie obchodzi. Zdążył już udzielić reprimendy Boschowi za to, że ten poświęcił całe popołudnie synowi ofiary morderstwa, który chciał, by oprowadzić go po miejscu zbrodni dwadzieścia lat po tym, jak zabito mu ojca. Porucznik oświadczył, że syn ofiary mógł odnaleźć to miejsce na własną rękę, dzięki czemu Bosch miałby pół dnia na pracę nad innymi sprawami.

Porucznik wykonał nagle piruet i wrócił do boksu. Bosch pomyślał, że pewnie zobaczył odbicie sarkastycznego salutu w którymś oknie biura.

– Harry, jeszcze dwie sprawy. Po pierwsze, nie zapomnij odebrać zwrotu kosztów poniesionych podczas tego wyjazdu. Cisną mnie jak cholera, żeby załatwiać takie rzeczy terminowo, a chcę mieć pewność, że nie dokładasz do interesu z własnej kieszeni.

Bosch pomyślał o tym, ile wpłacił na rachunek w kantine drugiego skazańca, którego odwiedził.

– Tym niech pan się nie przejmuję – uspokoił szefa. – Nie było żadnych kosztów. Zatrzymałem się tylko na hamburgera w Balboa, i to wszystko.

Balboa Bar & Grill w San Francisco był ulubionym przystankiem glin z Los Angeles, położonym w pół drogi między lotniskiem międzynarodowym w San Francisco a Więzieniem Stanowym San Quentin.

– Na pewno? – spytał O’Toole. – Nie chcę cię wyrolować.

– Na pewno.

– No to w porządku.

Porucznik już miał odejść, lecz Bosch go zatrzymał.

– A ta druga sprawa? Mówił pan, że ma do mnie dwie rzeczy.

– Ach, tak. Sto lat, Harry!

Bosch, zaskoczony, odrzucił głowę do tyłu.

– Skąd pan wiedział?

– Znam daty urodzin wszystkich. Wszystkich, którzy dla mnie pracują.

Bosch skinął głową, chociaż wolałby, żeby zamiast „dla mnie” O’Toole użył słów „ze mną”.

– Dzięki – rzucił.

W końcu O’Toole odszedł na dobre. Bosch cieszył się, że sala odpraw jest pusta i że nikt nie usłyszał, że tego dnia ma urodziny. Zważywszy na jego wiek, mogłaby go zasypać lawina pytań o przejście na emeryturę. A tego tematu starał się unikać.

□ □ □

Gdy został sam, Bosch najpierw sporządził chronologiczną listę wydarzeń. Zaczął od zamordowania Jespersen, do którego doszło pierwszego maja 1992 roku. Mimo że nie określono precyzyjnie czasu śmierci i mogła zostać zabita w nocy trzydziestego kwietnia, oficjalnie podał pierwszy maja, ponieważ to tego dnia znaleziono jej zwłoki i najprawdopodobniej to wówczas zginęła. Potem wypisał pozostałe morderstwa, aż po ostatnie, mające rzeczywisty lub hipotetyczny związek z berettą model 92. Dołączył do tego dwie inne sprawy, których akta Gant mu dostarczył, sądząc, że mogą mieć z tym coś wspólnego.

Zapisywał zabójstwa na czystej kartce, a nie w komputerze, jak by to zrobiła większość jego kolegów. Miał swoje przyzwyczajenia, na przykład sporządzać dokumenty na papierze. Chciał móc je trzymać, oglądać, składać i nosić w kieszeni. Chciał z nimi żyć.

Wokół każdego wpisu zostawiał dużo wolnego miejsca, by później móc coś dopisać. Zawsze pracował w ten sposób.

1 maja 1992 – Anneke Jespersen – Sześćdziesiąta Siódma i Crenshaw (zabójca nieznany)

2 stycznia 1996 – Walter Regis – Sześćdziesiąta Trzecia i Brynhurst (Rufus Coleman)

30 września 2003 – Eddie Vaughn – Sześćdziesiąta Ósma i East Park (zabójca nieznany)

18 czerwca 2004 – Dante Sparks – Jedenasta Aleja i Hyde Park
(zabójca nieznany)

8 lipca 2007 – Byron Beckles – Centinela Park przy Stepney Street
(zabójca nieznany)

1 grudnia 2009 – Trumont Story – Zachodnia Siedemdziesiąta
Szósta przy Circle Park (zabójca nieznany)

Ostatnie trzy morderstwa na liście to były te sprawy, których akta Gant wyciągnął z powodu braku dowodów balistycznych. Przeglądając starannie ten spis, Bosch zwrócił uwagę na siedem lat przerwy w znanych przypadkach posłużenia się tą bronią, pomiędzy zabójstwami Regisa i Vaughna, po czym zajął się rejestrem skazanych dotyczącym Trumonta Story'ego, który wyciągnął z Krajowego Centrum Informacji o Przestępczości – bazy danych FBI. Wynikało z niego, że w latach 1997–2002 Story przebywał w więzieniu – odsiadywał pięcioletni wyrok za kwalifikowane naruszenie nietykalności cielesnej. Jeżeli ukrył pistolet w sobie tylko znanym miejscu, wyjaśniałoby to przerwę w używaniu tej broni.

Następnie Bosch otworzył swój książkowy plan miasta wydawnictwa Thomas Bros. i ołówkiem zaznaczył na siatce ulic miejsca, gdzie popełniono wszystkie morderstwa. Pierwsze pięć zmieściło się na jednej stronie grubej książki, bo dokonano ich na terenie Rolling 60's. Ostatni przypadek, zabójstwo Trumonta Story'ego, znalazło się na sąsiedniej stronie. Jego zwłoki zauważono na chodniku w Circle Park, czyli w samym sercu terenu 7-Trey.

Bosch długo oglądał plan miasta, przerzucając kartkę tam i z powrotem. Skoro zdaniem Jordy'ego Ganta ciało Trumonta podrzucono na miejsce, gdzie je znaleziono, ale zabito go w całkiem innej okolicy, doszedł do wniosku, że wszystkie zdarzenia skupiały się w bardzo niewielkim rejonie miasta. Sześć zabójstw, prawdopodobnie popełnionych za pomocą tej samej broni. A cały ten cykl zapoczątkowało morderstwo zupełnie niepasujące do pozostałych – Anneke Jespersen, fotoreporterki zastrzelonej tak daleko od domu.

– Królowa Śnieżka – szepnął.

Otworzył książkę morderstwa Jespersen i spojrział na zdjęcie z jej przepustki prasowej. Nie potrafił sobie wyobrazić, co tam robiła sama

jak palec i co się właściwie wydarzyło.

Przysunął sobie po blacie biurka czarną skrzynkę. Ledwo ją otworzył, zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz – Hannah Stone, kobieta, z którą od blisko roku pozostawał w związku.

– Sto lat, Harry! – rzuciła.

– Kto ci powiedział?

– Gdzieś mi się obilo o uszy.

Jego córka.

– Nie powinna wtykać nosa w cudze sprawy – burknął.

– Ale to jest również jej sprawa. Wiem, że pewnie zaanektuje cię na cały wieczór tylko dla siebie, dlatego dzwonię z pytaniem, czy mogę cię zaprosić na urodzinowy lunch.

Bosch spojrział na zegarek. Dochodziło południe.

– Dzisiaj?

– Przecież to dziś masz urodziny, prawda? Zadzwoniłabym wcześniej, ale przedłużyły mi się zajęcia grupowe. Przyjedź tutaj, co ty na to? Wiesz, że nigdzie w mieście nie sprzedają z ciężarówek tak pysznych tacos jak tu?

Wiedział, że i tak musi z nią porozmawiać o San Quentin.

– Nie wiedziałem, ale jeśli uniknę korków, dojadę za jakieś dwadzieścia minut.

– Znakomicie.

– To na razie.

Przerwał połączenie, patrząc na stojącą na biurku czarną skrzynkę. Musi na niego poczekać, zajrzy do niej po lunchu.

□ □ □

Zamiast na tacos z ciężarówki zdecydowali się na stół w restauracji. W Panorama City ekskluzywne lokale nie wchodziły w rachubę, pojechali więc do Van Nuys i zjedli w stołówce w podziemiach gmachu sądu. Tę również trudno byłoby uznać za wytworny lokal, za to na maleńkim fortepianie buduarowym w rogu przeważnie grywał tam stary jazzman. Ot, jedna ze znanych Boschowi tajemnic miasta. Hannah była pod wrażeniem. Zajęli stół w pobliżu pianisty.

Zamówili po zupie i podzielili się kanapką z indykiem. Muzyka łagodnie wypełniała przerwy w rozmowie. Bosch wciąż się uczył, jak czuć się swobodnie w towarzystwie Hannah. Poznał ją przed rokiem, przy okazji prowadzenia śledztwa. Prowadziła terapię przestępców seksualnych po tym, jak wychodzili z więzienia. W swojej ciężkiej pracy poznała część tej ponurej wiedzy o świecie, którą Bosch nosił w sobie.

– Nie odzywałeś się od kilku dni – powiedziała Hannah. – Miałeś coś na głowie?

– Taką tam zwyczajną sprawę. Wędrującą broń.

– Co to znaczy?

– Powiązywałem broń z przestępstwem, czyli śledziłem, w jaki sposób wędrowała z jednej sprawy do drugiej, i następnej. Nie mamy pistoletu, ale balistyka połączyła go z kilkoma zabójstwami. Dokonanymi w odstępie wielu lat, w różnych częściach kraju, ofiary też były bardzo różne, rozumiesz. Takie sprawy nazywamy wędrującą bronią.

Nic więcej nie wyjaśnił. Kiwnęła głową. Wiedziała już, że mówiąc o swojej pracy, Bosch nigdy nie wdaje się w szczegóły.

Słuchał muzyki, a kiedy pianista skończył *Mood Indigo*, odchrząknął.

– Hannah, wczoraj spotkałem twojego syna – oznajmił.

Nie bardzo wiedział, jak poruszyć ten temat. W rezultacie zrezygnował z wszelkiej finezji. Hannah odłożyła łyżkę do zupy na talerz z takim brzękiem, że pianista przestał grać i zawiesił dłonie nad klawiaturą.

– Jak to? – spytała.

– W ramach śledztwa pojechałem do San Quentin – odparł. – No wiesz, śledziłem wędrowkę broni i musiałem się tam z kimś zobaczyć. Jak już z nim skończyłem, zostało mi trochę czasu, więc poprosiłem o widzenie z twoim synem. Spędziłem z nim najwyżej dziesięć, piętnaście minut. Przedstawiłem mu się, na co powiedział, że zna mnie ze słyszenia, że mu o mnie opowiadałaś.

Hannah zapatrzyła się w dal. Bosch uświadomił sobie, że źle to rozegrał. Jej syn to żadna tajemnica. Rozmawiali o nim często i długo. Wiedział, że chłopak odsiaduje wyrok za przestępstwo na tle

seksualnym, że przyznał się do gwałtu. Ten zbrodniczy czyn omal nie zniszczył jego matki, która poradziła sobie z tym, zmieniając obiekt swojej pracy. Z terapii rodzinnej przerzuciła się na leczenie przestępców seksualnych, takich jak jej syn. Właśnie dzięki pracy poznała Boscha. On zaś, wdzięczny, że pojawiła się w jego życiu, rozumiał, jak ponury jest czysty przypadek, który do tego doprowadził. Nigdy nie poznałby matki, gdyby syn nie popełnił tak odrażającej zbrodni.

– Chyba powinienem być cię o tym uprzedzić – rzekł. –

Przepraszam. Ale nie byłem pewny, czy znajdę chociaż chwilkę, żeby się z nim zobaczyć. Przy obecnym cięciu wydatków nie pozwalają nam tam nocować. Trzeba wyjechać i wrócić tego samego dnia, więc nie miałem pewności.

– Jak wyglądał?

Powiedziała to z matczynym lękiem w głosie.

– Na mój gust wyglądał całkiem nieźle. Pytałem, czy u niego wszystko w porządku, na co odpowiedział, że i owszem. Nie zauważyłem nic, co by dawało powód do niepokoju, Hannah.

Jej syn żył w otoczeniu, gdzie człowiek albo był drapieżnikiem, albo ofiarą. A on nie należał do osiłków. Popełniając przestępstwo, podał swojej ofierze narkotyk, a nie wziął jej siłą. W więzieniu miał przechlapane i inni skazańcy często się na nim wyżywali. Bosch wiedział to wszystko od Hannah.

– Słuchaj, nie musimy o tym mówić – powiedział. – Po prostu chciałem, żebyś wiedziała. Nie planowałem tego. Trafiło mi się trochę czasu ekstra, więc poprosiłem o widzenie z nim i dostałem zgodę.

Nie odpowiedziała od razu, lecz kiedy już się odezwała, zabrzmiało to natarczywie.

– A właśnie że nie. Musimy o tym mówić. Chcę znać każde jego słowo, chcę wiedzieć wszystko, co tam widziałeś. To mój syn, Harry. Bez względu na to, co zrobił, jest moim synem.

Bosch skinął głową.

– Prosił mnie, żebym ci przekazał, że bardzo cię kocha.

Rozdział 5

Gdy Bosch wrócił po lunchu, w pomieszczeniu sekcji SON trafił w wir pracy. Czarna skrzynka stała tam, gdzie ją zostawił, a jego partner siedział w boksie i stukał w klawiaturę komputera.

– Jak leci, Harry? – zapytał Chu, nie odrywając wzroku od ekranu.
– Pomalutku.

Bosch usiadł, czekając, aż Chu powie coś o jego urodzinach, ale się nie doczekał. Biurka stały naprzeciwko siebie po bokach boksu, tak że pracowali zwrócenii do siebie plecami. W starym Parker Center, gdzie Bosch spędził większość swojego życia zawodowego, partnerzy siedzieli twarzami do siebie przy zestawionych razem biurkach. Ale ten nowy układ bardziej mu pasował – zapewniał więcej prywatności.

– Co tam masz w tej czarnej skrzynce? – odezwał się za jego plecami Chu.

– Fiszki o Rolling Sixties. W tej sprawie chwytam się brzytwy z nadzieją, że gdzieś na coś trafię.

– Tak? No to powodzenia.

Jako partnerzy dostawali te same sprawy, ale potem dzielili się nimi i pracowali w pojedynkę, dopóki nie trzeba było wyjść w teren, na przykład z obserwacją podejrzanego albo nakazem przeszukania domu. Aresztowań też dokonywali zespołowo. Dzięki temu rozumieli, co ten drugi ma na tapecie. W poniedziałki rano zwykle spotykali się przy kawie, żeby omówić bieżące sprawy i ustalić, na jakim etapie jest każde wznowione śledztwo. Bosch poinformował Chu o wypadzie do San Quentin poprzedniego dnia po południu, kiedy zgłosił się do odprawy na lotnisku międzynarodowym San Francisco.

Teraz otworzył skrzynkę i zapatrzył się na gruby plik fiszek. Przejrzenie ich jak należy zajęłoby mu całe popołudnie, a pewnie i część wieczoru. Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby nie to, że był niecierpliwy. Wyciągnął cegłę z kartek formatu siedem na dwanaście centymetrów. Szybki rzut oka powiedział mu, że są ułożone chronologicznie i obejmują cztery lata podane na nalepce. Postanowił, że na początek weźmie rok, w którym zamordowano Anneke Jespersen. Wyjął fiszki z roku 1992 i zabrał się do lektury.

Treść każdej kartki przyswajał w ciągu kilku sekund. Nazwiska, ksywki, adresy, numery praw jazdy i rozmaite inne szczegóły. Często funkcjonariusz zbierający zeznania zapisywał także nazwiska innych członków gangu, którzy towarzyszyli przesłuchiwanemu. Bosch zauważył, że kilka nazwisk powtarza się na kartkach albo w roli przesłuchiwanych, albo znanych kompanów.

Zebrał wszystkie adresy z fiszek – te, gdzie prowadzono przesłuchania, oraz miejsc zamieszkania podejrzanych – i naniósł je na ten sam plan miasta, na którym wcześniej zaznaczył już morderstwa dokonane berettą model 92. Szukał jakichś wyraźnych powiązań z sześcioma zabójstwami na swojej rozpisce czasowej. Znalazł ich trochę, a większość była oczywista. Dwa morderstwa popełniono na rogach ulic, na których tradycyjnie odbywał się detaliczny handel prochami. Nic dziwnego, że policjanci z patroli i jednostek CRASH nękali członków gangów zbierających się w takich miejscach.

Dopiero po dwóch godzinach ślęczenia nad fiszkami, z plecami i szyją zeszywniałymi od nanoszenia danych, natknął się na coś, co sprawiło, że krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach. Dziewiątego lutego 1992 roku na rogu Florence i Crenshaw zatrzymano za włóczęgostwo nastolatka będącego według fiszki „NG”, „narybkiem gangsterskim”, Rolling 60’s. Jeśli wierzyć nazwisku na prawie jazdy, nazywał się Charles William Washburn, na ulicy znany jako „Krutki”. Mimo że miał zaledwie szesnaście lat i metr sześćdziesiąt wzrostu, zasłużył już sobie na tatuaż potwierdzający przynależność do Rolling 60’s – liczbę sześćdziesiąt na nagrobku, symbolizującą lojalność wobec gangu aż do śmierci, wydzierną na lewym bicepsie. Uwagę Boscha zwrócił adres na prawie jazdy. Gdy naniósł go na swój plan miasta – Charles Krutki Washburn mieszkał przy Zachodniej Sześćdziesiątej Szóstej Place – okazało się, że tył domu przylega do zaułka, w którym zamordowano Anneke Jespersen. Patrząc na plan, ocenił, że Washburn mieszkał nie dalej niż piętnaście metrów od miejsca, w którym znaleziono zwłoki dziennikarki.

Bosch nigdy nie pracował w jednostce wyspecjalizowanej w walce z gangami, ale przez lata prowadził śledztwa w sprawie kilku zabójstw w ramach porachunków gangsterskich. Wiedział, że narybek gangsterski

to dzieciak szykowany na członka gangu, ale oficjalnie jeszcze nie wcielony. Za przyjęcie należało zapłacić, przeważnie okazując dumę z dzielnicy albo gangu, popisując się czymś lub prezentując swoje oddanie. Rutynowo wiązało się to z popisem brutalności, czasami nawet z morderstwem. Ktokolwiek miał na koncie zarzut z paragrafu 187, automatycznie awansował na pełnoprawnego gangstera.

Bosch odchylił się na krześle, próbując napinać mięśnie barków. Myślał o Charlesie Washburnie. Na początku 1992 roku był niedoszłym bandziorem, zapewne szukającym okazji, żeby przebojem dostać się do gangu. Niecałe trzy miesiące po tym, jak gliny zatrzymały go na rogu Florence i Crenshaw, w jego dzielnicy wybuchają zamieszki, a w zaułku na tyłach jego domu fotoreporterka dostaje z przyłożenia kulkę w głowę.

Zbieżność tych wydarzeń była zbyt wielka, żeby ją zignorować. Bosch sięgnął po księgę morderstwa, skleconą przed dwudziestu laty przez RCTF.

– Chu, możesz mi sprawdzić jedno nazwisko? – zapytał partnera, nie odwracając się do niego.

– Momencik.

Chu niewiarygodnie sprawnie posługiwał się komputerem. Bosch nie był w tym zbyt dobry. Dlatego tradycyjnie to Chu sprawdzał nazwiska w bazie danych Krajowego Centrum Informacji o Przeszłości.

Bosch zaczął kartkować księgę morderstwa. Nie zawierała raczej całości materiałów z dochodzenia w terenie, ale znalazły się wypowiedzi mieszkańców domów stojących wzdłuż ogrodzenia zaułka. Wyjął cienki plik raportów, by przeczytać nazwiska.

– Dobra, dawaj – odezwał się Chu.

– Charles William Washburn. Data ur. cztery siedem siedemdziesiąt pięć.

– *Urodzony czwartego lipca* – zacytował Chu.

Bosch usłyszał, że palce partnera śmigają po klawiaturze. Sam odszukał tymczasem raport z rozmów przeprowadzonych pod adresem Washburna przy Zachodniej Sześćdziesiątej Szóstej Place.

Dwudziestego czerwca 1992 roku, równo pięćdziesiąt dni po morderstwie, dwaj śledczy zapukali do drzwi i porozmawiali

z mieszkającymi w domu matką i córką: Marion Washburn, lat pięćdziesiąt cztery, oraz Ritą Washburn, lat trzydzieści cztery. Żadna z nich nie powiedziała nic na temat strzelaniny w zaułku z pierwszego maja. Krótka i uprzejma rozmowa zajęła w raporcie jeden akapit. Nie napisano, że w domu mieszkało jeszcze trzecie pokolenie rodziny. W ogóle słowem nie wspomniano szesnastoletniego Charlesa Washburna. Bosch z trzaskiem zamknął księgę morderstwa.

– Coś mam – odezwał się Chu.

Bosch okręcił się na krześle i spojrzał na plecy partnera.

– To dawaj. Potrzebuję cokolwiek.

– Charles William Washburn, pseudo Krutki... pisane przez „u” otwarte... ma długą kartotekę. Aresztowany głównie za narkotyki i napady... Ma też na koncie narażenie życia dziecka. Popatrzmy, odbył dwie odsiadki w zakładzie karnym, a teraz przebywa na wolności, chociaż od lipca jest poszukiwany za niepłacenie alimentów. Miejsce pobytu nieznane.

Chu odwrócił się i spojrzał na partnera.

– Kto to jest, Harry? – zapytał.

– Ktoś, komu muszę się przyjrzeć. Możesz mi to wydrukować?

– Się robi.

Chu przesłał protokół KCIP do wspólnej dla całej sekcji drukarki.

Bosch wklepał hasło do swojego telefonu i zadzwonił do Jordy’ego Ganta.

– Charles Krutki Washburn, Krutki pisane przez „u” otwarte. Znasz go?

– Krutki... e... coś mi się... Zaczekaj chwilkę.

Zapadła cisza. Minęła prawie minuta, zanim Gant znów się odezwał na linii:

– Jest w bieżących materiałach wywiadowczych. Facet z Sixties. Gość z najniższego rzędu piramidy. To nie jest twój zleceniodawca zabójstwa. Skąd wzięłeś jego nazwisko?

– Z czarnej skrzynki. W dziewięćdziesiątym drugim mieszkał tam, gdzie zginęła Jespersen, tylko po drugiej stronie płotu. Miał wtedy szesnaście lat i pewnie marzył, żeby się dostać do Sixties.

Mówiąc to, Bosch słyszał w telefonie stukanie w klawiaturę. Gant

szukał dalej.

– Mamy nakaz aresztowania wydany przez sędziego z wydziału sto dwudziestego – powiedział. – Charles nie płacił matce swojego dziecka jak należy. Ostatni znany adres to dom przy Sześćdziesiątej Szóstej Place. Ale jest sprzed czterech lat.

Bosch wiedział, że w południowym Los Angeles nakaz aresztowania ojca, który uchyla się od płacenia alimentów, właściwie nic nie znaczy. Ekipa z biura szeryfa zajmująca się aresztowaniami nie poświęciłaby mu uwagi, chyba że sprawą zainteresowałyby się media. Taki nakaz tkwił sobie w bazach danych i czekał, żeby się ujawnić, kiedy Washburn znów wejdzie w konflikt z prawem i jego nazwisko wrzucą do komputera. Ale dopóki poszukiwany się nie wychyli, dopóty będzie wolny.

– Podjadę do jego dawnej chałupy, może mi się pofarci – rzekł Bosch.

– Dać ci wsparcie? – zapytał Gant.

– Nie, sam sobie załatwię. Ale możesz mi załatwić co innego. Narób trochę szumu na ulicy.

– Mówisz, masz. Rozpuszczę wieści, że Krutki jest poszukiwany. A tymczasem owocnych łowów, Harry. Daj znać, czy go dorwałeś, czy mam ci pomóc.

– Jasne, odezwę się.

Bosch rozłączył się i odwrócił do Chu.

– Chcesz się przejechać? – zapytał.

Chińczyk skinął głową, acz skrzywił się niechętnie.

– Zdamy wrócić przed czwartą? – upewnił się.

– Nigdy nie wiadomo. Jeśli mój facet tam będzie, może nam się trochę zejść. Chcesz, żebym wziął kogoś innego?

– Nie, Harry. Tyle że dziś wieczorem mam coś do załatwienia.

W ten sposób przypomniał Boschowi, że córki zabroniły mu spóźniać się na kolację, choćby nie wiadomo co się działo.

– A co, masz randkę? – spytał Harry.

– Nieważne, jedźmy.

Chu wstał. Wolał już jechać na miasto, niż odpowiadać na pytania dotyczące życia prywatnego.

Dom Washburnów był mały, w stylu ranczerskim i miał zapuszczony trawnik. Podjazd blokował stojący na ceglach zdezelowany ford. Bosch i Chu objechali kwartał ulic, zanim zatrzymali się przed wejściem od frontu i ocenili, że zachodni róg podwórka na tyłach domu jest oddalony najwyżej sześć metrów od miejsca w zaułku, gdzie Anneke Jespersen postawiono pod ścianą i zastrzelono.

Bosch zdecydowanie zastukał do drzwi, po czym odsunął się na bok. Chu zajął miejsce na ganku po drugiej stronie zabezpieczonych żelazną sztabą i zamkniętych na klucz drzwi.

W końcu drzwi się otworzyły, w progu stanęła dwudziestokilkuletnia kobieta i spojrzała na nich zza kraty. Obok niej mały chłopczyk kurczowo czepiał się jej nogi na wysokości uda.

– Czego chcecie? – spytała oburzona, prawidłowo biorąc ich za gliniarzy. – Nie wzywałam policji.

– Szukamy Charlesa Washburna, proszę pani – odparł Bosch. – Podał ten adres jako swoje miejsce zamieszkania. Zastaliśmy go?

Kobieta wrzasnęła, a Bosch dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że to śmiech.

– Proszę pani? Mówicie o Krutkim? O tego Charlesa Washburna wam chodzi?

– Zgadza się. Jest tutaj?

– A niby czemu miałyby tu być? Ależ z was głupole! On mi jest winien pieniądze. To co miałyby tu robić? Lepiej, żeby miał dla mnie tę forszę, jak już się tu pojawi.

Nareszcie Bosch zrozumiał. Spojrzał na chłopczyka w progu, a potem znów na kobietę.

– Można wiedzieć, jak się pani nazywa?

– Latitia Settles.

– A pani syn?

– Charles Junior.

– Nie wie pani przypadkiem, gdzie można zastać Charlesa seniora?

Mamy nakaz aresztowania go za to, że zalega pani z płatnościami.

Szukamy go.

– Rychło w czas! Za każdym razem, jak widzę, że wozi to swoje dupsko w okolicy, dzwonię po was, ale nikt się nie zjawia, nikt nawet nie kiwnie palcem. Teraz nagle wpadliście, a ja nie widziałam tego kurdupła od dwóch miesięcy.

– A co słyszysz na mieście, Latitia? Czy ludzie ci mówią, że widzieli go w tych stronach?

Stanowczo pokręciła głową.

– Wyjechał.

– A co z jego matką i babką? Kiedyś mieszkały w tym domu.

– Babka umarła, a matka dawno temu przeniosła się do Lancaster. Wyniosła się stąd.

– Czy Charles ją tam odwiedza?

– Nie wiem. Kiedyś jeździł do niej z okazji urodzin i innych takich. Teraz już nawet nie wiem, czy jeszcze żyje, czy zginął. Wiem tylko, że mój syn nie był nigdy u dentysty ani lekarza i że od małego nie dostał nowych ciuchów.

Bosch pokiwał głową. No i nie ma ojca, pomyślał. Nie wyjaśnił, że jeśli aresztują Charlesa Washburna, to nie po to, żeby go zmusić do płacenia alimentów.

– Latitio, wpuścisz nas do środka?

– Po co?

– Chcemy się rozejrzeć, upewnić, że nic ci tu nie grozi.

Uderzyła pięścią w kratę.

– Tutaj jesteśmy bezpieczni, niech was o to głowa nie boli.

– A więc możemy wejść?

– Nie. Nie będę nikomu pokazywać tego syfu. Nie jestem przygotowana.

– No dobrze, a podwórko za domem. Czy tam możemy wejść?

Pytanie wyraźnie zbiło ją z tropu. W końcu wzruszyła ramionami.

– A włączcie se tam, ale go nie znajdziecie.

– Czy furтка od tyłu nie jest zamknięta na klucz?

– Jest wyłamana.

– No dobrze, to zajrzemy od tyłu.

Bosch i Chu zeszli ze schodków od frontu na podjazd biegnący z boku domu i kończący się przy drewnianym parkanie. Żeby otworzyć

furtkę, Chu musiał ją unieść i przytrzymać na jednym zardzewiałym zawiasie. Weszli na podwórko zagracone starymi, połamanymi zabawkami i meblami. Leżąca na boku zmywarka do naczyń przypomniała Boschowi, że kiedy był w tym zaułku przed dwudziestu laty, wyrzucano tam sprzęty AGD, których nijak nie dało się już naprawić.

Lewa strona domu stanowiła tylną ścianę dawnego sklepu z oponami na Crenshaw. Bosch podszedł do ogrodzenia oddzielającego podwórko od zaułka. Było za wysokie, by mógł zajrzeć na drugą stronę, więc przytaszczył trójkołowy rower bez tylnego koła.

– Ostrożnie, Harry – przestrzegł go Chu.

Bosch postawił nogę na siodelku dziecięcego rowerka i trzymając się płotu, podciągnął się. Spojrzał w głąb zaułka, na miejsce, gdzie dwadzieścia lat temu zamordowano Anneke Jespersen.

Zeskoczył na ziemię i przeszedł się wzdłuż parkanu, naciskając dłonią na kolejne sztachety i szukając obluzowanej, a może nawet ruchomej klapy umożliwiającej szybkie wejście na podwórze z zaułka. Przeszedł dwie trzecie drogi, gdy naciśnięta sztacheta ustąpiła. Zatrzymał się, obejrzał ją uważnie, po czym pociągnął deskę do siebie. Nie była przymocowana do górnej albo dolnej poprzeczki. Bez trudu oddzielił ją od reszty parkanu, tworząc szeroki na ćwierć metra otwór.

Podszedł do niego Chu i także przyjrzał się dziurze w płocie.

– Ktoś nieduży spokojnie mógł się tędy przecisnąć i wyjść do zaułka – ocenił.

– Właśnie myślałem o tym samym – odparł Bosch.

Stwierdzili rzecz oczywistą. Pozostawało tylko pytanie, czy sztacheta się obluzowała z wiekiem, czy też stanowiła ukrytą furtkę już w czasach, kiedy Charles Krutki Washburn mieszkał tu jako szesnastoletni narybek gangsterski i szukał okazji, by zostać pełnoprawnym członkiem gangu.

Bosch kazał Chu zrobić aparatem w telefonie zdjęcie przejścia w płocie. Później je wydrukuje i dołączy do księgi. Następnie wetknął sztachetę na swoje miejsce i obejrzał się, po raz kolejny oglądając resztę podwórka. Zobaczył, że Latitia Settles stoi w otwartych tylnych drzwiach domu i obserwuje go przez następną żelazną kratę. Jak nic

domyśliła się, że nie szukali Charlesa z powodu zaległych alimentów.

Rozdział 6

Po powrocie do domu Boscha powitał tort urodzinowy na stole oraz córka, która w kuchni przygotowywała kolację, posługując się książką kucharską.

– Pachnie wspaniale – pochwalił.

Pod pachą miał księgę morderstwa Jespersen.

– Nie waż się wchodzić do kuchni – zapowiedziała mu. – Idź na ganek i siedź tam, dopóki cię nie zawołam. A te papiery z roboty odłóż na półkę... Nie próbuj do nich zaglądać przed kolacją. Aha, i puść jakąś muzykę.

– Tak jest, szefowo.

Stół w jadalni był nakryty dla dwóch osób. Bosch posłusznie odłożył księgę morderstwa na półkę stojącego pod ścianą regału, włączył wieżę stereo i wysunął kieszeń na płyty kompaktowe. Córka umieściła już na tacy pięć jego ulubionych płyt. Frank Morgan, George Cables, Art Pepper, Ron Carter oraz Thelonious Monk. Nastawił odtwarzanie utworów w przypadkowej kolejności, po czym wyszedł na ganek.

Na dworze czekała na niego butelka fat tire, stojąca na stole w glinianej, pełnej lodu donicy. Zdziwiło go to. Fat tire należało do jego ulubionych piw, ale rzadko trzymał alkohol w domu, a ostatnio przecież nie kupował piwa. Jego córka, szesnastolatka, wyglądała na starszą, jednak nie na tyle, by nie musieć się legitymować prawem jazdy dla potwierdzenia wieku.

Otworzył butelkę, pociągnął solidny haust. Piwo przyjemnie spływało do gardła, tak zimne, że niemal sparzyło mu przelyk. Miła ulga po dniu spędzonym na śledzeniu wędrówki broni i poszukiwaniu Charlesa Washburna.

Przy pomocy Jordy'ego Ganta Bosch opracował plan. Nazajutrz, przed ostatnią odprawą, wszyscy patrolowi oraz policjanci z jednostek do walki z gangami w Biurze Południowym dostaną zdjęcie Washburna i dowiedzą się, że jest na samym szczycie listy poszukiwanych. Pretekstem prawnym był nakaz zatrzymania za uchylanie się od płacenia alimentów, ale kiedy już Washburn trafi do aresztu, zawiadomią Boscha, a on wybierze się do niego, żeby pogadać na całkiem inny temat.

Mimo to wydanie okólnika o poszukiwaniu podejrzanego to jeszcze nie powód, by miał spocząć na laurach. Czekala go praca. Nie bacząc na to, że ma urodziny, zabrał księgę morderstwa do domu i zamierzał wziąć pod lupę każdą stronę, szukając odniesień do Washburna albo czegokolwiek, co przegapił lub czego nie sprawdził do końca.

Po namyśle jednak zrezygnował z tego planu. Córka właśnie gotowała mu urodzinową kolację, więc nic nie było dla niego ważniejsze. Nic na świecie nie umywało się do możliwości poświęcenia jej całej uwagi.

Z piwem w ręku wyrzwał na drugą stronę kanionu, gdzie mieszkał przez ponad dwadzieścia lat. Znał na pamięć jego barwy i kontury. Miał w pamięci odgłosy z biegnącej dołem autostrady. Wiedział, gdzie są szlaki, którymi kojoty uciekały w głębszą gęstwinę. I wiedział, że nigdy nie zechce się stąd wynieść. Zostanie tu do końca.

– No, już gotowe. Mam nadzieję, że mi się udało.

Bosch odwrócił się. Maddie rozsunęła drzwi tak cicho, że nie usłyszał. Uśmiechnął się. Urwała się z kuchni, by przebrać się do kolacji w elegancką sukienkę.

– Nie mogę się doczekać – rzucił.

Jedzenie czekało już na stole. Kotlety schabowe z sosem jabłkowym i pieczonymi ziemniakami. Z boku stał domowej roboty tort.

– Mam nadzieję, że będzie ci smakowało – powiedziała, kiedy usiedli.

– Na pewno – odparł. – Pachnie wspaniale i wygląda świetnie.

Uśmiechnął się szeroko. Nie starała się tak z okazji jego urodzin przez te dwa lata, odkąd mieszkali razem.

Podniosła kieliszek do wina napełniony Dr Pepperem.

– Sto lat, tato!

Uniósł butelkę piwa. Była prawie pusta.

– Za pyszne jedzenie, dobrą muzykę, a przede wszystkim za wspaniałe towarzystwo.

Stuknęli się kieliszkami.

– Jest jeszcze piwo w lodówce, jeśli chcesz – powiedziała.

– Tak? A skąd się tam wzięło?

– Nie martw się, mam swoje sposoby.

Rzuciła mu spojrzenie spod przymkniętych powiek, jak intrygantka.

– Właśnie to mnie martwi.

– Tato, nie zaczynaj. Byłbyś tak miły i skosztował tego, co ci ugotowałam?

Skinął głową i nie drażył dalej tematu... na razie.

– Jasne.

Gdy zabrał się do jedzenia, usłyszał, że z głośników leci *Helen's Song*. Była to cudowna piosenka, aż czuł, ile miłości włożył w nią George Cables. Zawsze zakładał, że Helen była żoną albo przyjaciółką piosenkarza.

Połączenie wieprzowiny smażonej w małej ilości tłuszczu z jabłkami było przepyszne. Mylił się jednak, sądząc, że jest to zwyczajny sos jabłkowy. To by było za proste. Maddie zredukowała na kuchence ilość płynu i zrobiła ciepły mus jabłkowy. Taki jak nadzienie szarlotek podawanych w sieci Du-par's.

Znów się uśmiechnął.

– Mads, to jest naprawdę przepyszne. Bardzo ci dziękuję.

– Poczekaj, aż spróbujesz tortu. Jest z ciasta marmurkowego, taki jak ty.

– Słucham?

– Nie takie jak marmurowy marmur, tylko wiesz, jasne przemieszane z ciemnym. Z powodu tego, czym się zajmujesz i czego się naoglądałeś.

Zastanowił się nad słowami córki.

– Chyba od nikogo nie usłyszałem równie głębokiej uwagi na mój temat związanej z jedzeniem. Jestem jak ciasto marmurkowe.

Oboje parsknęli śmiechem.

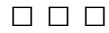
– Mam też prezenty! – zawołała Maddie. – Ale nie zdążyłam ich jeszcze zapakować, więc będą później.

– No, no, pełny wypas! Dziękuję, córeczko.

– Ty też robisz dla mnie wszystko, tato.

Słyszając to, poczuł się dobrze, a jednocześnie sposepniał.

– Mam taką nadzieję.



Po kolacji postanowili przetrwać ją trochę, zanim zaatakują tort marmurkowy. Madeline poszła do swojej sypialni, żeby zapakować prezenty, a Bosch zdjął z półki książkę morderstwa. Usiadłszy na kanapie, zauważył, że na podłodze przy podręcznym stoliku córka zostawiła plecak.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, próbował podjąć decyzję, czy nie poczekać do nocy, aż córka pójdzie spać. Wiedział jednak, że Maddie może wziąć plecak ze sobą do sypialni i zamknąć drzwi na klucz.

Postanowił nie czekać. Wyciągnął rękę i otworzył mniejszą kieszeń z przodu plecaka. Na wierzchu leżał portfel córki. Spodziewał się go tu zobaczyć, bo Maddie nie nosiła portmonetki. Szybko otworzył portfel – z wyszytą pacyfą – i przejrzał jego zawartość. Miała kartę kredytową, którą dostała od niego, by mogła nią płacić w sytuacjach awaryjnych, oraz świeżo zdobyte prawo jazdy. Sprawdził datę urodzenia – nie została przerobiona. Znajdowało się tam też kilka paragonów i kart rabatowych ze Starbucks oraz iTunes, no i perforowana karta, na której rejestrowano zakupy koktajli mlecznych w stoisku w centrum handlowym. Kto kupi dziesięć, następny dostaje za darmo.

– Tato, co ty wyprawiasz?

Spojrzał w górę. Stała przed nim córka. W obu rękach miała dla niego po jednym odświętnie zapakowanym prezencie. Także i tu zachowała motyw marmuru – papier był w czarno-białe zawijasy.

– Ja... e... chciałem zobaczyć, czy masz dość pieniędzy, a widzę, że jesteś bez grosza.

– Wydałam wszystko na kolację. Chodzi o to piwo, prawda?

– Skarbie, nie chcę, żebyś się wpakowała w kłopoty. Składając podanie o przyjęcie do akademii, nie możesz mieć na koncie żadnych...

– Nie mam fałszywego dowodu tożsamości. Jasne? Poprosiłam Hannah, żeby kupiła mi to piwo. Zadowolony?

Rzuciła prezenty na stół, okręciła się na pięcie i znikła w korytarzu. Bosch usłyszał trzask drzwi do jej sypialni.

Odczekał chwilę, po czym wstał. Przeszedł korytarzem i delikatnie

zapukał do jej drzwi.

– Daj spokój, Maddie. Przepraszam. Zjedzmy tort i puśćmy to w niepamięć.

Nie odpowiedziała. Przekręcił klamkę, lecz zamknęła za sobą drzwi na klucz.

– Maddie, nie wygłupiaj się. Otwieraj. Bardzo mi przykro.

– Idź jeść ciasto.

– Nie mam ochoty na ciasto bez ciebie. Posłuchaj, bardzo przepraszam. Ale jestem twoim ojcem. Muszę cię pilnować i chronić, więc chciałem się tylko upewnić, że nie wpakowałaś się w jakiś pasztet.

Cisza.

– Słuchaj, odkąd dostałaś prawo jazdy, masz o wiele więcej swobody. Uwielbiałem wozić cię do centrum handlowego... a teraz jeździsz sobie sama. Chciałem mieć pewność, że nie zrobiłaś jakiegoś głupstwa, które zaszkodziłoby ci na dłuższą metę. Przykro mi, że tak źle się do tego zabrałem. Przepraszam. To co, zgoda?

– Zaraz wkładam słuchawki. I tak już nie usłyszę nic z tego, co mówisz. Dobranoc.

Bosch powstrzymał się przed wyważeniem drzwi. Oparł o nie czoło i wytężył słuch. Doleciał go cichutki odgłos muzyki z jej słuchawek.

Wrócił do salonu, usiadł na kanapie. Wyjął komórkę i napisał do córki SMS-a, używając kodu stosowanego przez policję Los Angeles. Wiedział, że go rozszyfruje.

Sam
Ocean
Robert
Kevin
Ian
Ocean
David
David
Unia
Robert
Nora

Edward
Gary
Ocean
Sam
Tom
Adam
Robert
Edward
Gary
Ocean
Ocean
Joe
Clint
Adam

Czekał na odpowiedź, ale nie nadeszła, wobec tego wziął księgę morderstwa i zabrał się do pracy, licząc na to, że sprawa Królowy Śnieżki wciągnie go i pozwoli mu zapomnieć o rodzicielskim błędzie, jaki właśnie popełnił.

Najgrubszy raport w księdze morderstwa dotyczył chronologii śledztwa, ponieważ wyszczególniał po kolei każdy krok śledczych, jak również wszystkie telefony i zapytania na temat tej sprawy ze strony społeczeństwa. Ekipa RCTF ustawiła na Crenshaw Boulevard trzy billboardy z nadzieją, że zmobilizuje w ten sposób obywateli i uzyska odzew dotyczący niewyjaśnionego morderstwa Jespersen. Na plakatach obiecywano nagrodę w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów za informacje przyczyniające się do aresztowania i skazania zabójcy. Billboardy i perspektywa nagrody zaowocowały setkami telefonów od ludzi mających coś do powiedzenia na ten temat, przez kompletnie lipne cynki aż po skargi od obywateli na policję, która wkłada tyle wysiłku w wyjaśnienie zabójstwa białej kobiety, a nie interesuje się wykryciem sprawców morderstw dziesiątków czarnych i Latynosów, popełnionych w trakcie zamieszek. Śledczy z RCTF sumiennie zapisywali każdy telefon w chronologii zdarzeń i wymieniali wszelkie podjęte w związku z tym kroki. Przeglądając księgę morderstwa po raz pierwszy, Bosch

szybko przerzucił te kartki, teraz jednak miał związane z tą sprawą nazwiska, dlatego starannie wczytywał się w ich treść, sprawdzając, czy któreś z nich nie pojawiło się wcześniej.

W ciągu godziny uporał się z dziesiątkami stron chronologii. Nie znalazł wzmianki o Charlesie Washburnie, Rufusie Colemanie czy o Trumencie Storym. Na pierwszy rzut oka większość doniesień wydawała się bezwartościowa, rozumiał więc, dlaczego je zlekceważono. Kilku dzwoniących podało rozmaite nazwiska, te jednak skreślono w wyniku dalszego dochodzenia. Bardzo często anonimowi rozmówcy oczerniali niewinnych ludzi, wiedząc, że policja zacznie ich śledzić i utrudni im życie, dopóki nie oczyści ich z podejrzeń – a robili to z zemsty za rzeczy niemające nic wspólnego z morderstwem.

W 1993 roku telefony wymieniane w chronologii pojawiały się coraz rzadziej, zlikwidowano też jednostkę specjalną i zdjęto billboardy. A odkąd sprawa Jespersen została przekazana do wydziału zabójstw posterunku przy Siedemdziesiątej Siódmej, wpisy w chronologii stały się bardzo rzadkie i rozrzucone w czasie. W zasadzie jedynie brat Jespersen, Henrik, oraz rozmaici dziennikarze od czasu do czasu dzwonili z pytaniem o postępy śledztwa. Ale jeden z ostatnich wpisów przykuł uwagę Boscha.

Pierwszego maja dwa tysiące drugiego roku, w dziesiątą rocznicę morderstwa, w chronologii zapisano telefon od kogoś, kto przedstawił się jako Alex White. Nazwisko nic Boschowi nie mówiło, lecz dołączono informację, że numer kierunkowy rozmówcy to 209. Telefon wpisano jako zapytanie o status śledztwa. Dzwoniący chciał się dowiedzieć, czy kiedykolwiek je umorzono.

Nie dodano nic więcej na temat tego, czym jeszcze interesował się imię White. Bosch nie miał pojęcia, kim jest ten człowiek, zaintrygował go jednak numer kierunkowy. Nie było takiego w rejonie Los Angeles i nie wiedział, co to za okolica.

Otworzył laptop, wpisał do wyszukiwarki 209 i wkrótce dowiedział się, że jest to numer kierunkowy hrabstwa Stanislaus w kalifornijskiej Dolinie Centralnej – czterysta kilometrów od Los Angeles.

Spojrzał na zegarek. Było dosyć późno, ale bez przesady. Wybrał numer podany w chronologii przy nazwisku Alexa White'a. Po

pierwszym sygnale włączyła się sekretarka automatyczna przemawiająca miłym kobiecym głosem.

– Tu firma Cosgrove Tractor, największy sprzedawca ciągników marki John Deere w Dolinie Centralnej, z siedzibą w Modesto przy Crows Landing Road tysiąc dziewięćset dwanaście. Łatwo można do nas dojechać autostradą Golden State. Zapraszamy od poniedziałku do soboty, od dziewiętej do osiemnastej. Proszę zostawić swój numer, pracownik naszego działu sprzedaży skontaktuje się z państwem jak najszybciej.

Bosch postanowił zadzwonić ponownie nazajutrz w godzinach pracy, więc przerwał połączenie, zanim zabrzmiał sygnał do nagrywania. Zdawał sobie sprawę, że firma Cosgrove Tractor może nie mieć nic wspólnego z tamtym telefonem. W roku 2002 ten numer mógł należeć do innej firmy albo do osoby prywatnej.

– Masz już ochotę na tort?

Spojrzał w górę. Córka wyszła z sypialni. Teraz miała na sobie długą koszulę nocną; sukienkę prawdopodobnie odwiesiła do szafy.

– Jasne.

Zamknął księgę morderstwa, wstał i odłożył ją na stoliczek. Podchodząc do stołu w jadalni, spróbował przytulić córkę, lecz sprawnie zrobiła unik i odwróciła się do kuchni.

– Przyniosę nóż, widelce i talerzyki – powiedziała.

Z kuchni zawołała do niego, żeby otworzył oba prezenty, zaczynając od tego najbardziej oczywistego, ale wołał poczekać na jej powrót.

Kiedy kroić tort, otworzył długie, wąskie pudełko – wiedział, że znajdzie w nim krawat. Córka często wypominała mu, że jego krawaty są okropnie stare i bezbarwne. Raz nawet mu zarzuciła, że pomysły na kupno krawatów czerpie ze starego serialu *Dragnet*, nadawanego w czasach telewizji czarno-białej.

Otworzył pudełko i w środku zobaczył krawat w nieregularny wzór z niebieskich, zielonych i fioletowych plam.

– Piękny – oświadczył. – Włożę go jutro.

Uśmiechnęła się, a on zajął się drugim prezentem. Rozwinął papier i zobaczył pudełko z sześcioma płytami CD. Był to zestaw niedawno

wydanych nagrań na żywo Arta Peppera.

– *Art na żywo* – przeczytał. – *Niewydane nagrania koncertowe*, tomy od pierwszego do szóstego. Jakim cudem udało ci się to znaleźć?

– W internecie – odparła Maddie. – Opublikowała je wdowa po nim.

– Nigdy wcześniej tego nie słyszałem.

– Założyła własną wytwórnię: Widow's Taste.

Bosch zobaczył, że niektóre pudełka zawierały więcej niż jedną płytę. To było mnóstwo muzyki.

– Posłuchamy? – zaproponował.

Podawała mu talerzyk z kawałkiem marmurkowego tortu.

– Muszę jeszcze odrobić pracę domową – wymówiła się. – Pójdę teraz do siebie, ale ty się nie krępuj.

– Zacznę od pierwszej płyty.

– Mam nadzieję, że ci się spodoba.

– Na pewno. Dzięki, Maddie. Za wszystko.

Odstawił talerzyk i płyty na stół i wyciągnął ręce, żeby przytulić córkę. Tym razem się nie opierała, co przyjął z wdzięcznością.

Rozdział 7

W środę Bosch przyszedł do pracy wcześniej i zanim zjawili się inni policjanci z sekcji, siedział już w swoim boksie. Przełaził kupioną na wynos kawę ze styropianowego kubka do tego, który trzymał w szufladzie biurka. Włożył okulary do czytania, po czym sprawdził wiadomości z nadzieją, że miał fart i że w nocy zatrzymano Charlesa Washburna, który teraz czeka na niego w areszcie na posterunku przy Siedemdziesiątej Siódmej. Ale ani w telefonie, ani w poczcie elektronicznej nie znalazł niczego na temat Krutkiego. Gangster znikł bez śladu. Czekał na niego za to e-mail od brata Anneke Jespersen, który był odpowiedzią na jego list o temacie: „Śledztwo w sprawie zamordowania pańskiej siostry”.

Tydzień wcześniej, gdy ATF zawiadomiło Boscha, że balistyka wykazała związek łuski z zabójstwa Jespersen z dwoma innymi morderstwami, sprawa od razu zmieniła status z umorzonej na śledztwo w toku. W sekcji spraw otwartych i niewyjaśnionych obowiązywał protokół postępowania, zgodnie z którym, gdy tylko śledztwo zyskiwało status „w toku”, należało natychmiast zawiadomić o tym rodzinę ofiary. Rzecz była jednak delikatnej natury. Śledczy w żadnym razie nie chcieli karmić krewnych fałszywą nadzieją ani zmuszać ich do ponownego przeżywania koszmaru utraty kogoś bliskiego. Zawiadomienie takie zawsze należało przeprowadzić finezyjnie, co sprowadzało się do wyboru odpowiedniego członka rodziny i przekazania mu starannie przesianych oraz ocenzurowanych informacji.

W sprawie dziennikarki Bosch miał do dyspozycji tylko jednego członka rodziny. Zamieszkały w Kopenhadze brat ofiary, Henrik Jespersen, pojawiał się w pierwotnym protokole, a wpis do chronologii z roku 1999 zawierał adres jego poczty elektronicznej. Bosch wysłał więc e-mail na ten adres, nie mając pojęcia, czy po trzynastu latach wciąż jest aktywny. Wiadomość wprawdzie nie została zwrócona jako niedoręczona, ale odpowiedzi również nie dostał. Wtedy odłożył kwestię kontaktu na potem, a zajął się śledztwem i przygotowaniem do spotkania z Rufusem Colemanem w San Quentin.

Tak się przypadkiem złożyło, że Bosch zjawił się w pracy tak

wcześniej między innymi dlatego, że chciał ustalić numer telefonu Henrika Jespersena i zadzwonić do niego do Kopenhagi, w której było dziewięć godzin później niż w Los Angeles.

Tymczasem Henrik w ostatniej chwili uprzedził Boscha i odpowiedział na jego e-mail swoim, który trafił do skrzynki odbiorczej policjanta o drugiej rano czasu Los Angeles.

Szanowny Panie Bosch, ja bardzo dziękuję za Pański list który błędnie zboczył do mojego folderu ze spamem. Właśnie go odzyskałem i czym prędzej chcę odpowiedzieć. Serdecznie dziękuję Panu i policji Los Angeles za szukanie zabójcy mojej siostry. Tu w Kopenhadze wciąż bardzo brakuje nam Anneke w naszym życiu. W gazecie BT gdzie pracowała jest mosięzna tabliczka na cześć tej dzielnej dziennikarki bo ona jest bohaterem. Mam nadzieję że wy możecie złapać tych złych ludzi co zabijają. Jeśli możemy porozmawiać w cztery oczy to najlepiej dzwonić na mój telefon w hotelu gdzie dzień w dzień pracuję jako dyrektor. Pan zadzwoni na numer 00-45-25-14-63-69.

Liczę że znajdziecie zabójca. Dla mnie to bardzo ważne. Siostra była moja bliźniaczka. Ja bardzo o nią tęsknię.

Henrik

PS. Anneke Jespersen nie była na wakacie. Pojechała obić artykuł.

Bosch przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ostatni wers. Zakładał, że Henrik miał na myśli nie „wakat”, tylko „wakacje”. Postscriptum najwyraźniej nawiązywało do czegoś w oryginalnym tekście Boscha, skopiowanym na dole odpowiedzi.

Szanowny Panie Jespersen, jestem detektywem z wydziału zabójstw policji Los Angeles. Przydzielono mi prowadzenie wznowionego śledztwa w sprawie zamordowania Pańskiej siostry, Anneke, pierwszego maja 1992 r. Nie chciałbym Pana niepokoić ani od nowa przysparzać Panu bólu, mam jednak obowiązek poinformować Pana, że właśnie badam nowe tropy w tej sprawie. Przykro mi, że nie władam Pańskim językiem. Jeżeli zna Pan angielski, bardzo proszę o odpowiedź na ten e-mail albo o telefon pod jeden z zamieszczonych poniżej numerów.

Minęło dwadzieścia lat, odkąd Pańska siostra przyjechała do tego kraju na wakacje i straciła życie, gdy zboczyła do Los Angeles, żeby

zrobić reportaż z miasta w ogniu dla gazety w Kopenhadze. Mam obowiązki, ale i nadzieję, ostatecznie rozwikłać tę sprawę. Zrobię, co w mojej mocy. Liczę, że w miarę postępów śledztwa będziemy w kontakcie.

Bosch miał wrażenie, że pisząc o „wakacie” i „obieniu artykułu”, Henrik niekoniecznie odnosił się do rozruchów. Może chciał przez to powiedzieć, że siostra przyjechała do Stanów Zjednoczonych, by zebrać materiał do artykułu, lecz porzuciła pierwotny temat i zajęła się zamieszkami w Los Angeles.

Bosch musiał porozmawiać z Henrikiem bezpośrednio, inaczej wszystko będzie się obracało w sferze semantyki i domysłów. Spojrzał na zegar ścienny i przeprowadził obliczenia. W Kopenhadze właśnie minęła czwarta po południu. Miał sporą szansę, że jeszcze złapie Henrika w hotelu.

Telefon natychmiast odebrał recepcjonista, który poinformował, że się rozminęli, bo Henrik dosłownie przed chwilą skończył pracę i wyszedł do domu. Bosch zostawił swoje nazwisko i numer, ale bez wiadomości. Rozłączył się, po czym wysłał Henrikowi e-mail z prośbą, żeby oddzwonił jak najszybciej, choćby nawet w środku nocy.

Ze sfatygowanej teczki wyciągnął akta sprawy i od nowa zaczął się w nie gruntownie wczytywać, tym razem sprawdzając wszystko pod kątem nowej hipotezy – takiej, że przylatując do Stanów Zjednoczonych, Anneke Jespersen pracowała już nad jakimś artykułem.

Wkrótce elementy układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsce. Anneke Jespersen miała mały bagaż właśnie dlatego, że nie była na wakacjach. Jechała do pracy, więc wzięła ubrania robocze. Jeden plecak, i już. Żeby mogła szybko i bez kłopotu przenosić się z miejsca na miejsce. I stale być w ruchu, w pogoni za swoim tematem – bez względu na to, o czym pisała artykuł.

Patrząc na to pod nowym kątem, zauważył inne rzeczy, które wcześniej przegapił. Jespersen była fotoreporterką. Ilustrowała teksty zdjęciami. I pisała te teksty. A jednak przy zwłokach ani wśród jej dobytku pozostawionego w hotelu nie znaleziono laptopa. Skoro pracowała nad artykułem, powinna mieć też chyba notatki? No i notes w kieszeni kamizelki albo w plecaku?

– Co jeszcze? – zapytał Bosch na głos, po czym obejrzał się, sprawdzając, czy wciąż jest w sali sam.

Co jeszcze przegapił? Co poza tym Jespersen powinna mieć przy sobie? Przeprowadził ćwiczenie umysłowe. Wyobraził sobie, że przebywa w pokoju motelowym. Wychodzi, zamyka za sobą drzwi na klucz. Co powinien mieć w kieszeniach?

Zastanawiał się nad tym przez jakiś czas, aż w końcu coś przyszło mu na myśl. Szybko przekartkował akta, aż znalazł sporządzony przez koronera spis mienia. Była to ręcznie napisana lista wszystkich przedmiotów znalezionych przy zwłokach oraz w ubraniu ofiary. Wykaz obejmował poszczególne ciuchy, a także portfel, trochę drobnych i biżuterię, na którą składał się zegarek oraz skromny srebrny łańcuszek na szyję.

– Brak klucza do pokoju – powiedział na głos.

Jego zdaniem oznaczało to jedno z dwojga. Albo zostawiła klucz do pokoju w samochodzie z wypożyczalni i zabrał go ten, kto się włamał do auta, albo – co bardziej prawdopodobne – klucz do pokoju motelowego Jespersen zwędził z jej kieszeni człowiek, który ją zabił.

Ponownie sprawdził wykaz mienia, po czym wziął plastikowe koszulki z odbitkami, które sam zrobił polaroidem dwadzieścia lat wcześniej. Wyblakłe zdjęcia pokazywały pod różnymi kątami miejsce zbrodni oraz zwłoki w takim stanie, w jakim je znaleziono. Na dwóch zbliżeniach tułowia wyraźnie widać było spodnie ofiary. U góry lewej kieszeni wystawała biała podszewka. Bosch nie miał wątpliwości, że kieszeń wywrócił na lewą stronę ten ktoś, kto przeszukując kieszenie zamordowanej, zabrał klucz do jej pokoju w motelu, a zostawił biżuterię i gotówkę.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa pokój motelowy został potem splądrowany. Pytanie, w poszukiwaniu czego? Ale wśród rzeczy przekazanych policji przez personel motelu nie było żadnego notesu, ba – w ogóle ani jednej kartki.

Bosch wstał, był zbyt spięty, żeby usiedzieć w miejscu. Czuł, że wpadł na trop, nie miał jednak pojęcia, co to jest i czy ostatecznie ma jakiś związek z zamordowaniem Anneke Jespersen.

– Cześć, Harry.

Bosch odwrócił się i zobaczył, że do boksu wchodzi jego partner.

– Dzień dobry.

– Wczesnie przyszedłeś.

– Nie, o zwykłej porze. To ty się spóźniłeś.

– Zaraz, zapomniałem o twoich urodzinach czy co?

Bosch przez chwilę przyglądał się Chu i dopiero potem odpowiedział:

– Tak, miałem wczoraj. Jak się zorientowałeś?

Chińczyk wzruszył ramionami.

– Twój krawat. Wygląda na nowiutki, prosto ze sklepu, a poza tym wiem, że sam nigdy byś nie wybrał tak jaskrawych kolorów.

Bosch spuścił wzrok na krawat i wygładził go na piersi.

– Od córki – wyjaśnił.

– No to ma dziewczyna dobry gust. Szkoda, że tobie go brakuje.

Chu roześmiał się i oznajmił, że idzie do stołówki po kawę. Zawsze najpierw meldował się w sali odpraw, po czym natychmiast robił sobie przerwę na kawę.

– Chcesz coś, Harry?

– Tak, musisz mi sprawdzić jedno nazwisko w komputerze.

– Pytałem, czy przynieść ci kawę albo coś.

– Nie, niczego mi nie trzeba.

– Sprawdzę ci to nazwisko, jak wrócę.

Bosch pomachał mu ręką na pożegnanie i odwrócił się z powrotem do biurka. Postanowił nie czekać. Podszedł do komputera i zaczął od bazy danych wydziału komunikacji. Posługując się dwoma palcami, wystukał *Alex White* i okazało się, że w Kalifornii wydano prawo jazdy prawie czterystu kierowcom noszącym imiona Alex, Alexander bądź Alexandra i nazwisko White. Jedynie trzy z tych osób mieszkały w Modesto i byli to wyłącznie mężczyźni w wieku od dwudziestu ośmiu do pięćdziesięciu czterech lat. Przepisał te informacje i sprawdził tych trzech w bazie danych KCIP, ale żaden z nich nie był notowany.

Spojrzał na zegar ścienny w pomieszczeniu sekcji – było dopiero wpół do dziewiątej. Licencjonowany salon sprzedaży produktów John Deere, skąd przed dziesięciu laty zadzwonił Alex White, otwierano dopiero za pół godziny. Połączył się z informacją telefoniczną i zapytał

o numer kierunkowy 209, lecz w tej okolicy nie zarejestrowano telefonu na Alexa White'a.

Wrócił Chu. Po wejściu do boks postawił kubek z kawą dokładnie w tym samym miejscu, na którym poprzedniego dnia przysiadł porucznik O'Toole.

– No dobra, Harry, co to za nazwisko? – zapytał.

– Już je sprawdziłem – odparł Bosch. – Ale mógłbyś je wrzucić jeszcze do TLO, może wygrzebiez mi numery telefonów.

– Nie ma sprawy. Dawaj.

Bosch podjechał na krzesło na drugą stronę biurka i dał Chu kartkę, na której zapisał informacje o trzech Alexach White'ach. Policja miała dostęp do TLO – bazy danych, która zestawiała informacje z wielu źródeł, publicznych i prywatnych. To przydatne narzędzie często podawało zastrzeżone numery telefonów, w tym nawet komórek służbowych. Jednak poruszanie się po tej bazie danych wymagało doświadczenia oraz wiedzy, w jaki sposób sformułować zapytanie, a w tej dziedzinie Chu bił Boscha na głowę.

– Dobra, daj mi kilka minut – rzekł Chińczyk.

Bosch wrócił do swojego biurka. Zwrócił uwagę na plik zdjęć ułożony z prawej strony. Były to fotografie Anneke Jespersen formatu siedem i pół na dwanaście i pół centymetra – powiększenia zdjęcia z jej przepustki prasowej, które zamówił w dziale prasowym, by w razie potrzeby mógł je puścić w obieg. Wziął jedno z nich i wpatrzył się w twarz dziennikarki, w jej nieobecne spojrzenie.

Po chwili wsunął zdjęcie pod szklaną płytę pokrywającą blat biurka. Dołączyło do innych. Same kobiety. Same ofiary zabójstw. Sprawy i twarze, o których zawsze chciał pamiętać.

– Bosch, a ty co tu robisz?

Spojrzał w górę i zobaczył porucznika O'Toole'a.

– Pracuję, poruczniku.

– Masz dzisiaj sprawdzian, nie możesz go znowu odkładać.

– Dopiero o dziesiątej, a zresztą o tej porze i tak będą już zatkani.

Bez obawy, załatwię to.

– Nie chcę więcej słyszeć żadnych wymówek.

O'Toole oddalił się w kierunku swojego gabinetu. Bosch

odprowadził go wzrokiem, kręcąc głową.

Chu odwrócił się od biurka. Trzymał wysoko kartkę, którą dostał od partnera.

– Łatwo poszło – oznajmił.

Harry wziął od niego kartkę. Pod każdym z trzech nazwisk Chu zapisał numer telefonu. O’Toole natychmiast wywietrzył Boschowi z głowy.

– Dzięki, partnerze.

– A kim jest ten gość?

– Sam nie bardzo wiem, w każdym razie ktoś przedstawiający się jako Alex White zadzwonił z Modesto z pytaniem o sprawę Jespersen. Chcę poznać powody.

– W księdze nie ma streszczenia rozmowy?

– Nie, tylko wpis w chronologii, że w ogóle był taki telefon. I tak chyba mamy szczęście, że komuś chciało się o tym wspomnieć.

Bosch zajął się obdzwanianiem trzech Alexów White’ów. Z jednej strony dopisało mu szczęście, z drugiej miał pecha. Udało mu się połączyć z każdym z nich, ale żaden nie przyznał się, że jest tym Alexem White’em, który dzwonił w sprawie zabójstwa Jespersen. Wszyscy byli wyraźnie zaskoczeni telefonem z Los Angeles. Rozmawiając z nimi, Bosch pytał nie tylko o Jespersen, lecz także o to, czym się zajmują zawodowo oraz czy znają salon sprzedaży ciągników John Deere, z którego podobno dzwoniło na policję. Ostatnia rozmowa dała mu coś, co od biedy można by uznać za związek ze sprawą.

Najstarszy Alex White, księgowy, a zarazem posiadacz kilku leżących odłogiem gruntów, oznajmił, że mniej więcej przed dziesięciu laty kupił w salonie sprzedaży w Modesto kosiarkę ciągnikową, nie potrafił jednak podać dokładnej daty, dopóki nie zajrzy do papierów, które trzyma w domu. Bosch złapał go podczas gry w golfa, więc White obiecał Harry’emu, że oddzwoni i za kilka godzin poda mu datę zakupu. Jako księgowy był pewien, że zachował paragon.

Bosch się rozłączył. Nie był pewien, czy aby nie goni w piętę, w każdym razie ten telefon Alexa White’a – niby drobiazg – nie dawał mu spokoju. Było już po dziewiątej, więc zadzwonił do salonu sprzedaży, z którego telefonowano na policję w 2002 roku.

Dzwonienie na ślepo zawsze wymaga talentów dyplomatycznych. Bosch wolał zachować ostrożność, nie chciał popełnić gafy ani tym bardziej zdradzić się przed potencjalnym podejrzanym, że prowadzi śledztwo. Postanowił więc zastosować podstęp – nie przedstawiać się z góry i nie mówić, skąd dzwoni.

Gdy odebrała recepcjonistka, po prostu poprosił o Alexa White'a. Przez chwilę na linii panowała cisza.

– Niestety, na liście pracowników nie figuruje żaden Alex White. Czy na pewno dzwoni pan do Cosgrove Tractor?

– No cóż, podał mi ten numer. Długo pani pracuje w tej firmie?

– Dwadzieścia dwa lata. Zechce pan poczekać.

Nie czekała na jego odpowiedź. Przełączyła Boscha na tryb oczekiwania, a przez ten czas prawdopodobnie zajęła się kolejnym telefonem. Wkrótce znów się odezwała.

– Nie pracuje u nas żaden Alex White. Czy chce pan porozmawiać z kimś innym?

– Owszem, z kierownikiem.

– Świetnie. Kogo mam zapowiedzieć?

– Johna Bagnalla.

– Chwileczkę.

Fikcyjnym nazwiskiem John Bagnall posługiwali się wszyscy policjanci z sekcji spraw otwartych i niewyjaśnionych, kiedy udawali przez telefon kogo innego.

Przełączenie rozmowy poszło błyskawicznie.

– Mówi Jerry Jiménez. Czym mogę służyć?

– Tak, hm, mówi John Bagnall. Właśnie weryfikuję podanie o pracę, zgodnie z którym niejaki Alex White był pracownikiem Cosgrove Tractor w okresie od roku dwutysięcznego do dwa tysiące czwartego. Czy mógłby pan to potwierdzić?

– Nie. Wtedy już tu pracowałem, ale nie przypominam sobie żadnego Alexa White'a. Gdzie pracował?

– Właśnie w tym sęk. Nie podano konkretnie, w jakim dziale.

– No to nie bardzo wiem, jak mógłbym panu pomóc. Wtedy byłem na stanowisku kierownika działu sprzedaży. Znałem wszystkich pracowników, tak samo jak teraz, ale Alex White'a wśród nich nie było.

Wie pan, to nie jest jakaś wielka firma. Ot, mamy tu dział sprzedaży, stację obsługi, dział części zamiennych i kierownictwo. W sumie, łącznie ze mną, dwadzieścia cztery osoby.

Bosch podał numer telefonu, z którego dzwonił Alex White, i zapytał, od jak dawna salon sprzedaży z niego korzysta.

– Od zawsze. Wystartowaliśmy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. A ja wtedy już tu pracowałem.

– Bardzo dziękuję, że poświęcił mi pan czas. Życzę miłego dnia.

Bosch się rozłączył. Jego ciekawość związana z telefonem Alexa White'a z roku 2002 sięgała teraz zenitu.

□ □ □

Resztę przedpołudnia stracił na wcześniej zaplanowany sprawdzian ze strzelania i szkolenie strategiczne. Najpierw przez godzinę słuchał wykładu na temat najnowszych orzeczeń sądów dotyczących pracy policji i wynikających z nich zmian w polityce policji miejskiej Los Angeles. W ramach tej godziny poddano także ocenie ostatnie przypadki użycia broni przez policjantów oraz omówiono każdy z nich pod kątem tego, co poszło dobrze, a co zrobiono nie tak jak trzeba. Później poszedł na strzelnicę, gdzie musiał zdać sprawdzian, żeby zachować prawo do posługiwania się bronią palną. Kierujący strzelnicą sierżant, jeden ze starych przyjaciół Boscha, zapytał go o córkę i przypadkiem podsunął mu pomysł na spędzenie weekendu z Maddie.

Wracając przez parking do swojego samochodu, Harry rozmyślał, gdzie by tu wpaść na lunch, gdy oddzwonił do niego Alex White z Modesto, żeby mu przekazać więcej szczegółów o kupnie ciągnika. Powiedział, że niespodziewany telefon Boscha z samego rana tak go zaintrygował, że przerwał grę w golfa już po dziewiątym dołku. Nie omieszkał też wspomnieć, że nie bez wpływu na tę decyzję był jego wynik, pięćdziesiąt dziewięć.

Według zapisów księgowych White zakupił kosiarkę ciągnikową w Cosgrove Tractor dwudziestego siódmego kwietnia 2002 roku, a odebrał go pierwszego maja, w dziesiątą rocznicę zamordowania Anneke Jespersen oraz w dniu, kiedy ktoś podający się za Alexa White'a zadzwonił z salonu sprzedaży ciągników na policję i dopytywał się

o postępy w śledztwie.

– Panie White, muszę raz jeszcze zadać panu to pytanie. Czy w dniu odbioru ciągnika zadzwonił pan do nas z salonu sprzedaży, by spytać o sprawę morderstwa?

White zaśmiał się nerwowo i dopiero potem odpowiedział.

– To jakiś obłąd – odparł. – Nie, nie dzwoniłem na policję Los Angeles. W ogóle nigdy w życiu nie dzwoniłem na policję. Widocznie ktoś się pode mnie podszył, ale nie potrafię wyjaśnić dlaczego, detektywie. Nie mam bladego pojęcia.

Bosch spytał go, czy na papierach, w których sprawdzał datę zakupu, widnieją jakieś nazwiska. White podał mu dwa. Sprzedawcy, którym okazał się Reggie Banks, oraz Jerry’ego Jiméneza – kierownika działu sprzedaży, który podpisał umowę.

– No cóż, proszę pana, bardzo nam pan pomógł – odparł Bosch. – Dziękuję za pomoc i przepraszam, że zakłóciłem panu dzisiejszą partyjkę golfa.

– Nie ma sprawy, detektywie, i tak szło mi jak po grudzie. Mam tylko jedną prośbę, jeżeli rozwikła pan kiedyś tę tajemnicę i wyjaśni, kto dzwonił do was, podszywając się pode mnie, proszę o wiadomość, zgoda?

– Załatwione, proszę pana. Miłego dnia.

Otwierając samochód, Bosch był pogrążony w zadumie. Zagadkowa postać Alexa White’a przestała być drobiazgiem wymagającym wyjaśnienia – nabrała teraz zupełnie innego znaczenia. Było oczywiste, że ktoś zadzwonił z punktu sprzedaży firmy John Deere z pytaniem o postępy śledztwa w sprawie Jespersen, ale podał fałszywą tożsamość, podszywając się pod klienta, który akurat tego dnia załatwiał coś w salonie. W przekonaniu Boscha w zasadniczy sposób zmieniało to kwestię tego telefonu. Nie był to już tylko niewyjaśniony punkcik na jego radarze, lecz coś poważnego, co zasługiwało na wyjaśnienie i zrozumienie.

Rozdział 8

Bosch postanowił zrezygnować z lunchu i wrócić prosto do pracy. Chu na szczęście nie wyszedł jeszcze na przerwę obiadową, więc Harry zdążył mu zlecić sprawdzenie Reginalda Banksa i Jerry'ego Jiméneza w bazach danych. Potem zauważył, że mruga dioda telefonu na jego biurku. Odsłuchał nagraną wiadomość. Dzwonił Henrik Jespersen, ale się rozminęli. Bosch klął w duchu, zastanawiając się, dlaczego Henrik nie zadzwonił też na jego komórkę, skoro miał jej numer podany w e-mailach.

Spojrzał na zegar ścienny, po czym zajął się obliczeniami. W Danii była dziewiąta wieczorem. Henrik podał w wiadomości swój numer domowy, więc Bosch zadzwonił. Zapadła długa cisza, gdy sygnał biegł przez cały kontynent i ocean. Bosch zaczął się zastanawiać, czy połączenie skierowało się na wschód czy na zachód, gdy naraz, zaledwie po dwóch dzwonekach, jakiś mężczyzna podniósł słuchawkę.

– Mówi detektyw Bosch z Los Angeles. Czy to pan Henrik Jespersen?

– Tak, tu Henrik.

– Przepraszam, że oddzwaniam tak późno. Czy mógłbym zająć panu teraz kilka minut?

– Tak, oczywiście.

– Świetnie. Jestem wdzięczny, że odpowiedział pan na mój e-mail, ale jeśli pan pozwoli, mam w związku z tym jeszcze kilka pytań.

– Chętnie pomówię teraz. Proszę śmiało.

– Dziękuję. Przede wszystkim chcę pana zapewnić, że, jak pisałem, śledztwo w sprawie śmierci pańskiej siostry jest traktowane absolutnie priorytetowo. Pracuję nad nim przez cały czas. Mimo że minęło już dwadzieścia lat, nie wątpię, że śmierć siostry boli pana po dziś dzień. Bardzo panu współczuję.

– Dziękuję, detektywie. Była niezwykle piękna, wszystko ją pasjonowało. Bardzo za nią tęsknię.

– Wyobrażam sobie.

Z biegiem lat Bosch rozmawiał z mnóstwem osób, które straciły swoich ukochanych w wyniku przemocy. Nie potrafiłby ich zliczyć, lecz

wcale nie było mu przez to łatwiej i jego empatia ani na chwilę nie osłabła.

– O co chciał pan mnie spytać? – Jespersen przeszedł do rzeczy.

– Hm, na początek mam pytanie dotyczące postscriptum w pańskim e-mailu do mnie. Napisał pan, że Anneke nie była na wakacjach, chciałbym więc to wyjaśnić.

– Tak, nie była.

– No cóż, wiem, że nie była na wakacjach, kiedy przyjechała do Los Angeles, żeby relacjonować zamieszki dla swojej gazety, ale czy pan twierdzi, że w ogóle nie przyleciała do Stanów Zjednoczonych na urlop?

– Przez cały czas pracowała. Miała temat.

Bosch przesunął sobie blok papieru, by miał na czym notować.

– Czy wie pan, czego dotyczył ten temat?

– Nie, nic mi nie powiedziała.

– Wobec tego skąd pan wie, że przyleciała tutaj w ramach pracy?

– Powiedziała mi, że leci zgłębić jakiś temat. Nie wyjaśniła mi jaki, bo jako dziennikarka trzymała takie rzeczy dla siebie.

– Czy jej szef albo redaktor naczelny mogli wiedzieć, nad czym akurat pracowała?

– Nie sądzę. Widzi pan, była wolnym strzelcem. Sprzedawała fotografie i artykuły „BT”. Czasami to oni zlecali jej temat, ale nie zawsze. Pisała artykuły i dopiero potem im mówiła, co ma, pan rozumie.

Bosch wiedział, że ma od czego zacząć, bo w protokołach i artykułach widział wzmianki o naczelnym Anneke. Mimo to spytał o niego Henrika.

– Nie wie pan przypadkiem, jak się nazywał jej ówczesny redaktor naczelny?

– Tak, to był Jannik Frej. Przemawiał na jej pogrzebie. Bardzo miły człowiek.

Bosch poprosił o przeliterowanie imienia i nazwiska, po czym zapytał, czy Henrik nie ma może namiarów na Freja.

– Nie, nigdy nie miałem numeru. Przykro mi.

– Nie ma sprawy, sam go zdobędę. Idźmy dalej... Czy może mi pan powiedzieć, kiedy rozmawiał pan z siostrą po raz ostatni?

– Tak, dzień przed jej wylotem do Ameryki. Widziałem ją.
– I nie wspomniała ani słowem, o czym ma być jej artykuł?
– Ja nie pytałem, a ona nie mówiła.
– Ale wiedział pan, że wybiera się tutaj, tak? Poszedł pan, żeby się z nią pożegnać.

– Tak, i żeby podać jej informacje o hotelu.
– Jakiego rodzaju informacje?
– Będzie już trzydzieści lat, jak pracuję w hotelarstwie. W tamtym czasie to ja rezerwowałem hotele dla Anneke, kiedy podróżowała.

– Nie gazeta?
– Nie, ona była wolny strzelec, a ze mną mogła mieć taniej. To ja zawsze organizowałem jej podróże. Nawet jak na wojnę. Pan rozumie, myśmy wtedy nie mieli internetu. Trudniej było znaleźć miejsce, żeby mieć pobyt. Dlatego potrzebowała, żebym ja to robił.

– Rozumiem. A może przypadkiem pamięta pan, gdzie się zatrzymała w Stanach Zjednoczonych? Przyleciała tu na kilka dni przed rozruchami. Gdzie przebywała, pomijając Nowy Jork i San Francisco?

– Musiałbym zobaczyć, czy wiem.
– Słucham?
– Muszę iść do komórki na archiwa. Trzymam wiele rzeczy z tamtego czasu... z powodu tego, co się stało. Będę patrzył. Ale pamiętam, że nie leciała do Nowego Jorku.

– Miała tam tylko międzylądowanie?
– Tak, i przesiadła się do Atlanty.
– A co było w Atlancie?
– Tego ja już nie wiem.
– No dobrze. Jak pan sądzi, Henriku, kiedy uda się panu zajrzeć do tej komórki?

Bosch nie chciał go naciskać zbyt mocno.
– Nie jestem pewny. To daleko stąd. Będę musiał wziąć wolne z pracy.

– Rozumiem pana, Henriku. Ale to by nam bardzo pomogło. Czy zechce pan wysłać mi e-mail albo do mnie zadzwonić, kiedy pan to sprawdzi?

– Tak, oczywiście.

Bosch wpatrzył się w notatnik, próbując wymyślić, o co by tu jeszcze zapytać.

– Henriku, gdzie przebywała pańska siostra przed przylotem do Stanów Zjednoczonych?

– Była tu, w Kopenhadze.

– Chodzi mi o to, dokąd wybrała się po raz ostatni, zanim przyjechała do Stanów Zjednoczonych.

– Przez jakiś czas była w Niemczech, a wcześniej w Kuwejcie na czas wojny.

Bosch wiedział, że tamten miał na myśli operację Pustynna Burza. Z artykułów o Anneke wiedział również, że pojechała tam jako korespondentka. Zapisał „Niemcy”. To była dla niego nowość.

– Czy wie pan, gdzie konkretnie była w Niemczech?

– W Stuttgarcie, tyle pamiętam.

Bosch zapisał to w notatniku. Uznał, że niczego więcej nie wydobydzie z Henrika, dopóki ten nie pójdzie do swojej komórki i nie sprawdzi w archiwum wyjazdów siostry.

– A mówiła panu, po co jedzie do Niemiec? Czy w związku z artykułem?

– Nie powiedziała mi. Prosiła, żebym jej zarezerwował hotel niedaleko amerykańskiej bazy wojskowej. To zapamiętałem.

– Nie powiedziała nic więcej?

– Tylko tyle. Nie rozumiem, dlaczego to znaczy, skoro zabili ją w Los Angeles.

– Prawdopodobnie to nie ma znaczenia, Henriku. Czasami jednak warto zarzucić szerokie sieci.

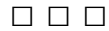
– Co to znaczy?

– To znaczy, że jeśli zadaje się dużo pytań, otrzymuje się dużo informacji. Nie wszystkie są przydatne, ale czasami ma się szczęście. Jestem wdzięczny za pańską cierpliwość i za to, że zechciał pan ze mną porozmawiać.

– Czy teraz rozwiąże pan tę sprawę, detektywie?

Bosch zastanowił się nad odpowiedzią.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Henriku. Obiecuję, że pan pierwszy się o tym dowie.



Rozmowa z Henrikiem dodała Boschowi energii, mimo że nie wydobył z niego wszystkiego, co tamten wiedział. Nie potrafiłby nazwać tego, co się stało w tej sprawie, ale czuł, że coś się zmieniło. Nieco ponad dzień wcześniej uważał, że śledztwo zmierza donikąd i że wkrótce spakuje pudła archiwalne, by z powrotem odesłać Anneke Jespersen do czeluści magazynu mieszczącego sprawy nierozwiązane i zapomniane ofiary zabójstw. Teraz jednak pojawiło się światełko w tunelu. Nowe zagadki stwarzały nowe możliwości. Nasuwały się pytania wymagające odpowiedzi, więc Bosch wrócił do gry.

Jego następnym posunięciem było skontaktowanie się z redaktorem naczelnym Anneke w „BT”. Sprawdził, czy imię i nazwisko, które podał mu Henrik – Jannik Frej – pojawia się w wiadomościach i protokołach w księdze morderstwa. Nazwiska się nie zgadzały. Artykuły publikowane w przededniu zamieszek podawały, że naczelnym był niejaki Arne Haagan. A według chronologii śledztwa również on był naczelnym, z którym śledczy z RCTF rozmawiali w sprawie Jespersen.

Bosch nie potrafił wyjaśnić tej rozbieżności. W wyszukiwarce znalazł numer telefonu do newsroomu „BT” i zadzwonił. Słusznie domyślał się, że mimo późnej pory w newsroomie z pewnością kogoś zastanie.

– *Redaktionen, goddag.*

Bosch zapomniał, że może napotkać trudności językowe. Nie wiedział, czy kobieta, która odebrała, przedstawiła się, czy może powiedziała coś po duńsku.

– *Nyhedsredaktionen, kan jeg hjælpe?*

– E... halo? Czy mówi pani po angielsku?

– Trochę. Jak panu pomogę?

Bosch zajrzał do swoich notatek.

– Chciałbym mówić z panem Arne Haaganem albo Jannikiem Frejem, jeśli można.

Zanim kobieta odpowiedziała, na linii zapadła krótka cisza.

– Pan Haagan nie żyje, tak? – rzekła w końcu.

– Nie żyje? E... A pan Frej?

- Tu nikogo nie ma.
- A kiedy zmarł pan Haagan?
- Eee, proszę zaczekać.

Bosch miał wrażenie, że czekał całe pięć minut. W tym czasie rozglądał się po pomieszczeniu sekcji i wkrótce zobaczył, że porucznik O'Toole gapi się na niego przez okno swojego gabinetu. O'Toole wykonał gest, jakby strzelał z pistoletu, po czym uniósł kciuki i pytająco wygiął brwi. Bosch wiedział, że szef pyta go, czy zdał egzamin ze strzelania w akademii. W końcu w słuchawce odezwał się głos mężczyzny. Ten rozmówca władał angielskim wyśmienicie i prawie bez śladu obcego akcentu.

- Mówi Mikkel Bonn. Czym mogę służyć?
- Cóż, chciałem pomówić z Arne Haaganem, ale pani, z którą rozmawiałem wcześniej, powiedziała mi, że zmarł. Czy to prawda?
- Tak, Arne Haagan umarł cztery lata temu. W jakiej sprawie pan dzwoni, jeśli wolno spytać?

– Nazywam się Harry Bosch. Jestem detektywem z policji Los Angeles. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Anneke Jespersen przed dwudziestu laty. Czy zna pan tę historię?

– Wiem, kim była Anneke Jespersen. Tutaj wszyscy jesteśmy w dobrych stosunkach. Arne Haagan był w owym czasie redaktorem naczelnym gazety. Ale potem przeszedł na emeryturę i umarł.

- A co z redaktorem Jannikiem Frejem? Czy nadal u was pracuje?
- Jannik Frej... Nie, Jannika już tu nie ma.
- Od kiedy u was nie pracuje? Czy on też umarł?
- Nie, kilka lat temu on również przeszedł na emeryturę. Ale o ile wiem, nadal żyje.

– Świetnie, a wie pan, jak mógłbym się z nim skontaktować? Muszę z nim pomówić.

– Mogę sprawdzić, czy ktoś ma zamiar na niego. Niektórzy adiustatorzy chyba wciąż są z nim w kontakcie. Może mi pan powiedzieć, czy w tej sprawie coś się dzieje? Jestem reporterem i chętnie bym...

– Sprawa została wznowiona. Prowadzę śledztwo, ale na razie nic z tego nie wynikło. Dopiero zacząłem.

– Rozumiem. Czy mogę oddzwonić do pana z zamiarami na Jannika Freja?

– Wolałbym zaczekać na linii, aż pan je zdobędzie.

Zapadła cisza.

– Rozumiem – padło po chwili. – Dobrze, postaram się z tym uwinąć.

W słuchawce znów zapanowała cisza. Tym razem Bosch nie spoglądał w kierunku gabinetu porucznika. Odwrócił się i zobaczył, że Chu gdzieś przepadł, pewnie wyszedł na lunch.

– Detektywie Bosch?

To Bonn odezwał się na linii.

– Tak?

– Mam adres e-mailowy Jannika Freja.

– A numer telefonu?

– Chwilowo akurat nikt go tu nie ma. Ale będę szukał, załatwię go dla pana. Więc jak, chce pan ten adres?

– Tak, oczywiście.

Bosch zapisał adres e-mailowy Freja, a potem podał Bonnowi swój e-mail i numer telefonu.

– Powodzenia, detektywie – powiedział Bonn.

– Dziękuję.

– Wie pan, nie pracowałem tu wtedy, kiedy to się stało. Ale dziesięć lat temu już tu byłem i pamiętam, że puściliśmy wielki artykuł o Anneke i całej tej historii. Czy chciałby pan go przeczytać?

Bosch zawahał się.

– Pewnie będzie po duńsku, tak?

– Tak, ale może pan skorzystać z tłumaczenia na różnych stronach w internecie.

Bosch nie za bardzo wiedział, co tamten ma na myśli, lecz poprosił, żeby Bonn przysłał mu link do artykułu. Podziękował mu raz jeszcze i rozłączył się.

Rozdział 9

Bosch uświadomił sobie, że umiera z głodu. Zjechał windą do holu i skorzystał z głównego wejścia, by dostać się na drugą stronę placu od frontu budynku. Zamierzał przespacerować się do Philippe's na kanapkę z pieczenią wołową, lecz nawet nie zdążył przejść przez Pierwszą Ulicę, gdy zabręczała jego komórka. Dzwonił Jordy Gant.

– Harry, mamy już twojego ptaszka.

– Krutkiego?

– Zgadza się. Właśnie dostałem telefon od jednego z moich chłopców. Zwinęli go, kiedy wychodził z McDonalda na Normandie. Facet, z którym gadałem dziś rano podczas odprawy, miał jego zdjęcie zatknięte za osłonę przeciwsłoneczną w samochodzie. Okazało się, że to rzeczywiście Krutki.

– Gdzie go zabrali?

– Na Siedemdziesiątą Siódmą. Właśnie go aresztują, na razie trzymali go tylko na podstawie nakazu zatrzymania. Pomyślałem, że jeśli od razu ruszysz tyłek, dojedziesz tam, zanim zdąży załatwić sobie adwokata.

– Już jadę.

– Co ty na to, żebym też tam wpadł i do was się przysiadł?

– Spotkamy się na miejscu.

Przy nikłym, jak to w środku dnia, ruchu dojazd na posterunek przy Siedemdziesiątej Siódmej zajął Boschowi zaledwie dwadzieścia minut. Przez całą drogę rozmyślał o tym, w jaki sposób podejść Washburna. Nie miał na niego nic oprócz przeczucia opartego na bliskości miejsca zbrodni i domu gangstera. Żadnego dowodu ani niczego, czego mógł być pewny. Doszedł do wniosku, że pozostaje mu jedynie blef. Przekonać Krutkiego, że ma na niego haka, i bazując na tym kłamstwie, wydobyć z niego przyznanie się do winy. Słabiutka metoda, zwłaszcza wobec podejrzanego mającego bogate doświadczenie w kontaktach z policją. Ale niczym więcej nie dysponował.

Na Siedemdziesiątej Siódmej Gant czekał już na niego w dyżurce.

– Kazałem go przenieść do biura D. Jesteś gotowy?

– Jestem.

Bosch zobaczył na ladzie obok biurka komendanta otwarte pudełko z pączkami Krispy Kreme. Zostały już tylko dwa, leżały tam pewnie od porannej odprawy.

– Hej, można się poczęstować? – Wskazał na pączki.

– Nie krępuj się – odparł Gant.

Bosch wziął lukrowanego pączka i pochłonął go czterema kęsami, idąc za Gantem korytarzem na tyłach posterunku do biura śledczych.

Weszli do obszernej sali odpraw pełnej biurkami, szafek na akta i stosów papierzynek. Przy większości biurkami nikt nie urzędował, więc Bosch doszedł do wniosku, że detektywi albo pracują nad śledztwami w terenie, albo wyszli na lunch. Na nieobsadzonym biurku zobaczył opakowanie chusteczek higienicznych, więc wyjął trzy, by zetrzeć lukier z palców.

Przed drzwiami jednego z dwóch pokoi przesłuchań siedział policjant z patrolu. Wstał, gdy Gant i Bosch podeszli do niego. Gant przedstawił go jako Chrisa Mercera – tego, który podczas patrolu zauważył Krutkiego Washburna.

– Dobra robota – pochwalił Bosch, ściskając mu dłoń. – Wyrecytowałaś mi formułkę?

Miał na myśli pouczenie zatrzymanego o przysługujących mu prawach konstytucyjnych.

– Tak.

– Świetnie.

– Dziękuję, Chris – powiedział Gant. – Teraz my się nim zajmujemy.

Policjant udał, że saltuje, i wyszedł. Gant spojrzał na Boscha.

– Jak konkretnie chcesz to załatwić? – zapytał.

– Mamy na niego cokolwiek poza nakazem zatrzymania?

– Niewiele. Miał przy sobie piętnaście gramów ziela.

Bosch się skrzywił. To trochę za mało.

– Poza tym miał sześćset dolarów w gotówce – dodał Gant.

Bosch skinął głową. Dzięki temu rzecz wyglądała nieco lepiej. Może uda mu się rozegrać kwestię pieniędzy, w zależności od tego, jak dobrze Washburn orientował się w aktualnych przepisach prawnych dotyczących narkotyków.

– Spróbuję zablefować, może dzięki temu sam się jakoś wsypie. Sądzę, że to nasza największa szansa. Zapędzę go do narożnika i żeby się wykaraskać, będzie musiał gadać.

– Zgoda, w razie czego możesz na mnie liczyć.

Na ścianie między drzwiami do obu pokoi przesłuchań wisiał pojemnik na dokumenty. Bosch wyjął standardowy formularz zrzeczenia się praw, złożył go i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Otwórz, ale przepuść mnie przodem – powiedział.

Gant spełnił jego prośbę. Bosch wszedł do pokoju przesłuchań z ponurą miną. Washburn siedział przy niewielkim stole, ze skrępowanymi taśmą zaciskową za oparciem krzesła nadgarstkami. Jak podano, był niewielkim facetem w zbyt obszernych ciuchach mających ukryć jego mizerną posturę. Na stole leżała plastikowa torba na dowody rzeczowe, zawierająca to, co znaleziono przy nim w chwili aresztowania. Harry zajął krzesło dokładnie naprzeciwko niego. Gant przysunął trzecie krzesło pod drzwi i usiadł na nim, jakby był na warcie. Od lewego barku Boscha dzieliło go nieco ponad metr.

Harry wziął torbę z dowodami rzeczowymi i obejrzał zawartość. Portfel, telefon komórkowy, klucze, zwitek pieniędzy oraz foliowa torebka, a w niej piętnaście gramów marihuany.

– Charles Washburn – odezwał się. – Wołają na ciebie Krutki, przez „u” zwykłe, nie kreskowane. Fajny pomysł. Sam na to wpadłeś?

Przeniósł wzrok z torby na Washburna, lecz ten milczał. Spojrzał więc na torbę z dowodami i pokręcił głową.

– Widzisz, Krutki, mamy problem. Wiesz jaki?

– Chuj mnie to obchodzi.

– A wiesz, czego nie widzę w tej torbie?

– Mam to gdzieś.

– Nie widzę fajki ani nawet bibułki, a jednak masz ten wielki plik forsy i ziele. Kojarzysz teraz, co z tego wynika?

– Z tego wynika, że mam prawo zadzwonić po adwokata. Daj pan se siana i nie gadaj do mnie, bo i tak gównie ode mnie usłyszysz. Daj mi tylko telefon, zadzwonię po papugę.

Bosch przez torbę włączył komórkę Krutkiego i ekran ożył. Tak jak się spodziewał, telefon był zabezpieczony hasłem.

– Ups, potrzebne jest hasło. – Pokazał telefon Washburnowi. –
Podaj mi je, to wezwę adwokata w twoim imieniu.

– Nie, nie trzeba. Odstawcie mnie z powrotem do puszki,
zadzwoń stamtąd z automatu.

– Dlaczego nie z tego? Papugę masz pewnie pod klawiszem
szybkiego wybierania, co?

– Dlatego, że to nie mój telefon, więc nie znam hasła.

Bosch wiedział, że wykaz połączeń i lista kontaktów w tej komórce
na pewno przysporzyłyby Washburnowi kolejnych problemów. Krutki
nie miał wyboru, musiał się zarzekać, że to nie jego telefon, nawet jeśli
było to śmiechu warte.

– Co ty powiesz? To dziwne, skoro miałeś ten telefon w kieszeni.
Razem z zieleń i kasą.

– Wasi ludzie mi to podrzucili. Chcę zadzwonić do adwokata.

Bosch skinął głową i odwrócił się do Ganta. Balansował na
wyjątkowo cienkiej konstytucyjnej linii.

– Wiesz, co to znaczy, Jordy? – odezwał się do kolegi.

– Wyjaśnij mi.

– To znaczy, że ten facet w jednej kieszeni miał narkotyki, a w
drugiej kupę forsy. Widzisz, nie nosząc fajki, popełnił błąd. Bo skoro nie
posiadał środka umożliwiającego zażycie tej substancji, to według prawa
nie była na użytek własny, tylko na sprzedaż. A zatem podpada to pod
przestępstwo. Jego adwokat pewnie mu to dokładnie wyjaśni.

– Co ty pierdzielisz, człowieku? – oburzył się Washburn. –
Marychy miałem mniej niż piętnaście gramów. Nie opylałem jej, kurwa,
i dobrze o tym wiesz.

Bosch obejrzał się na niego.

– Do mnie mówisz? – spytał. – Bo dopiero co powiedziałaś mi, że
chcesz gadać z prawnikiem, a skoro tak, to muszę przerwać
przesłuchanie. Więc jak, masz mi coś do powiedzenia?

– Ja tylko mówię, że niczego nie opylałem.

– Chcesz ze mną porozmawiać?

– No, możemy pogadać, jeżeli w ten sposób wygrzebię się z tego
gówna.

– Skoro tak, musimy to załatwić zgodnie z przepisami.

Bosch wyjął z kieszeni marynarki formularz zrzeczenia się praw i kazał Washburnowi go podpisać. Wątpił, żeby ten numer utrzymał się w ocenie Sądu Najwyższego, nie sadił jednak, by kiedykolwiek do tego doszło.

– No to w porządku, Krutki, pogadajmy – powiedział. – Wiem tylko tyle, co jest w tej torbie. Wynika z tego, że jesteś handlarzem narkotyków, więc zatrzymamy cię pod takim zarzutem.

Zobaczył, że Washburn napiął mięśnie chudych ramion i zwiesił głowę. Spojrzał na zegarek.

– Ale nie przejmuj się tym aż tak bardzo, Krutki. Dlatego, że ziele to najmniejsze z moich zmartwień. To tylko coś, za co mogę cię zapudłować, bo tak mi się widzi, że facet, co go nie stać na alimenty dla dziecka, nie zbierze dwudziestu pięciu kawałków na kaucję.

Znów uniósł torbę z ziele.

– To cię zatrzyma w mamrze, a ja tymczasem rozpracuję tę drugą rzecz, którą mam na widelcu.

Washburn uniósł głowę i spojrzał na niego.

– Ehe, gówna prawda. Wyjdę jak nic. Ma się te znajomości.

– Tak, jasne, tyle że kiedy trzeba wyłożyć gotówkę, znajomi mają w zwyczaju znikać.

Bosch odwrócił się do Ganta.

– Ty też to zauważyłeś, Jordy?

– Jeszcze jak. Ludzie się zapadają pod ziemię na wieść, że jakiś ziomal idzie siedzieć. Myślą sobie: po kiego wywalać kasę na kaucję, jeżeli ten i tak idzie do kicia?

Bosch pokiwał głową i odwrócił się z powrotem do Washburna.

– Co za szajs mi tu wciskacie? – obruszył się gangster. – Coś się do mnie przyczepił, człowieku? Co ja ci zrobiłem?

Bosch zabębnił palcami jednej ręki po stole.

– Dobrze, Krutki, powiem ci. Pracuję w centrum, nie fatygowałbym się na to zadupie tylko po to, żeby przyskrzynić kogoś za jedną działkę. Jestem z wydziału zabójstw, rozumiesz? Zajmuję się starymi sprawami. Sprzed wielu lat. Czasami nawet sprzed dwudziestu.

Obserwował Washburna, wypatrując jakiejś reakcji, nie zauważył jednak żadnej zmiany.

– Takimi jak ta, o której sobie teraz pogadamy.

– Ja tam nic nie wiem o żadnym zabójstwie. Znaleźliście sobie nie tego skurwiela co trzeba.

– Tak? Czy aby naprawdę? A ja słyszałem inaczej. Widocznie niektórzy wciskają kit na twój temat.

– Zgadza się. Więc zrób pan coś, żebym mógł zabrać stąd dupsko.

Bosch rozparł się na krześle, jak gdyby rozważał słowa Washburna, lecz nagle pokręcił głową.

– Nie, tego nie mogę zrobić. Mam świadka, Charles. Właściwie świadka ze słyszenia... Wiesz, kto to taki?

– Wiem tylko, że pieprzysz pan jak potłuczony.

– Mam świadka, który słyszał, jak przyznałeś się do popełnienia zbrodni. Twierdzi, że jej powiedziałaś. Zgrywałeś dorosłego i przechwalałeś się tym, jak to postawiłeś białą szmatę pod ścianą i ją rozwalileś. Podobno byłeś z tego bardzo dumny, bo dzięki temu mogłeś się wkręcić do Sixties.

Washburn spróbował wstać, lecz więzy od razu ściągnęły go z powrotem na krzesło.

– Białą szmatę? Człowieku, co ty mi tu, kurwa, pierdolisz?! Z kimżeś ty gadał, z Latitią? Ona gówno wie. Chce, żebym miał przesrane, bo od czterech miesięcy jej nie płacę. Ta załgana zdzira jest gotowa powiedzieć wszystko.

Bosch oparł się łokciami o blat stołu i nachylił bliżej Washburna.

– Jakbyś nie wiedział, Charles, ja nie zdradzam informatorów. Powiem ci tylko jedno: wpadłeś w gówno po uszy, bo sprawdziłem to, co usłyszałem, i okazało się, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim w zaułku na tyłach twojego domu zamordowano białą kobietę. Czyli, że to nie jest wyssane z palca.

Oczy Washburna załśniły, gdy przypomniał sobie tę sprawę.

– Mówisz o tej suce reporterce podczas rozruchów? Nie wrobisz mnie w to, człowieku. Jeśli o to chodzi, mam czyste ręce, więc powiedz temu swojemu świadkowi ze słyszenia, że zdzira łże jak pies i ma przejebane.

– Charles, czy aby na pewno chcesz grozić świadkom w obecności dwóch przedstawicieli prawa? Rozumiesz chyba, że bez względu na to,

czy to Latitia była tym świadkiem, czy nie, jeżeli coś jej się stanie, to będziesz naszym pierwszym podejrzanym?

Washburn nie odpowiedział. Bosch naciskał dalej:

– Tak naprawdę mam więcej niż jednego świadka, Charles. Ktoś z tej okolicy powiedział mi, że miałeś wtedy pistolet. Konkretnie berettę, a właśnie z takiej broni zastrzelono kobietę w zaułku.

– Z tej broni?! Znalazłem tę klamkę na podwórku za moim domem!

Nareszcie. Washburn do czegoś się przyznał. A jednocześnie poparł to wiarygodnym wyjaśnieniem. Zbyt prawdziwym i zaimprovizowanym, by mógł je wymyślić na poczekaniu. Bosch musiał je uznać.

– Na twoim podwórku? Mam uwierzyć, że znalazłeś ten pistolet na podwórku za domem?

– Słuchaj, człowieku, miałem wtedy szesnaście lat. Podczas rozruchów matka w ogóle nie wypuszczała mnie z domu. Zamykała drzwi mojej sypialni od zewnątrz na klucz, a w oknie miałem kraty. Wsadziła mnie tam i zamknęła, człowieku. Weź z nią pogadaj i sprawdź.

– Wobec tego, kiedy znalazłeś ten pistolet?

– Jak już było po wszystkim, człowieku. Jak ucichło. Wyszedłem za dom i zobaczyłem go w trawie, jak kosilem. Nie miałem pojęcia, skąd się tam wziął. Nawet nie wiedziałem o tym zabójstwie, dopiero matka mi powiedziała, że był u nas ktoś z policji.

– Powiedziałeś matce o tej broni?

– Nie. Nie zamierzałem jej mówić o żadnym, kurwa, pistolecie. Zresztą wtedy już go nie miałem.

Bosch ukradkiem zerknął przez ramię na Ganta. Trochę wykraczał tu poza swój teren. Wersja Washburna miała w sobie desperację i szczegółowość cechujące prawdę. Ktokolwiek zastrzelił Jespersen, mógł przerzucić narzędzie zbrodni przez ogrodzenie, jeśli chciał się go pozbyć.

Gant zauważył spojrzenie kolegi i wstał. Przysunął swoje krzesło do Boscha. Teraz stał się graczem na równych prawach.

– Charles, znalazłeś się w poważnych opałach – powiedział tonem, który doskonale oddawał powagę sytuacji. – Uprzedzam cię, że wiemy

o tej sprawie więcej, niż ty kiedykolwiek się dowiesz. Jeśli chcesz się stąd wydostać, nie możesz wstawiać nam kitu. Bo przyłapiemy cię na każdym kłamstwie.

– Niech będzie – mruknął Washburn potulnie. – Co mam powiedzieć?

– Masz nam powiedzieć, co zrobiłeś z tym pistoletem dwadzieścia lat temu.

– Oddałem go. Najpierw go ukryłem, a potem oddałem.

– Komu?

– Takiemu tam znajomkowi, ale już go nie ma.

– Trzeci raz nie zapytam. Komu?

– Na imię miał Trumond, ale nie wiem, czy to jego prawdziwe imię, czy nie. Na ulicy wołali go Tru Story.

– Czy to jest ksywka? Jak miał na nazwisko?

Gant prowadził przesłuchanie standardową techniką polegającą na zadawaniu pytań, na które już wcześniej znał odpowiedź. Pomagało to ocenić prawdomówność podejrzanego, a czasami zapewniało przewagę strategiczną, jeśli przesłuchiwany zdradzał mniej, niż wiedział.

– Nie wiem, człowieku – odparł Washburn. – On już nie żyje. Stuknęli go kilka lat temu.

– Kto go stuknął?

– Nie wiem. On pracował na ulicy. I ktoś go normalnie odstrzelił, no nie? Zdarza się.

Gant odchylił się na krześle, dając sygnał Boschowi, żeby przejął inicjatywę, jeśli chce.

Bosch chciał.

– Opowiedz mi o tej broni – polecił.

– Tak jak pan mówił, beretta. Czarna.

– Gdzie dokładnie znalazłeś ją na swoim podwórku?

– Nie wiem, gdzieś koło huśtawki. Leżała w trawie, człowieku. Nie zauważyłem jej, przejechałem po niej kosiarką i tylko, kurwa, zarysowałem metal.

– W którym miejscu była rysa?

– Z boku lufy.

Bosch wiedział, że ta rysa może pomóc w identyfikacji broni, jeżeli

ją w ogóle znajdą. A co ważniejsze, mogła potwierdzić wersję Washburna.

– Czy pistolet wciąż działał?

– Działał, a jakże. Nic mu się nie stało. Strzeliłem z niego od razu tam na miejscu, wpakowałem kulkę w słupek płotu. Zaskoczyło mnie to, bo ledwo dotknąłem spustu.

– Czy twoja matka słyszała wystrzał?

– No. Wyszła na dwór, ale schowałem kławkę za spodnie, pod koszulę. Powiedziałem jej, że to kosiarka.

Bosch pomyślał o kuli w słupku płotu. Gdyby wciąż tam tkwiła, byłaby kolejnym potwierdzeniem zeznania gangstera. Pytał więc dalej:

– No dobrze. Powiedziałeś, że na czas rozruchów matka zamknęła cię w twoim pokoju, zgadza się?

– Zgadza.

– Skoro tak, to kiedy znalazłeś ten pistolet? Po trzech dniach zamieszki w zasadzie ustały. Ostatnie trwały wieczorem pierwszego maja. Czy pamiętasz, kiedy znalazłeś pistolet?

Washburn z wyraźną irytacją pokręcił głową.

– Człowieku, minęła kopa lat. Nie pamiętam, którego dnia.

Pamiętam tylko, że go znalazłem, i tyle.

– A dlaczego oddałeś go Tru Story’emu?

– Bo na ulicy to on był szefem. Więc mu go dałem.

– Chcesz powiedzieć, że był szefem Cripsów z odłamu Rolling Sixties, zgadza się?

– Tak, zgadza się!

Gangster rzucił to, naśladowując głos białego człowieka. Było jasne, że wolałby rozmawiać z Gantem, a nie Boschem. Harry zerknął na kolegę, a ten znów przejął pałeczkę.

– Powiedziałeś Trumond. A nie Trumont? Trumont Story?

– Pewnie tak, człowieku. Aż tak dobrze go nie znałem.

– No to dlaczego dałeś mu tę broń?

– Bo chciałem go poznać. Chciałem się wspiąć po drabinie, rozumiecie?

– I co, udało ci się?

– Nie całkiem. Przyskrzynili mnie i wysłali do ośrodka dla

młodocianych przestępców w Sylmar. Kiblowałem tam prawie dwa lata. Przez to straciłem swoją szansę.

Jeden z największych ośrodków dla młodocianych przestępców mieścił się w Sylmar, na północnym skraju doliny San Fernando. Sądy dla nieletnich często wysyłały małoletnich przestępców do ośrodków położonych z dala od ich stron rodzinnych, licząc na to, że w ten sposób zerwą więzi z gangami.

– Czy jeszcze kiedyś widziałeś ten pistolet? – indagował dalej Gant.

– E tam, już nigdy – odparł Washburn.

– A co z Tru Storym? – włączył się Bosch. – Czy jeszcze go spotkałeś?

– Widywałem go na ulicy, ale nigdy nie pracowaliśmy razem. Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa.

Bosch odczekał chwilę na wypadek, gdyby gangster dodał coś jeszcze. Ale ten zamilkł.

– No dobra, Krutki, nie ruszaj się stąd – powiedział.

Wstając, poklepał Ganta po ramieniu. Dwaj detektywi opuścili pokój przesłuchań, zamknęli za sobą drzwi i stanęli obok siebie. Gant wzruszył ramionami i odezwał się pierwszy.

– To się trzyma kupy – oświadczył.

Bosch niechętnie przytaknął ruchem głowy. Rzeczywiście historia Washburna brzmiała prawdziwie. Ale nieważne, jak brzmiała – gangster przyznał się, że znalazł pistolet na swoim podwórku za domem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa chodziło o broń, której szukał Bosch, jednak nie było na to cienia dowodu, podobnie jak nie było żadnych dowodów na to, że Krutki Washburn miał związek z zabójstwem Anneke Jespersen poza tym, do czego się przyznał.

– Co chcesz, żebym z nim zrobił? – spytał Gant.

– Ja już z nim skończyłem. Wsadź go na podstawie nakazu i za ziele, ale przekaż mu, że nikt nam nie dał cynku... Ani Latitia, ani nikt inny.

– Załatwione. Przykro mi, że nie wypaliło, Harry.

– Uhm. Tak sobie myślę...

– Że co?

– Trumont Story. A jeśli nie załatwili go z jego własnej spluwy? Gant jedną ręką złapał się za łokieć drugiej, którą potarł brodę.

– Minęły prawie trzy lata.

– Tak, wiem. To trochę loteria. Ale kiedy Story przez pięć lat siedział w Pelican Bay, nikt nie użył tego pistoletu. Pozostał w ukryciu.

Gant przytaknął ruchem głowy.

– On mieszkał przy Siedemdziesiątej Trzeciej. Gdzieś tak z rok temu przypadkiem znalazłem się w tej okolicy z okazji programu dobrosąsiedzkich relacji, który prowadziliśmy. Zapukałem wtedy do tamtego domu i okazało się, że matka jego dziecka wciąż tam mieszka.

Bosch skinął głową.

– A ekipa, która złapała go za zabójstwo? Nie wiesz, czy przeszukali ten dom?

Gant pokręcił głową.

– Nie wiem, Harry, ale na mój gust raczej niezbyt dokładnie. Bo przecież nie mieli nakazu. Sprawdzę.

Bosch pokiwał głową i ruszył do drzwi sali odpraw.

– Daj mi znać – powiedział. – Jeżeli nie przetrząsnęli tego lokalu, może sam to zrobię.

– Gra może być warta świeczki – przyznał Gant. – Powinieneś jednak wiedzieć, że matka bachora Story’ego to była zatwardziała członkini gangu. Jasny gwint, gdyby miała co innego między nogami, mogłaby zejść na sam szczyt piramidy. Jest twarda.

Bosch przemyślał to sobie.

– Może uda nam się to przekuć na naszą korzyść. Nie wiem, czy jest tu dość materiału, żeby się starać o papier.

Miał na myśli wiarygodny powód, niezbędny do uzyskania nakazu przeszukania domu Trumonta Story’ego niemal trzy lata po jego śmierci. Najlepiej byłoby się dostać do środka bez konieczności zdobycia podpisanego przez sędziego nakazu. Najlepiej byłoby się postarać o zaproszenie. A czasami, jeśli się to dobrze rozegra, najmniej prawdopodobna osoba może nam przysłać zupełnie nieoczekiwane zaproszenie.

– Spróbuję wymyślić jakiś scenariusz, Harry – obiecał Gant.

– Zgoda. Daj znać.

Rozdział 10

Gdy Bosch wrócił do sali odpraw, Chu siedział przy swoim komputerze i pisał coś w Wordzie.

– Co to?

– Opinia na temat zwolnienia warunkowego. Sprawa Clancy’ego.

Bosch skinął głową. Ucieszył się, że Chu zajął się tym listem. Jeżeli morderca miał się stawić przed komisją do spraw zwolnień warunkowych, zawiadamiano stosowny wydział policji. Nie był to bezwzględny wymóg, ale śledczych, którzy prowadzili dochodzenie w danej sprawie, zachęcano do przysyłania komisji listów z wyrazami poparcia albo sprzeciwu. Nawal pracy często uniemożliwiał spełnienie tej prośby, jednak Bosch miał na tym punkcie bzika. Lubił opisywać w najdrobniejszych szczegółach brutalność morderstw, licząc na to, że makabra tych zbrodni pomoże komisji odrzucić prośbę o zwolnienie warunkowe. Próbował wpoić ten zwyczaj partnerowi, dlatego obarczył Chu zadaniem napisania listu w sprawie morderstwa popełnionego przez Clancy’ego – wyjątkowo odrażającego zadżgania kobiety z pobudek seksualnych.

– Na jutro przygotuję ci coś do czytania.

– Świetnie – odparł Bosch. – Sprawdziłeś nazwiska, które ci podałem?

– Tak. Niewiele tego. Jiménez był czysty jak łąza, a Banks ma tylko wyrok za jazdę pod wpływem.

– Na pewno?

– Nic więcej nie znalazłem. Przykro mi, Harry.

Bosch z rozczarowaniem wysunął krzesło i usiadł przy swoim biurku. Nie liczył na to, że w jednej chwili wyjaśni zagadkę Alexa White’a, miał jednak nadzieję na coś więcej niż tylko skazanie za jazdę po pijaku. Na coś, czego mógłby się ucześcić.

– Nie ma za co – rzucił Chu.

Bosch obejrzał się na niego i rozczarowanie przeszło w złość.

– Jeśli chcesz, żeby na okrągło dziękować ci za to, że robisz, co do ciebie należy, to wybrałeś zły zawód.

Chu nie odpowiedział. Bosch odpalił swój komputer i na powitanie

ujrzał e-mail od Mikkeła Bonna z „Berlingske Tidende”. Wiadomość nadeszła przed niecałą godziną.

Detektywie Bosch, zasięgnąłem języka. Redaktorem pracującym z Anneke Jespersen był Jannik Frej, ponieważ to on nadzorował projekty wolnych strzelców. W 1992 roku pan Frej nie rozmawiał bezpośrednio ze śledczymi i dziennikarzami z Los Angeles, ponieważ uznano, że za słabo włada angielskim. Rozmawiał z nimi Arne Haagan, gdyż posługiwał się angielskim znakomicie, a poza tym był redaktorem naczelnym gazety.

Skontaktowałem się z panem Frejem i rzeczywiście, jego angielski jest słaby. Gdyby miał pan do niego jakieś pytania, służę pomocą w charakterze pośrednika. Jeśli to panu pomoże, chętnie się tego podejmę. Czekam na Pańską odpowiedź w tej sprawie.

Bosch zastanowił się nad tą propozycją. Zdawał sobie sprawę, że z na pozór niewinną ofertą pomocy Bonna wiąże się niewypowiedziane *quid pro quo*. Tamten był dziennikarzem i jako taki zawsze poszukiwał tematów. Poza tym gdyby Bosch skorzystał z jego pośrednictwa, Bonn posiadałby informacje o zasadniczym znaczeniu dla śledztwa. Nie byłoby to najszcześniejsze, ale skoro sprawy nabrały rozpędu, postanowił nie zwalniać. Wystukał więc odpowiedź.

Panie Bonn, przyjmę Pańską propozycję pod warunkiem, że wszelkie informacje, jakich udzieli pan Frej, obieca mi Pan zachować w tajemnicy do czasu, aż pozwolę Panu wykorzystać je do publikacji w gazecie. Jeżeli Pan się zgadza, oto pytania, które chciałbym zadać:

Czy według pańskiej wiedzy Anneke Jespersen poleciała do Stanów Zjednoczonych, bo była na tropie tematu do artykułu? Jeśli tak, o czym miał być ten artykuł? Co robiła w Ameryce?

Co może mi pan powiedzieć o miejscach, które odwiedziła w Stanach Zjednoczonych? Przed przyjazdem do Los Angeles pojechała do Atlanty i San Francisco. Po co? Wiadomo panu, czy bawiła w innych miastach w Stanach Zjednoczonych?

Przed wyprawą do Ameryki pojechała do Stuttgartu w Niemczech, gdzie zatrzymała się w hotelu położonym niedaleko amerykańskiej bazy wojskowej. Czy wie pan dlaczego?

Myślę, że na początek tyle wystarczy, i będę wdzięczny za

wszelkie informacje, jakie uda się Panu zebrać na temat przyjazdu Anneke do Stanów Zjednoczonych. Dziękuję za pomoc i jeszcze raz proszę o zachowanie tych informacji wyłącznie dla siebie.

Przed wysłaniem e-maila ponownie przeczytał treść wiadomości. Potem kliknął na „Wyślij” i natychmiast pożałował, że wciągnął w śledztwo Bonna – dziennikarza, którego nawet nigdy nie spotkał i z którym raptem tylko raz rozmawiał przez telefon.

Odwrócił się od ekranu komputera i spojrzał na zegar na ścianie. Dochodziła czwarta po południu, czyli w Tampa była prawie siódma wieczór. Otworzył księgę morderstwa, by sprawdzić numer telefonu, który zapisał na wewnętrznej stronie okładki – namiar na Gary’ego Harroda, śledczego, który w 1992 roku prowadził dochodzenie w sprawie Jespersen z ramienia Riot Crimes Task Force, lecz odszedł ze służby. Rozmawiał z nim po wznowieniu śledztwa. Wtedy nie bardzo miał go o co pytać, za to teraz wręcz przeciwnie.

Nie był pewny, czy zapisał jego numer domowy, służbowy czy też na komórkę. Harrod rzucił służbę jako młody człowiek, mając dwadzieścia lat. Później przeniósł się na Florydę, skąd pochodziła jego żona, i z powodzeniem prowadził teraz agencję nieruchomości.

– Mówi Gary.

– Cześć, Gary, tu Harry Bosch z Los Angeles. W zeszłym miesiącu rozmawialiśmy o sprawie Jespersen, pamiętasz?

– Jasne, Bosch. Oczywiście.

– Mogę ci zająć kilka minut czy może siedzisz przy kolacji?

– Kolacja będzie najwcześniej za pół godziny. Do tej pory jestem do twojej dyspozycji. Tylko mi nie mów, że rozwiązałeś już zagadkę Królowy Śnieżki.

Podczas pierwszej rozmowy Bosch zdradził mu, że w noc morderstwa jego partner nadał Anneke przydomek Królowy Śnieżki.

– Jeszcze nie. Nadal węszę tu i tam. Ale wyszło na jaw parę rzeczy, o które chciałem cię spytać.

– Wal śmiało.

– No dobra, po pierwsze gazeta, dla której pracowała Jespersen. Czy to ty nawiązałeś kontakt z Danią?

Zapadła dłuższa cisza, podczas gdy Harrod zagłębił się we

wspomnienia o tamtej sprawie. Bosch nigdy nie pracował z Harrodem, ale słyszał o nim, gdy ten był jeszcze w służbie. Harrod miał reputację solidnego śledczego. I dlatego Bosch postanowił skontaktować się właśnie z nim, mając do wyboru plejadę śledczych biorących udział w tym dochodzeniu przed laty. Wiedział, że Harrod pomoże mu w miarę swoich możliwości i nie ukryje żadnych informacji.

Bosch zawsze starał się pogadać z pierwszymi śledczymi prowadzącymi wznawiane po latach sprawy. Zdumiewające, jak wielu z nich wciąż zżerała zawodowa duma – ci nie kwapili się z udzielaniem pomocy innym śledczym w sprawach, których sami nie potrafili rozwikłać.

Harrod był inny. Już podczas ich pierwszej rozmowy poczuwał się do winy za to, że nie doprowadził do rozwiązania sprawy Jespersen, a także wielu innych morderstw popełnionych w trakcie rozruchów, których wyjaśnienie mu zlecono. Powiedział, że jednostka specjalna została zarzucona zbyt wieloma śledztwami, za to dowodów było jak na lekarstwo. Podobnie jak w sprawie Jespersen, większość śledczych RCTF opierała się na niekompletnych albo prawie nieistniejących badaniach miejsc zbrodni. Ich pracę paraliżował brak dowodów rzeczowych.

– W większości przypadków w ogóle nie wiedzieliśmy, od czego zacząć – powiedział Harrod Boschowi. – Poruszaliśmy się po omacku. Dlatego właśnie ustawialiśmy billboardy z obietnicami nagrody. W zasadzie pracowaliśmy na podstawie zgłoszeń, które one przyniosły. Ale niewiele tego było, więc w sumie nic nie wносиły. Nie pamiętam, żebyśmy dokończyli chociażby jedno śledztwo. I jak tu się nie frustrować? To był jeden z powodów, dla których w wieku dwudziestu lat dałem sobie z tym spokój i odszedłem. Musiałem się wyrwać z Los Angeles.

Bosch nie mógł się oprzeć wrażeniu, że policja i miasto straciły dobrego człowieka. Miał tylko nadzieję, że jeżeli zdoła rozwikłać sprawę Jespersen, dla Harroda zawsze będzie to jakaś pociecha.

– Pamiętam, że rozmawiałem z kimś od nich – ciągnął Harrod. – Nie z jej bezpośrednim przełożonym, bo tamten nie mówił po angielsku. Raczej z kimś po prostu stojącym wyżej, i to od niego dostałem ogólne

informacje. Pamiętam też, że w Devonshire jeden z mundurowych mówił w tym języku... po duńsku... więc korzystaliśmy z niego, kiedy trzeba było tam zadzwonić.

To była dla Boscha nowość. W księdze morderstwa nie znalazł raportów na temat rozmowy telefonicznej z kimkolwiek poza Arne Haaganem, redaktorem naczelnym gazety.

– Pamiętasz, z kim wtedy rozmawiano?

– Zdaje mi się, że po prostu z innymi pracownikami gazety, no i może też z kimś z rodziny.

– Z jej bratem?

– Możliwe, ale nie pamiętam, Harry. Minęło dwadzieścia lat, a ja teraz prowadzę inne życie.

– Rozumiem. A pamiętasz, kogo z wydziału Devonshire prosiliście, żeby załatwiał te telefony do Duńczyków?

– Nie ma tego w księdze?

– Nie, w księdze nie ma ani słowa o rozmowach prowadzonych po duńsku. Czy to był po prostu ktoś ze służby patrolowej Devonshire?

– Ehe, jakiś facet, który urodził się w Danii, a wychował tutaj i stąd znał ten język. Nie pamiętam nazwiska. Znaleźli nam go w kadrach. Ale skoro to nie trafiło do księgi, to znaczy, że nic z tego nie wyszło, Harry. Opuściłbym to sobie.

Bosch skinął głową. Wiedział, że Harrod ma rację. Ale nigdy nie dawało mu spokoju, jeżeli okazywało się, że jakaś czynność w śledztwie nie została odnotowana w oficjalnych aktach, w księdze morderstwa.

– Dzięki, Gary, nie zawracam ci dłużej głowy. Chciałem to tylko z tobą wyjaśnić.

– Jesteś pewny? Nie masz nic więcej? Od twojego telefonu nie przestaję myśleć o tej sprawie. O tej, i o tej drugiej, która utknęła w martwym punkcie i wciąż tam tkwi. Znasz ją?

– Co to za sprawa? Może uda mi się do niej zajrzeć, jeżeli nikt jeszcze się nią nie zajął.

Harrod znów zamilkł na chwilę, gdy przeskakiwał pamięcią z jednego śledztwa do drugiego.

– Nazwiska sobie nie przypomnę – rzekł w końcu. – Chodziło o jakiegoś gościa z Pacoima. Był z Utah, tutaj zatrzymał się w jakimś

gównianym motelu. Wchodził w skład ekipy budowlańców, którzy jeździli po całym zachodzie i stawiali nieduże centra handlowo-usługowe. Pamiętam tylko, że kładł kafelki.

– I co się stało?

– Nigdy tego nie ustaliliśmy. Znalaziono go z kulką w głowie, na środku ulicy o jedną przecnicę od jego motelu. Pamiętam, że telewizor w jego pokoju był włączony, pewnie oglądał telewizję. Wiesz, miasto w gruzach i tak dalej. I z niewiadomego powodu wyszedł na dwór, żeby się pogapić. Właśnie to w tym wszystkim nie dawało mi spokoju.

– Że wyszedł?

– Ano. Po kiego wychodził? Miasto stało w ogniu. Nie obowiązywały żadne zasady, panowała anarchia, a jednak porzucił bezpieczne schronienie, żeby wyjść i zobaczyć to na własne oczy. Z tego, co udało nam się ustalić, ktoś go kropnął z przejeżdżającego samochodu. Żadnych świadków, brak motywu i dowodów rzeczowych. Jak tylko dostałem tę sprawę, wiedziałem, że guzik z tego będzie. Pamiętam, jak rozmawiałem przez telefon z jego rodzicami. Byli u siebie, w Salt Lake City. Nie potrafili zrozumieć, jak to możliwe, że ich syna spotkało coś takiego. Dla nich wypad do Los Angeles to było coś jakby wylot na inną planetę. Nie mieścił się w ich pojęciu.

– Tak – mruknął Bosch.

Bo i jak miał to skomentować?

– Tak czy siak – ciągnął Harrod, otrząsając się z tego wspomnienia – muszę iść się umyć. Żona ugotowała na kolację makaron.

– Brzmi niezłe, Gary. Dzięki za pomoc.

– Jaką tam pomoc.

– Pomogłeś mi, naprawdę. Daj znać, gdyby jeszcze coś ci przyszło do głowy.

– Masz to jak w banku.

Bosch odłożył słuchawkę. Próbował sobie przypomnieć, czy zna kogoś, kto dwadzieścia lat temu mógł pracować w Devonshire. W tamtym okresie był to najspokojniejszy, mimo że największy pod względem terytorialnym, wydział policji, któremu podlegał cały północno-zachodni skraj miasta w dolinie San Fernando. Znano go jako Klub Dev, bo posterunek mieścił się w nowym budynku, a pracy było

tyle co nic.

Bosch przypomniał sobie, że w latach dziewięćdziesiątych w Devonshire czasowo pracował porucznik Larry Gandle, były szef sekcji spraw otwartych i niewyjaśnionych, więc mógł wiedzieć, który z funkcjonariuszy znał tam duński. Zadzwoił do biura Gandle'a, obecnie szefa wydziału rabunków i zabójstw w stopniu kapitana.

Połączono go natychmiast. Wyjaśnił, kim jest i w jakiej sprawie dzwoni, na co Gandle przekazał mu złe wieści.

– Tak, policjant, o którym mówisz, to Magnus Vestergaard, ale on już od dobrych dziesięciu lat nie żyje. Rozbił się na motocyklu.

– Szlag by trafił!

– A do czego on ci potrzebny?

– Był tłumaczem z duńskiego w śledztwie, któremu się przyglądam. Chciałem sprawdzić, czy pamięta szczegóły, których nie ma w księdze.

– Przykro mi, Harry.

– Ehe. Mnie też.

□ □ □

Bosch się rozłączył, lecz zanim zdążył odłożyć słuchawkę, telefon znów zaterkotał. Dzwonił porucznik O'Toole.

– Detektywie, może pan zajrzeć do mnie na chwilkę?

– Jasne.

Bosch zgasił ekran komputera i wstał. Wezwanie do gabinetu O'Toole'a nie wróżyło nic dobrego. Czuł na sobie wzrok kilku osób, gdy szedł przez pokój odpraw do pomieszczenia w rogu. W środku było jasno. Nie tylko żaluzje w oknach wychodzących na salę były podniesione, lecz także te w zewnętrznych, dających widok na gmach gazety „Los Angeles Times”. Poprzedni porucznik zawsze trzymał je zamknięte z obawy przed podglądaniem przez wścibskich dziennikarzy.

– O co chodzi, poruczniku? – zapytał Bosch.

– Mam coś dla ciebie i chciałbym, żebyś się tym zajął.

– To znaczy?

– Sprawę. Dzwonił do mnie Pran, analityk z Brygady Zgonów.

Powiąztał wznowioną sprawę z dwa tysiące szóstego ze sprawą

z dziewięćdziesiątego dziewiątego. Chcę, żebyś się tym zajął. Zapowiada się ciekawie. Tu masz jego bezpośredni numer.

O'Toole wręczył Boschowi żółtą karteczkę samoprzylepną z zapisanym numerem telefonu. Brygada Zgonów była nieoficjalnym akronimem nowego Zespołu do spraw Gromadzenia i Oceny Nowych Danych. Stanowił on część nowej formy badania odgrzewanych spraw, zwanej syntetyzowaniem danych.

Przez ostatnie trzy lata Brygada Zgonów przenosiła na nośniki cyfrowe archiwalne księgi morderstw, tworząc potężną bazę łatwo dostępnych i porównywalnych informacji na temat niewyjaśnionych zabójstw. Podejrzani, świadkowie, broń, miejsca zdarzeń, konstrukcje językowe – wszelkie możliwe z milionów szczegółów z miejsc zbrodni oraz dochodzeń – stale kotłowały się w należącym do brygady komputerze IBM o rozmiarach budki telefonicznej. W ten sposób powstał całkowicie nowy model prowadzenia wznowionych śledztw.

Bosch nie sięgnął po karteczkę samoprzylepną, ale ciekawość wzięła górę.

– Na czym polega związek między tymi sprawami? – zapytał.

– Jest świadek. Przypadkowo ten sam świadek widział uciekającego zabójcę. Dwa zabójstwa na zlecenie, jedno w dolinie San Fernando, drugie w śródmieściu, pozornie niezwiązane, a jednak w obu przypadkach występuje ten sam świadek. Coś mi się zdaje, że trzeba by się przyjrzeć temu świadkowi pod całkiem nowym kątem. Bierz ten numer.

Bosch nie wziął kartki.

– Co tu jest grane, poruczniku? Sprawa Jespersen nabrała rozpędu. Dlaczego obarcza pan tym akurat mnie?

– Wczoraj mówiłeś mi, że Jespersen utknęła w martwym punkcie.

– Nie powiedziałem, że utknęła w martwym punkcie.

Powiedziałem, że nie nadaje się do umorzenia.

Nagle Bosch uświadomił sobie, o co tu chodzi. Coś, co powiedział Jordy Gant, miało związek z czymś, nad czym pracował O'Toole. Poza tym wiedział, że poprzedniego dnia w godzinach popołudniowych porucznik brał udział w cotygodniowej nasiadówce szefów jednostek odbywającej się na dziewiątym piętrze. Odwrócił się i ruszył do wyjścia

z gabinetu.

– Harry, a ty dokąd? Wracaj tu!

– Niech pan da to Jacksonowi – odparł Bosch, nie odwracając się.

– Przyda mu się coś do roboty.

– Daję to tobie. Hej!

Bosch przemaszerował przez środek sali i wyszedł za drzwi, do holu z windą. O’Toole nie poszedł za nim, i całe jego szczęście. Polityka i biurokracja to były te rzeczy, których Bosch najbardziej nie znosił. A jego zdaniem O’Toole zajmował się jednym i drugim, chociaż niekoniecznie z własnej woli.

Wjechał windą na dziewiąte piętro i przez otwarte drzwi stanowczym krokiem wszedł do gabinetu komendanta głównego policji. W pomieszczeniu od frontu stały cztery biurka. Przy trzech siedzieli mundurowi, a za czwartym urzędowała Alta Rose – osoba obdarzona zapewne największą władzą spośród wszystkich cywili zatrudnionych w policji. To ona od blisko trzydziestu lat strzegła dostępu do gabinetu komendanta głównego. Była skrzyżowaniem pitbula z maskotką bractwa Sigma Chi. Ci, którzy lekceważyli ją jako zwyczajną sekretarkę, byli w grubym błędzie. Pilnowała rozkładu zajęć szefa i przeważnie to ona mówiła mu, gdzie i kiedy powinien się pojawić.

Przez lata Bosch tak często był wzywany do gabinetu komendanta, że Rose poznała go na pierwszy rzut oka. Uśmiechnęła się słodko, gdy podszedł do jej biurka.

– Detektyw Bosch. Co słychać? – spytała.

– Świetnie, proszę pani. A jak się mają sprawy tutaj?

– Lepiej być nie może. Przykro mi, ale nie widzę pana w kalendarzu spotkań szefa na dzisiaj. Czyżbym się pomyliła?

– Ależ skąd, proszę pani, nie ma mowy o pomyłce. Liczyłem na to, że Marty... to znaczy komendant... znajdzie dla mnie pięć minut.

Jej wzrok pomknął na centralkę telefoniczną na biurku. Jedna lampka świeciła się na czerwono.

– Jakże mi przykro, akurat rozmawia przez telefon.

Bosch jednak wiedział, że dioda tej linii zawsze się świeciła, żeby Alta Rose w razie potrzeby mogła odsyłać interesantów. Była partnerka Boscha, Kiz Rider, przez pewien czas pracowała w biurze komendanta

i zdradziła koledze tę tajemnicę.

– Poza tym wieczorem ma spotkanie, na które będzie musiał wyjść zaraz po...

– Trzy minuty, panno Rose. Proszę go spytać. Przypuszczam, że on i tak już się mnie spodziewa.

Alta Rose zmarszczyła czoło, lecz wstała z za biurka i znikła za wielkimi drzwiami prowadzącymi do azylu szefa. Bosch stał i czekał.

Komendant Martin Maycock przeszedł wszystkie szczeble kariery. Przed dwudziestu pięciu laty był śledczym z wydziału rabunków i zabójstw przydzielonym do brygady specjalnej do spraw zabójstw. Tak samo jak Bosch. Nigdy nie byli partnerami, ale prowadzili razem śledztwa w ramach brygady specjalnej, z których najgłośniejsze dotyczyło pościgu za Dollmakerem. Sprawa zakończyła się w ten sposób, że Bosch zastrzelił osławionego seryjnego zabójcę w jego mieszkaniu, w którym mordował swoje ofiary. Maycock był przystojny, kompetentny jak mało kto, a jego nazwisko łatwo zapadało w pamięć, chociaż nasuwało niezręczne skojarzenia⁵. Korzystał z medialnej sławy i roli celebryty, jaką zapewniły mu najgłośniejsze sprawy, by piąć się w strukturze dowództwa policji, czego ukoronowaniem stała się nominacja na komendanta głównego.

Z początku ten szeregowy funkcjonariusz czuł się wyróżniony oznaką władzy, jaką daje wyniesienie na dziewiąte piętro. Ale minęły trzy lata od nominacji i miesiąc miodowy się skończył. Maycock szefował służbie, której wstrzymano nabór nowych funkcjonariuszy, zmagającej się z dramatycznym kryzysem budżetowym oraz przeróżnymi skandalami, wstrząsającymi policją co kilka miesięcy. Wprawdzie przestępczość gwałtownie spadła, nie przypisano mu jednak zasług z tego tytułu ani nie umocniło go to politycznie. Co gorsza, szeregowi policjanci zaczęli go postrzegać jako polityka, którego interesowały występy w wieczornych wiadomościach, a nie obecność na odprawach czy w miejscach, gdzie dochodziło do użycia broni przez policjantów. W szatniach, na parkingach i w barach, do których chodzili gliniarze po służbie, odrodziło się dawne przezwisko komendanta – Marty MyCock⁶.

Bosch bardzo długo obdarzał komendanta zaufaniem, ale przed

rokiem niechcący pomógł mu wygrać zdradziecką polityczną bitwę z radnym miejskim – największym krytykiem policji. Wpadł w pułapkę, którą zastawiła na niego Kiz Rider. W nagrodę dostała za to awans i teraz w randze kapitana szefowała wydziałowi West Valley. Natomiast Bosch od tej pory nie odezwał się słowem ani do niej, ani do komendanta.

Alta Rose wyszła zza drzwi azylu i przytrzymała je Boschowi.

– Komendant znalazł dla pana pięć minut, detektywie.

– Dziękuję pani.

Wszedł do gabinetu. Zastał Maycocka siedzącego za wielkim biurkiem przystrojonym bibelotami i pamiątkami związanymi z policją bądź sportem. Do olbrzymiego gabinetu z dużym prywatnym balkonem przylegała sala posiedzeń z czterometrowym stołem i panoramicznym widokiem na drapacze chmur w centrum miasta.

– Harry Bosch! Coś mi mówiło, że się dzisiaj odezwiesz.

Podali sobie ręce. Bosch stanął przed wielkim, szerokim biurkiem. Nie mógłby zaprzeczyć, że lubi dawnego kolegę. Nie lubił tylko tego, czym tamten się zajmował i kim się stał.

– Skoro tak, to po coś się wysługiwał O’Toole’em? Dlaczego po prostu nie zadzwoniłeś? W zeszłym roku, jak chodziło o Irvinga, zwróciłeś się wprost do mnie.

– No, i sam wiesz, jak się popaprało. Teraz spróbowałem przez O’Toole’a i znów jest do kitu.

– Czego ty chcesz, Marty?

– Naprawdę muszę ci to tłumaczyć?

– To była egzekucja, Marty. Postawili ją pod ścianą i strzelili jej w oko. A ty nie chcesz, żebym to wyjaśnił, bo była biała?

– To nie tak. Oczywiście, że chcę, żebyś to wyjaśnił. Ale sytuacja jest delikatna. Jeżeli się rozniesie, że jedyne wyjaśnione morderstwo w dwudziestą rocznicę rozruchów dotyczy białej dziewczyny zabitej przez jakiegoś gangstera, to wpakujemy się w szambo po uszy. Niby minęło dwadzieścia lat, Harry, ale to wcale nie jest tak wiele. Nigdy nie wiadomo, jaka iskra może znów rozpalić ogień.

Bosch odwrócił się od biurka i spojrzał przez szybę na ratusz.

– Ty mówisz o odbiorze społecznym, a ja o morderstwie –

powiedział. – Jak to się ma do zasady, że każdy się liczy tak samo, bez względu na to, kim jest? Albo był. Pamiętasz to jeszcze z czasów wydziału zabójstw?

– Oczywiście, że pamiętam, Harry, i nadal tak jest. Nie proszę, żebyś umorzył tę sprawę. Odłóż ją tylko trochę w czasie. Oczekaj z miesiąc, a jak już będzie po pierwszym, wyjaśnij to sprawnie i po cichu. Jeśli się nam poszczęści, okaże się, że sprawca nie żyje i obojdzie się bez procesu. A tymczasem O’Toole powiedział mi, że Brygada Zgonów zgłosiła mu strzelaninę, którą mógłbyś się zająć. Może to nam przysporzy takiego rozgłosu, o jaki nam chodzi.

Bosch pokręcił głową.

– Ja już prowadzę śledztwo w innej sprawie.

Maycock tracił cierpliwość do podwładnego. Jego rumiana twarz jeszcze bardziej poczerwieniała.

– Odłóż ją na potem i zajmij się tą strzelaniną.

– Czy O’Toole powiedział ci, że jeśli wyjaśnię tę sprawę, to przy okazji może rozwiązę pięć czy sześć innych?

Maycock skinął głową, ale lekceważąco machnął ręką.

– Jasne, same porachunki gangsterskie i nic z czasu rozruchów.

– Wznowienie tych spraw to był twój pomysł.

– A skąd miałem wiedzieć, że tylko ty wygrzebiesz jakieś nowe tropy, i to akurat w sprawie Królewnej Śnieżki? Jezus, Maria, Harry, wystarczy samo to przezwisko. Bez względu na to, co będzie dalej, przestań ją tak nazywać.

Bosch zrobił kilka kroków po pokoju. Znalazł miejsce, w którym iglica gmachu ratusza odbijała się w szklanej powłoce północnego skrzydła budynku administracji policji. Zabójców należało ścigać nieustannie, bez względu na to, czy sprawa była świeża, czy odgrzana. Bosch uważał, że jest to jedyna możliwa metoda postępowania, innej nie znał. Dlatego, gdy w paradę wchodziły względy polityczne albo towarzyskie, od razu tracił cierpliwość.

– Idź do diabła, Marty – odburknął.

– Wiem, jak się czujesz – rzekł komendant.

W końcu Bosch odwrócił się i spojrzał na niego.

– Nie, nie wiesz. Już nie.

– Masz prawo do własnego zdania.
– Ale nie do prowadzenia swojego śledztwa.
– Powtarzam, nie o to mi chodzi. Przedstawiasz to w taki sposób, że nie ma jak...
– Już za późno, Marty. Ta sprawa za chwilę i tak wypłynie.
– Wypłynie? Niby jak?
– Potrzebowałem informacji na temat ofiary, więc zadzwoniłem do gazety, dla której pracowała, i wymieniliśmy się tym, co wiem. Pracuję nad tym razem z dziennikarzem. Jeżeli to teraz udupię, facet się zorientuje dlaczego, a wtedy nada temu większy rozgłos, niż gdybym doprowadził rzecz do końca.
– Ty sukinsynu. Co to za gazeta? Szwedzka?
– Duńska. Ona pochodziła z Danii. Ale niech ci się nie wydaje, że to się ograniczy do Danii. Media mają zasięg globalny. Ta historia może wybuchnąć tam, ale odbije się i trafi tutaj... prędeż czy później. A wtedy będziesz musiał się gęsto tłumaczyć, dlaczego ukręciłeś łeb temu śledztwu.
Maycock wziął z biurka piłkę do baseballu i zaczął obracać ją w palcach jak miotacz przyzwyczajający się do nowej piłki.
– Możesz odejść – powiedział.
– Świetnie. I?
– I po prostu stąd zjeżdżaj. Skończyliśmy.
Bosch stał jeszcze przez chwilę, po czym ruszył do drzwi.
– W trakcie śledztwa będę miał na uwadze kwestię odbioru społecznego – rzucił na odchodne.
Mizerna propozycja, ale lepsze to niż nic.
– Niech pan o tym nie zapomina, detektywie – odparł komendant.
Wychodząc z gabinetu, Bosch podziękował Alcie Rose za to, że wpuściła go do szefa.

Rozdział 11

Gdy Bosch zapukał do drzwi domu przy Siedemdziesiątej Trzeciej Place, była szósta po południu. Zazwyczaj przeszukania domów przeprowadzano w godzinach porannych, bo wtedy nie zwracało to uwagi sąsiadów, którzy byli w pracy, w szkole albo spali do późna.

Tym razem jednak plan był inny. Bosch nie zamierzał czekać. Sprawa nabrała rozpędu, więc nie chciał, żeby wygaś.

Po trzecim stuknięciu drzwi otworzyła niska kobieta w podomce i kolorowej chustce na głowie. Na szyi miała tatuaże podchodzące aż po samą brodę. Stała za żelazną kratą, w jakie wyposażona była większość okolicznych domów.

Bosch ustawił się na samym środku ganku od frontu domu. Zrobił to celowo. Za plecami miał dwóch białych funkcjonariuszy z oddziału zwalczania gangów. Nieco z tyłu i po lewej stronie stali na podwórzu Jordy Gant i David Chu. Bosch chciał, żeby do kobiety od razu dotarło, że sprawa jest poważna, skoro biali umundurowani policjanci przyszli przeszukać jej dom.

– Gail Briscoe? – zapytał. – Jestem detektyw Bosch z policji Los Angeles. Oto dokument uprawniający mnie do przeszukania pani domu.

– Przeszukać mój dom? Niby po co?

– Tu jest napisane, że szukamy pistoletu beretta model dziewięćdziesiąt dwa, będącego w posiadaniu Trumonta Story’ego, który mieszkał tu aż do śmierci w dniu pierwszego grudnia dwa tysiące dziewiątego roku.

Podsunał jej dokument, lecz nie mogła po niego sięgnąć przez kraty. Liczył zresztą na to, że tego nie zrobi.

Wobec tego odstawiła pokaz świętego oburzenia.

– Na żarty wam się, kurwa, zebrało?! – wrzasnęła. – Nie wejdziecie tu i nie będziecie mi szperać po kątach. To mój dom, pojebańce.

– Przepraszam, ale czy nazywa się pani Gail Briscoe? – zapytał Bosch spokojnie.

– Tak, to ja, a to jest mój pierdolony dom.

– Mogłaby pani otworzyć kratę i przeczytać ten dokument?

Musimy go wyegzekwować bez względu na to, czy zechce pani z nami współpracować, czy nie.

– Ani mi się śni czytać te pierdoły. Znam swoje prawa. Nie możecie machnąć mi przed oczami jakimś świstkiem i liczyć na to, że otworzę wam drzwi.

– Proszę pani...

– Harry, pozwolisz, że zamienię z panią słówko? – wtrącił się Gant.

Podszedł do ganku w odpowiedniej chwili, zgodnie z opracowanym wcześniej scenariuszem.

– Jasne, użeraj się z nią – burknął Bosch, jak gdyby bardziej zirytowało go pytanie Ganta niż sama Briscoe. Zszedł z ganku, a Gant zajął jego miejsce.

– Daję jej pięć minut, żeby nam otworzyła, a jak nie, to ją skujemy, zapakujemy do radiowozu i zapuszczujemy. Dzwonię po wsparcie.

Bosch wyjął komórkę i odszedł na zarośnięte trawą podwórko przed domem, by Briscoe widziała, że telefonuje.

Gant odezwał się cicho do stojącej w progu kobiety. Odstawiając Louisa Gossetta Juniora, wdzięczny się, licząc na nagrodę.

– Słodziutka, pamiętasz mnie? Już tu byłem. Będzie kilka miesięcy, jak mnie przywieźli, żeby zaprowadzić pokój, ale oni się nie cofną przed niczym. Włamią się i przetrzepią ci manele. Pootwierają wszystko, zaczną ci grzebać w prywatnych rzeczach, będą cię wypytywać, kto tu jeszcze bywa. Chyba tego nie chcesz, co?

– To jakieś pierdoły. Będzie trzy lata, jak Tru nie żyje, a im akurat teraz się zebrało na odwiedziny? Nawet nie umieli znaleźć jego pieprzonego zabójcy, a podtykają mi pod nos jakiś nakaz?

– Wiem, słodziutka, wiem, ale teraz musisz się martwić o siebie. Chyba nie chcesz, żeby ci tutaj przewrócili cały twój dom do góry nogami? Gdzie jest ta spluwa? Wiemy, że Tru ją miał. Po prostu ją oddaj, a dadzą ci spokój.

Bosch udał, że zakończył rozmowę, której nie było, po czym ruszył z powrotem w stronę domu.

– Starczy tego, Jordy. Wsparcie jest w drodze, czas ci się skończył. Gant uniósł rękę.

– Momencik, detektywie, tu się rozmawia. – Spojrzał na kobietę i spróbował po raz ostatni: – Bo rozmawiamy, prawda? Wolisz uniknąć tego całego bajzlu, no nie? Nie chcesz, żeby sąsiedzi zobaczyli cię skutą kajdankami w radiowozie, dobrze mówię?

Przerwał, a Bosch i cała reszta czekali.

– Tylko ty – powiedziała w końcu Briscoe, wskazując zza krat na Ganta.

– Spoko – odparł. – Zaprowadzisz mnie do tego gnata?

Otworzyła kratę i pchnęła ją w jego stronę.

– Tylko ty wchodzisz.

Gant obejrzał się na Boscha i puścił oko. Dopiął swego. Przekroczył próg, a Briscoe z powrotem zamknęła kratę na klucz.

To akurat Boschowi się nie spodobało. Wszedł po schodkach i zajrzał przez kraty. Briscoe prowadziła Ganta korytarzem na tył domu. Bosch po raz pierwszy zobaczył mniej więcej dziewięcioletniego chłopca, który siedział na kanapie i grał na kieszonkowej konsoli gier wideo.

– Jordy, wszystko gra?! – zawołał.

Gant obejrzał się, na co Bosch oparł ręce na kłamce kraty i potrząsnął nią, przypominając koledze, że jest zamknięty na klucz i ma odciętą drogę odwrotu.

– Spoko! – odkrzyknął Gant. – Słodziotka odda mi kłamkę. Nie chce, żeby taka biała hołota grzebała jej po domu.

Uśmiechnął się i zniknął z widoku. Bosch został w progu i nachylony do drzwi, nasłuchiwał, czy odgłosy z domu nie zapowiadają kłopotów. Schował lipny nakaz przeszukania – podrobiony na wzór starego – do wewnętrznej kieszeni marynarki, by wykorzystać go przy następnej okazji.

Odczekał pięć minut, lecz słyszał jedynie elektroniczne popiskiwanie gry chłopca. Domyślał się, że mały jest synem Trumonta Story'ego.

– Hej, Jordy! – zawołał w końcu.

Chłopiec nie oderwał się od swojej gry. Bosch nie usłyszał odpowiedzi.

– Jordy?! –

I znów bez odpowiedzi. Spróbował przekręcić klamkę, choć wiedział, że krata jest zamknięta na klucz. Odwrócił się do dwóch gliniarzy z OZG i dał im znak, by przeszli na tył domu i sprawdzili, czy nie ma tam otwartych drzwi. Chu wskoczył na ganek.

I wtedy Bosch zobaczył, że Gant pojawia się u wylotu korytarza i z szerokim uśmiechem podnosi dużą plastikową, zapinaną na zatrzask torbę z czarnym pistoletem w środku.

– Mam go, Harry. Jest w porzo.

Bosch kazał Chu zabrać dwóch gliniarzy z OWG i wycofać się, po czym odetchnął pełną piersią po raz pierwszy od dziesięciu minut. Załatwili to w najlepszy możliwy sposób. O’Toole za żadne skarby nie zaklepałby wystąpienia o nakaz przeszukania. Nie było dostatecznie uzasadnionych podstaw, by sędzia zatwierdził przeszukanie trzy lata po śmierci podejrzanego. W tej sytuacji lipny nakaz wydawał się najlepszym rozwiązaniem. Scenariusz Ganta sprawdził się idealnie. Briscoe wydała im pistolet z własnej woli, dzięki czemu nie musieli dokonać nielegalnego przeszukania domu.

Gdy Gant podszedł do drzwi, Bosch zobaczył, że torba jest mokra.

– Rezerwuar od klozetu?

Oczywista kryjówka. Jedna z pięciu najczęściej stosowanych przez przestępców. Na jakimś etapie dojrzewania każdy z nich oglądał *Ojca chrzestnego*.

– Pudło. Podstawka pod pralką na przeciekającą wodę z rury odpływowej.

Bosch pokiwał głową. To nie łąpało się nawet do pierwszej dwudziestkiptki. Briscoe sięgnęła zza pleców Ganta i przekręciła klucz w zamku. Bosch pociągnął kratę, by kolega mógł wyjść na zewnątrz.

– Dziękuję pani za współpracę – powiedział.

– Wypierdalajcie z mojej posesji i nie pokazujcie mi się więcej na oczy – odparła.

– Z miłą chęcią, proszę pani.

Bosch zasalutował jej kpiąco i zszedł za kolegą z ganku. Gant podał mu torbę. Po drodze Harry obejrzał broń. Mimo że plastikowa torba była utyłana czarną pleśnią i nosiła ślady zadrapań po wieloletnim użytku, poznał, że ten pistolet to beretta model 92.

Kiedy stanęli przy bagażniku samochodu, Harry włożył lateksowe rękawiczki i wyciągnął pistolet z foliowej torby, by móc go dokładnie obejrzeć. Najpierw zauważył głębokie zadrapanie z lewej strony lufy i zamka, które zamalowano farbą albo mazakiem. Na oko była to ta sama broń, którą opisał i znalazł na podwórku za swoim domem Charles Krutki Washburn po tym, jak zamordowano Jespersen.

Następnie Bosch sprawdził numer seryjny po lewej stronie zamka. Wyglądało na to, że wybijany maszynowo numer znikł. Z bliska, gdy spojrzął na pistolet pod innym kątem do światła, dostrzegł kilka zadrapań na metalu. Wątpił, by zostawiło je ostrze kosiarki do trawników. Sprawiało to raczej wrażenie celowych i usilnych starań w celu usunięcia numeru, po którym można było wyśledzić nabywcę. Im bardziej przyglądał się zadrapaniom, tym bardziej nabierał przekonania, że tak to właśnie było. Albo Trumont Story, albo poprzedni właściciel pistoletu specjalnie usunął numer seryjny.

– To ten? – zapytał Gant.

– Na to wygląda.

– Widzisz numer seryjny?

– Nie, usunięto.

Bosch wyjął pełny magazynek oraz nabój z komory pistoletu. Potem włożył broń do nowej torby na dowody rzeczowe. Jej związek z zabójstwem Jespersen i tych, które nastąpiły po nim, będzie trzeba potwierdzić testami balistycznymi, ale był pewien, że oto trzyma pierwszy od dwudziestu lat konkretny dowód rzeczowy ujawniony w tej sprawie. Niekoniecznie przybliżał on go do zabójcy Anneke Jespersen, ale zawsze to było coś. Punkt wyjścia.

– Kazałam wam się wynosić! – krzyknęła Briscoe zza kraty w drzwiach. – Dajcie mi święty spokój albo was pozwę o nękanie! Zróbcie wreszcie coś pożytecznego i znajdźcie tego, kto zabił Tru Story'ego.

Bosch włożył broń do otwartego tekturowego pudełka, które woził w bagażniku, i zatrzasnął klapę, spoglądając ponad dachem samochodu na kobietę. Przechodząc na stronę kierowcy, pokazał jej język.

Mieli fart. Charles Washburn nie dość, że nie zdołał zebrać forszy na kaucję, to wciąż czekał na transport z celi na posterunku przy Siedemdziesiątej Siódmej do aresztu miejskiego w śródmieściu. Wyciągnięto go z powrotem do pokoju przesłuchań w Biurze Detektywów i czekał tam, gdy weszli Bosch, Chu i Gant.

– Co to, odstawiacie trzech pajaców? – odezwał się. – Będziecie mnie obrabiać we trójkę?

– Nie, Charlie, nikt cię nie będzie obrabiał – odpowiedział Gant. – Jesteśmy tu, żeby ci pomóc.

– Tak? Ciekawe, w jaki sposób.

Bosch wysunął krzesło i usiadł naprzeciwko Washburna. Położył na stole zamknięte tekturowe pudełko. Gant i Chu stali w maleńkim pokoju.

– Proponujemy ci układ – rzekł Gant. – Zaprowadzisz nas do domu, w którym się wychowałeś, i pokażesz nam, gdzie wpakowałeś kulkę w słupek płotu, a my zobaczymy, czy da się wycofać niektóre zarzuty przeciwko tobie. No wiesz, świadek, który poszedł na współpracę. *Quid pro quo*.

– Co? Teraz? Człowieku, jest ciemno.

– Mamy latarki, Krutki – powiedział Bosch.

– Nie idę na żadną współpracę, człowieku, a całe to quid pro quota możesz se wsadzić w dupę. Powiedziałem wam o Storym tylko dlatego, że nie żyje. A teraz odstawcie mnie z powrotem do celi.

Chciał wstać, lecz Gant klepnął go w ramię – przyjacielsko, ale dostatecznie mocno, by gangster nie mógł się ruszyć z krzesła.

– Nie będziesz współpracować przeciwko komuś. Nic z tych rzeczy. Zaprowadzisz nas tylko do tej kuli. Niczego więcej nie chcemy.

– I na tym koniec?

Oczy Krutkiego pobiegły do pudełka na stole. Gant spojrzał na Boscha, a ten przejął pałeczkę.

– I chcemy, żebyś obejrzał kilka pistoletów, które skonfiskowaliśmy. Może zidentyfikujesz ten, który znalazłeś dwadzieścia lat temu. Ten, który dałeś Trumontowi Story’emu.

Nachylił się i otworzył pudełko. Oprócz pistoletu wydane go przez Gail Briscoe włożyli do niego dwa inne, nienaładowane, kaliber 9

milimetrów, w torbach na dowody rzeczowe. Bosch wyciągnął je, położył na stole, a pudełko odstawił na podłogę. Następnie Gant rozkuł Washburna, żeby mógł je wziąć po kolei i obejrzyć bez wyciągania z foliowych toreb.

Berettę z domu Trumonta Story'ego Krutki zostawił sobie na sam koniec. Obejrzał ją z obu stron i pokiwał głową.

– To ten – oznajmił.

– Jesteś pewny? – zapytał Bosch.

Washburn przesunął palcem po lewym boku beretty.

– No, tak mi się zdaje, z tym tylko, że zamaskowali to zadrapanie.

Ale nadal je czuję. Zostawiło je ostrze kosiarki.

– Nie interesuje mnie, co ci się zdaje. Czy to jest pistolet, który znalazłeś, czy nie?

– Tak, człowieku, to jest ta klamka.

Bosch wziął broń i naciągnął folię na zamek, tam gdzie powinien być wybity numer seryjny.

– Popatrz tutaj. Czy to już było wtedy, jak go znalazłeś?

– Na co mam patrzeć?

– Nie rznij głupa, Charles. Zniknął numer seryjny. Czy kiedy znalazłeś tę broń, już go nie było?

– Mówisz o tych zadrapaniach? Tak, tak mi się zdaje. To ślad kosiarki.

– Nie zostawiła tego żadna kosiarka. Zrobiono to pilnikiem.

Twierdzisz, że z całą pewnością tak to już wyglądało, kiedy znalazłeś tę spluwę?

– Człowieku, nie jestem pewny niczego sprzed dwudziestu lat.

Czego ty chcesz ode mnie? Nie pamiętam.

Jego uniki zirytowały Boscha.

– Czy ty spiłowałeś numer, Charles? Żeby pistolet miał większą wartość dla kogoś takiego jak Tru Story?

– Nie, człowieku, ja tego nie zrobiłem.

– Skoro tak, to powiedz mi, Charles, ile pistoletów znalazłeś przez całe życie?

– Tylko ten jeden.

– Zgoda. I od razu po znalezieniu go wiedziałeś, że jest cenny, tak?

Wiedziałeś, że jeśli go oddasz szefowi ulicy, to może dostaniesz coś w zamian. Że może zaproszą cię do klubu, zgadza się? Więc nie kręć i mi nie wmawiaj, że nie pamiętasz. Gdybyś znalazł tę broń bez numeru seryjnego, powiedziałbyś o tym Trumontowi Story'emu, bo orientowałeś się, że to dla niego plus. Więc jak to było, Charles?

– Tak, człowieku, już go nie było. Jasne? Został usunięty. Jak znalazłem tę klamkę, nie było na niej numeru seryjnego i powiedziałem o tym Tru, więc zejdźcie ze mnie.

Bosch uświadomił sobie, że nachylając się nad stołem, naruszył coś, co Washburn uważał za swoją przestrzeń osobistą. Wyprostował się.

– W porządku, Charles, dziękuję.

Wyznanie gangstera miało wielkie znaczenie, bo potwierdzało to, w jaki sposób zabójca Anneke Jespersen popełnił tę zbrodnię. Boscha nurtowało pytanie, dlaczego morderca wyrzucił pistolet za płot. Czy w zaułku wydarzyło się coś, co zmusiło go do pozbycia się broni? Czy huk wystrzału ściągnął ludzi? Ale skoro posługiwał się bronią, której pochodzenia jego zdaniem nie dało się wytropić, rzecz wyglądała nieco lepiej. Ponieważ usunięto wcześniej numer seryjny, zabójca uznał, że można by go powiązać z narzędziem zbrodni tylko wówczas, gdyby je przy nim znaleziono. Należało więc czym prędzej się go pozbyć. To tłumaczyło, dlaczego wyrzucił pistolet za płot.

Bosch zawsze przywiązywał wagę do sensownego następstwa zdarzeń w trakcie popełniania zbrodni.

– To co, uwolnicie mnie teraz z zarzutów i w ogóle? – spytał Washburn.

Wyrwany z zadumy Bosch spojrzał na niego.

– Nie, jeszcze nie. Wciąż szukamy tej kuli.

– Po kiego wam potrzebna? Macie już sfluwę.

– Bo pomoże nam sklecić całą historię. Przysięgli uwielbiają szczegóły. Idziemy.

Bosch wstał i zaczął pakować trzy pistolety do kartonu. Gant wyciągnął kajdanki i dał znak Washburnowi, żeby się ruszył. Ale ten siedział jak przykuty do krzesła i wciąż protestował.

– Mówiłem wam, gdzie ona jest, człowieku. Nie jestem wam potrzebny.

Bosch nagle coś sobie uświadomił i dał znak Gantowi, żeby zaczekał.

– Coś ci powiem, Charles. Jeśli obiecasz, że będziesz współpracował tam na miejscu, to pojedziesz bez kajdanek. I dopilnujemy, żeby twoja eks trzymała się z daleka. Pasuje ci?

Washburn spojrział na niego i skinął głową. Harry zobaczył, że zaszła w nim zmiana. Kurdupel martwił się, że syn zobaczy go ze skutymi rękami.

– Ale spróbuj nam zwać, to będę cię ścigał do upadłego – zapowiedział mu Gant. – A jak już cię znajdę, gorzko pożałujesz. No, jedziemy.

Tym razem pomógł Washburnowi wstać z krzesła.

□ □ □

Pół godziny później Bosch i Chu stali z Washburnem na podwórku za domem, w którym spędził dzieciństwo. Gant został od frontu – trzymał straż przy byłej żonie Washburna, pilnując, żeby złość kobiety nie przerodziła się w czynny atak na ojca jej dziecka.

Wskazanie słupka płotu, w który wpakował kulkę dwadzieścia lat temu, nie zajęło Washburnowi wiele czasu. Otwór wlotowy wciąż był widoczny, zwłaszcza gdy poświecili latarkami pod kątem. Dziura naruszyła impregnację drewna, więc woda poczyniła pewne szkody. Na początek Chu zrobił zdjęcie telefonem, a Bosch trzymał obok otworu wizytówkę, by mieli skalę. Następnie Bosch wziął swój składany nóż, zagłębił ostrze w miękkim, gnijącym drewnie i wkrótce wygrzebał ołowiany pocisk. Wytarł go palcami i podniósł do góry. Kulę wystrzeloną wcześniej z pistoletu, z którego zabito Anneke Jespersen.

Wrzucił pocisk do małej torebki na dowody, którą podstawił mu Chu.

– To co, mogę już iść? – zapytał Washburn, nieufnie zerkając na drzwi z tyłu domu.

– Nie bardzo – odparł Bosch. – Musimy wrócić na Siedemdziesiątą Siódmą i załatwić papierki.

– Obiecywaliście mi, że jeżeli wam pomogę, wycofacie zarzuty. Świadek, który poszedł na współpracę, i tak dalej.

– Pomogłeś nam, Charles, i jesteśmy ci za to wdzięczni. Ale nigdy nie mówiliśmy, że odstąpimy od wszystkich zarzutów. Powiedzieliśmy, że jeśli nam pomożesz, my pomożemy tobie. Dlatego teraz wrócimy, a ja podzwonię i poprawię twoją sytuację. Myślę, że na pewno uda mi się oddalić zarzut o handel narkotykami. Ale jeśli chodzi o niepłacenie alimentów, to już jest teraz na twojej głowie. Sędzia wydał nakaz aresztowania w tej sprawie. Będziesz musiał się z nim spotkać, żeby to załatwić.

– Z nią, bo to była baba, a poza tym jak mam to załatwić, jeśli mnie wpakują do pudła?

Bosch odwrócił się twarzą do Washburna i rozstawił nogi. Jeśli Krutki miał zamiar uciec, to spróbuje właśnie teraz. Chu zauważył ten ruch i również zmienił postawę.

– To pytanie powinienś skierować raczej do swojego prawnika – odparł Bosch.

– Mój prawnik jest do dupy. Jeszcze go nawet nie widziałem.

– Więc może zacznij od wynajęcia nowego. Jedziemy.

Gdy szli przez podwórze do wyłamanej furtki, pod zasłoną w jednym z okien z tyłu domu ukazała się twarz chłopca. Washburn uniósł ręce i pokazał mu zadarte w górę kciuki.

□ □ □

Zanim opuścili posterunek przy Siedemdziesiątej Siódmej, zostawiając Washburna w celi, Bosch wiedział, że jest za późno na wizytę w Okręgowym Laboratorium Kryminalistycznym Uniwersytetu Kalifornijskiego ze zdobytym pistoletem i kulą. Dlatego wraz z Chu wrócił do gmachu administracji policji i schował je w kasie pancерnej na dowody rzeczowe w sekcji spraw otwartych i niewyjaśnionych.

Przed wyjściem do domu sprawdził, czy nie ma na biurku wiadomości, i z tyłu oparcia krzesła zobaczył karteczkę samoprzylepną. Nie musiał jej czytać, by wiedzieć, że jest od porucznika O’Toole’a. Wszak była to ulubiona metoda komunikowania się szefa. Związła wiadomość głosiła: MUSIMY POGADAĆ.

– Zdaje się, że z samego rana czeka cię *tête-à-tête* z O’Foolem⁷, Harry – rzekł Chu.

– No. Nie mogę się doczekać.

Zmiał karteczkę i wyrzucił ją do kosza na śmieci. Nie będzie się śpieszył na poranne spotkanie z szefem. Miał ważniejsze sprawy na głowie.

Rozdział 12

Działali jak zgrany zespół. Madeline złożyła zamówienie przez internet, a Bosch podjechał do Birds na Franklin, żeby odebrać jedzenie. Gdy wrócił do domu, wciąż było gorące. Otworzyli pojemniki na wynos, po czym wymienili się nimi, gdy okazało się, że źle odgadli zawartość. Oboje wzięli popisowe danie restauracji, kurczaka z rożna, ale Bosch zdecydował się poza tym na fasolę w sosie pomidorowym oraz surówkę z białej kapusty z sosem barbecue, natomiast córka zamówiła jako dodatki dwa inne dania: makaron z serem i malezyjski sos ostro-słodki. Ormiański chleb lawasz zapakowano im w folię aluminiową, a trzeci, mniejszy pojemnik zawierał smażone pikle, którymi mieli się podzielić.

Potrawy były przepyszne. Nie aż tak dobre jak gdyby zjedli je w Birds na miejscu, ale niewiele gorsze. Mimo że podczas posiłku siedzieli naprzeciwko siebie, prawie się nie odzywali. Bosch pogrążył się w myślach o śledztwie i o tym, co ma dalej zrobić z odzyskaną bronią. Natomiast jego córka czytała przy stole. Nie karmił jej, uważając, że czytanie przy jedzeniu jest o niebo lepsze od wysyłania SMS-ów i udzielania się na Facebooku, czym się przeważnie zajmowała.

Jako detektyw należał do tych niecierpliwych. Najbardziej liczył się dla niego rozpęd. A także to, jak go nabrać, utrzymać i wreszcie jak się pilnować, żeby go nie stracić. Wiedział, że mógłby przekazać pistolet do pracowni broni i balistyki w celu analizy oraz – być może – odtworzenia pierwotnego numeru seryjnego. Najprawdopodobniej jednak nie odezwaliby się do niego przez kilka tygodni, jeśli nie miesięcy. Musiał znaleźć sposób, by tego uniknąć, by obejść przeszkody – zarówno biurokratyczne, jak i wynikające z nawału pracy. Po jakimś czasie uznał, że wpadł na roboczy plan.

Wkrótce spałaszował swoje potrawy. Rozejrzał się po stole i zobaczył, że jeśli dopisze mu szczęście, może załapie się na trochę makaronu z serem.

– Dołożyć ci pikli? – zapytał.

– Nie, reszta jest dla ciebie – odparła.

Jednym kęsem pochłonął pikle do końca. Zerknął na książkę, którą czytała – lekturę z literatury angielskiej. Była już blisko końca.

Podejrzewał, że zostały jej najwyżej dwa rozdziały.

– Nigdy nie widziałem, żebyś tak się rzuciła na jakąś książkę – zauważył. – Skończysz wieczorem?

– Nie, ostatniego rozdziału nie zadano nam na dzisiaj, ale nie potrafię się od niej oderwać. Jest taka smutna.

– To znaczy, że bohater umiera?

– Nie... To znaczy, jeszcze nie wiem. Nie sądzę. Smutno mi dlatego, że zaraz się skończy.

Bosch pokiwał głową. Nie przepadał za książkami, ale wiedział, co córka miała na myśli. Pamiętał uczucie, jakie ogarnęło go, gdy doczytał do końca *Straight Life*⁸ – prawdopodobnie ostatnią książkę, którą przeczytał od deski do deski.

Odłożyła książkę, by dokończyć posiłek. Harry zobaczył, że nie ma co liczyć na resztki makaronu z serem.

– A wiesz, że trochę mi go przypominasz – powiedziała.

– Naprawdę? Tego chłopca z książki?

– Pan Moll mówił, że to książka o niewinności. Chłopiec próbuje łąpać małe dzieci, zanim spadną z urwiska. To metaforyczne przedstawienie utraty niewinności. On zna realia rządzące światem i pragnie powstrzymać niewinne dzieci przed koniecznością zmierzenia się z nimi.

Pan Moll był nauczycielem Maddie. Opowiedziała Boschowi, że podczas sprawdzianów wchodził na biurko i z góry obserwował uczniów, pilnując, żeby nie ściągali. Dzieciaki nazywały go „Buszujący na biurku”.

Bosch nie wiedział, co by tu odpowiedzieć, bo nie czytał powieści Salingera. Wychowywał się w sierocińcach i – od czasu do czasu – w rodzinach zastępczych. Nie wiadomo, dlaczego tej lektury akurat nigdy mu nie zadano. A nawet gdyby, i tak pewnie by jej nie przeczytał. Był kiepskim uczniem.

– No cóż – mruknął. – Zdaje się, że ja przyszedłem, kiedy już spadli z urwiska, nie sądzisz? Wyjaśniam morderstwa.

– Nie, tu chodzi o to, dlaczego chcesz się tym zajmować – odparła.
– Już za młodu pozbawiono cię wielu rzeczy w życiu. Myślę, że właśnie dlatego postanowiłeś zostać policjantem.

Bosch zamilkł. Jego córka była niezwykle spostrzegawcza i kiedy mówiąc o nim, trafiała w dziesiątkę, z jednej strony czuł się zażenowany, a z drugiej pełen podziwu. Wiedział też, że jeśli chodzi o pozbawienie wielu rzeczy za młodu, jechali na jednym wózku. I powiedziała kiedyś, że ona również chce się zajmować tym samym, co ojciec. Bosch poczuł się zaszczycony, a jednocześnie przerażony. W głębi ducha liczył na to, że trafi się coś innego – konie, chłopcy, muzyka, cokolwiek – co pochłonie ją tak, że zmieni jej plany na przyszłość.

Jak dotąd nic takiego nie nastąpiło. Dlatego ze wszystkich sił starał się przygotować córkę do czekającej ją misji.

Maddie opróżniła swój podzielony na trzy części pojemnik, zostawiając same kości z kurczaka. Spalała ogromne ilości energii i czasy, gdy Bosch mógł liczyć na resztki z jej talerza, odeszły w zamierzchną przeszłość. Pozbierał więc wszystkie odpadki i zaniósł do kosza na śmieci w kuchni. Otworzył lodówkę i wyjął butelkę fat tire, która została od jego urodzin.

Kiedy wrócił, Maddie siedziała na kanapie z książką w ręku.

– Hej, jutro muszę wyjść strasznie wcześnie – powiedział. – Obudzisz się sama, zrobisz sobie coś na lunch i tak dalej?

– Oczywiście.

– Co zjesz?

– Jak zwykle. Ramen⁹. A w automacie kupię sobie jogurt.

Makaron i sfermentowane przez bakterie mleko. Boschowi nie mieściło się w głowie, że takie coś można uznać za lunch.

– Jak stoisz z pieniędzmi do automatu?

– Wystarczy mi do końca tygodnia.

– A co z tym chłopakiem, który się z ciebie nabijał, bo jeszcze się nie malujesz?

– Unikam go. To naprawdę nic wielkiego, tato. A poza tym, co znaczy „jeszcze”? Nigdy nie będę się malowała.

– Przepraszam, źle się wyraziłem.

Odczekał chwilę, ale rozmowa dobiegła końca. Zastanawiał się, czy mówiąc, że nękanie jej przez tego palanta to nic wielkiego, nie miała na myśli, że jest wręcz przeciwnie. Chciał, żeby się oderwała od książki i spojrzała na niego, ale czytała ostatni rozdział. Nie drążył więc tematu.

Wyszedł z piwem na ganek za domem, by popatrzeć na miasto. W zimnym i rzeźkim powietrzu światła w kanionie oraz na autostradzie widać było szczególnie ostro i wyraźnie. Zimne noce zawsze powodowały, że czuł się samotny. Ziąb przenikał go do szpiku kości i nie znikał, a wtedy Bosch myślał o tym, co stracił w życiu przez lata.

Odwrócił się i spojrział przez szybę na córkę, skuloną na kanapie. Patrzył, jak kończy lekturę książki. I jak przeczytawszy ostatnią stronę, zanosi się płaczem.

Rozdział 13

W czwartek o szóstej rano Bosch zajechał na parking przed Okręgowym Laboratorium Kryminalistycznym. Niebo nad wschodnim Los Angeles właśnie zabarwiały krwistoczerwone pierwsze promienie słońca. O tak wczesnej porze na otaczającym budynek kampusie Uniwersytetu Kalifornijskiego panował spokój. Bosch zatrzymał się w takim miejscu, by mieć widok na wszystkich pracowników laboratorium, gdy parkowali swoje pojazdy i przechodzili do budynku. Czekał, popijając kawę.

O szóstej dwadzieścia pięć zobaczył człowieka, którego potrzebował. Odstawił kawę, wysiadł z samochodu i z zapakowanym pistoletem pod pachą, lawirował pośród pojazdów, by przeciąć mu drogę. Dopadł go, zanim tamten doszedł do wejścia do budynku ze szkła i kamienia.

– Pete Pistolet, miałem nadzieję, że właśnie na ciebie tu wpadnę. Nawet jadę na drugie piętro.

Bosch dotarł do drzwi i przytrzymał je znajomemu. Peter Sargent od lat był ekspertem w pracowni broni i balistyki laboratorium. Pracowali już ze sobą przy okazji kilku śledztw.

Sargent przeciągnął kartę przez czytnik w elektronicznej bramie. Bosch pokazał ochroniarzowi za biurkiem swoją odznakę i poszedł za Sargentem. Razem wsiedli do windy.

– Co jest grane, Harry? Wyglądało na to, że czekałeś tam na mnie.

Bosch posłał mu uśmiech na znak, że kolega go przejrzał, i skinął głową.

– No, faktycznie czekałem. Bo właśnie ciebie potrzebuję. Potrzebny mi jest Pete Pistolet.

Przydomek ten nadał mu kilka lat wcześniej „Los Angeles Times” w tytule artykułu opisującego jego niestrudzone wysiłki w celu dopasowania pistoletu Kahr P9 do naboju z czterech na pozór niezwiązanych ze sobą zabójstw. Sargent był też kluczowym świadkiem w procesie, w którym udało się skazać płatnego zabójcę na usługach mafii.

– Co to za sprawa? – zapytał.

– Morderstwo sprzed dwudziestu lat. Wczoraj wreszcie zdobyliśmy pistolet, którym prawie na pewno dokonano tego zabójstwa. Potrzebuję dopasować kulę do broni, a poza tym muszę sprawdzić, czy da się odzyskać numer seryjny. To najważniejsza rzecz. Uważam, że mając ten numer, trafimy do sprawcy. Wyjaśnimy sprawę.

– To aż takie proste, co?

Pete sięgnął po pakunek, gdy winda zatrzymała się na drugim piętrze.

– No... obaj wiemy, że nic nie jest aż tak proste. Ale sprawa nabrała impetu, więc nie chcę jej spowalniać.

– Numer spiłowano czy wypalono kwasem?

Szli korytarzem zakończonym dwuskrzydłowymi drzwiami do pracowni broni i balistyki.

– Na moje oko został spiłowany. Ale dasz radę go odtworzyć, co?

– Czasami nam się to udaje... przynajmniej częściowo. Ale wiesz, że ten proces trwa cztery godziny, prawda? Pół dnia pracy. I wiesz, że powinniśmy brać wszystko po kolei. Obecny czas oczekiwania wynosi pięć tygodni, nie ma jak wcisnąć się bez kolejki.

Bosch miał na to gotową odpowiedź.

– Nie proszę, żebyś mnie wcisnął bez kolejki. Pomyślałem tylko, że może rzuciłbyś na to okiem podczas przerwy na lunch i gdyby wyglądało obiecująco, polałbyś to swoją magiczną miksturą, a pod koniec dnia sprawdził, co wyszło. Cztery godziny, ale bez uszczerbku dla twoich normalnych zajęć.

Sargent uśmiechnął się, podnosząc rękę, by wbić numer na klawiaturze zamka do pracowni. Wystukał 1-8-5-2: rok założenia firmy Smith & Wesson.

Pchnął drzwi.

– Bo ja wiem, Harry? Na lunch mamy tylko pięćdziesiąt minut, a muszę wyjść go kupić. Nie przynoszę lunchu do roboty, jak niektórzy.

– Dlatego musisz mi powiedzieć, co chcesz zjeść, a ja przywiozę ci to tu o jedenastej piętnaście.

– Serio?

– Serio.

Sargent zaprowadził Boscha do stanowiska pracy składającego się

z wyściełanego stołka i wysokiego stołu zagraconego częściami broni palnej, lufami oraz kilkoma torbami na dowody rzeczowe zawierającymi kule albo pistolety. Na ścianie nad stołem wisiał tytuł z „Timesa”:

Świadek prokuratury „Pete Pistolet” zeznaje przeciw domniemanemu egzekutorowi mafii.

Sargent położył pakunek od Boscha na samym środku z przodu stołu, co Harry wziął za dobrą monetę, więc rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt nie zobaczy, jak próbuje urobić kolekę. Ale jak dotąd poza nimi w pracowni nie było nikogo.

– I co ty na to? – spytał. – Założę się, że odkąd się tu przeprowadziliście, ani razu nie jadłeś steku w sosie pieprzowym od Giameli.

Sargent w zamyśleniu pokiwał głową. Laboratorium okręgowe miało zaledwie kilka lat; łączyło w sobie laboratoria kryminalistyczne zarówno policji miejskiej, jak i biura szeryfa okręgu Los Angeles. Wcześniej pracownia balistyki policji Los Angeles mieściła się w Komisariacie Północno-Wschodnim koło Atwater. Tam obowiązkowym punktem programu były kanapki z bagietek w barze zwanym Giamela. Bosch i jego aktualny partner, kimkolwiek był, zawsze tam zaglądali. Ba, nawet specjalnie organizowali dostarczanie broni w porze lunchu i często brali kanapki na wynos, by zjeść je na pobliskim cmentarzu Forest Lawn Memorial Park. Kiedyś Bosch miał za partnera fanatycznego kibica baseballu, który zawsze nalegał, żeby wożąc broń do laboratorium, zaglądali na grób Caseya Stengela. Jeżeli trawa nie była przystrzyżona jak należy albo rosły na niej chwasty, osobiście zwracał uwagę opiekunom grobów.

– Wiesz, za czym tęsknię? – rzekł Sargent. – Tęsknię za ich kanapkami z klopsikami. Ten sos był niesamowity.

– Kanapka z klopsikami raz – potwierdził Bosch. – Wolisz z serem czy bez?

– Bez sera. A mógłbyś wziąć dodatkową porcję sosu do kubka czy czegoś innego? Do czegoś, co nie rozmięknie.

– Dobry pomysł. Do zobaczenia o jedenastej piętnaście.

Dopiąwszy swego, Bosch odwrócił się i ruszył do wyjścia, zanim

kolega zmieni zdanie.

– Hej, Harry, momencik – rzucił szybko Sargent. – A co z ekspertyzą balistyczną?

Bosch nie potrafił orzec, czy ekspert próbuje go naciągnąć na drugą kanapkę.

– Też mi się przyda, ale przede wszystkim potrzebny mi numer seryjny, bo dzięki niemu będę mógł pracować, czekając na balistykę. Poza tym jestem pewny, że kula będzie pasowała. Mam świadka, który zidentyfikował broń.

Sargent skinął głową, a Bosch znów ruszył do drzwi.

– Na razie, Pistolecie.

□ □ □

Natychmiast po przyjsciu do biura Bosch usiadł do komputera. W domu nastawił budzik na czwartą rano, by sprawdzić, czy nie dostał e-maila z Danii. Nic nie przyszło. Za to teraz, gdy otworzył skrzynkę pocztową, zobaczył wiadomość od Mikkela Bonna, dziennikarza, z którym rozmawiał.

Detektywie Bosch, jestem już po rozmowie z Jannikiem Frejem i mam odpowiedzi na Pańskie pytania, podaję je tłustym drukiem.

Czy według pańskiej wiedzy Anneke Jespersen poleciała do Stanów Zjednoczonych, bo była na tropie tematu do artykułu? Jeśli tak, o czym miał być ten artykuł? Co robiła w Ameryce? **Frej twierdzi, że pisała o zbrodniach wojennych popełnionych w czasie Pustynnej Burzy, ale miała zwyczaj nie ujawniać wszystkich szczegółów, dopóki nie była ich pewna. Frej nie wie konkretnie, z kim się spotykała ani dokąd jeździła na terenie Stanów Zjednoczonych. W ostatniej wiadomości, jaką od niej dostał, informowała go, że jedzie do Los Angeles, by zbierać materiały do artykułu, więc może relacjonować rozruchy, jeżeli „BT” zapłaci za te korespondencje osobne honorarium. Zadałem w związku z tym wiele pytań, ale Frej podtrzymywał, że tak czy inaczej wybierała się do Los Angeles tropem artykułu na temat wojny, natomiast była gotowa relacjonować rozruchy, jeżeli gazeta jej zapłaci. Czy to Panu pomoże?**

Co może mi pan powiedzieć o miejscach, które odwiedziła w Stanach Zjednoczonych? Przed przyjazdem do Los Angeles pojechała do Atlanty i San Francisco. Po co? Wiadomo panu, czy bawiła w innych miastach w Stanach Zjednoczonych? **Na te pytania Frej nie zna odpowiedzi.**

Przed wyprawą do Ameryki pojechała do Stuttgartu w Niemczech, gdzie zatrzymała się w hotelu położonym niedaleko amerykańskiej bazy wojskowej. Czy wie pan dlaczego? **To był początek artykułu, ale Frej nie wie, kogo Anneke odwiedziła. On uważa, że w tamtejszej bazie wojskowej mogła być jednostka do badania zbrodni wojennych.**

E-mail nie wnosił nic nowego. Bosch nerwowo odchylił się na oparcie fotela i wlepił wzrok w ekran komputera. Bariery odległości i językowa doprowadzały go do szału. Wyjaśnienia Freja brzmiały kusząco, lecz były niepełne. Bosch musiał sformułować odpowiedź w taki sposób, by uzyskać więcej informacji. Pochylił się i zaczął pisać.

Panie Bonn, dziękuję za list. Czy istnieje taka możliwość, żebym sam porozmawiał z Jannikiem Frejem? Czy on mówi choć trochę po angielsku? Śledztwo nabrało rozpędu i tylko ten wątek się wlecze, na odpowiedzi na moje pytania muszę czekać cały dzień. Jeśli moja bezpośrednia rozmowa z nim nie jest możliwa, czy dałoby się zorganizować połączenie konferencyjne, by mógł Pan tłumaczyć? Proszę o jak najszybszą odpo

Zadzwoił telefon na biurku. Bosch chwycił słuchawkę, nie odrywając wzroku od ekranu komputera.

– Bosch.

– Mówi porucznik O'Toole.

Bosch odwrócił się i zerknął w kierunku narożnego gabinetu. Przez otwarte żaluzje zobaczył, że O'Toole siedzi przy biurku i spogląda na niego.

– Co jest, poruczniku?

– Nie widziałeś mojej notatki, że natychmiast chcę się spotkać?

– Tak, czytałem ją wczoraj wieczorem, ale pan już wyszedł.

A dzisiaj nie miałem pojęcia, że już pan jest. Musiałem wysłać ważny e-mail do Danii. Sprawy się...

– Chcę cię widzieć w moim gabinecie. Natychmiast!

– Już idę.

Bosch szybko dokończył pisać i wysłał e-mail. Potem wstał i poszedł do gabinetu porucznika, po drodze rozglądając się po pomieszczeniu. Nikogo jeszcze nie było, tylko on i O'Toole. Cokolwiek się zdarzy, nie odbędzie się to na oczach bezstronnych świadków.

Gdy wszedł do gabinetu, O'Toole kazał mu usiąść. Bosch posłuchał.

– Chodzi o tę sprawę od Brygady Zgonów? Bo...

– Kto to jest Shawn Stone?

– Słucham?

– Pytałem, kim jest Shawn Stone.

Bosch zawahał się, próbując rozgryźć zamiary O'Toole'a. Instynktownie wiedział, że najlepiej będzie odpowiadać otwarcie i szczerze.

– To gwałcieł, odsiaduje wyrok w San Quentin.

– Masz z nim jakieś wspólne interesy?

– Nie mam z nim żadnych interesów.

– Rozmawiałeś z nim, kiedy tam pojechałeś w poniedziałek?

O'Toole, z łokciami opartymi na biurku, patrzył na trzymaną oburącz kartkę.

– Owszem.

– I wpłaciłeś sto dolarów na jego rachunek w więziennej kantynie?

– Owszem, wpłaciłem. A co to ma...

– Skoro twierdzisz, że nie macie wspólnych interesów, to co cię z nim łączy?

– Jest synem mojej przyjaciółki. Zostało mi tam trochę wolnego czasu, więc poprosiłem o widzenie z nim. Wcześniej nigdy go nie spotkałem.

O'Toole z marsową miną wpatrywał się w kartkę trzymaną obiema rękami.

– Czyli że na koszt podatników odwiedziłeś syna przyjaciółki i wpłaciłeś sto dolarów na jego rachunek w kantynie. Czy dobrze rozumiem?

Bosch milczał, oceniając sytuację. Wiedział, co kombinuje O'Toole.

– Nie, niczego pan nie rozumie, poruczniku. Pojechałem tam... na koszt podatników... żeby przesłuchać skazańca posiadającego kluczowe informacje w sprawie Anneke Jespersen. Zdobyłem te informacje, a ponieważ zostało mi nieco czasu do wyjazdu na lotnisko, zajrzałem do Shawna Stone'a. Poza tym dokonałem wpłaty na jego rachunek. Wszystko to zajęło mniej niż pół godziny i nie opóźniło mojego powrotu do Los Angeles. Jeżeli zamierza pan dobrać mi się do skóry, poruczniku, musi pan wygrzebać coś więcej.

O'Toole w zadumie pokiwał głową.

– No cóż, zobaczymy, co na to powie BEZ.

Bosch miał ochotę wyciągnąć rękę, złapać porucznika za krawat i wywlec go zza biurka. BEZ, czyli Biuro Etyki Zawodowej, było nową nazwą dawnego wydziału spraw wewnętrznych. Zdaniem Boscha to, co zwiemy różą, pod inną nazwą równie by śmierdziało¹⁰. Wstał.

– Złoży pan na mnie raport? – zapytał.

– Owszem.

Bosch pokręcił głową. Nie mógł uwierzyć w krótkowzroczność kogoś, kto decyduje się na taki ruch.

– Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli pan to zrobi, cały zespół zwróci się przeciwko panu?

Miał na myśli sekcję pracującą w sali odpraw. Gdy tylko pozostali śledczy dowiedzą się, że O'Toole doniósł na Boscha z tak trywialnego powodu jak piętnastominutowa rozmowa w San Quentin, to i tak mizerny szacunek, jakim się cieszył porucznik, runie jak domek z kart. Co dziwne, Bosch bardziej się przejmował przyszłością O'Toole'a w sekcji niż dochodzeniem, które BEZ będzie musiało wszcząć po tym nierozważnym posunięciu.

– To mnie nie obchodzi – odparł O'Toole. – Ja mam dbać o uczciwość zespołu.

– Popelnia pan błąd, poruczniku. I z jakiego powodu? Chodzi o to, że nie pozwalam panu udupić mojego śledztwa?

– Zapewniam cię, że te sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego.

Bosch znów pokręcił głową.

– A ja zapewniam pana, że zostanę oczyszczony, natomiast pan się z tego nie wywinie.

– Czy to groźba?

Bosch nie zaszczylił go odpowiedzią. Odwrócił się i wyszedł z gabinetu.

– A ty dokąd, Bosch?

– Do śledztwa, nad którym pracuję.

– Już niedługo.

Bosch wrócił do swojego biurka. O'Toole nie miał dostatecznej władzy, żeby go zawiesić. Przepisy Ligi Obrony Policji – związku zawodowego policji miejskiej Los Angeles dla funkcjonariuszy poniżej stopnia porucznika – były jasne. Żeby móc zawiesić policjanta, dochodzenie BEZ musi się zakończyć formalnym orzeczeniem i oficjalnym złożeniem skargi. Tyle że to, co robił O'Toole, powodowało, że Bosch miał coraz mniej czasu. Dlatego tym bardziej nie mógł sobie pozwolić na zwalnianie tempa.

Gdy wrócił do boksu, Chu stał przy jego biurku z kubkiem kawy.

– Jak leci, Harry?

– Jako tako.

Bosch ciężko klapnął na fotel przy biurku. Stuknął klawisz spacji na klawiaturze i ekran komputera ożył. Zobaczył, że przyszła już odpowiedź od Bonna. Otworzył e-mail.

Detektywie Bosch, skontaktuję się z Frejem i zorganizuję połączenie telefoniczne. Odezwę się i podam Panu szczegóły jak najszybciej. Myślę, że na tym etapie powinniśmy jasno wyłożyć swoje intencje. Obiecuję, że zachowam tę sprawę w tajemnicy, jeżeli zapewni mnie Pan, że jako pierwszy dostanę na nią wyłączność, gdy już dokona Pan aresztowania albo zechce się zwrócić o pomoc do społeczeństwa.

Zgadza się Pan?

Bosch zdawał sobie sprawę, że jego relacje z duńskim dziennikarzem prędzej czy później doprowadzą do takiej sytuacji. Kliknął na ikonę „Odpowiedz” i napisał Bonnowi, że zgadza się udzielić mu wyłączności, gdy tylko w sprawie pojawi się coś, o czym warto napisać.

Wysłał e-mail, uderzając mocno w klawisz, po czym okręcił się na fotelu i spojrzał na gabinet szefa sekcji. Zobaczył, że O'Toole siedzi za biurkiem.

– Co się stało, Harry? – zatroskał się Chu. – Co Tool¹¹ znowu wymyślił?

– Nic – odparł Bosch. – Nie przejmuj się. Ale muszę się zbierać.

– Dokąd?

– Na spotkanie z Caseyem Stengelem.

– Może przyda ci się moje wsparcie?

Bosch przez chwilę patrzył na partnera. O ile się orientował, Chu – Amerykanin chińskiego pochodzenia – nie miał pojęcia o sporcie. A urodził się wiele lat po śmierci Caseya Stengela. Wyglądało na to, że naprawdę nie wie, kim był słynny członek Baseball Hall of Fame i menedżer.

– Nie, nie sędzę, żebym potrzebował wsparcia. Potem ci się zamelduję.

– Będę tutaj, Harry.

– Wiem.

Rozdział 14

Bosch przez godzinę wałęsał się po Forest Lawn, czekając na odbiór kanapek od Giameli. Z szacunku dla swojego byłego partnera, Frankiego Sheehana, zaczął od miejsca ostatniego spoczynku Caseya Stengela, a potem ruszył szlakiem celebrytów, mijając nagrobki z takimi nazwiskami, jak Gable i Lombard, Disney, Flynn, Ladd oraz Nat King Cole, zbliżając się do sekcji Dobry Samarytanin tego olbrzymiego cmentarza. Tam pożegnał zmarłego ojca, którego nigdy nie poznał. Napis na nagrobku brzmiał: „J. Michael Haller, ojciec i mąż”, lecz Bosch wiedział, że rodzina się do niego nie przyznawała.

Po chwili zszedł ze wzgórza tam, gdzie teren był bardziej płaski, a groby znajdowały się bliżej siebie. Musiał odświeżyć pamięć sprzed dwunastu lat, więc trwało to trochę, w końcu jednak odnalazł nagrobek Arthura Delacroix, chłopca, którego zabójstwo rozpracował swego czasu. Przy nagrobku stał tani plastikowy wazon z suchymi łodygami dawno zwiędłych kwiatów. Wyglądały na przypomnienie tego, jak chłopiec był zapomniany za życia, zanim został zapomniany po śmierci. Bosch wziął wazon i w drodze do wyjścia z cmentarza wyrzucił go do kosza na śmieci.

O jedenastej dotarł do pracowni broni i balistyki, niosąc torbę z dwiema wciąż ciepłymi kanapkami od Giameli i dodatkowym sosem. Przeszedł z Petem Pistoletem do pokoju śniadaniowego, gdzie Pete po pierwszym kęsie kanapki z klopsikami jęknął z rozkoszy tak głośno, że ściągnął dwóch innych speców od balistyki, którzy wpadli do pokoju, by sprawdzić, co się dzieje. Sargent i Bosch niechętnie podzielili się z nimi swoimi kanapkami, dzięki czemu Bosch zyskał dozgonnych przyjaciół.

Gdy stanęli przed stołem do pracy Sargenta, Bosch zobaczył, że beretta, którą przyniósł, tkwi już w imadle, lewą stroną skierowana na skos w górę. Przygotowując się od odtworzenia numery seryjnego, Pete zdążył już wygładzić szkielet wata stalową.

– No to do roboty – powiedział.

Włożył grube gumowe rękawice oraz plastikową osłonę na oczy, po czym usiadł na stołku przed imadłem. Następnie przysunął sobie za rączkę szkło powiększające na stojaku i włączył światło.

Bosch wiedział, że każdy egzemplarz broni palnej produkowany legalnie na całym świecie ma niepowtarzalny numer seryjny, po którym można ustalić jego właściciela, jak również ewentualnego złodzieja. Ludzie, którzy pragną uniemożliwić prześledzenie pochodzenia broni często za pomocą rozmaitych narzędzi spiłują numer seryjny bądź próbują wypalić go kwasem.

Tyle że procedura związana z procesem wybijania numeru seryjnego w trakcie produkcji broni daje przedstawicielom prawa ogromną szansę na to, że go odzyskają. Otóż kiedy wybija się numer seryjny, metal pod literami i cyframi jest wgniatany. Dlatego jeżeli później piłuje się albo wypala kwasem powierzchnię zamka, ślady wgniecenia najczęściej i tak zostają pod spodem. Do odtworzenia numeru seryjnego służą przeróżne metody. Jedna polega na zastosowaniu mieszanki kwasów i siarczanu miedzi, która reagując z wgniecionym metalem, odsłania numer. W innej stosuje się magnesy oraz opiłki żelaza.

– Na początek chcę zastosować Magnaflux, bo jeśli się uda, ta metoda jest szybsza i nie niszczy broni – powiedział Sargent. – I tak zostanie nam do zrobienia balistyka, więc muszę dbać o to maleństwo.

– Ty tu rządzisz – odparł Bosch. – A z mojego punktu widzenia, im szybciej, tym lepiej.

– No to przekonajmy się, co z tego wyjdzie – rzekł Sargent.

Przyczepił pod spodem pistoletu wielki okrągły magnes, dokładnie pod zamkiem.

– Najpierw namagnesujemy... – mruknął.

Następnie sięgnął na półkę nad stołem i zdjął plastikową puszkę spreju. Potrząsnął nią i wycelował w broń.

– A teraz zastosujemy patent Pete’a Pistoleta... miksturę żelaza i oleju...

Bosch pochylił się, gdy Sargent prysnął sprejem.

– Żelaza i oleju? – zdziwił się.

– Olej jest dostatecznie gęsty, żeby namagnetyzowane opiłki się unosiły. Pryskasz nim, a wtedy magnes przyciąga całe żelazo na powierzchnię broni. Tam gdzie wybito numer seryjny i metal jest gęstszy, magnes przyciąga z większą siłą. Opiłki żelaza w końcu

powinny się ułożyć w numer. Przynajmniej w teorii.

– Długo to potrwa?

– Niedługo. Albo zadziała, albo nie. Jeśli nie, spróbujemy z kwasem, tyle że to najpewniej zniszczy broń. Dlatego nie zrobimy tego przed zakończeniem badań balistycznych. Masz kogoś, kto się tym zajmie?

– Jeszcze nie.

Sargent mówił o analizie mającej potwierdzić, że kula, która zabiła Anneke Jespersen, została wystrzelona z leżącego przed nimi pistoletu. Bosch nie miał co do tego wątpliwości, konieczna była jednak ekspertyza, która by to potwierdziła. Żeby nie tracić rozpędu, celowo załatwiał to od końca – chciał dostać numer seryjny, by zająć się tropieniem broni, lecz wiedział, że jeżeli procedura Sargenta z olejem i opiłkami żelaza się nie powiedzie, będzie musiał zwolnić i robić wszystko po kolei. Ale skoro O’Toole składał skargę do BEZ, zwłoka mogła skutecznie uniemożliwić postępy w śledztwie – a właśnie o to chodziło porucznikowi, by mógł się pławić w blasku pochwały od komendanta.

– Miejmy nadzieję, że to zadziała – powiedział Sargent, wyrывая Boscha z niemiłych rozmyślań.

– No – przytaknął Harry. – Mam czekać, czy wolisz do mnie zadzwonić?

– To potrwa jakieś czterdzieści minut. Jeśli chcesz, możesz poczekać.

– Skoro tak, to zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz wiedział.

– Masz to jak w banku, Harry. Dzięki za kanapkę.

– Dzięki za pomoc, Pete.

□ □ □

W karierze Boscha zdarzały się takie okresy, kiedy na pamięć znał numer biura pomocy prawnej związku zawodowego policji Los Angeles. Ale gdy po powrocie do samochodu wyjął telefon, żeby zadzwonić do adwokata w związku z planami O’Toole’a, uświadomił sobie, że nie pamięta numeru. Przez chwilę siedział z nadzieją, że go sobie przypomni. Przez parking szli dwaj młodzi kryminolodzy, powiewając

na wietrze białymi fartuchami. Nie znał ich, więc domyślił się, że są ekspertami od zbierania dowodów na miejscu zbrodni. Sam już rzadko pojawiał się od razu na miejscach zdarzenia.

Zanim przypomniał sobie numer związku zawodowego, telefon w jego dłoni zabrzączał. Na wyświetlaczu pojawiło się mnóstwo cyfr poprzedzonych plusem – a zatem rozmowa międzynarodowa.

– Harry Bosch.

– Detektywie, tu Bonn. Mam na linii pana Jannika. Czy chce pan z nim porozmawiać? Mogę tłumaczyć.

– Tak, zechce pan chwileczkę poczekać.

Bosch odłożył telefon na siedzenie, by wyciągnąć notes i ołówek.

– No, już jestem. Panie Jannik, słyszy mnie pan?

Usłyszał coś, co – jak się domyślał – było tłumaczeniem jego pytania na duński, a potem odpowiedział mu nowy głos.

– Tak, dobry wieczór, inspektorze.

Pomimo silnego akcentu Jannik mówił całkiem zrozumiale.

– Pan wybaczy moje słowa. Mój angielski bardzo kiepski.

– Lepszy niż mój duński. Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać.

Bonn przetłumaczył te zdania, zaczynając tym samym półgodzinną rwaną rozmowę, która niespecjalnie pomogła Boschowi zrozumieć, w jakim celu Anneke Jespersen wybrała się do Los Angeles. Jannik udzielił mnóstwa informacji na temat charakteru i umiejętności fotoreporterki, jej determinacji w drażnieniu tematów bez względu na ryzyko czy przeszkody. Ale kiedy Bosch próbował zejść na zbrodnie wojenne, którymi się zajmowała, Jannik nie miał żadnej wiedzy ani o samych zbrodniach, ani o tym, kto je popełnił i skąd się wziął ten temat. Przypomniał Boschowi, że Anneke była wolnym strzelcem i jako taka zawsze broniła się przed ujawnianiem tematu naczelnemu gazety. Zbyt często rolowali ją naczelni, którzy wysłuchawszy, jak zachwalała temat, bez słowa podziękowania zlecali go swoim etatowym dziennikarzom i fotografom.

Bosch coraz bardziej niecierpliwił się ślamazarnym tłumaczeniem oraz tym, czego się dowiadywał, gdy dostawał odpowiedzi Jannika po angielsku. Zorientował się, że skończyły mu się pytania, a nie zapisał

w notesie ani słowa. Podczas gdy próbował wymyślić, o co by jeszcze spytać, tamci dwaj rozmawiali ze sobą w swoim rodzinnym języku.

– Co on mówi? – zapytał w końcu. – O czym rozmawiacie?

– Gnębi go frustracja, detektywie – odparł Bonn. – Bardzo lubił Anneke i chciałby służyć panu większą pomocą. Ale nie posiada informacji, o które panu chodzi. Więc się frustruje, bo wie, że pan też jest sfrustrowany.

– Proszę mu przekazać, żeby nie traktował tego tak osobiście.

Bonn przetłumaczył jego słowa, na co Jannik uraczył go długą odpowiedzią.

– Weźmy się do tego od drugiej strony – przerwał im Bosch. – Znam tu wielu dziennikarzy. To nie są korespondenci wojenni, ale jestem pewien, że reporterzy pracują w ten sam sposób. Zazwyczaj jeden artykuł prowadzi do kolejnego. Albo jeśli znajdą kogoś godnego zaufania, potem wracają do starego źródła informacji. Czyli zwracają się do tej samej osoby po tematy do swoich artykułów. Zobaczmy więc, czy on pamięta ostatnie kilka artykułów, które mu dostarczyła Anneke. Wiem, że rok wcześniej przebywała w Kuwejcie, ale niech pan go spyta... Proszę po prostu zapytać, czy pamięta, nad jakimi artykułami pracowała.

Nastąpiła długa wymiana zdań między Bonnem i Jannikiem. Słyszając, jak jeden z nich stuka w klawiaturę, Bosch domyślił się, że to Bonn. Czekaając na tłumaczenie na angielski, usłyszał sygnał informujący o drugim połączeniu. Spojrzał na wyświetlacz – telefon był z pracowni broni i balistyki. Pete Pistolet. Boscha korciło, żeby odebrać natychmiast, lecz postanowił najpierw dokończyć rozmowę z Jannikiem.

– No, już mam – odezwał się Bonn. – Przejrzałem nasze archiwum cyfrowe. Jak pan mówił, na rok przed śmiercią Anneke pisała korespondencje i przysyłała zdjęcia z Kuwejtu podczas operacji Pustynna Burza. „BT” kupiła od niej kilka artykułów i zdjęć.

– Dobrze. Czy jest coś na temat zbrodni wojennych albo okropności wojny, coś w tym rodzaju?

– E... nie, niczego takiego nie widzę. Pisała artykuły z punktu widzenia ludzi. Mieszkańców Kuwejtu. Miała trzy fotoreportaże...

– Co pan chce powiedzieć przez „z punktu widzenia ludzi”?

– Życie pod ostrzałem. Rodziny, które straciły swoich bliskich. Tego typu historie.

Bosch zastanowił się przez chwilę. *Rodziny, które straciły swoich bliskich...* Wiedział, że zbrodnie wojenne jakże często dotyczą okropności wyrządzonych niewinnym cywilom, którzy znaleźli się w potrzasku.

– Zrobimy tak – powiedział. – Może mi pan przysłać linki do artykułów, które pan tam teraz ogląda?

– Dobrze, przyślę panu. Ale będzie pan musiał je dać do tłumaczenia.

– Tak, wiem.

– Jak daleko mam się cofnąć od jej ostatniego artykułu?

– Powiedzmy rok?

– Rok. Zgoda. To będzie wiele tekstów.

– Nie ma sprawy. Czy pan Jannik ma dla mnie coś jeszcze? Czy jeszcze coś sobie przypomina?

Czekał na przetłumaczenie ostatniego pytania. Chciał już zakończyć tę rozmowę. Pragnął wrócić do Peta Pistoletu.

– Pan Jannik jeszcze nad tym pomyśli – rzekł Bonn. – Obiecuje, że zajrzy na stronę internetową, może coś mu się przypomni.

– Jaką stronę?

– Poświęconą Anneke. Założył ją jej brat. Zrobił to, żeby upamiętnić swoją siostrę, i wstawił tam wiele jej zdjęć i artykułów.

Bosch na chwilę zaniemówił ze wstydu. Mógł zrzucić winę na brata Anneke za to, że nie poinformował go o tej witrynie, ale byłoby to uchylanie się od odpowiedzialności. Powinien mieć dość rozumu, żeby samemu go o to zapytać.

– Jaki jest adres tej strony? – spytał.

Bonn przeliterował mu adres, a Bosch nareszcie miał co zapisać.

□ □ □

Telefon był szybszy niż jazda z powrotem i przeprawa z ochroną. Pete Pistolet odebrał po drugim sygnale.

– Tu Bosch. Masz coś?

– Nagrałem ci wiadomość – odparł Sargent.

Sądząc z jego beznamiętnego tonu, Bosch spodziewał się najgorszego.

– Nie odsłuchałem jej, po prostu oddzwaniałem – wyjaśnił. – Co się stało? – Wstrzymał dech.

– Właściwie to mam dla ciebie niezłe wieści. Odzyskałem cały numer z wyjątkiem jednej cyfry. To zawęży sprawę do dziesięciu możliwości.

Bosch miewał już do czynienia z bronią, przy której dysponował o wiele uboższymi danymi. Nie schował jeszcze notesu, więc poprosił Sargenta, żeby mu podyktował to, co udało mu się odzyskać z pistoletu. Zapisawszy numer, dla potwierdzenia odczytał go na głos.

BER0060-5Z

– To ten ósmy znak nie chce się pokazać – powiedział Sargent. – Na samej górze jest lekka krzywizna, więc skłaniałbym się do jeszcze jednego zera albo trójki, ósemki czy dziewiątki. Do czegoś zaokrąglonego na górze.

– Zapisałem. Wracam do biura, wrzucę to na komputer. Spisałeś się, Pistolecie. Dzięki, stary.

– Do usług, Harry. Zawsze i wszędzie, bylebyś przyniósł coś od Giameli!

Bosch rozłączył się i odpalił silnik samochodu. Następnie zadzwonił do swojego partnera, który odebrał przy biurku. Podyktował mu numer seryjny beretty i kazał sprawdzać wszystkie dziesięć brakujących możliwości do uzyskania pełnego numeru. Na początek należało zacząć od kalifornijskiej bazy danych Departamentu Sprawiedliwości, bo Chu miał do niej dostęp, a to w niej rejestrowano każdy egzemplarz broni palnej sprzedany na terenie stanu. Gdyby to nic nie dało, musieliby się zwrócić o pomoc do federalnego ATF. A to by spowolniło śledztwo. Federalni nie słynęli z szybkości działania, a ATF ostatnio wstrząsnęła seria skandali i błędów, co również opóźniało reakcję biura na prośby ze strony lokalnych przedstawicieli organów ścigania.

Mimo wszystko Bosch nie tracił optymizmu. Skoro z Petem Pistoletem i numerem seryjnym dopisało mu szczęście, nie widział

powodu, dla którego miałoby go opuścić.

Włączył się do gęstego ruchu na San Fernando Road i ruszył na południe. Nie był pewien, jak długo potrwa powrót do biura.

– Hej, Harry? – odezwał się Chu ściszym głosem.

– Co?

– Szukał cię tu ktoś z wewnętrznego.

I to tyle, jeśli chodzi o szczęście. Widocznie O'Toole wysłał posłańca, by doręczył skargę do Biura Etyki Zawodowej, pomimo oficjalnej zmiany nazwy przez większość gliniarzy wciąż nazywanego wydziałem spraw wewnętrznych albo po prostu wewnętrznym.

– Jak się facet nazywa? Jest tam jeszcze?

– To nie facet, tylko facetka, przedstawiła się jako detektyw Mendenhall. Zajrzała do O'Toole'a, pogadali chwilę przy zamkniętych drzwiach, a potem chyba poszła.

– W porządku, zajmę się tym. Sprawdź ten numer.

– Się robi.

Bosch się rozłączył. Pojazdy na jego pasie zatrzymały się, a stojący przed nim humvee blokował mu widok, więc nie widział, co jest z przodu. Sapnął z gniewem i nacisnął klakson. Czuł, że nie tylko szczęście go opuszcza. Tracił również impet i pozytywne nastawienie. Nagle odniósł wrażenie, jakby zapadł zmrok.

Rozdział 15

Gdy Bosch wrócił do biura, Chu nie było w ich boksie. Spojrzał na zegar na ścianie – wskazywał dopiero trzecią po południu. Wścieknął się, jeśli się okaże, że jego partner, który poprzedniego dnia siedział w pracy do późnej nocy, zrobił sobie fajrant wcześniej, nie sprawdzając numeru seryjnego w komputerze Departamentu Sprawiedliwości. Podszedł do biurka i stuknął w klawisz spacji na klawiaturze Chu. Ekran ożył, ale potrzebne było hasło. Obejrzał biurko Chu w poszukiwaniu wydruku rejestru broni z Departamentu Sprawiedliwości. Niczego takiego nie znalazł. Po drugiej stronie wysokiej na metr dwadzieścia ścianki działowej urzędował w swoim boksie Rick Jackson.

– Widziałeś Chu? – zapytał go Bosch.

Jackson wyprostował się na krześle i rozejrzał po sali odpraw, jak gdyby potrafił rozpoznać Chu lepiej niż Bosch.

– Nie... ale był tutaj. Może poszedł do szefa albo co.

Bosch zajrzał przez szybę do gabinetu O'Toole'a, by się upewnić, że Chu nie gada z porucznikiem na osobności. Ale nie. O'Toole siedział zgarbiony nad biurkiem i coś pisał.

Bosch podszedł do swojego biurka. Nie było na nim dla niego żadnych wydruków, za to zobaczył wizytówkę Nancy Mendenhall, detektywa trzeciego stopnia z Biura Etyki Zawodowej.

– Harry... – powiedział Jackson ściszym głosem. – Słyszałem, że Tool złożył na ciebie donos.

– No.

– Ale to gówno, prawda?

– No.

Jackson pokręcił głową.

– Tak myślałem. Kawał gnoja.

Jackson służył w brygadzie dłużej niż wszyscy pozostali z wyjątkiem Boscha. Wiedział, że na dłuższą metę O'Toole więcej straci na tej rozgrywce niż Bosch. Nikt nie będzie mu mówił ani słowa więcej, niż to konieczne. Niektórzy przełożeni wydobywają z podwładnych to, co najlepsze. A teraz detektywi z sekcji spraw otwartych i niewyjaśnionych będą dawali z siebie wszystko wbrew temu, kto jest

ich szefem.

Bosch wysunął krzesło spod biurka i usiadł. Spojrzał na wizytówkę Mendenhall, myśląc sobie, że może by tak do niej zadzwonić, wziąć za rogi wyssaną z palca skargę i mieć to z głowy. Wysunął środkową szufladę biurka i wyjął starą, oprawioną w skórę książkę adresową, z której korzystał od niemal trzydziestu lat. Odszukawszy numer, którego nie mógł sobie przypomnieć, zadzwonił na centralę Ligi Obrony Policji. Podał swoje nazwisko, stopień oraz przydział służbowy i poprosił o połączenie z adwokatem. Kierownik jednostki oznajmił, że w tej chwili wszyscy adwokaci są zajęci, ale obiecał, że któryś z nich oddzwoni do niego bez zwłoki. Bosch omal nie wypalił, że zwłoka już nastąpiła, lecz tylko podziękował i rozłączył się.

Niemal natychmiast na jego biurko padł czyjś cień, a kiedy podniósł wzrok, zobaczył stojącego nad nim O'Toole'a. Porucznik był w marynarce, więc Bosch domyślił się, że szef zapewne udaje się na dziewiąte piętro.

– Gdzie pan się podziewał, detektywie?

– W laboratorium, na badaniach balistycznych.

O'Toole zamilkł, jakby wbijał to sobie w pamięć, by później sprawdzić prawdopodobność podwładnego.

– Pete Sargent – rzekł Bosch. – Niech pan do niego zadzwoni. Zjedliśmy też lunch. Mam nadzieję, że nie jest to wbrew przepisom.

O'Toole zbył zaczepkę wzruszeniem ramion i nachylił się, stukając palcem w leżącą na biurku wizytówkę Mendenhall.

– Zadzwon do niej. Musi się z tobą umówić na rozmowę.

– Jasne. Kiedy będę gotowy.

Bosch zobaczył, że z korytarza wchodzi do sali Chu. Na widok O'Toole'a w boksie Chińczyk zatrzymał się, udał, że o czymś zapomniał, odwrócił się na pięcie i wyszedł za drzwi.

O'Toole tego nie zauważył.

– Nie zamierzałem doprowadzać do takiej sytuacji – powiedział. – Liczyłem na zbudowanie silnych, opartych na wzajemnym zaufaniu związków z detektywami z mojej sekcji.

– Ehe. I jakoś nie trwało to długo, co? – odparł Bosch, nie patrząc na niego. – Poza tym ta sekcja nie jest pańska, poruczniku. To sekcja

taka jak wszystkie inne. Istniała, zanim pan tu nastał, i będzie istniała nadal, kiedy pan stąd odejdzie. Może gdyby pan to zrozumiał, nie miałby pan tu przechlapane.

Powiedział to na tyle głośno, żeby usłyszeli go wszyscy obecni w sali.

– Może i bym się obraził, gdyby powiedział to ktoś, kto nie ma na koncie szuflady pełnej skarg i postępowań przed wydziałem wewnętrznym – odciął się porucznik.

Bosch odchylił się na krześle i w końcu spojrzał na O'Toole'a.

– No, tyle tych skarg, a ja wciąż tu siedzę. I będę tu nadal po tym, jak rozpatrzą pańską skargę.

– A to się jeszcze okaże.

O'Toole już miał odejść, lecz nie mógł się powstrzymać. Oparł dłoń na biurku Boscha, nachylił się i wysyczał cicho, pełnym jadu głosem:

– Jesteście prawdziwą zakałą policji, Bosch. Arogancki tyran, który uważa, że prawo i przepisy go nie dotyczą. Nie ja pierwszy próbuję się was pozbyć z policji. Ale będę ostatnim.

Co rzekłszy, O'Toole zdjął rękę z biurka i wyprostował się. Gwałtownym szarpnięciem poprawił marynarkę.

– O czymś pan zapomniał, poruczniku – powiedział Bosch.

– Niby o czym? – odparł O'Toole.

– Zapomniał pan, że ja doprowadzam śledztwa do końca. Nie robię tego dla statystyk, które wysyła pan na prezentacje w PowerPointcie na dziewiąte piętro, tylko dla ofiar. I dla ich rodzin. To coś, czego pan nigdy nie pojmie, bo nie jest pan jednym z nas.

Omiótł ręką salę odpraw. Jackson otwarcie przysłuchiwał się wymianie zdań, mierząc porucznika krytycznym wzrokiem.

– To my odwalamy całą robotę, to my wyjaśniamy sprawy, a pan tylko jeździ windą na górę, żeby pokleпали pana po plecach.

Wstał, tak że zrównał się twarzą w twarz z przełożonym.

– I dlatego nie mam czasu ani dla pana, ani na wysłuchiwanie pańskiego głędzenia – zakończył.

Odszedł w kierunku drzwi, za którymi zniknął Chu, a porucznik ruszył do drzwi prowadzących do wnęki z windą.

Bosch pchnął drzwi i wyszedł na korytarz. Szklana ściana z jednej strony dawała widok na plac przed budynkiem i dalej, na skupisko wieżowców w sercu miasta. Stał przy niej Chu, wyglądając na dobrze znaną iglicę gmachu ratusza.

– Chu, co się dzieje? – zapytał go Bosch.

Jego nagłe pojawienie się zaskoczyło Chińczyka.

– Cześć, Harry, przepraszam, zapomniałem czegoś i... potem się...
no...

– Czego zapomniałeś? Podetrzeć się? A ja tu czekam. Co wyszło z bazą danych Departamentu Sprawiedliwości?

– Zero trafień, Harry. Przykro mi.

– Zero trafień? Sprawdziłeś wszystkie dziesięć możliwości?

– Tak, ale nie było takiej transakcji w Kalifornii. Tej broni nie sprzedano w tym stanie. Ktoś ją tu przywiózł i nigdy jej nie zarejestrował.

Bosch chwycił się poręczy i oparł głowę o szkło. W długiej szklanej ścianie biegnącego prostopadle korytarza widział odbicie ratusza. Pogodził się z tym, że szczęście opuściło go na dobre.

– Znasz kogoś w ATF? – zapytał.

– Nie bardzo – odparł Chu. – A ty?

– Też nie. Nikogo, kto może przyspieszyć procedury. Na sprawdzenie łuski w ich komputerze czekałem kiedyś cztery miesiące.

Nie wspominał, że poza tym jego relacje z federalnymi agencjami organów ścigania układały się w kratkę. Nie mógł liczyć na przysługę ze strony nikogo z ATF ani z żadnej innej służby. A wiedział, że jeśli wypełni formularze i złoży formalny wniosek, jak nakazuje standardowa procedura, to odezwą się do niego najwcześniej za sześć tygodni.

Pozostawała mu jeszcze jedna możliwość. Odsunął się od szklanej ściany i skierował się z powrotem do drzwi sali odpraw.

– Harry, a ty dokąd? – zdziwił się Chu.

– Wracam do roboty.

Chu ruszył w ślad za nim.

– Chciałem z tobą pogadać o jednej z moich spraw – powiedział. –

Mamy odbiór w Minnesocie.

Bosch zatrzymał się przed drzwiami sali. „Odbiorem” nazywali sytuację, gdy musieli jechać do innego stanu, by złapać i aresztować podejrzanego w na nowo odgrzanej sprawie. Zazwyczaj chodziło o kogoś, kogo powiązano ze starym morderstwem dzięki analizie DNA lub dzięki porównaniu odcisków palców. Na ścianie w sali odpraw wisiała mapa z czerwonymi pinezkami wbitymi tam, gdzie sekcja dokonywała odbioru w ciągu dziesięciu lat od jej powstania. Były tych pinezek dziesiątki, rozrzucone po całej mapie.

– Co to za sprawa? – spytał Bosch.

– Stilwella. W końcu namierzyłem go w Minneapolis. Kiedy możesz pojechać?

– Sprawa jest ciepłutka, za to my odmrozimy tam sobie tyłki.

– Wiem. Więc co ty na to? Muszę wystąpić o delegację.

– A ja muszę zobaczyć, dokąd zaprowadzi mnie w najbliższych dniach sprawa Jespersen. No i jest jeszcze ta historia z Biurem Etyki Zawodowej... Mogą mnie zawiesić.

Chu skinął głową, lecz Bosch widział, że partner liczył na większy entuzjazm z jego strony w kwestii zgarnięcia Stilwella. I na bardziej konkretną decyzję co do terminu. Nikt z sekcji nie lubił czekać, gdy już zidentyfikował i namierzył podejrzanego.

– Słuchaj, O’Toole prawdopodobnie na razie nie zgodzi się wysłać mnie w delegację. Może ktoś inny z tobą pojedzie? Poproś Wystrzałową Trish.

Przepisy regulujące wyjazdy służbowe funkcjonariuszy wymagały od śledczych mieszkania w pokojach dwuosobowych, bo w ten sposób oszczędzali policyjne fundusze. To był minus delegacji, ponieważ nikt nie chciał dzielić z kim innym łazienki, a poza tym nieuchronnie przynajmniej jeden z partnerów chrapał. Swego czasu Tim Marcia musiał nagrać swojego partnera, od którego chrapania drżały szyby, by uzyskać od dowództwa zgodę na osobny pokój. Był jedyny wyjątek, który łatwo pozwalał obejść ten wymóg – gdy wyjeżdżały osoby odmiennej płci. W sekcji spraw otwartych i niewyjaśnionych największym wzięciem jako partnerka cieszyła się Trish Allmand. Nie tylko ze względu na urodę – której zawdzięczała przydomek – i to, że

była doskonałą śledczą. Praca z nią na wyjeździe zapewniała pokój tylko dla siebie.

– Przecież to nasza sprawa, Harry – zaprotestował Chu.

– Trudno, wobec tego musisz poczekać. Nic nie poradzę.

Bosch otworzył drzwi i poszedł do ich boksu. Wziął komórkę i notes, które zostawił na biurku. Pomyślał o czekającej go rozmowie i postanowił nie dzwonić ani z prywatnego telefonu, ani ze służbowego na biurku.

Rozejrzał się po olbrzymim piętrze w całości zajęтым przez wydział rabunków i zabójstw. Sekcja spraw otwartych i niewyjaśnionych mieściła się na południowym skraju pomieszczenia o długości boiska piłkarskiego. A że w policji zamrożono awanse oraz nabór nowych pracowników, w sektorze każdej sekcji znajdowało się po kilka niezajętych boksów. Bosch podszedł do pustego biurka brygady specjalnej do spraw zabójstw i usiadł, by zadzwonić z telefonu stacjonarnego. Wziął potrzebny mu numer ze swojej komórki i wybrał go. Ktoś odebrał po pierwszym sygnale.

– Sekcja taktyczna.

Zdawało mu się, że poznaje głos, ale po tylu latach nie był już pewny.

– Rachel?

Zapadła cisza.

– Witaj, Harry. Jak się masz?

– Świetnie. A co u ciebie?

– Nie narzekam. Czy to twój nowy numer?

– Nie, pożyczylem od kogoś biurko. Jak się ma Jack?

Próbował szybko przejść do porządku nad tym, że zadzwonił z cudzego telefonu, bo bał się, że ona nie odbierze, jeśli zobaczy na wyświetlaczu jego numer. Z agentką FBI Rachel Walling łączyła go długa, nie zawsze przyjemna historia.

– Jack to Jack. U niego wszystko dobrze. Wątpię jednak, żebyś dzwonił do mnie z cudzego telefonu, bo chciałeś mnie spytać o Jacka.

Bosch pokiwał głową, chociaż nie mogła tego widzieć.

– Racja, hm, jak się pewnie orientujesz, potrzebuję przysługi.

– Jakiego rodzaju?

– Prowadzę taką sprawę. Kobiety z Danii, miała na imię Anneke. Była niesamowicie odważna. Jako korespondentka wojenna jeździła w najbardziej...

– Nie musisz mi reklamować swojej ofiary, w ten sposób nie zachęcisz mnie, żebym ci wyświadczyła przysługę, bez względu na to, o co chodzi. Po prostu mów, czego chcesz.

Znow skinął głową. Rachel Walling zawsze wiedziała, jak wytrącić go z równowagi. Swego czasu byli kochankami, lecz emocjonalnie ich związek się wypalił. Mimo że od tej pory minęło wiele lat, rozmawiając z nią, zawsze czuł ukłucie żalu za tym, co mogło być.

– Dobrze, niech ci będzie, już mówię. Mam częściowy numer seryjny beretty model dziewięćdziesiąt dwa, z której zastrzelono tę kobietę podczas rozruchów dwadzieścia lat temu. Właśnie znaleźliśmy tę broń i odzyskaliśmy częściowy numer. Brakuje tylko jednej cyfry, co daje dziesięć możliwości. Wrzuciliśmy je do komputera kalifornijskiego Departamentu Sprawiedliwości, ale bez rezultatu. Potrzebuję kogoś w...

– ...ATF. To ich jurysdykcja.

– Wiem o tym. Ale nikogo tam nie znam, a gdybym zwrócił się do nich oficjalną drogą, odpowiedź dostałbym za kilka miesięcy. Nie mogę czekać tak długo, Rachel.

– Nic się nie zmieniłeś, Harry. Wiecznie w pośpiechu. A więc pytasz mnie, czy mam kogoś w ATF, kto mógłby przyspieszyć bieg rzeczy.

– Tak, z grubsza o to chodzi.

Zapadła długa cisza. Bosch nie wiedział, czy coś przeszkodziło Rachel, czy raczej nie jest skłonna mu pomóc. Przerwał więc milczenie ostatnią próbą przeforsowania swojej sprawy.

– Kiedy dokonamy aresztowania, podzielę się z nimi zasługami. Na mój gust przyda im się taki rozgłos. I tak już dali mi pierwszy trop. Połączyli łuskę z miejsca zbrodni z dwoma innymi morderstwami. Dla odmiany mieliby coś na poprawę wizerunku.

Ostatnio agencja ATF pojawiała się w wiadomościach przeważnie w związku ze sfinansowaniem tajnej operacji, która nie dość, że nie wypaliła, to w rezultacie w ręce gangów narkotykowych i terrorystów trafiły setki sztuk broni palnej. Oburzenie społeczeństwa osiągnęło taki

poziom, że fiasko akcji stało się pożywką dla toczącej się kampanii prezydenckiej.

– Rozumiem, w czym problem – przyznała Walling. – No cóż, mam tam przyjaciółkę. Mogę z nią pogadać. Ale chciałabym to załatwić w taki sposób, że dasz mi ten numer seryjny, a ja jej go przekażę. Bo jeśli ci dam jej numer na komórkę, nic z tego nie wyjdzie.

– Nie ma sprawy – zgodził się czym prędzej. – Byleby się udało. Ona pewnie może wstukać numer i w dziesięć minut dostać dane zakupu.

– To nie takie proste. Dostęp do takich przeszukiwań bazy danych jest monitorowany i trzeba podać numer sprawy. Żeby to zrobić, będzie musiała uzyskać zgodę nadzorca.

– Cholera! Szkoda, że nie pilnowali tak tej broni, którą przepuścili przez granicę w zeszłym roku.

– Bardzo śmieszne, Harry. Przekażę jej twoje słowa.

– Hm, może lepiej nic jej nie mów.

Walling poprosiła o numer seryjny beretty. Podał go jej, zwracając uwagę na to, że brakuje ósmego znaku. Obiecała, że albo do niego oddzwoni, albo odezwie się bezpośrednio agentka Suzanne Wingo. Na koniec zadała mu osobiste pytanie.

– Powiedz mi, Harry, długo jeszcze zamierzasz się w to bawić?

– W co? – zapytał, chociaż był przekonany, że wie, dokąd ona zmierza.

– Latać po mieście z blachą i spluwą. Myślałam, że przeszedłeś już na emeryturę, nawet jeśli niekoniecznie z własnej woli.

Uśmiechnął się.

– Dopóki mi na to pozwolą, Rachel. Czyli zgodnie z warunkami mojego kontraktu przejścia na odroczoną emeryturę za jakieś cztery lata.

– No nic, mam nadzieję, że nasze drogi jeszcze się kiedyś zejdą, zanim odejdiesz na dobre.

– Tak, też na to liczę.

– Uważaj na siebie.

– Dzięki za pomoc.

– Wstrzymaj się z podziękowaniami do czasu, aż się upewnię, że da się to zrobić.

Odłożył słuchawkę. Za ledwie wstał, by wrócić do swojego boksu, zabręczała jego komórka. Pomimo blokady numeru rozmówcy odebrał, bo a nuż to Rachel coś jeszcze do niego miała.

Tymczasem dzwoniła detektyw Mendenhall z Biura Etyki Zawodowej.

– Detektywie Bosch, musimy się umówić na rozmowę. Jak pan wygląda z terminami?

Ruszył z powrotem do sekcji spraw otwartych i niewyjaśnionych. W głosie Mendenhall nie wyczuwał groźby. Mówiła rzeczowo, beznamiętnie. Może wiedziała już, że skarga O'Toole'a jest wyssana z palca. Postanowił wziąć byka za rogi – czyli dochodzenie wydziału wewnętrznego.

– Ta skarga to jedna wielka lipa, Mendenhall. Chcę ją mieć z głowy jak najszybciej. Co powiesz na jutro, z samego rana?

Jeśli zaskoczył ją tym, że przyśpiesza spotkanie, zamiast je odwlekać, to nie dała tego poznać po głosie.

– Mam okienko o ósmej. Może być?

– Jasne. U ciebie czy u mnie?

– Wolalabym, żeby przyjechał pan tutaj, chyba że to dla pana problem.

Miała na myśli gmach Bradbury'ego, gdzie urzędowała większość BEZ.

– Nie, to żaden problem, Mendenhall. Przyjadę z obrońcą.

– Świetnie. Zobaczmy, czy uda nam się to szybko załatwić. Mam tylko jedną prośbę, detektywie.

– Jaką?

– Taką, żeby zwracał się pan do mnie per pani detektyw albo detektywie Mendenhall. Mówienie mi per ty albo tylko po nazwisku jest przejawem lekceważenia. A chciałabym, żeby nasze stosunki od początku były profesjonalne i oparte na wzajemnym szacunku.

Bosch właśnie doszedł do boksu i zobaczył Chu, siedzącego przy swoim stanowisku. Uświadomił sobie, że nigdy nie zwracał się do partnera po imieniu ani nie używał jego stopnia służbowego. Czyżby przez cały czas okazywał mu lekceważenie?

– Załatwione, pani detektyw – obiecał. – Do zobaczenia o ósmej.

Rozłączył się. Zanim usiadł, nachylił się nad ścianką działową do boksu Ricka Jacksona.

– Jutro o ósmej mam przesłuchanie w gmachu Bradbury’ego. Raczej nie potrwa długo. Związek wciąż do mnie nie oddzwonił. Zgodziłbyś się zostać moim obrońcą?

Wprawdzie związek zapewniał obrońców na przesłuchania przez BEZ, ale każdy policjant mógł występować w roli obrońcy pod warunkiem, że nie brał udziału w inkryminowanym śledztwie.

Wybór Boscha padł na Jacksona, bo ten z niejednego pieca jadł chleb, a jego mina niezbitnie świadczyła, że kto jak kto, ale on nie da sobie wciskać kitu. Na podejrzanych zawsze działało to onieśmielająco. Czasami Bosch brał go ze sobą na przesłuchanie tylko po to, by siedział i przyglądał się. Milczenie i wzrok Jacksona często wytrącały podejrzanego z równowagi. Bosch uważał, że Jackson zapewni mu przewagę, kiedy usiądzie przy stole naprzeciw detektyw Mendenhall.

– Jasne, wchodzę w to – odparł Jackson. – Co mam robić?

– Spotkajmy się o siódmej w Dining Car. Zjemy śniadanie i obgadamy sprawę.

– Mówisz, masz.

Bosch usiadł na krześle i uświadomił sobie, że właśnie mógł obrazić Chu, nie prosząc go, by wystąpił jako jego obrońca. Odwrócił się i odezwał do partnera:

– Hej, e... Chu... znaczy się, Davidzie.

Chińczyk odwrócił się.

– Nie możesz zostać moim obrońcą, bo Mendenhall pewnie zechce porozmawiać z tobą o tej sprawie. Zostaniesz świadkiem.

Chu skinął głową.

– Rozumiesz mnie?

– Jasne, Harry. Rozumiem.

– I nie bierz tego, że przez cały czas mówię do ciebie po nazwisku, za przejaw lekceważenia. Ja po prostu tak się zwracam do wszystkich.

Przeprosiny Boscha były do dupy, ale wyglądało na to, że Chu i tak jest nimi skonsternowany.

– Jasne, Harry – powtórzył.

– To co, bez kwasów?

- Tak, bez kwasów.
- Świetnie.

CZEŚĆ 2
Słowa i zdjęcia

Rozdział 16

Bosch stopniowo przesłuchiwał nagrania Arta Peppera, które dostał od córki na urodziny. Dotarł już do trzeciej płyty i właśnie słuchał niesamowitej wersji *Patricii*, zarejestrowanej przed trzema dekadami w klubie w Croydon, w Anglii. To był kolejny powrót Peppera na scenę po latach uzależnienia od narkotyków i pobyków w więzieniu. Tego wieczoru w 1981 roku był w życiowej formie. Zdaniem Boscha w tym utworze udowadniał, że nikt nigdy nie potrafił grać lepiej. Harry nie był pewien, co znaczy „eteryczny”, lecz właśnie to słowo przychodziło mu na myśl. *Patricia* była utworem skończenie doskonałym, saksofon grał absolutnie nieskazitelnie, a zgranie i porozumienie Peppera z trzema kolegami z zespołu było tak doskonale zaaranżowane i perfekcyjne jak ruchy czterech palców dłoni. Na opisanie jazzu poświęcono wiele słów, które Bosch przez lata czytał w czasopismach fachowych i wkładkach do płyt. Chociaż nie zawsze je rozumiał. Po prostu wiedział, co mu się podoba, a ta muzyka to było to. Przejmująca i niepohamowana, a czasami smutna.

Stwierdził, że przy tym utworze trudno jest mu się skupić na ekranie komputera – a tutaj zespół rozbudował *Patricię* do prawie dwudziestu minut. Miał ją na innych płytach winylowych i kompaktach, był to przecież jeden ze sztandarowych kawałków Peppera. Nigdy jednak nie słyszał jej granej z takim samym żarliwym uczuciem. Spojrzał na córkę, która leżała na kanapie i czytała książkę. Kolejna lektura. Ta nosiła tytuł *Gwiazd naszych win*.

– To jest o jego córce – odezwał się.

Maddie spojrzała na niego znad książki.

– O czym ty mówisz?

– Ten utwór. *Patricia*. Napisał go dla córki. Wielokrotnie na długo znikął z jej życia, ale bardzo ją kochał i za nią tęsknił. Słysząc to w tym utworze, prawda?

Zastanowiła się, a po chwili kiwnęła głową.

– Tak mi się zdaje. Saksofon brzmi prawie tak, jakby płakał.

Bosch też skinął głową.

– Tak, to się słyszy.

Wrócił do pracy. Sprawdzał mnóstwo linków, które Bonn przesłał mu w e-mailu. Odsyłały do ostatnich czternastu artykułów i fotoreportaży Anneke Jespersen drukowanych w „Berlingske Tidende” oraz tekstu opublikowanego dziesięć lat później, w 2002 roku. Czekala go żmudna robota, bo teksty były po duńsku, więc musiał korzystać z internetowego translatora i przerabiać na angielski po dwa, trzy akapity na raz.

Anneke Jespersen fotografowała i opisywała krótką pierwszą wojnę w Zatoce Perskiej z rozmaitych punktów widzenia. Jej słowa i zdjęcia płynęły z pól walki, z pasów startowych, ze stanowisk dowodzenia, a nawet ze statku wycieczkowego, z którego alianci korzystali w celach rekreacyjnych. Depesze, które wysyłała do „BT”, zdradzały dziennikarkę dokumentującą nowy rodzaj wojny – oparty na najnowszej technologii błyskawiczny atak z nieba. Ale Jespersen nie trzymała się bezpiecznie z dala. Kiedy walki przeniosły się na ziemię w ramach operacji Pustynny Miecz, zdołała załapać się w sam środek akcji z wojskami sił sprzymierzonych, dokumentując bitwy mające odzyskać miasta Kuwejt oraz Al-Chafdzi.

W artykułach opisywała fakty, na zdjęciach pokazywała koszty. Zdołała sfotografować amerykańskie koszary w Az-Zahran, gdzie na skutek ataku rakiety SCUD zginęło dwudziestu ośmiu żołnierzy. Nie epatowała widokiem zwłok, ale dymiące karoserie zniszczonych humvee w pewnym sensie ilustrowały stratę w ludziach. Fotografowała obozy jenieckie na pustyni w Arabii Saudyjskiej, gdzie w oczach pojmanych Irakijczyków malowały się wieczne zmęczenie i strach. W obiektywie aparatu uwieczniła kłęby czarnego dymu buchającego z kuwejckich pól naftowych, podpalonych przez wycofujące się wojska irackie. A najbardziej przejmujące zdjęcia zrobiła na „autostradzie śmierci”, gdzie siły sprzymierzone bezlitośnie bombardowały długi konwój żołnierzy wroga, lecz również cywili z Iraku i Palestyny.

Bosch brał udział w wojnie. W pamięci utkwily mu z niej błoto, krew i dezorientacja. Ale z bliska oglądał ludzi, których zabijali, których sam zabijał. Niektóre z tych wspomnień miał przed oczami równie wyraźnie, jak te zdjęcia na ekranie komputera. Nawiedzały go głównie nocami, kiedy nie mógł zasnąć, albo całkiem niespodziewanie, gdy jakiś

codzienny widok przywoływał nagle obraz z dżungli bądź tuneli, w których się ukrywał. Znał wojnę z pierwszej ręki, a słowa i zdjęcia Anneke Jespersen uznał za najbliższe prawdy ze wszystkich znanych mu relacji dziennikarskich.

Po zawieszeniu ognia Jespersen nie wróciła do domu. Została w tym rejonie i miesiącami uwieczniała obozy uchodźców oraz zniszczone wioski, a także wysiłki zmierzające do odbudowy i uzdrowienia kraju, kiedy działania aliantów przeszły w coś o nazwie operacja Provide Comfort.

Jeżeli w ogóle można było poznać niewidoczną osobę stojącą po drugiej stronie obiektywu aparatu – a także trzymającą długopis – to właśnie poprzez te powojenne artykuły i zdjęcia. Jespersen wyszukiwała matki i dzieci, osoby najbardziej pokrzywdzone, które zostały bez środków do życia. I chociaż może to były tylko zdjęcia i słowa, to jednak pospołu opowiadały o ludzkich losach oraz kosztach nowoczesnej wojny i jej następstw.

Mozolnie tłumacząc i czytając artykuły oraz oglądając zdjęcia, Bosch czuł, że – być może za sprawą akompaniamentu smętnego saksofonu Arta Peppera – w pewien sposób zbliżył się do Anneke Jespersen. Po dwudziestu latach dotarła do niego swoimi pracami, co jeszcze bardziej wzmocniło jego determinację. Dwadzieścia lat wcześniej ją przeprosił. Tym razem złożył jej obietnicę. Znajdzie tego, kto odebrał jej wszystko.

Ostatnim przystankiem w cyfrowej podróży po życiu i pracy Anneke Jespersen była witryna poświęcona pamięci dziennikarki, założona przez jej brata. Żeby na nią wejść, musiał się zarejestrować, podając adres e-mailowy – cyfrowy odpowiednik wpisu do księgi gości na pogrzebie. Stronę podzielono na dwa działy: zdjęcia wykonane przez Jespersen oraz te, które zrobiono jej.

W pierwszym dziale znalazło się wiele zdjęć z artykułów, które Bosch przeczytał dzięki linkom przysłanym przez Bonna. A także dużo dodatkowych fotografii do tekstów, zdaniem Boscha nierzadko lepszych od tych, które trafiły do druku.

Drugi dział przypominał album rodzinny – zdjęcia Anneke zaczynały się od czasów, kiedy była chudą małą dziewczynką

z jasnoblond włosami. Bosch przejrzał je szybko, aż dotarł do serii fotografii zrobionych przez samą Anneke. Były to ujęcia robione przed różnymi lustrami w okresie kilku lat. Jespersen pozowała z aparatem zawieszonym na szyi, trzymając go na wysokości biustu i pstrykając fotki bez spoglądania w wizjer. Zebrane razem, ukazywały widoczny na jej twarzy upływ czasu. Na każdym zdjęciu wyglądała pięknie, lecz Bosch dostrzegł w jej oczach coraz większą mądrość.

Przy ostatnich fotografiach odniósł wrażenie, jakby patrzyła wprost i wyłącznie na niego. Z trudem oderwał się od jej wzroku.

Na stronie można było zamieszczać swoje uwagi. Gdy wszedł w tę zakładkę, zobaczył lawinę komentarzy zaczynających się w roku 1996, kiedy powstała strona; z biegiem lat ich liczba zmniejszała się, aż do tylko jednego wpisu w ubiegłym roku. Nadawcą był jej brat, twórca i administrator strony. Bosch przekopiował komentarz do internetowego tłumacza, by otrzymać go po angielsku.

Anneke, czas nie łagodzi bólu po stracie Ciebie. Tęsknimy za Tobą jako siostrą, przyjaciółką, artystką. Jesteśmy z Tobą na zawsze.

Przeczytawszy ten wylew uczuć, Bosch wylogował się ze strony i zamknął laptop. Jak na jeden wieczór miał dość. Jego wysiłki przybliżyły mu wprawdzie postać Anneke Jespersen, ale ostatecznie nie odpowiedziały na pytanie, co spowodowało ją do Stanów Zjednoczonych rok po Pustynnej Burzy. Nie dało mu wskazówki, po co przyleciała do Los Angeles. Nie znalazł tam artykułu o zbrodniach wojennych, niczego, co usprawiedliwiłoby dalszą pracę nad tym tematem, a tym bardziej przyjazd do Los Angeles. Wciąż nie miał pojęcia, za czym uganiała się Anneke.

Spojrzał na zegarek. Czas upływał szybko. Minęła już jedenasta, a rano musiał się zebrać skoro świt. Płyta się skończyła, muzyka ucichła, ale nawet się nie zorientował kiedy. Córka zasnęła nad książką na kanapie, więc musiał się zdecydować, czy obudzić ją i odesłać do łóżka, czy też nakryć kocem i zostawić w spokoju.

Wstał i przeciągnął się. Jego ścięgnięta podkolanowe zaprotestowały. Wziął ze stołu pudełko po pizzy, wolno pokuśtykał do kuchni i położył je na wierzchu kosza na śmieci – wyrzuci je później. Patrząc na pudełko, zganił się w duchu za to, że znowu zajął się pracą, zamiast zadbać o to,

żeby córka odżywiała się jak należy.

Gdy wrócił do salonu, Madeline siedziała na kanapie, wciąż zaspana, i ziewała, zasłaniając dłonią usta.

– Hej, już późno – powiedział. – Kładź się do łóżka.

– Nie chcę.

– Chodź, zaprowadzę cię.

Wstała i oparła się o niego. Objął ją, a potem przeszli korytarzem do jej sypialni.

– Jutro rano znów musisz sobie radzić sama, skarbie. Dasz sobie radę?

– Co za pytanie, tato?

– O siódmej jestem umówiony na śniadanie i...

– Nie musisz się tłumaczyć.

W progu sypialni puścił córkę i pocałował w czubek głowy, wdychając woń jej szamponu o zapachu granatu.

– Muszę. Zaslugujesz na to, żeby ktoś więcej przebywał z tobą. Kto by tu był dla ciebie.

– Tato, padam z nóg. Nie chcę o tym mówić.

Wskazał salon po drugiej stronie korytarza.

– Wiesz, zagrałbym ci ten utwór, gdybym potrafił grać tak jak on.

Wtedy byś wiedziała.

Przeholował, obarczając ją swoją winą.

– Wiem! – odburknęła ze złością. – Dobranoc.

Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

– Dobranoc, córeczko – powiedział.

□ □ □

Poszedł do kuchni i wyniósł pudełko po pizzy do śmietnika. Sprawdził, czy pokrywa jest dobrze założona, by nie grasowały tam kojoty i inne nocne stwory.

Przed powrotem do domu otworzył kluczem kłódkę do komórki za tylną ścianą wiaty. Pociągnął za zwisający z sufitu sznurek włączający światło, po czym rozejrzał się po zakurzonych, zastawionych pudłami półkach. Trzymał w nich graty zbierane przez prawie całe życie. Zdjął jedno pudło, postawił je na stole warsztatowym, a potem sięgnął po to,

co stało na półce za kartonem.

Ściągnął biały hełm bojowy, który miał na głowie tej nocy, kiedy poznał Anneke Jespersen. Obejrzał podrapaną, zakurzoną powierzchnię. Dłonią starł kurz z przyklejonej z przodu nalepki. Odznaka ze skrzydłami. Patrząc na hełm, przypomniał sobie noc, kiedy miasto stanęło w ogniu. Minęło dwadzieścia lat. Pomyślał o tym, co przydarzyło mu się w tym czasie, o tym, co zyskał, a co stracił.

Po chwili odłożył hełm na półkę i zastawił go pudłem tak, by nie było go widać. Zamknął komórkę na klucz, wrócił do domu i poszedł do łóżka.

Rozdział 17

Detektyw Nancy Mendenhall okazała się drobną kobietą o szczerym, wręcz rozbajającym uśmiechu. Ani trochę nie wyglądała groźnie, więc Bosch tym bardziej miał się na baczności. Chociaż, rzecz jasna, był czujny i gotowy na wszystko, wchodząc w towarzystwie Ricka Jacksona do gmachu Bradbury'ego na umówione przesłuchanie. Długie doświadczenie w potyczkach ze śledczymi z wewnętrznego nakazywało mu nie odpowiadać na uśmiech Mendenhall oraz podejrzliwie traktować jej stwierdzenie, że próbuje wyłącznie ustalić prawdę, z otwartym umysłem i bez żadnych nacisków z góry.

Miała osobny gabinet. Niewielki, lecz stojące przed jej biurkiem krzesła były wygodne. Znajdował się tam nawet kominek, tak jak w wielu gabinetach w starym budynku. Okna za jej plecami wychodziły na Broadway oraz gmach, w którym mieścił się dawny Million Dollar Theater. Zanim zaczęli, Mendenhall położyła na biurku cyfrowy magnetofon, do którego dołączył magnetofon Jacksona. Przedstawiwszy wszystkich obecnych w pokoju i wygłosiwszy rutynowe upomnienie, że funkcjonariusze policji mają obowiązek składać zeznania, powiedziała po prostu:

– Proszę mi opowiedzieć o pańskim poniedziałkowym wyjeździe do więzienia w San Quentin.

Przez następne dwadzieścia minut Bosch przedstawiał fakty związane z jego wyjazdem do więzienia w celu przesłuchania Rufusa Colemana na temat broni, z której zastrzelono Anneke Jaspersen. Podał wszystkie szczegóły, jakie mu przyszły do głowy, nawet to, jak długo musiał czekać na doprowadzenie więźnia. Przy śniadaniu ustalili z Jacksonem, że nie będzie niczego pomijał, licząc na to, że zdrowy rozsądek Mendenhall podpowie jej, iż skarga O'Toole'a to kompletna bzdura.

Uzupełnił swoją historię kopiami dokumentów z księgi morderstwa, by Mendenhall mogła się przekonać, że jego wyjazd do San Quentin na rozmowę z Colemanem był absolutnie konieczny, a nie wymyślony po to, żeby mógł się spotkać z Shawnem Stone'em.

Wyglądało na to, że przesłuchanie przebiega sprawnie –

Mendenhall zadała tylko jedno pytanie, by Bosch mógł je rozwinąć. Jednak kiedy skończył, zawężała swoją ciekawość do szczegółów.

– Czy Shawn Stone wiedział o pańskim przyjeździe? – zapytała.

– Nie, absolutnie nie – odparł Bosch.

– Czy uprzedził pan jego matkę, że pan się z nim zobaczy?

– Nie. Spotkanie zorganizowaliśmy na poczekaniu. Jak już mówiłem, miałem zabukowany bilet na lot powrotny. Zostało mi trochę czasu na krótkie spotkanie, więc poprosiłem o widzenie z nim.

– Ale przyprowadzili go panu do pokoju przesłuchań na terenie zakładu, tak?

– Zgadza się. Nie prosili, żebym przeszedł do pomieszczeń na wizyty rodzinne. Powiedzieli, że mi go przyprowadzą.

To był jedyny czuły punkt Boscha w tej sprawie. Nie poprosił o widzenie z Shawnem Stone'em tak, jak zrobiłby to każdy normalny obywatel. Został w pokoju przesłuchań, do którego doprowadzono mu Rufusa Colemana, i po prostu kazał sprowadzić kolejnego więźnia – Stone'a. Wiedział, że mogą to potraktować jako wykorzystanie odznaki policyjnej w celu zapewnienia sobie przewagi.

Mendenhall naciskała dalej:

– No dobrze, a czy planując godziny lotów do i z San Quentin, brał pan pod uwagę taki ich rozkład, żeby mieć czas na widzenie z Shawnem Stone'em?

– W żadnym razie. Jadąc tam, nigdy nie wiadomo, ile czasu zabierze im doprowadzenie więźnia ani jak długo skazany zechce rozmawiać. Latałem tam na rozmowy, które kończyły się po minucie, i na takie, które powinny trwać godzinę, a przeciągały się do czterech. Tego nigdy nie wiadomo z góry, dlatego zostawiłem sobie trochę czasu w zapasie.

– Zostawił pan sobie półgodzinne okienko na pobyt w więzieniu.

– Z grubsza tak. Do tego nigdy nie wiadomo, ile potrwa dojazd.

Trzeba tam dolecieć, pojechać pociągiem do agencji wynajmu samochodów, załatwić auto, dojechać do miasta i przejechać przez nie na drugą stronę, wreszcie przez most Golden Gate, a wracając, powtórzyć to w odwrotnej kolejności. Należy przewidzieć czas na wszelkie ewentualności. Ja spędziłem w więzieniu cztery godziny, z czego na

czekanie i rozmowę z Colemanem poświęciłem tylko dwie. Niech pani sobie to policzy. Zostało mi trochę czasu, więc wykorzystałem go na widzenie z chłopakiem.

– A kiedy konkretnie powiedział pan strażnikom, że chce się zobaczyć ze Stone’em?

– Pamiętam, że kiedy wyprowadzali Colemana, spojrzałem na zegarek. Była druga trzydzieści, a lot miałem dopiero o szóstej. Doszedłem do wniosku, że nawet biorąc pod uwagę ruch na ulicach i konieczność oddania samochodu, mam jeszcze przynajmniej godzinę. Mogłem albo wcześniej wrócić na lotnisko, albo zobaczyć, czy potrafią sprowadzić mi drugiego więźnia naprawdę szybko. Wybrałem tę drugą możliwość.

– Nie pomyślał pan, żeby sprawdzić, czy nie ma wcześniejszego lotu z powrotem?

– Nie, ponieważ to nie miało znaczenia. I tak wróciłbym do Los Angeles już po godzinach pracy, więc było mi obojętne, czy wyląduję o piątej, czy o siódmej. Tego dnia dłużej bym nie pracował. Zlikwidowali nam nadgodziny. Doskonale pani o tym wie, pani detektyw.

– Poza tym zmiana lotu najczęściej wiąże się z dodatkowymi kosztami. – To Jackson odezwał się po raz pierwszy w trakcie przesłuchania. – Zwykle jest to od dwudziestu pięciu do stu dolarów. Gdyby zmienił lot, musiałby się potem tłumaczyć przed księgowymi i tymi od rozliczania delegacji.

Bosch skinął głową. Improwizując na temat pytania Mendenhall, Jackson dorzucił ważną kwestię.

Mendenhall sprawiała wrażenie, jakby zadawała pytania według listy, chociaż nie miała przed sobą żadnych papierów. Odhaczyła pytanie w głowie i przeszła do następnego.

– Czy w jakikolwiek sposób dawał pan do zrozumienia pracownikom zakładu karnego w San Quentin, że chce pan rozmawiać z Shawnem Stone’em w związku z prowadzonym śledztwem?

Bosch zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, nic podobnego – odparł. – Poza tym sądzę, że pytając, w jaki sposób mogę wpłacić pieniądze na jego rachunek w kantynie, jasno

dawałem do zrozumienia, że on nie ma nic wspólnego ze śledztwem.

– Ale zapytał pan o to dopiero po rozmowie ze Stone'em, zgadza się?

– Owszem.

Zapadła cisza, gdy Mendenhall przeglądała dostarczone przez Boscha dokumenty.

– Myślę, panowie, że na razie to wszystko – oświadczyła.

– Nie ma pani więcej pytań? – upewnił się Bosch.

– Chwilowo nie. Ale możliwe, że będę miała jeszcze jakieś później.

– Wobec tego czy ja mogę mieć kilka pytań?

– Proszę pytać, odpowiem w miarę moich możliwości.

Bosch skinął głową. Uczciwy układ.

– Jak długo to potrwa?

Mendenhall zmarszczyła czoło.

– No cóż, jeśli chodzi o samo dochodzenie, nie sędzę, żeby trwało długo – odparła. – Chyba że nie uzyskam odpowiedzi z San Quentin telefonicznie i będę musiała tam pojechać.

– Czyli możliwe, że wydadzą dodatkowe pieniądze na wysyłanie pani taki szmat drogi tylko po to, żeby sprawdzić, co tam robiłem, mając wolną godzinę?

– To już zależy od mojego kapitana. Z pewnością weźmie pod uwagę koszty, jakie się z tym wiążą, a także powagę zarzutów wobec pana. Poza tym wie, że prowadzę obecnie kilka innych dochodzeń. Może uzna, że nie warto tracić na pana więcej pieniędzy i czasu śledczych.

Bosch nie wątpił, że w razie konieczności wyślą Mendenhall do San Quentin. Ona może i była zamknięta w bańce, w której nie miała nacisku z góry, ale jej kapitana to nie dotyczyło.

– Coś jeszcze? – spytała. – O dziewiątej mam przesłuchanie, muszę się przygotować.

– Tak, ostatnia rzecz – odparł Bosch. – Skąd się wzięła ta skarga?

Pytanie wyraźnie zaskoczyło Mendenhall.

– Nie wolno mi o tym mówić, ale myślałam, że pan wie. Sądziłam, że to oczywiste.

– Nie. Wiem tylko, że złożył ją O'Toole. Ale cała ta historia

z moimi odwiedzinami u Shawna Stone'a... Jak on na to wpadł? Skąd się dowiedział?

– Na ten temat nie mam prawa z panem rozmawiać, detektywie. Kiedy zakończę dochodzenie i przedstawię swoje zalecenia, być może pozna pan te fakty.

Bosch skinął głową, chociaż brak odpowiedzi na pytanie nie dawał mu spokoju. Czyżby ktoś z San Quentin zadzwonił do O'Toole'a i doniósł, że Bosch zachował się niestosownie? A może to sam porucznik posunął się do tego, że sprawdził, co też Bosch porabiał podczas wizyty w więzieniu? Tak czy siak, Boscha to zaniepokoiło. Szedł na przesłuchanie z wiarą w to, że kiedy złoży wyjaśnienia, skarga zostanie od razu odrzucona. A teraz przekonał się, że sprawy wcale nie wyglądają tak różowo.

Po wyjściu z BEZ Jackson i Bosch zjechali jedną z bogato zdobionych wind do holu. Zdaniem Boscha stuletni gmach Bradbury'ego był bez dwóch zdań najpiękniejszym budynkiem w mieście. Jedyną plamę na jego wizerunku stanowiło to, że mieściło się w nim Biuro Etyki Zawodowej. Gdy szli holem pod atrium w kierunku wyjścia na Zachodnią Trzecią Ulicę, Bosch poczuł zapach wypiekanego pieczywa przed najazdem klientów w porze lunchu w barze z kanapkami obok głównego wejścia do budynku. To też go denerwowało. Nie dość, że BEZ mieściło się w jednym z ukrytych skarbów miasta oraz że mieli w niektórych gabinetach kominki, to w dodatku za każdym razem, kiedy się tam zjawiał, witał go tak wspaniały zapach.

Idąc przez hol i skręcając w kiepsko oświetlony korytarz prowadzący do bocznego wyjścia, Jackson milczał. Była tam ławka, na środku której siedział odlany z brązu posąg Charliego Chaplina. Jackson usiadł obok niego i pokazał gestem Boschowi, żeby zajął miejsce po drugiej stronie komika.

– Co jest? – zdziwił się Bosch, siadając. – Powinniśmy wracać.

Jackson był zły. Pokręcił głową, nachylił się nad kolanami Charliego Chaplina i zniżył głos do szeptu.

– Harry, moim zdaniem oni cię udupią – powiedział.

Bosch nie rozumiał nastroju Jacksona ani jego zdziwienia tym, że góra zada sobie aż tyle fatygi, by wyjaśnić kwestię piętnastominutowej

rozmowy w San Quentin. Dla niego nie było to nic nowego. Po raz pierwszy podpadł wydziałowi wewnętrznemu przed trzydziestu pięciu laty. Złożono na niego skargę o to, że – podczas patrolu – wstąpił do pralni chemicznej, by odebrać wyprasowane mundury, kiedy zmierzał na stację, schodząc ze zmiany. Od tej pory w kwestii traktowania funkcjonariuszy przez władze policji nic już go nie zaskakiwało.

– No to co? – rzucił lekceważąco. – Nawet jeśli ona podtrzyma skargę. Co mi zrobią w najgorszym wypadku? Zawieszają na trzy dni? Na tydzień? To zabiorę córkę na Hawaje.

Jackson znów pokręcił głową.

– Nic nie rozumiesz, co?

Teraz Bosch nie bardzo wiedział, co o tym myśleć.

– Czego nie rozumiem? To wydział wewnętrzny, pal licho jak tam się teraz nazywają. Co tu jest do rozumienia?

– Tu nie chodzi o zawieszenie na tydzień. Jesteś na PPOE, stary. To jest kontrakt, teraz już nie cieszysz się taką samą ochroną jak przedtem... Pewnie dlatego nikt ze związku do ciebie nie oddzwonił. A kontrakt można zerwać na podstawie ZNPO.

Nareszcie Bosch zrozumiał. Przed rokiem podpisał pięcioletni kontrakt w ramach Planu Przejścia na Odroczoną Emeryturę. Faktycznie przeszedł więc na emeryturę, żeby zamrozić wysokość świadczenia, a potem wrócił do pracy na podstawie kontraktu. Jeden z paragrafów umowy przewidywał, że można go zwolnić, gdyby popełnił przestępstwo albo gdyby wszczęto przeciwko niemu wewnętrzne dochodzenie z powodu zachowania, które nie przystoi oficerowi.

– Nie widzisz, co O’Fool kombinuje? – zapytał Jackson. – Przerabia sekcję na własne kopyto. Każdego, kogo nie lubi, kto sprawia mu kłopoty albo nie okazuje należnego szacunku i posłuszeństwa, załatwi pod takim gównianym pretekstem, byleby móc się go pozbyć.

Bosch pokiwał głową, teraz wszystko układało się w całość. Ale wiedział o czymś, o czym Jackson nie miał pojęcia: że O’Toole chyba nie działa na własną rękę, bo chce się wygodnie umościć. Niewykluczone, że wykonuje polecenie człowieka urzędującego na dziewiątym piętrze.

– Jest coś, o czym ci nie mówiłem – powiedział.

– O w mordę! – rzucił Jackson. – Co takiego?

– Nie tutaj. Chodźmy.

Zostawili Charliego Chaplina i pieszo wrócili do Parker Center. Po drodze Bosch opowiedział Jacksonowi dwie historie – starą i nową. Pierwsza dotyczyła tła śledztwa, które Bosch prowadził rok wcześniej w sprawie śmierci syna ówczesnego radnego, Irvina Irvinga. Teraz opowiedział o tym, jak został wykorzystany przez komendanta i swoją byłą partnerkę do skutecznego przeprowadzenia politycznego przewrotu, w wyniku którego Irving stracił szansę na reelekcję. Na jego miejsce wybrano sympatyka policji miejskiej Los Angeles.

– Już samo to sprawiło, że konfrontacja z Martym była tylko kwestią czasu – powiedział. – A teraz do niej doszło przez śledztwo, które właśnie prowadzę.

Wyjaśnił, w jaki sposób człowiek z dziewiątego piętra próbował poprzez O'Toole'a wywrzeć na niego nacisk, żeby zwolnił działania w sprawie Anneke Jespersen. Zanim skończył opowieść, domyślił się, że Jackson szczerze żałuje, że zgodził się zostać jego obrońcą.

– Czyli w sumie wygląda to tak, że nie zamierzasz zwalniać tempa ani po cichu przesunąć śledztwa na przyszły rok? – rzekł Jackson, kiedy wchodzili na dziedziniec od frontu Parker Center.

Bosch pokręcił głową.

– Ona i tak już czekała za długo – wyjaśnił. – A jej zabójca za długo się cieszy wolnością. Nie zwolnię tempa za żadne skarby.

Gdy przechodzili przez automatyczne drzwi, Jackson pokiwał głową.

– Tak myślałem – mruknął.

Rozdział 18

Zaledwie Bosch dotarł do swojego biurka w sekcji spraw otwartych i niewyjaśnionych, nawiedziła go jego nowa nemezis, porucznik O'Toole.

– Bosch, umówiłeś się wreszcie ze śledczą z BEZ?

Harry okręcił się na krześle, by spojrzeć na przełożonego. O'Toole zdjął marynarkę, prezentując szelki we wzór z kijów do golfa. Jego spinka do krawata stanowiła miniaturkę odznaki policyjnej Los Angeles. Sprzedawali je w kiosku z pamiątkami w Akademii Policyjnej.

– Już się tym zająłem – odparł Bosch.

– To dobrze. Chcę to wyjaśnić jak najszybciej.

– Nie wątpię.

– Nie ma w tym nic osobistego, Bosch.

Harry skwitował to uśmiechem.

– Ciekawi mnie tylko jedno, poruczniku – powiedział. – Czy sam pan na to wpadł, czy może pomógł panu ktoś z góry?

– Harry? – odezwał się Jackson zza ścianki działowej między boksami. – Uważam, że nie powinienes się wdawać w...

Bosch uniósł rękę, przerywając mu, żeby go do tego nie mieszać.

– Nie przejmuj się, Rick. To było pytanie retoryczne. Porucznik nie musi odpowiadać.

– Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc o „kimś z góry” – odparł mimo wszystko O'Toole. – Ale to dla ciebie typowe: dociekać, skąd się wzięła skarga, zamiast zastanowić się nad zarzutem i własnymi poczynaniami.

Zabrzęczała komórka Boscha. Wyjął ją z kieszeni i oderwał wzrok od porucznika, by spojrzeć na wyświetlacz. Numer zastrzeżony.

– Sprawa jest bardzo prosta – ciągnął O'Toole. – Czy podczas pobytu w więzieniu zachowywałeś się jak należy, czy...

– Muszę odebrać – przerwał mu Bosch. – Mam na głowie śledztwo, poruczniku.

O'Toole odwrócił się do wyjścia z boksu. Bosch odebrał, ale kazał dzwoniącemu poczekać. Następnie przycisnął telefon do piersi, żeby rozmówca po drugiej stronie nie mógł usłyszeć jego słów.

– Poruczniku! – zawołał.

Podniósł głos na tyle, by śledczy w sąsiednich boksach mogli go usłyszeć, a kiedy O’Toole odwrócił się do niego, zapowiedział mu:

– Jeżeli nie przestaniesz pan mnie nękać, złożę na pana oficjalną skargę.

Przez chwilę mierzył porucznika wzrokiem, a potem przyłożył telefon do ucha.

– Mówi detektyw Bosch. Czym mogę służyć?

– Tutaj Suzanne Wingo, ATF. Czy jest pan teraz w Parker Center?

Znajoma Rachel Walling. Bosch poczuł w żyłach zastrzyk adrenaliny. Możliwe, że już ustaliła właściciela pistoletu, z którego zastrzelono Anneke Jespersen.

– Tak, jestem tutaj. Czy...

– Siedzę na ławce na placu przed budynkiem. Czy może pan zejść? Mam coś dla pana.

– Tak, jasne. A nie chciałaby pani zajrzeć do mnie do biura?

Mogę...

– Nie, wolałabym, żeby pan zszedł.

– Wobec tego będę za dwie minuty.

– Niech pan przyjdzie sam, detektywie.

Rozłączyła się. Bosch siedział przez dłuższą chwilę, zachodząc w głowę, dlaczego kazała mu przyjść samemu. Szybko wybrał numer Rachel Walling.

– Harry?

– Tak. Ta Suzanne Wingo... Co z nią?

– O co ci chodzi? Obiecała mi, że sprawdzi ten numer. Dałam jej twój numer na komórkę.

– Wiem. Właśnie zadzwoniła i powiedziała, że bym się z nią spotkał przed budynkiem. Mam przyjść sam. W co ja się pakuję, Rachel? Walling roześmiała się.

– W nic takiego, Harry. Ona już taka jest. Bardzo tajemnicza, bardzo ostrożna. Wyświadcza ci przysługę i nie chce, żeby ktoś o tym wiedział.

– Na pewno tylko o to chodzi?

– Tak. I pewnie będzie chciała od ciebie coś w zamian. *Quid pro*

quo.

– Na przykład co?

– Nie mam pojęcia, Harry. Zresztą może nie poprosi o to już teraz.

Po prostu będziesz jej winien przysługę. Tak czy siak, jeśli chcesz się dowiedzieć, do kogo należy broń, którą zdobyłeś, zjedź i spotkaj się z nią.

– Zgoda. Dzięki, Rachel.

Bosch rozłączył się i wstał. Obejrzał się przez ramię. Chu wciąż nie było przy biurku. Bosch od rana go nie widział. Widząc, że Jackson patrzy na niego, dał mu znak, żeby się spotkali przy drzwiach. Począł, aż wyjdą na korytarz, i dopiero potem zapytał:

– Masz pięć minut?

– No raczej – odparł Jackson. – A co jest?

– Chodź tu.

Bosch podszedł do szklanej ściany, skąd miał widok na plac przed budynkiem. Obserwował betonowe ławki, aż w końcu spostrzegł siedzącą samotnie kobietę z kartonową teczką w ręku. Miała na sobie spodnie, golf i żakiet. Zobaczył miejsce, w którym żakiet zadzierał się i załamywał pod ostrym kątem za prawą kieszeń. Kobieta nosiła pod spodem kaburę z bronią. To była Wingo. Wskazał ją palcem.

– Widzisz kobietę na tamtej ławce? W niebieskim żakiecie?

– No.

– Idę się z nią tam spotkać, to potrwa kilka minut. Chcę, żebyś nas obserwował, może zrób nam zdjęcie telefonem. Dasz radę?

– Jasne. Ale co się dzieje?

– Pewnie nic takiego. Ona jest z ATF i coś dla mnie ma.

– I?

– Dotychczas jej nie spotkałem. Nie chciała wejść na górę, tylko kazała, żebym do niej zjechał... Sam.

– Się robi.

– Podejrzewam, że wpadam w paranoję. Ale skoro O'Toole, jak widać, śledzi każdy mój krok...

– Tak, to, że mu tak nawrzucałeś, tym bardziej nie pomogło. Jako twój obrońca uważam, że nie powinieneś się...

– Walić go. Muszę do niej zjechać. Będziesz obserwował?

– Nie ruszę się stąd na krok.

– Dzięki, stary.

Bosch szturchnął kolegę w ramię i odszedł.

– Wiesz, że nie znam większego paranoika od ciebie?! – zawołał za nim Jackson.

Bosch udał, że podejrzliwie mruży oczy.

– Kto ci o tym powiedział?

Jackson parsknął śmiechem. Bosch zjechał windą na parter i ruszył przez plac prosto do kobiety, którą wypatrzył z góry. Z bliska przekonał się, że miała trzydzieści kilka lat, atletyczną budowę ciała i praktycznie ostrzyżone, krótkie kasztanowe włosy. Pierwsze wrażenie podpowiadało mu, że jest to doświadczona agentka federalna.

– Agentka Wingo?

– Mówił pan o dwóch minutach.

– Przepraszam. Zatrzymał mnie przełożony, straszny z niego dupek.

– Jak oni wszyscy.

Spodobało mu się, że nie powiedziała tego w formie pytania, tylko stwierdziła fakt. Usiadł obok niej, spoglądając na teczkę, którą trzymała.

– O co chodzi z tą zabawą w tajnych agentów i spotkaniem tutaj? – spytał. – Pamiętam naszą poprzednią siedzibę. Nikt nie chciał nas tam odwiedzać, bo przy kolejnych sześciu stopniach w skali Richtera złożyłaby się jak naleśnik. Ale teraz mamy nowiutki budynek. Gwarantuję, że bezpieczny. Może wejdzie pani, oprowadzę panią po naszych włościach.

– Rachel Walling prosiła mnie o przysługę, ale ręczyła za pana tylko do pewnego stopnia. Rozumie pan?

– Nie. Co o mnie mówiła?

– Powiedziała, że przyciąga pan kłopoty i że powinnam uważać. Chociaż nie wyraziła tego dokładnie tymi słowami.

Skinął głową. Domyślił się, że Walling powiedziała, że kłopoty trzymają się go jak muchy gówna. Nie byłoby to po raz pierwszy.

– Widać, że trzymacie sztamę.

– Musimy. To klub dla chłopców.

– I jak, sprawdziła pani możliwe numery tej broni?

- Owszem. Ale nie jestem pewna, czy na wiele się panu przydam.
- A to dlaczego?
- Dlatego, że pistolet, który pan odnalazł, od dwudziestu pięciu lat był zaginiony.

Bosch poczuł, że przypływ adrenaliny gwałtownie go opuszcza. Pożałował, że tak bardzo liczył na to, że numer seryjny broni otworzy czarną skrzynkę w tej sprawie.

- Ciekawe natomiast jest to, gdzie zaginął – dodała Wingo.
- Żal Boscha w jednej chwili ustąpił miejsca ciekawości.
- Gdzie?
- W Iraku. Kopeć lat temu, podczas Pustynnej Burzy.

Rozdział 19

Wingo otworzyła teczkę i zanim przeszła do rzeczy, poczytała własne notatki.

– Zaczniemy od początku – powiedziała.

– Mam notować, czy da mi pani te akta? – spytał Bosch.

– Należą do pana. Ale chcę z nich skorzystać, żeby opowiedzieć całą tę historię.

– Wobec tego słucham.

Próbował sobie przypomnieć, co dokładnie powiedział Rachel Walling o tej sprawie. Czy zdradził jej, że Anneke Jespersen pisała relacje z Pustynnej Burzy? A ona poinformowała o tym Wingo? Ale nawet gdyby Wingo o tym wiedziała, nie zmieniłoby to tropu i nie podpowiedziało jej, że akurat ta informacja – o tym, że pistolet zaginął w Iraku – sprawiła, że z punktu widzenia Boscha śledztwo zmierzało teraz w zupełnie nowym kierunku.

– Zaczniemy od początku – powiedziała Wingo. – Te dziesięć numerów seryjnych, które mi pan dał, należy do partii wyprodukowanej we Włoszech w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym. Dziesięć sztuk pistoletów z trzech tysięcy wyprodukowanych na zlecenie i sprzedanych irackiemu Ministerstwu Obrony. Tajna dostawa broni odbyła się pierwszego lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego.

– I zaraz potem ślad się urywa?

– Nie, jeszcze nie. Irackie wojsko trzymało fragmentaryczne rejestry, do których się dobraliśmy po drugiej wojnie w Zatoce Perskiej. Drobną korzyść z rozpowszechnienia archiwów skonfiskowanych w pałacach Saddama Husajna i w bazach wojskowych. Pamięta pan, jak szukano broni masowego rażenia? Nie znaleźli jej, za to zdobyli od groma danych dotyczących mniej groźnej broni. A my w końcu uzyskaliśmy do nich dostęp.

– Brawo. I co pani powiedzieli o moim pistolecie?

– Cały transport broni z Włoch trafił do Gwardii Republikańskiej. GR to była żołnierska elita. Zna pan przebieg ówczesnych wydarzeń?

Bosch skinął głową.

– Znam podstawowe fakty. Saddam najechał na Kuwejt i kiedy posunął się do okropności, siły sprzymierzonych powiedziały: dość.

– Otóż to. Saddam dokonał inwazji na Kuwejt w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym, zaraz po otrzymaniu tej broni. Uważam, że wniosek jest oczywisty: zbroił się na okoliczność inwazji.

– Czyli że broń trafiła do Kuwejtu.

Wingo przytaknęła ruchem głowy.

– Najprawdopodobniej, chociaż stuprocentowej pewności nie mamy. Bo tutaj ślad się urywa.

Bosch odchylił się na ławce i spojrzał w niebo. Nagle przypomniał sobie, że prosił Ricka Jacksona, by go pilnował. Teraz nie widział już takiej potrzeby, więc omiół wzrokiem szklaną powierzchnię Parker Center. Odbicie słońca od szkła w połączeniu z tym, że patrzył pod ostrym kątem, sprawiło, że niczego nie widział. Podniósł rękę i dał znak, że wszystko w porządku. Miał nadzieję, że Jackson zrozumie sygnał i przestanie tracić czas.

– Co to było? – spytała Wingo. – Co pan wyprawia?

– Nic. Postawiłem faceta, żeby mnie pilnował, bo napędziłaś mi strachu, mówiąc, żebym przyszedł sam i w ogóle. Pokazałem mu, że wszystko gra.

– Wielkie dzięki.

Skwitował jej sarkazm uśmiechem. Podała mu akta. Jej raport niczego nie pomijał.

– Proszę zrozumieć, mam paranoiczny charakter, a pani nacisnęła właściwe guziki – wytłumaczył się.

– Czasami paranoja się przydaje – odparła.

– Czasami. Jak pani myśli, co się stało z tym pistoletem? W jaki sposób trafił stamtąd tutaj?

Próbował sam znaleźć odpowiedzi na te pytania, przed odejściem chciał jednak usłyszeć opinię Wingo. W końcu to ona pracowała w agencji federalnej mającej obowiązek monitorowania broni palnej.

– No cóż, wiemy, co się działo w Kuwejcie podczas Pustynnej Burzy.

– Ano. Pojechaliśmy tam i skopaliśmy dupska żołnierzom Saddama.

– Zgadza się, działania wojenne trwały niecałe dwa miesiące. Wojsko irackie najpierw wycofało się do miasta Kuwejt, a potem próbowało przedrzeć się przez granicę i uciec do Basry. Wielu zginęło, a jeszcze więcej pojmano.

– Zdaje się, że tę trasę nazywano „autostradą śmierci” – wtrącił się Bosch, przypominając sobie artykuły i zdjęcia przesyłane przez Anneke Jespersen.

– Owszem. Wczoraj sprawdziłam to wszystko w Google. Tylko na tej jednej drodze zabito setki ludzi i pojmano tysiące jeńców. Tych pakowano do autobusów, a ich broń na ciężarówki, i wywożono cały ten kram do Arabii Saudyjskiej, gdzie zorganizowano obozy jenieckie.

– A zatem mój pistolet mógł się znaleźć w jednej z tych ciężarówek.

– Właśnie. Mógł też należeć do żołnierza, który nie przeżył albo nie dotarł do Basry. Nie wiadomo.

Przez dłuższą chwilę Bosch zastanawiał się nad jej słowami. Jakimś cudem pistolet należący do irackiej Gwardii Republikańskiej rok później znalazł się w Los Angeles.

– Co się stało z przejętą bronią? – zapytał.

– Zebrano ją w jednym miejscu i zniszczono.

– I nikt nie spisał numerów seryjnych?

Wingo zaprzeczyła ruchem głowy.

– Toczyła się wojna. Przy tak ogromnej ilości broni nikt nie miał czasu stać i spisywać numerów seryjnych ani bawić się w podobne duperele. W grę wchodziły całe ciężarówki broni. Dlatego po prostu ją niszczone. Tysiące sztuk naraz. Zwozili ją na środek pustyni, wrzucali do dołów, a potem rozrywali na strzępy za pomocą silnych materiałów wybuchowych. Zostawiali na dzień czy dwa, żeby się paliła, a potem zasypywali doły piaskiem. I po krzyku.

Bosch skinął głową.

– I po krzyku – powtórzył.

Wciąż łamał sobie nad tym głowę. Coś krążyło na peryferiach jego myśli. Coś związanego ze sprawą, co mogło pomóc przejrzeć na oczy. Był tego pewien, ale nie potrafił dostrzec, co to takiego.

– Mam pytanie – powiedział w końcu. – Czy kiedyś już się z tym

pani spotkała? To znaczy z sytuacją, w której broń stamtąd pojawia się tutaj w śledztwie. Broń, którą podobno zarekwirowano i zniszczono.

– Dziś rano sprawdziłam odpowiedź na to pytanie i owszem, już się z tym zetknęliśmy. Znalazłam co najmniej jeden taki przypadek. Chociaż nie całkiem taki sam.

– A czym się różnił?

– W dziewięćdziesiątym szóstym popełniono morderstwo w Fort Bragg w Karolinie Północnej. Żołnierz zabił drugiego żołnierza w trakcie pijackiej kłótni o kobietę. On również posłużył się berettą model dziewięćdziesiąt dwa, która wcześniej należała do wojsk Saddama. Ten żołnierz podczas Pustynnej Burzy służył w Kuwejcie. Zeznał, że zabrał pistolet martwemu żołnierzowi irackiemu, a potem przemycił go do kraju jako pamiątkę. Jednak w aktach, które przeglądałam, nie natrafiłam na żadną wzmiankę o tym, w jaki sposób tego dokonał. A mimo to wwiózł tę broń do kraju.

Bosch wiedział, że istnieje mnóstwo sposobów na przywożenie broni z wojen na pamiątkę. Ta praktyka była równie stara jak samo wojsko. Kiedy służył w Wietnamie, najłatwiej załatwiało się to, rozkładając broń na części i wysyłając je pojedynczo do domu listownie, przez kilka tygodni.

– Nad czym się pan tak zamyślił, detektywie?

Bosch zachichotał.

– Tak sobie myślę... Myślę, że muszę się dowiedzieć, kto przemycił tutaj ten pistolet. Ofiara w moim śledztwie była dziennikarką i fotoreporterką. Oraz korespondentką podczas tamtej wojny w Zatoce. Czytałem jej artykuł na temat „autostrady śmierci”. Widziałem jej zdjęcia...

Musiał wziąć pod uwagę i taką możliwość, że to Anneke Jespersen sama przywiozła do Los Angeles pistolet, z którego ją zastrzelono. Wydawało się to mało prawdopodobne, ale nie mógł pominąć tego, że dziennikarka przebywała w tym samym miejscu, w którym po raz ostatni widziano tę broń.

– Kiedy na lotniskach zaczęto stosować wykrywacze metalu? – zapytał.

– O, całe lata temu – odparła Wingo. – To się zaczęło w związku

z tą falą porwań samolotów w latach siedemdziesiątych. Ale skanowanie odprawianego bagażu to co innego. To stosunkowo świeża procedura, tyle że też nie jest zbyt skuteczna.

Harry pokręcił głową.

– Podróżowała tylko z bagażem podręcznym. Nie sądzę, żeby nadawała walizki do odprawy.

Nie wierzył w to. W tym, że Anneke Jespersen zdobyła broń martwego albo pojmanego irackiego żołnierza, przemyciła ją do swojego kraju, a potem jeszcze raz do Stanów Zjednoczonych, by w rezultacie z niej zginąć, nie było za grosz sensu.

– Nie wygląda to obiecująco – rzekła Wingo. – Ale jeżeli załatwi pan spis ludności z okolicy, w której zginęła ofiara, będzie pan mógł sprawdzić, kto służył w wojsku i kto brał udział w wojnie w Zatoce Perskiej. I czy w pobliżu miejsca zbrodni mieszkał ktoś, kto właśnie wrócił do kraju... Wtedy mnóstwo mówiono o syndromie wojny w Zatoce, o wystawieniu na działanie chemikaliów i upału. Wiele incydentów związanych z użyciem przemocy po powrocie do kraju przypisywano wpływowi tamtej wojny. Na tym też opierała się linia obrony tego żołnierza z Fort Bragg.

Bosch pokiwał głową, chociaż w ogóle już jej nie słuchał. Nagle wszystko zaczęło mu się składać do kupy – słowa, zdjęcia i wspomnienia... Przed oczami miał obraz zaułka odchodzącego od Crenshaw z tamtej nocy. A także żołnierzy obstawiających ulicę. Czarno-białe zdjęcia żołnierzy na „autostradzie śmierci”... Wysadzone w powietrze koszary w Az-Zahran i dymiącą karoserię wojskowego humvee... Reflektory humvee, którym wjechali do zaułka...

Pochylił się, oparł łokcie na kolanach i palcami obu rąk przeczesał włosy.

– Detektywie, dobrze się pan czuje? – zaniepokoiła się Wingo.

– Dobrze. Nic mi nie jest.

– Nie wydaje mi się.

– Myślę, że oni tam byli...

– Kto gdzie był?

Trzymając się oburącz za głowę, uświadomił sobie, że wyraził na głos swoje myśli. Obejrzał się na Wingo przez ramię. Pomiął jej

pytanie milczeniem.

– Agentko Wingo, udało się pani – oświadczył. – Zdaje się, że właśnie otworzyła pani czarną skrzynkę.

Wstał i spojrzał na nią z góry.

– Dziękuję pani i proszę podziękować ode mnie Rachel Walling.

Muszę już iść.

Zawrócił i ruszył z powrotem do Parker Center.

– Co to jest czarna skrzynka?! – zawołała za nim Wingo.

Nie odpowiedział. Nie zwalniając kroku, szedł dalej.

Rozdział 20

Bosch energicznym krokiem zmierzał przez salę odpraw w kierunku swojego biurka. Zobaczył, że Chu siedzi w boksie, zwrócony do niego bokiem i zgarbiony nad klawiaturą komputera. Chwycił swoje krzesło, przysunął je do partnera i usiadłszy okrakiem twarzą do oparcia, odezwał się natarczywym tonem:

– Nad czym pracujesz, Davidzie?

– Eee... sprawdzam możliwości dojazdu do Minnesoty.

– Pojedziesz beze mnie? Nie ma sprawy, sam cię zachęcałem.

– Pomyślałem sobie, że muszę jechać albo czekając na ciebie, zacząć coś innego.

– Wobec tego masz rację, powinieneś jechać. Sprawdziłeś, kto może się z tobą zabrać?

– Tak, Wystrzałowa Trish się zgodziła. Ma rodzinę w St. Paul, więc niestraszny jej ziąb i cała reszta.

– Tylko uprzedź ją, że O'Toole weźmie pod lupę każdy rachunek z delegacji.

– Już to zrobiłem. No dobrze, czego potrzebujesz, Harry? Widzę, że się na coś napaliłeś. Znów masz to swoje przeczucie?

– A żebyś wiedział. Chcę, żebyś usiadł do komputera i sprawdził, które jednostki kalifornijskiej Gwardii Narodowej wysłano do tłumienia rozruchów w Los Angeles w dziewięćdziesiątym drugim.

– To powinno być proste.

– A potem dowiedz się, które z tych jednostek rok wcześniej wysłano do Zatoki Perskiej na Pustynną Burzę. Zrozumiałeś?

– Tak, chcesz wiedzieć, które jednostki były i tu, i tam.

– No właśnie. A jak już będziesz miał ich listę, chcę wiedzieć, gdzie stacjonowali w Kalifornii i co robili podczas Pustynnej Burzy. Gdzie dostali przydział, tego typu rzeczy. Dasz radę?

– Już do tego siadam.

– Świetnie. Podejrzewam, że większość tych jednostek ma w sieci swoje archiwa, strony internetowe, cyfrowe albumy i tak dalej. Szukam nazwisk. Nazwisk żołnierzy, którzy w dziewięćdziesiątym pierwszym brali udział w Pustynnej Burzy, a rok później tłumili rozruchy w Los

Angeles.

– Rozumiem.

– Znakomicie. Dzięki, Davidzie.

– Harry, wiesz, że nie musisz mi mówić po imieniu, skoro to dla ciebie krępujące. Przyzwyczaiałem się, że zwracasz się do mnie po nazwisku.

Mówiąc to, Chu wpatrywał się w ekran komputera.

– To aż tak oczywiste? – spytał Bosch.

– Po prostu rzuca się w oczy – odparł Chińczyk. – No wiesz, po latach nazywania mnie Chu.

– Zrobimy tak. Ty mi wyszukasz potrzebne informacje, a ja od tej pory będę się do ciebie zwracał „panie Chu”.

– Nie ma takiej potrzeby. Ale czy mógłbyś mi wyjaśnić, po co szukamy tych danych? Co to ma wspólnego z Jespersen?

– Mam nadzieję, że wszystko.

Następnie Bosch wyjaśnił nową teorię śledczą, którą chciał sprawdzić, mianowicie że Anneke Jespersen zbierała materiały do artykułu i przyjechała do Los Angeles nie z powodu rozruchów, tylko w ślad za kimś z kalifornijskiej Gwardii Narodowej, kto rok wcześniej został wysłany nad Zatokę Perską.

– A co takiego tam się wydarzyło, że postanowiła pójść tropem tego gościa? – zapytał Chu.

– Tego jeszcze nie wiem – odparł Bosch.

– Czym się zajmiesz, kiedy ja będę badał sprawę od tej strony?

– Przyjrzę się jej pod innym kątem. Niektórzy z tych facetów są już w księdze morderstwa. Zacznę od tego.

Bosch wstał i przeciągnął krzesło do swojego biurka. Usiadłszy, otworzył oryginalną księgę morderstwa w sprawie Jespersen. Nie zdążył jednak przejść do zeznań świadków, bo zabrzączał jego telefon.

Spojrzał na wyświetlacz – dzwoniła Hannah Stone. Był zajęty, a poza tym znalazł w sobie nowy zapal. Normalnie by poczekał, aż włączy się poczta głosowa, teraz jednak coś kazało mu odebrać. Hannah rzadko dzwoniła do niego w godzinach pracy. Jeśli chciała z nim porozmawiać, najpierw wysyłała SMS z pytaniem, czy może zadzwonić.

Odebrał telefon.

– Hannah? Co się stało?

– W poczekalni siedzi jakaś kobieta z policji. Twierdzi, że chce mnie przesłuchać w sprawie ciebie i mojego syna – odezwała się nagłym szeptem.

Z jej głosu przebijał wręcz paniczny strach. Nie miała pojęcia, co się dzieje. Bosch zdał sobie sprawę, że przesłuchanie jej to logiczny krok, przed którym powinien był ją ostrzec.

– Hannah, nic się nie martw. Masz jej wizytówkę? Czy ona nazywa się Mendenhall?

– Tak, mówiła, że jest detektywem od policyjnej etyki czy jakoś tak. Nie dała mi wizytówki. Po prostu przyszła nieumówiona i już.

– W porządku, ona jest z Biura Etyki Zawodowej. Musi cię spytać o moje niedawne spotkanie z Shawnem.

– Co takiego? Dlaczego?

– Dlatego że mój porucznik w związku z tym złożył na mnie skargę. Pod pozorem, że w czasie pracy załatwiałem sprawy prywatne. Posłuchaj, Hannah, to nic takiego, po prostu powiedz jej wszystko, co wiesz. Mów prawdę.

– Jesteś pewny? To znaczy, czy jesteś pewny, że powinnam z nią rozmawiać? Ona twierdzi, że nie mam takiego obowiązku.

– Możesz z nią pogadać, tylko mów prawdę. A nie to, co twoim zdaniem mogłoby mi pomóc. Powiedz jej szczerze wszystko, co wiesz na ten temat. Stoi? To naprawdę drobiazg.

– A co z Shawnem?

– A co ma być?

– Czy ona może mu jakoś zaszkodzić?

– Nie, Hannah, nie ma takiej możliwości. Tu chodzi o mnie, nie o twojego syna. Więc zaproś ją do gabinetu i odpowiedz na jej pytania, bylebyś mówiła wyłącznie prawdę. Zgoda?

– Skoro tak twierdzisz.

– Tak twierdzą. Nic się nie martw. A jak już Mendenhall sobie pójdzie, zadzwoń do mnie.

– Nie mogę. Jestem poumawiana. Przez moją rozmowę z nią ludzie będą czekać w kolejce.

– Więc spław ją szybko i zadzwoń do mnie, jak już nadgonisz

zaległości z klientami.

– A może zjedźmy dzisiaj kolację?

– Świetnie, bardzo chętnie. Zadzwoń albo ja zadzwonię do ciebie i ustalimy, gdzie się spotkamy.

– Dobrze, Harry. Od razu mi lepiej.

– Cieszę się, Hannah. Wszystko ci opowiem.

Rozłączył się i wrócił do księgi morderstwa. Przerwał mu siedzący za jego plecami Chu, który słyszał, co mówił do Hannah.

– A więc ci nie odpuścili – powiedział.

– Jeszcze nie. Czy Mendenhall umówiła się już z tobą na przesłuchanie?

– Nie, mnie nie wzywała.

– Nie bój nic, jeszcze cię wezwie. Wygląda mi na taką, co to prowadzi dochodzenia wyjątkowo skrupulatnie.

Bosch wrócił do początku księgi morderstwa, by znaleźć i jeszcze raz przeczytać zeznanie Francisa Johna Dowlera, żołnierza kalifornijskiej Gwardii Narodowej, który znalazł zwłoki Anneke Jespersen w zaułku odchodzącym od Crenshaw. Zeznanie było zapisem rozmowy telefonicznej, przeprowadzonej z nim przez Gary'ego Harroda z Riot Crimes Task Force. Bosch i Edgar nie mieli okazji przesłuchać Dowlera pierwszego wieczoru od rozpoczęcia śledztwa. Dopiero Harrod złapał go telefonicznie pięć tygodni po morderstwie. Wtedy Dowler już wrócił do cywila i mieszkał w mieście o nazwie Manteca.

Z oświadczenia świadka zdarzenia oraz zeznania Dowlera wynikało, że miał on dwadzieścia siedem lat i pracował jako kierowca tirów. Od sześciu lat służył w kalifornijskiej Gwardii Narodowej i dostał przydział do 237. Kompanii Transportowej z siedzibą w Modesto.

Ciało Boscha przeszył zastrzyk adrenaliny. Modesto. Dziesięć lat po morderstwie właśnie z Modesto zadzwonił ktoś podający się za Alexa White'a.

Bosch okręcił się na krześle i przekazał informację o 237. Kompanii Chu, który odparł, że już ustalił po poszukiwaniach w internecie, że 237. Kompania była jednym z trzech oddziałów Gwardii Narodowej, której członków wysłano zarówno na operację Pustynna Burza, jak i do tłumienia rozruchów w Los Angeles.

Patrząc na ekran komputera, Chu przeczytał:

– Koszary dwieście trzydziestej siódmej mieszczą się w Modesto, a we Fresno stacjonuje kompania dwadzieścia sześć sześćdziesiąt osiem. Obie to są kompanie transportowe... złożone głównie z kierowców ciężarówek. Trzecia to dwieście siedemdziesiąta z Sacramento. Należy do niej żandarmeria wojskowa.

Usłyszawszy o kierowcach ciężarówek, Bosch przestał słuchać. Myślał o ciężarówkach, którymi zwożono przejęte zapasy broni na pustynię w Arabii Saudyjskiej, żeby się jej pozbyć.

– Skupmy się na dwieście trzydziestej siódmej. Należał do niej ten facet, który znalazł zwłoki. Co jeszcze o nich wiesz?

– Na razie niewiele. Piszą, że przez dwanaście dni służyli w Los Angeles. Tylko jeden został ranny. Gość spędził noc w szpitalu z wstrząśnieniem mózgu po tym, jak zarobił w łeb butelką.

– A co z Pustynią Burzą?

Chu wskazał na ekran.

– Mam to tutaj. Przeczytam ci opis ich akcji w ramach Pustynnej Burzy. „Żołnierzy dwieście trzydziestej siódmej, w sile sześćdziesięciu dwóch osób, zmobilizowano dwudziestego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku. Jednostka wylądowała w Arabii Saudyjskiej trzeciego listopada. Podczas operacji Pustynna Tarcza i Pustynna Burza przewiozła dwadzieścia jeden tysięcy ton ładunku, piętnaście tysięcy wojskowych i jeńców wojennych oraz przejechała bez wypadków milion trzysta pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Do bazy w Modesto wróciła dwudziestego trzeciego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, bez strat w ludziach”. Rozumiesz, o co mi chodzi? Ci faceci byli kierowcami ciężarówek i autobusów.

Przez pewien czas Bosch przetrawiał te informacje i dane statystyczne.

– Musisz zdobyć te sześćdziesiąt dwa nazwiska – powiedział.

– Pracuję nad tym. Miałaś rację. Każda jednostka ma swoją amatorską stronę w internecie oraz archiwum. Wiesz, wycinki artykułów prasowych i takie tam. Ale nie znalazłem listy nazwisk z dziewięćdziesiątego pierwszego ani dziewięćdziesiątego drugiego. Sporadycznie pojawiają się wzmianki o jakimś człowieku. Na przykład

jeden z nich jest teraz szeryfem hrabstwa Stanislaus. A poza tym startuje do Kongresu.

Bosch podjechał na krzesło na tyle blisko, by mieć widok na to, co Chu miał na ekranie. Zobaczył zdjęcie mężczyzny w zielonym mundurze szeryfa, który trzymał tablicę z napisem „Drummond do Kongresu!”.

– To jest strona dwieście trzydziestej siódmej? – upewnił się.

– Ehe. Podają tu, że facet służył w kompanii od dziewięćdziesiątego do dziewięćdziesiątego ósmego. Czyli że powinien...

– Zaczekaj chwilkę. Drummond... Skądś znam to nazwisko.

Bosch próbował sobie przypomnieć, wracając myślami do tej nocy w zaułku. Tak wielu żołnierzy stało tam i gapiło się. Nagle pstryknął palcami, gdy mignęła mu twarz i nazwisko.

– Dobosz. To gość, którego nazywali Doboszem. Był tam tej nocy.

– No, a teraz niejaki J.J. Drummond jest tam szeryfem – rzekł Chu.

– Może pomoże nam z nazwiskami.

Bosch skinął głową.

– Możliwe, ale wstrzymajmy się z tym, aż lepiej się zorientujemy w sytuacji.

Rozdział 21

Bosch wrócił do swojego komputera i ściągnął mapę Modesto, by lepiej zorientować się w geografii i w tym, jak się ma do Modesto położenie Manteki – rodzinnego miasta Francisa Dowlera.

Oba miasteczka leżały w samym sercu doliny San Joaquin, lepiej znanej jako Dolina Centralna... oraz źródło żywności dla całego stanu. Mięso, owoce, orzechy, warzywa... wszystko, co trafiało do kuchni i na stoły w restauracjach Los Angeles i większej części Kalifornii, pochodziło stamtąd. W tym także część win na tychże stołach.

Modesto stanowiło filar hrabstwa Stanislaus, natomiast Manteca leżała tuż za jego północną granicą, w hrabstwie San Joaquin, którego stolicą było Stockton – największe miasto w dolinie.

Bosch nie znał tych okolic. W dolinie bywał jedynie przejazdem podczas wypadów do San Francisco i Oakland. Ale wiedział, że na międzystanowej 5 czuło się smród stoczni na obrzeżach Stockton na długo, zanim się tam dojechało. Można też było skręcić w dowolny zjazd z autostrady stanowej 99, by zaraz trafić na stragan z owocami bądź warzywami, których jakoś tylko utwierdzała w przekonaniu, że mieszka się we właściwym miejscu. To właśnie Dolinie Centralnej Kalifornia w dużej mierze zawdzięcza nazwę Złoty Stan.

Bosch wrócił do zeznania Francisa Dowlera. Mimo że od wznowienia śledztwa czytał je przynajmniej dwukrotnie, przeczytał je jeszcze raz, szukając szczegółów, które mogły mu wtedy umknąć.

Ja, niżej podpisany Francis John Dowler (ur. 21 lipca 1964), w piątek pierwszego maja 1992 roku byłem na służbie w Los Angeles jako członek 237. Kompanii kalifornijskiej Gwardii Narodowej. Moja jednostka miała zadanie ochrony i udroźnienia ruchu na głównych drogach podczas niepokojów społecznych, które wybuchły w następstwie werdyktu wydanego w procesie policjantów oskarżonych o pobicie Rodneya Kinga. Wieczorem pierwszego maja moja jednostka stacjonowała na odcinku Crenshaw Boulevard między Florence Avenue a Slauson Avenue od północy. Dotarliśmy tam późnym wieczorem, ponieważ okolice plądrowali już szabrownicy i podpalacze. Ja stałem na rogu Crenshaw i Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy. Mniej więcej

o dziesiątej w nocy wszedłem do pobliskiego zaułka, żeby się załatwić. Wtedy zauważyłem zwłoki kobiety leżące pod ścianą spalonego budynku. Nikogo wówczas w zaułku nie dostrzegłem ani nie rozpoznałem martwej kobiety. Odniosłem wrażenie, że ją zastrzelono. Upewniłem się, że nie żyje, badając tętno na jej ręce, po czym wyszedłem z zaułka. Poszedłem do łącznościowca Arthura Fogle'a, poprosiłem o połączenie z naszym dowódcą, sierżantem Eugene'em Burstinem, i przekazałem mu, że mamy zwłoki w zaułku. Sierżant Burstin po przyjsciu obejrzał zaułek i ciało, po czym zawiadomiono przez radio wydział zabójstw policji miejskiej Los Angeles. Wróciłem na pozycję, a potem przeniosłem się na Florence Avenue, gdzie potrzebowano pomocy w opanowaniu tłumu, kiedy rozwścieczeni okoliczni mieszkańcy wylegli na skrzyżowanie. Jest to pełne, zgodne z prawdą i dokładne sprawozdanie z moich poczynań w piątek, pierwszego maja 1992 roku, co potwierdzam poniżej własnoręcznym podpisem.

W notiesie pod nazwiskiem J.J. Drummonda Bosch zapisał jeszcze Francisa Dowlera, Arthura Fogle'a i Eugene'a Burstina. Teraz przynajmniej miał nazwiska czterech z sześćdziesięciu dwóch żołnierzy służących w 237. Kompanii w 1992 roku. Gapił się na zeznanie Dowlera, zastanawiając się nad kolejnym posunięciem.

I właśnie wtedy zauważył na spodzie kartki jakiś tekst: dowód nadania faksu. Najwyraźniej Gary Harrod przepisał zeznanie na maszynie i wysłał je Dowlerowi do zatwierdzenia i podpisu. A tamten przefaksował je z powrotem. Dane identyfikacyjne telefaksu na dole strony zawierały numer telefonu oraz nazwę firmy: Cosgrove Agriculture, Manteca, Kalifornia. Bosch domyślił się, że Dowler musiał tam pracować.

– Cosgrove – powiedział.

Ta sama nazwa widniała na salonie sprzedaży ciągników John Deere, skąd przed dziesięciu laty zadzwonił Alex White.

– Ehe. Mam go – oświadczył Chu za plecami Boscha.

Harry się odwrócił.

– Kogo?

– Cosgrove'a. Carl Cosgrove. Służył w tej jednostce. Mam go tu na

kilku zdjęciach. Zdaje się, że to tam teraz gruba ryba.

Bosch uświadomił sobie, że wpadli na jakiś związek.

– Prześlij mi ten link, dobrze?

– Jasne.

Bosch odwrócił się do swojego komputera, czekając na e-mail.

– Czy patrzysz na stronę dwieście trzydziestej siódmej? – zapytał.

– Ehe. Mają tu rzeczy jeszcze z czasów Pustynnej Burzy

i rozruchów.

– A co z wykazem personelu?

– Wykazu nie ma, za to w niektórych historiach pojawiają się nazwiska wraz ze zdjęciami. Jest wśród nich Cosgrove.

Przyszedł e-mail. Bosch otworzył go szybko i kliknął na link.

Chu miał rację. Strona wyglądała, oględnie mówiąc, na amatorszczyznę. Jego szesnastoletnia córka tworzyła lepsze strony internetowe w ramach zajęć szkolnych. Ta najwyraźniej powstała przed wielu laty, gdy witryny internetowe dopiero raczkowały jako nowe zjawisko kulturowe. Nikt nie zadał sobie trudu, by unowocześnić ją współczesną grafiką i przeprojektować.

Główny tytuł reklamował stronę jako „Dom Bojowej 237.”.

Poniżej widniało coś, co wyglądało na motto i logo kompanii: słowa *Keep on Truckin'* i wariant kultowej postaci twórcy komiksów Roberta Crumba – maszerującego mężczyzny, z jedną wielką stopą wyciągniętą do przodu. Na stronie 237. Kompanii mężczyzna był w wojskowym mundurze i z karabinem na ramieniu.

Pod spodem informowano o aktualnych wyjazdach treningowych oraz imprezach rekreacyjnych kompanii. Były też linki pozwalające skontaktować się z administratorem strony albo dołączyć do grup dyskusyjnych. A także jeden pod tytułem „Historia”. Bosch kliknął na ten link.

Został przekierowany na blog, na którym musiał przebrnąć przez dwadzieścia lat doniesień o dokonaniach kompanii. Na szczęście gwardię wzywano rzadko i w dużych odstępach czasowych, więc stosunkowo szybko dotarł do wczesnych lat dziewięćdziesiątych. Te sprawozdania najwidoczniej wrzucono na stronę w momencie jej powstania w roku 1996.

Był tam krótki artykuł na temat wezwania do zamieszek w Los Angeles, jednak nie zawierał niczego, o czym Bosch już by nie wiedział. Ale towarzyszyły mu zdjęcia kilku żołnierzy z 237., rozstawionych na różnych posterunkach w południowym Los Angeles, a poza tym w tekście padało kilka nazwisk, których jeszcze nie miał. Przepisał je do notesu i dalej przewijał tekst w dół.

Kiedy doszedł do wyczynów kompanii podczas Pustynnej Tarczy oraz Pustynnej Burzy, jego puls przyśpieszył – zobaczył kilka zdjęć podobnych do zrobionych przez Anneke Jespersen, gdy pracowała tam jako korespondentka wojenna. 237. Kompania biwakowała w Az-Zahran, bardzo blisko koszar, które zostały zbombardowane podczas irackiego ataku rakietami SCUD. Kompania transportowa przerzucała w obie strony żołnierzy, cywili i więźniów głównymi drogami między Kuwejtem a Arabią Saudyjską. Znalazły się tam nawet zdjęcia członków 237. Kompanii z urlopu wypoczynkowo-zdrowotnego na statku wycieczkowym zacumowanym w Zatoce Perskiej.

Bosch przepisywał do notesu kolejne pojawiające się nazwiska, myśląc sobie, że na zdrowy rozum personel kompanii pewnie niewiele się zmienił w okresie między wojną w Zatoce Perskiej a rozruchami w Los Angeles. Ludzie pokazani na fotografiach wojennych najprawdopodobniej wchodzili w skład jednostki wysłanej rok później do Los Angeles.

Doszedł do zestawu zdjęć kilku członków kompanii na statku *Saudyjska Księżniczka* w trakcie urlopu wypoczynkowo-zdrowotnego. Niektóre fotografie pokazywały drużynę koszykówki podczas turnieju nad basenem, ale większość prezentowała wyraźnie pijanych mężczyzn, pozujących z butelkami piwa.

Bosch zamarł, kiedy przeczytał nazwiska w podpisie jednego ze zdjęć. Fotografia przedstawiała czterech mężczyzn na drewnianym pokładzie wokół basenu na statku. Z gołymi torsami i wzniesionymi butelkami piwa pokazywali znak zwycięstwa do obiektywu aparatu. Ich mokre kąpielówki były zrobione ze spodni kamuflażowych z odciętymi nogawkami. Nazwiska tych pijanych w sztok, spalonych od słońca żołnierzy brzmiały: Carl Cosgrove, Frank Dowler, Chris Henderson oraz Reggie Banks.

Bosch trafił na kolejny związek: to właśnie Reggie Banks sprzedał przed dziesięciu laty kosiarkę ciągnikową Alexowi White'owi. Dopisał nowe nazwiska do listy, a Banksa trzykrotnie podkreślił.

Powiększył fotografię na ekranie i przyjrzał jej się ponownie. Trzej z nich – wszyscy oprócz Cosgrove'a – mieli na prawych ramionach takie same tatuaże. Rozpoznał maszerującego mężczyznę w mundurze moro – logo jednostki. Następnie zauważył, że po prawej stronie za ich plecami leży przewrócony kosz na śmieci, z którego wysypywały się na pokład butelki i puszki. Patrząc na to zdjęcie, uświadomił sobie, że gdzieś już je widział. Tę samą scenę sfotografowaną pod innym kątem.

Szybko otworzył na ekranie nowe okno i wszedł na stronę poświęconą pamięci Anneke Jespersen, a następnie w folder z jej zdjęciami z Pustynnej Burzy. Przejrzał je szybko, aż trafił na plik fotografii, które zrobiła na statku wycieczkowym. Trzecie z sześciu zdjęć w tym zestawie zrobiono nad basenem. Był na nim konserwator ze statku, podnoszący przewrócony kosz na śmieci.

Przechodząc z jednego okna na drugie i ze zdjęcia na zdjęcie, Bosch porównał położenie oraz etykiety butelek i puszek rozrzuconych na pokładzie. Ich układ był identyczny. Dowodziło to ponad wszelką wątpliwość, że Anneke Jespersen przebywała na statku wycieczkowym w tym samym czasie co członkowie 237. Kompanii. Dla potwierdzenia porównał inne cechy charakterystyczne na zdjęciach. Na obu dostrzegł tego samego ratownika siedzącego na barierce przy basenie, w kapeluszu z opadającym rondem i z wysmarowanym maścią cynkową nosem. Na skraju basenu leżała kobieta w bikini, z zanurzoną w wodzie ręką. I wreszcie barman za ladą urządzonego w polinezyjskim stylu baru – z tym samym zgiętym papierosem za uchem.

Nie było najmniejszych wątpliwości. Anneke zrobiła swoje zdjęcie w ciągu kilku minut po zamieszczeniu na stronie internetowej 237. Kompanii. Była tam razem z nimi.

Jak mówi stare porzekadło, praca policyjna to w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach nuda, a w jednym adrenalina – pełne napięcia doniosłe chwile decydujące o życiu lub śmierci. Bosch nie wiedział, czy od jego odkrycia zależy czyjeś życie albo śmierć, ale czuł doniosłość tej chwili. Szybko wysunął szufladę biurka i wyjął szkło powiększające.

Następnie przewracał kartki księgi morderstwa, aż znalazł koszulkę ze stykówkami oraz fotografiami formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, które wywołano z czterech rolek klisz znalezionych w kamizelce Anneke Jespersen.

Zdjęć formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów było tylko szesnaście, a każde miało z tyłu zapisany numer rolki, z której pochodziło. Bosch domyślił się, że śledczy na chybił trafił wybrali i wywołali po cztery klatki z każdej rolki. Teraz obejrzał je szybko, porównując żołnierzy na każdym zdjęciu z tymi z pokładu *Saudyjskiej Księżniczki*. Nie miał szczęścia, dopóki nie doszedł do czterech fotografii z trzeciej rolki. Na wszystkich czterech kilku żołnierzy stało w kolejce do wejścia na pakę wojskowej ciężarówki przed stadionem Coliseum. Ale w samym środku każdego ujęcia, najbardziej wyeksponowany, stał wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna przypominający Carla Cosgrove'a z fotografii ze statku wycieczkowego.

Za pomocą lupy Bosch starał się uściślić wynik porównania, jednak nie miał pewności. Mężczyzna ze zdjęcia Jespersen miał na głowie hełm i nie patrzył w obiektyw. Bosch wiedział, że będzie musiał przekazać zdjęcia, stykówki i negatywy do działu fotograficznego, by porównali je za pomocą lepszych narzędzi niż ręczne szkło powiększające.

Po raz ostatni rzucił okiem na zdjęcie z 237. Kompanii i dojrzał nazwisko fotografa wypisane małymi literkami w prawym rogu.

ZDJĘCIE: J.J. DRUMMOND

Teraz podkreślił nazwisko Drummonda na liście i zadumał się nad dziwnym zbiegiem okoliczności, który miał przed oczami. Trzej ludzie, których nazwiska poznał już w trakcie śledztwa – Banks, Dowler i Drummond – byli nad basenem na pokładzie *Saudyjskiej Księżniczki* w tym samym dniu i o tej samej porze co fotoreporterka Anneke Jespersen. A rok później jeden z nich znalazł jej zwłoki w zaułku wstrząsanego rozruchami Los Angeles. Z kolei inny zaprowadził Boscha do ciała, a trzeci dziesięć lat później najprawdopodobniej dzwonił z pytaniem o postępy śledztwa.

Kolejna zbieżność wiązała się z osobą Carla Cosgrove'a. Był na

statku w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym, a rok później chyba też w Los Angeles. Jego nazwisko figurowało na identyfikatorze faksu z zeznaniem Francisa Dowlera oraz salonu sprzedaży produktów Johna Deere'a, w którym pracował Reggie Banks.

W każdym śledztwie następuje taki moment, w którym zwała się kilka rzeczy naraz i wszystko widać jasno jak na dłoni. Bosch właśnie się w nim znalazł. Wiedział, co ma robić i w którym kierunku zmierzać.

– Davidzie? – odezwał się, przed oczami wciąż mając obraz na ekranie komputera. Czterech pijanych mężczyzn w palącym słońcu, szczęśliwych, że są z dala od strachu i przypadkowości wojny.

– Tak, Harry?

– Przestań.

– Co mam przestać?

– Robić to, co robisz.

– O co ci chodzi? Dlaczego?

Bosch odwrócił ekran tak, by jego partner mógł obejrzyć zdjęcie. Potem spojrzął na Chu.

– Ci czterej – powiedział. – Zaczni od nich. Sprawdź ich w bazach danych. Znajdź ich. Dowiedz się o nich wszystkiego, co się da.

– W porządku, Harry. A co z szeryfem Drummondem? Czy mamy się z nim skontaktować w sprawie tych gości?

Bosch zastanawiał się przez chwilę.

– Nie – odparł w końcu. – Dodaj go do listy.

Chu był wyraźnie zaskoczony.

– Jego też mam sprawdzić? – zdziwił się.

– Tak, i nikomu ani słowa.

□ □ □

Bosch wstał i wyszedł z boksu. Środkowym przejściem ruszył do gabinetu porucznika. Przez otwarte drzwi zobaczył, jak O'Toole pracuje przy biurku – ze zwieszoną głową pisał coś w rozłożonych aktach. Podniósł wzrok, gdy Harry zapukał w futrynę, a po chwili wahania zaprosił go ruchem ręki do środka.

– Zgłaszam do protokołu, że przyszedłeś tu z własnej woli – rzekł, gdy Bosch przekroczył próg. – Bez nękania, bez przymusu.

- Odnotowałem.
- Czym mogę wam służyć, detektywie?
- Chcę wystąpić o urlop. Potrzebuję trochę czasu na przemyślenie paru rzeczy.

O'Toole milczał, jakby się zastanawiał, czy Bosch chce go zwabić w pułapkę.

– A kiedy chcesz wolne? – zapytał w końcu.

– Myślałem o przyszłym tygodniu – odparł Bosch. – Wiem, że jest piątek, więc zwracam się z tym w ostatniej chwili, ale mój partner da sobie radę ze wszystkimi sprawami w toku, a na wyjazd po aresztanta umówił się już z Trish Allmand.

– A co ze sprawą Królowej Śnieżki? Czy to nie ty mówiłeś mi dwa dni temu, że nic cię od niej nie odciągnie?

Bosch ze skrucną skinął głową.

– No, niby tak, ale chwilowo jest zastój. Czekam, aż coś się wydarzy.

O'Toole pokiwał głową, jak gdyby od początku wiedział, że Bosch trafi w tej sprawie na mur.

– Wiesz, że to nijak nie wpłynie na dochodzenie wydziału wewnętrznego – rzekł.

– Wiem – przyznał Bosch. – Po prostu muszę się wyciszyć, pomyśleć o priorytetach.

Widział, jak porucznik próbuje powstrzymać pełen samozadowolenia uśmiech. O'Toole nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł zadzwonić na dziewiąte piętro i zawiadomić, że Bosch już nie stanowi problemu, że detektyw marnotrawny nareszcie zobaczył światło i powrócił na łono rodziny.

– A zatem bierzesz urlop na tydzień? – upewnił się.

– Tak, tylko na tydzień – potwierdził Bosch. – Mam zaległe jakieś dwa miesiące.

– Normalnie wolę się dowiadywać o takich rzeczach z większym wyprzedzeniem, ale tym razem zrobię wyjątek. Idźcie na ten urlop, detektywie. Zannotuję to.

– Dzięki, poruczniku.

– Czy wychodząc, mógłbyś zamknąć za sobą drzwi?

– Z miłą chęcią.

Bosch zostawił go, by mógł w spokoju zadzwonić do komendanta. Zanim wrócił do boksu, miał już obmyślony plan, jak poukładać sprawy w domu podczas urlopu.

Rozdział 22

Ich ulubioną knajpą stała się Ca'Del Sole. Spotykali się tam częściej niż gdziekolwiek indziej. Wybór podyktowały romantyczny nastrój, smak – oboje lubili kuchnię włoską – oraz ceny, ale przede wszystkim dogodny położenie. Ta położona w północnym Hollywood restauracja leżała – zarówno pod względem odległości, jak i czasu dojazdu – w pół drogi między ich domami i miejscami pracy, choć może Hannah Stone miała nieco bliżej.

Miała bliżej czy nie, Bosch dotarł tam pierwszy. Zaprowadzono go do ich stałego stołu w osobnym boksie. Hannah uprzedziła, że może się spóźnić, ponieważ po nieplanowanej rozmowie z Mendenhall jej spotkania w leżącym w pół drogi domu w Panorama City posypały się jak kostki domina. Bosch wziął ze sobą akta sprawy, więc czekając, chętnie zajął się robotą.

Zanim dzień pracy w sekcji spraw otwartych i niewyjaśnionych dobiegł końca, David Chu sporządził krótkie wstępne biogramy pięciu mężczyzn, na których Bosch chciał się skupić. Korzystając zarówno z publicznie dostępnych baz danych, jak i tych należących do organów ścigania, w ciągu dwóch godzin dokonał tego, co Boschowi dwadzieścia lat wcześniej zajęłoby dwa tygodnie.

Wydrukował po kilka stron danych dotyczących każdego z mężczyzn. Bosch miał je teraz w teczce wraz z wydrukami fotografii zrobionych przez Drummonda oraz Jespersen na pokładzie *Saudyjskiej Księżniczki*, a także z tłumaczeniem artykułu przesłanego przez Anneke Jespersen do „BT” razem ze zdjęciami.

Otworzył teczkę i jeszcze raz przeczytał artykuł. Nosił datę jedenastego marca 1991 roku, czyli że został napisany niemal dwa tygodnie po zakończeniu wojny, kiedy wojsko zajęło się utrzymywaniem pokoju. Był krótki, więc Bosch domyślił się, że jest to tylko tekst na jedną szpaltę pod zdjęciem. Korzystał z dość prymitywnego translatora internetowego, który nie oddawał niuansów stylu i gramatyki, więc po przekładzie na angielski artykuł był pełen błędów, chropowaty i toporny.

Nazywany „Statek miłości”, jest okręt wojenny, to pewne. Luksusowy statek wycieczkowy *Saudyjska Księżniczka* nigdy nie idzie

z portu, a zawsze pełny po brzegi, ma silna ochrona. Ta brytyjska jednostka jest czasowy czarter Pentagonu na wypoczynek i rekreacja dla amerykańscy żołnierze biorący udział w operacja Pustynna Burza.

Mężczyźni i kobiety na służba w Arabii Saudyjskiej przysługujemy okolicznościowy urlop wypoczynkowo-zdrowotny na trzy dni – wielkie na nie zapotrzebowanie od zawieszenie broni. *Księżniczka* to jedyne miejsce w rejon konserwatywna Zatoka Perska, gdzie żołnierze wolno pić alkohol i zawierać nowe przyjaźnie, a nie brać sprzętu kamuflażowego.

Statek ma cumy w porcie i jest doskonale strzeżony przez marines z broń i mundury. (Pentagon prosi dziennikarze, którzy odwiedzają, że nie można ujawnić jego dokładna pozycja). Na pokładzie nie ma mundury, życie jest zabawa. Tam dwie dyskoteki, całodobowe bary i trzy baseny. Żołnierze co tygodnie i miesiące stacjonują w regionie i uchylają się przed irackie rakiety SCUD i kule mają 72 godziny na zabawa, smakowanie alkoholu i flirt z płęć przeciwna – wszystko co w obozie nie wolno.

– Przez trzy dni znów jesteśmy cywile – powiedział Beau Bentley, 22-lata żołnierz z Fort Lauderdale na Floryda. – Ubiegły tydzień byłem pod ostrzał w Kuwejcie. Dzisiaj piję zimne z przyjaciółmi. Tego nic nie zbije.

Przez bary i w basenie płynie strumień alkoholu. Świętowanie wiktorii aliantów jest liczne. Mężczyźni na statek jest do kobiety jak piętnaście do jeden – co odzwierciedla proporcje w amerykańskie wojska w Zatoka Perska. Nie tylko mężczyźni na *Saudyjska Księżniczka* wolą, żeby rozkład bardziej równy.

– Przez cały czas ani raz nie płaciła sama za drinki – powiedziała Charlotte Jackson, żołnierka z Atlanta w Georgia. – Ale mam dość faceci, co stale się przystawiają. Szkoda, że nie wzięłam do czytania dobra książka. Byłabym teraz w kabina.

Opierając się na słowach Beau Bentleyya, że zaledwie przed tygodniem byli pod ostrzałem, Bosch obliczył, że redakcja „BT” przez prawie tydzień wstrzymywała publikację napisanego artykułu. A zatem Anneke Jespersen prawdopodobnie przebywała na pokładzie statku w pierwszym tygodniu marca.

Początkowo w artykule o *Saudyjskiej Księżniczce* nie widział niczego znaczącego. Ale teraz, ustaliwszy nowy związek Jespersen z członkami 237. Kompanii na statku, zmienił zdanie. Uświadomił sobie, że patrzy na nazwiska dwóch potencjalnych świadków. Wyjął komórkę i zadzwonił do Chu. Przełączono go na pocztę głosową. Chu zszedł ze służby i prawdopodobnie wyłączył telefon na noc. Bosch nagrał wiadomość, mówiąc na tyle cicho, żeby nie zakłócać spokoju pozostałych klientów restauracji.

– Dave, to ja. Muszę cię prosić o pomoc, trzeba sprawdzić dwa nazwiska. Trafiłem na nie w artykule z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego, ale co tam, warto spróbować. Pierwsze nazwisko to Beau Bentley, facet mieszka albo mieszkał w Fort Lauderdale na Florydzie. Druga to Charlotte Jackson. Podano, że z Atlanty. Oboje jako żołnierze brali udział w Pustynnej Burzy. Nie wiem, w jakich jednostkach służyli, artykuł o tym nie wspomina. Bentley miał wtedy dwadzieścia dwa lata, czyli teraz ma czterdzieści dwa albo czterdzieści trzy. Nie znam wieku Jackson, moim zdaniem teraz powinna mieć od trzydziestu dziewięciu do pięćdziesięciu lat. Zobacz, co ci się uda wygrzebać, i daj mi znać. Dzięki, partnerze.

Rozłączył się i spojrzał na drzwi wejściowe restauracji. Wciąż ani śladu Hannah Stone. Znów zajął się telefonem, szybko wysłał krótki SMS do córki z pytaniem, czy coś jadła, po czym wrócił do akt sprawy.

Przeglądał biogramy pięciu mężczyzn, przygotowane przez partnera. Cztery z nich miały na górze zdjęcia z prawa jazdy. Brakowało tylko zdjęcia Drummonda, ponieważ jako funkcjonariusz organów ścigania nie figurował w komputerze wydziału komunikacji. Bosch zatrzymał się na kartce z danymi Christophera Hendersona. Obok zdjęcia Chu napisał ręcznie: NIE ŻYJE.

Jako członek 237. Kompanii Henderson przeżył Pustynną Burzę oraz rozruchy w Los Angeles, ale nie przetrwał potyczki z uzbrojonym złodziejem w kierowanej przez siebie restauracji w Stockton. Chu dołączył artykuł z 1998 roku, opisujący, jak Henderson został napadnięty, kiedy został sam i właśnie zamykał popularny steakhouse o nazwie Steers. Uzbrojony mężczyzna w narciarskiej kominiarce i długim płaszczu zmusił go, by wszedł z powrotem do restauracji.

Zdarzenie widział przejeżdżający obok motocyklista. Zadzwoił na numer alarmowy, jednak mimo że policjanci zjawili się krótko po zgłoszeniu, zastali otwarte drzwi do lokalu, a w środku zwłoki Hendersona. Zastrzelono go w stylu mafijnych egzekucji, gdy klęczał w kuchennej chłodni. Sejf w gabinecie kierownika, w którym chowano na noc gotówkę niezbędną do funkcjonowania restauracji, był otwarty i pusty.

Artykuł podawał, że Henderson zamierzał się zwolnić ze Steers, by otworzyć własną restaurację w Mantecce. Nie zdążył. Z tego, co Chu wygrzebał w komputerze, wynikało, że morderstwo pozostało niewyjaśnione, a policja ze Stockton nie miała żadnych podejrzanych.

Sporządzony przez Chu biogram Johna Jamesa Drummonda był obszerny, ponieważ dotyczył osoby publicznej. W 1990 roku Drummond rozpoczął służbę w biurze szeryfa hrabstwa Stanislaus, następnie regularnie awansował, by w 2006 roku rzucić wyzwanie piastującemu urząd szeryfowi i pokonać go w wyborach. W 2010 roku skutecznie ubiegał się o reelekcję, a obecnie przymierzał się do stanowiska w Waszyngtonie. Prowadził kampanię do Kongresu, licząc na posłowanie z okręgu obejmującego hrabstwa Stanislaus oraz San Joaquin.

Biogram polityczny rozprowadzany w sieci w trakcie jego pierwszego startu na urząd szeryfa opisywał Drummonda jako miejscowego dzieciaka, któremu się powiodło. Wychował się w rozbitej rodzinie w dzielnicy zwanej Graceada Park w Modesto. W biurze szeryfa pełnił rozmaite funkcje, pilotował nawet ich jedyny śmigłowiec, ale jego awans przyśpieszył wyjątkowy talent kierowniczy. Biogram nazywał go też bohaterem wojennym, podając, że służył w Gwardii Narodowej podczas Pustynnej Burzy, jak również podkreślając, że w trakcie rozruchów w Los Angeles z roku 1992 został ranny, gdy bronił sklepu z odzieżą przed szabrownikami.

Bosch uświadomił sobie, że to właśnie Drummond był tym jedynym członkiem 237. Kompanii, który został ranny podczas rozruchów. Rzucona wtedy butelka mogła się okazać jednym z tych drobiazgów, które teraz uturują mu drogę do Waszyngtonu. Zauważył również, że wyjeżdżając z Gwardią Narodową nad Zatokę Perską,

a potem do Los Angeles, Drummond był już pracownikiem organów ścigania.

Pełen prywatny biogram na użytek kampanii zwracał ponadto uwagę na ogólny spadek przestępczości w hrabstwie Stanislaus za kadencji Drummonda. Wszystko to było nudne jak flaki z olejem, więc Bosch przeszedł do Reginalda Banksa, lat czterdzieści sześć, który przez całe życie mieszkał w Manteca.

Banks przez osiemnaście lat pracował jako sprzedawca w salonie sprzedaży ciągników John Deere w Modesto. Miał żonę i trójkę dzieci. A także dyplom ukończenia Modesto Junior College.

Pogrzebawszy głębiej, Chu doszukał się wyroku skazującego Banksa za prowadzenie pod wpływem alkoholu oraz dwa aresztowania z tego samego powodu, tyle że te nie skończyły się odsiadką. Bosch zwrócił uwagę na to, że jedyny wyrok zapadł w hrabstwie San Joaquin, gdzie leży Manteca. Natomiast za dwa zatrzymania za jazdę po pijaku w sąsiednim hrabstwie Stanislaus jakoś nie postawiono mu zarzutów. Boschowi przyszło na myśl, że pewnie stało się tak dlatego, że Banks i szeryf hrabstwa Stanislaus byli towarzyszami broni.

Przeszedł do Francisca Johna Dowlera i przeczytał biogram niewiele różniący się od życiorysu jego kumpla Banksa. Urodzony, wychowany i wciąż zamieszkały w Manteca, chodził do San Joaquin Valley College w Stockton, jednak nie wytrwał dwóch lat do zrobienia licencjatu.

Słyszając ciche rzenie, Bosch podniósł wzrok i zobaczył uśmiechniętego Pino, kelnera, który zazwyczaj ich obsługiwał.

– Co jest? – zapytał.

– Przepraszam, czytam pana papier.

Bosch spojrział na kartkę z informacjami dotyczącymi Dowlera, a potem znów na Pino. Kelner był Meksykaninem, ale pracował we włoskiej restauracji, więc udawał Włocha.

– Nic nie szkodzi, Pino. Ale co cię tak rozbawiło?

Kelner wskazał na górny wiersz tekstu.

– Tu pisze, on urodzony w Manteca. To jest śmieszne.

– Dlaczego?

– Ja myślałem, że pan mówi hiszpański.

– Tylko trochę. Co znaczy *manteca*?

– Smalec. Taki tłuszcz.

– Naprawdę?

– *Sí*.

Bosch wzruszył ramionami.

– Pewnie nadając miastu nazwę, uznali, że to słowo ładnie brzmi – powiedział. – A nie wiedzieli, co oznacza.

– Gdzie jest to miasto Smalec? – zapytał Pino.

– Na północ stąd. Jakieś pięć godzin jazdy.

– Pan mi zrobi zdjęcie, jak pojedzie. „Witajcie w Smalcu”.

Kelner wybuchnął śmiechem i odszedł obsłużyć klientów przy innych stołach. Bosch spojrzął na zegarek. Hannah spóźniała się już pół godziny. Pomyślał, że zadzwoni do niej i sprawdzi, jak się sprawy mają. Ale wyjąwszy komórkę, zobaczył, że córka odpowiedziała na jego SMS krótkim: *pizza do domu*. Już drugi wieczór z rzędu zamawiała pizzę, podczas gdy on wypuścił się na teoretycznie romantyczną kolację z sałatą, makaronem i winem. Znowu dopadło go poczucie winy. Wyglądało na to, że nie potrafi być takim ojcem, jakim powinien być. Z poczucia winy zrodził się gniew na samego siebie, a ten dał mu determinację niezbędną do tego, żeby rozmówić się z Hannah tak jak zamierzał – zakładając, że się w ogóle pojawi.

Postanowił odczekać jeszcze dziesięć minut i dopiero potem niepokoić ją telefonem, więc wrócił do pracy.

Dowler miał czterdzieści osiem lat i dokładnie pół życia przepracował dla Cosgrove Ag. Zakres jego obowiązków opisano jako „przewóz na umowę”. Bosch był ciekaw, czy to oznacza, że nadal jest kierowcą ciężarówki.

On również, podobnie jak Banks, został zatrzymany w hrabstwie Stanislaus za jazdę po pijaku, ale bez postawienia zarzutów. W komputerze od czterech lat znajdował się też nakaz aresztowania go za niezapłacone mandaty za parkowanie w Modesto. Byłoby to zrozumiałe, gdyby mieszkał w hrabstwie Los Angeles, gdzie nakazy aresztowania za drobne przewinienia tkwiły sobie spokojnie w komputerze, czekając, aż poszukiwanego przypadkiem zatrzyma stróż prawa i sprawdzi go w rejestrze osób poszukiwanych. Ale w tak małym hrabstwie jak Stanislaus Bosch spodziewałby się, że mają dość ludzi

i czasu, by ścigać i aresztować miejscowych poszukiwanych za nieprzestrzeganie prawa. Rzecz jasna, obowiązek zgarnięcia osoby, na którą wystawiono nakaz, spadał na biuro szeryfa w danym hrabstwie. Bosch znów odniósł wrażenie, że więzy zaciśnięte podczas Pustynnej Burzy i gdzie indziej chroniły byłych żołnierzy 237. Kompanii... przynajmniej w hrabstwie Stanislaus.

Wyglądało na to, że zaczyna się rysować jakiś wzór, ale znikł, gdy tylko Bosch zjrzał do kartoteki Carla Cosgrove'a. Cosgrove również urodził się w Mantece i mając czterdzieści osiem lat, mieścił się w tej samej grupie wiekowej co poprzednicy, ale na tym oraz na służbie w 237. Kompanii podobieństwa się kończyły. Nie był notowany, zrobił magisterium z zarządzania w rolnictwie na Uniwersytecie Kalifornijskim w Davis i był prezesem i dyrektorem generalnym Cosgrove Ag. Według artykułu na jego temat zamieszczonego w 2005 roku w publikacji zatytułowanej *Kalifornijski hodowca* firma ta posiadała w Kalifornii niemal osiemdziesiąt tysięcy hektarów ziemi rolnej i pod hodowlę. Zajmowała się zarówno hodowlą zwierząt, jak i uprawą roślin i należała do największych producentów wołowiny, migdałów oraz winogron w stanie. Mało tego, spółka zbierała plony nawet z wiatru. Artykuł chwalił Carla Cosgrove'a za to, że dużą część firmowych pastwisk przeznaczył na farmy wiatrowe i czerpał podwójną korzyść z tej samej ziemi, produkując na niej i elektryczność, i wołowinę.

Jeśli chodzi o życie prywatne, tekst opisywał Cosgrove'a jako faceta do wzięcia, rozwiedzionego przed wielu laty, mającego słabość do szybkich samochodów, drogich win i jeszcze droższych kobiet. Mieszkał w posiadłości pod Salida, na północnym skraju hrabstwa Stanislaus. Na terenie otoczonym przez migdałowce znajdowało się lądowisko dla śmigłowców, by mógł szybko przenosić się drogą powietrzną do innych swoich nieruchomości, takich jak luksusowy apartament w San Francisco czy domek w Mammoth, dokąd jeździł na narty.

Klasyczny przypadek w czepku urodzonego. Cosgrove prowadził firmę, którą jego ojciec, Carl Cosgrove senior, stworzył w 1955 roku z dwudziestu czterech hektarów uprawy truskawek oraz straganu z owocami. W wieku siedemdziesięciu sześciu lat ojciec nadal pozostawał prezesem zarządu, ale dziesięć lat temu przekazał stery

synowi. Artykuł podkreślał, jak Carl senior przygotowywał syna do przejęcia interesu, pilnując, by poznał w praktyce wszelkie aspekty działalności – od hodowli bydła, przez nawadnianie farmy po produkcję wina. Poza tym należał, by jego syn na rozmaite sposoby odpłacał się społeczeństwu, między innymi przez dwanaście lat służąc w kalifornijskiej Gwardii Narodowej.

Artykuł chwalił Carla juniora za to, że istniejącą od pięćdziesięciu lat rodzinną firmę wyniósł na wyżyny i śmiało rozwijał w różnych kierunkach, czego najlepszymi przykładami były farmy wiatrowe produkujące czystą energię oraz ekspansja należącej do rodziny sieci *steakhouse'ów* o nazwie *Steers*, mającej już sześć lokali na terenie Doliny Centralnej. Ostatnie zdanie artykułu brzmiało: *Największą dumą napawa Cosgrove'a to, że praktycznie w żadnej restauracji sieci Steers nie da się zjeść posiłku, który nie składałby się z czegoś do jedzenia albo picia wyprodukowanego przez jego olbrzymią firmę.*

Bosch dwukrotnie przeczytał zakończenie artykułu. Potwierdzało ono kolejny związek między mężczyznami na zdjęciu z *Saudyjskiej Księżniczki*: Henderson był kierownikiem jednej z restauracji *Cosgrove'a* – do czasu, aż został w niej zamordowany.

Pod spodem artykułu z *Kalifornijskiego hodowcy* Chu zrobił dopisek o treści: *Sprawdziłem tatuśka. Umarł w 2010 r. z przyczyn naturalnych. Teraz to junior kręci całym tym interesem.*

Bosch przetłumaczył to sobie w ten sposób, że Carl Cosgrove dostał w spadku pełną kontrolę nad spółką *Cosgrove Ag.*, wraz z jej licznymi aktywami i interesami. To zaś czyniło z niego króla doliny San Joaquin.

– Witaj. Przepraszam.

Bosch zadarł głowę w chwili, gdy Hannah Stone usiadła obok niego. Szybko cmoknęła go w policzek i oświadczyła, że umiera z głodu.

Rozdział 23

Zanim przeszli do rozmowy o Mendenhall i o tym, co się wydarzyło tego dnia, wypili po kieliszku czerwonego wina. Hannah powiedziała, że przez kilka minut musi się odprężyć, zanim będzie gotowa rozmawiać na poważne tematy.

– Dobrze – pochwaliła wino, które zamówił Bosch. Wyciągnęła rękę i obróciła butelkę, by obejrzeć etykietę. Uśmiechnęła się. – *Modus operandi* – odczytała nazwę trunku. – No jasne, jakżebyś mógł zamówić coś innego?

– Widzę, że już mnie zaszufładowałaś.

Upiła jeszcze łyk, a potem wzięła serwetkę i bez potrzeby poprawiła ją sobie na kolanach. Bosch zauważył, że ten nerwowy tik często pojawiał się u niej wtedy, gdy byli w restauracji, a rozmowa zbaczała na jej syna.

– Detektyw Mendenhall powiedziała mi, że w poniedziałek porozmawia z Shawnem – oznajmiła w końcu.

Bosch skinął głową. Nie zaskoczyło go, że Mendenhall wybiera się do San Quentin. Trochę się tylko zdziwił, że poinformowała o tym Hannah. Zdradzanie przesłuchiwanemu swoich planów w stosunku do drugiego, nawet jeśli chodzi o matkę i syna, nie uchodzi wśród śledczych za dobry obyczaj.

– Nieważne, czy do niego pojedzie – odparł. – Jeśli Shawn nie będzie chciał, nie musi z nią rozmawiać. A jeśli uzna, że chce, po prostu niech jej powie...

Urwał, bo nagle uświadomił sobie, co może kombinować Mendenhall.

– Co się stało? – spytała Hannah.

– Tuszowanie przestępstwa zawsze jest gorsze niż pierwotna zbrodnia.

– Co masz na myśli?

– To, że zdradziła ci, że się tam wybiera w poniedziałek. Może zrobiła tak, bo wiedziała, że mi o tym powiesz. A wtedy sprawdzi, czy spróbuję dotrzeć do Shawna pierwszy, żeby mu wbić mu do głowy, co ma zeznawać, albo kazać mu odmówić składania zeznań.

Hannah zmarszczyła czoło.

– Nie wyglądała mi na taką podstępłą zmiję. Wydawała się autentycznie szczerą. Prawdę mówiąc, odniosłam wrażenie, że dała się uwikłać w awanturę o podłożu politycznym, i wcale jej to nie cieszy.

– Sama wymyśliłaś to określenie czy też ona go użyła?

Hannah zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Możliwe, że ja pierwsza o tym wspomniałam czy też zasugerowałam, ale dla niej nie było to nic nowego. Powiedziała, że zastanawia ją motywacja, jaką kierował się autor skargi. Pamiętam dobrze, że to wyszło od niej, nie ode mnie.

Bosch skinął głową. Zakładał, że Mendenhall miała na myśli O'Toole'a, skoro to on złożył skargę. Może powinien jej zaufać i wierzyć, że dostrzeże, jak się sprawy mają.

Pino podał im sałatki Cezar, więc na czas jedzenia zawiesili dyskusję o śledztwie wewnętrznym. Po chwili Bosch skierował rozmowę na inne tory.

– Na przyszły tydzień biorę urlop – oznajmił.

– Naprawdę? Dlaczego nic nie mówiłeś? Też bym sobie wzięła parę dni wolnego. No, chyba że właśnie o to ci chodziło... chciałeś być sam.

Wiedział, że dojdzie do tego wniosku, a przynajmniej weźmie to pod uwagę.

– Będę pracował. Wybieram się w głąb stanu. Do Modesto, Stockton i miejsciny o nazwie Manteca.

– W związku ze sprawą Królowy Śnieżki?

– Tak. O'Toole za żadne skarby nie zatwierdziłby mojej delegacji. On nie chce wyjaśnienia tej sprawy. Dlatego pojedę za własne pieniądze i w czasie wolnym od pracy.

– I bez partnera? Harry, to nie jest...

Pokręcił głową.

– Nie pakuję się w żadne niebezpieczeństwo. Będę tylko rozmawiał z ludźmi, a niektórych poobserwuję. Z daleka.

Znowu się skrzywiła. Nie podobało jej się to. Odezwał się szybko, nie dając jej czasu na zgłoszenie kolejnych zastrzeżeń.

– Co ty na to, żeby zamieszkać u mnie z Maddie pod moją

nieobecność? – zapytał.

Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– Kiedyś zostawała u przyjaciółki, której matka zaproponowała, że się nią zajmie, tyle że już się z tą dziewczyną nie przyjaźni – dorzucił. – Dlatego sytuacja jest niezręczna. Maddie zawsze mówi, że chętnie zostanie sama, ale mnie się to nie podoba.

– Mnie też nie. Ale sama nie wiem, Harry. Pytałeś ją o zdanie?

– Jeszcze nie. Powiem jej wieczorem.

– Nie możesz jej tego po prostu zakomunikować. To musi być także jej decyzja. Musisz ją spytać.

– Słuchaj, przecież wiem, że ona cię lubi i że ze sobą rozmawiacie.

– Nie rozmawiamy ze sobą. Jesteśmy znajomymi z Facebooka.

– Dla niej to jedno i to samo. Teraz Facebook i SMS-y zastępują dzieciakom rozmowę. Kupiłaś jej piwo na moje urodziny. To do ciebie się zwróciła o pomoc.

– I co z tego? To zupełnie co innego niż zamieszkanie z nią w twoim domu.

– Wiem, ale myślę, że nie będzie miała nic przeciwko temu.

Zapytam ją wieczorem po powrocie, skoro będzie ci z tym lepiej. Ale czy zgodzisz się, jeśli ona się zgodzi?

Pino przyszedł zabrać puste talerze. Gdy odszedł, Bosch powtórzył pytanie.

– Tak, zrobię to – odparła Hannah. – Z największą przyjemnością. I bardzo chętnie zostałabym tam również po twoim powrocie.

Dotychczas nie wspominała o mieszkaniu pod jednym dachem. Bosch dobrze czuł się w tym związku, ale nie był pewien, czy jest gotowy pójść o krok dalej. I nie bardzo wiedział dlaczego. Nie był już młody. Więc na co czekał?

– No cóż, to byłby dobry pierwszy krok, nie sądzisz? – powiedział, chcąc uniknąć dalszej dyskusji.

– Mnie to raczej wygląda na jakiś dziwaczny sprawdzian. Jeśli zdam test z córki, zostanę przyjęta.

– Hannah, to nie tak. Posłuchaj, ja wcale nie próbuję uciec w tej chwili od tematu. Ale jestem w trakcie śledztwa, w niedzielę albo w poniedziałek wyjeżdżam, a do tego mam na karku panią detektyw

z Biura Etyki Zawodowej. Chcę o tym porozmawiać. To dla mnie ważne. Ale czy możemy poczekać, aż pozalutwiam choć część z tamtych spraw?

– Jasne.

Ton, jakim to powiedziała, jasno dawał do zrozumienia, że nie jest zachwycona odkładaniem tej kwestii na później.

– No już, nie złość się.

– Wcale się nie złościę.

– Przecież widzę.

– Chcę tylko, żeby było jasne: nie jestem z tobą w charakterze opiekunki do dziecka.

Bosch pokręcił głową. Rozmowa wymykała się spod kontroli. Uśmiechnął się refleksyjnie. Zawsze tak robił, gdy czuł się osaczony.

– Posłuchaj, ja tylko poprosiłem cię o przysługę. Jeśli nie chcesz tego zrobić albo jeśli masz mieć w związku z tym złe skojarzenia, to...

– Mówiłam ci, że nie jestem zła. Możemy zmienić temat?

Sięgnął po kieliszek i jednym łykiem wychylił go do dna. Potem wziął butelkę, by sobie dolać.

– Jasne – powiedział.

Rozdział 24

Sobotę Bosch przeznaczył częściowo na pracę, a częściowo na życie rodzinne. Namówił Chu na spotkanie z samego rana w sali odpraw, by mogli popracować bez ciekawskich spojrzeń porucznika O'Toole'a i innych członków sekcji. Nie tylko sekcja SON była wymarła – wyludnione były oba skrzydła olbrzymiej sali odpraw wydziału rabunków i zabójstw. Odkąd płaca za nadgodziny przeszła do historii, elitarne brygady śledczych pracowały w weekendy wyłącznie wtedy, gdy oni sami mieli przełom w sprawie. Na szczęście dla Boscha i Chu nic takiego teraz nie miało miejsca. Siedząc samotnie w swoim boksie, mogli spokojnie zająć się pracą.

Kiedy już Chu przestał marudzić, że ma za darmo harować przez pół soboty, usiadł do komputera i jeszcze głębiej niż dotąd zaczął grzebać w przeszłości członków 237. Kompanii Transportowej kalifornijskiej Gwardii Narodowej.

Bosch wprawdzie ograniczył swoje zainteresowanie do czterech mężczyzn uwiecznionych na *Saudyjskiej Księżniczce* oraz piątego, który zrobił to zdjęcie, ale zdawał sobie sprawę, że staranne śledztwo wymaga sprawdzenia wszystkich znanych im nazwisk członków 237. Kompanii, zwłaszcza tych, którzy przebywali na statku wycieczkowym mniej więcej w tym samym czasie co Anneke Jespersen.

Wiedział, że w najgorszym razie ten wysiłek opłaci się w sytuacji, gdyby śledztwo zakończyło się aktem oskarżenia. Adwokaci zawsze chętnie wytykali prokuraturze, że policja założyła klapki na oczy i skupiła się wyłącznie na ich klientach, a tymczasem prawdziwy sprawca wymknął się sprawiedliwości. Poszerzając zakres poszukiwań i gruntownie sprawdzając każdego znanego im członka 237. Kompanii w 1991 i 1992 roku, Bosch wytrącał obronie argument o klapkach na oczach, zanim go jeszcze zgłosiła.

Podczas gdy Chu pracował na swoim komputerze, Bosch robił to samo – drukował wszystko, co zebrali na pięciu mężczyzn pozostających w centrum zainteresowania. W sumie miał dwadzieścia sześć stron informacji, z czego ponad dwie trzecie dotyczyło szeryfa J.J. Drummonda i Carla Cosgrove'a – dwóch ludzi mających wiele do

powiedzenia w interesach, polityce i organach ścigania na terenie Doliny Centralnej.

Następnie wydrukował mapy tych miejsc w tym regionie, które zamierzał odwiedzić w przyszłym tygodniu. Dzięki temu zorientował się też w położeniu względem siebie miejscowości, w których mieszkało i pracowało tych pięciu mężczyzn. To, co robił, wchodziło w skład pakietu podróznego, który rutynowo należało skompletować przed wyjazdem.

Tymczasem przyszedł e-mail od Henrika Jespersena. Duńczyk w końcu zajrzał do komórki i znalazł szczegóły związane z podróżami siostry w ostatnim miesiącu jej życia. Informacje te powielały tylko to, co wcześniej powiedział Boschowi o wyjeździe Anneke do Stanów Zjednoczonych. Poza tym potwierdzały jej krótki wypad do Stuttgartu.

Według zapisków Henrika w ostatnim tygodniu marca 1992 roku jego siostra spędziła w Niemczech zaledwie dwa dni, nocując w hotelu Schwabian Inn w pobliżu koszar imienia Patcha na terenie garnizonu wojsk amerykańskich w Stuttgarcie. Henrik nie potrafił powiedzieć nic więcej o tym, co tam robiła, ale Boschowi udało się wyszukać w internecie, że właśnie w tych koszarach mieścił się Wojskowy Wydział Kryminalny (CID). Ponadto ustalił, że stuttgarcki wydział kryminalny prowadził wszystkie dochodzenia dotyczące rzekomych zbrodni wojennych związanych z operacją Pustynna Burza.

Bosch nie miał wątpliwości, że Anneke Jespersen rozpytywała w Stuttgarcie o jakąś rzekomą zbrodnię popełnioną podczas Pustynnej Burzy. Nie było tylko jasne, czy właśnie to, czego się dowiedziała, sprowadziło ją do Stanów Zjednoczonych. Wiedział z doświadczenia, że nawet status stróża prawa nie zapewni mu współpracy ze strony wojskowego CID. Podejrzał więc, że zagranicznej dziennikarce jeszcze trudniej byłoby uzyskać informacje na temat zbrodni, która w owym czasie zapewne wciąż była na etapie śledztwa.

W południe miał już skompletowany pakiet podrózny i był gotów do wyjścia. Najwyraźniej paliło mu się do opuszczenia pracy jeszcze bardziej niż Chu. W jego przypadku nie miało to jednak nic wspólnego z brakiem zapłaty za nadgodziny – po prostu poczynił pewne plany na resztę dnia. Wiedział, że jego córka wkrótce się obudzi, więc wymyślił,

że wyskoczą do Henry's Tacos w północnym Hollywood. Na lunch dla niego i śniadanie dla niej. Zamówili też bilety na film 3D, który Maddie od dawna chciała zobaczyć. A wieczorem oboje mieli pójść z Hannah na kolację do restauracji Craig's przy Melrose.

– Mogę się zbierać – powiedział do Chu.

– Wobec tego ja też – odparł jego partner.

– Znalazłeś coś, o czym warto pogadać?

Miał na myśli zbieranie danych o innych nazwiskach z 237.

Kompanii.

Chu pokręcił głową.

– Nie ma się czym podniecać.

– Wczoraj wieczorem nagrałem ci wiadomość z nazwiskami. Je także sprawdziłeś?

– Które?

– Żołnierzy wypowiadających się w artykule Jespersen o *Saudyjskiej Księżniczce*.

Chu pstryknął palcami.

– Kompletnie zapomniałem. Odsłuchałem wiadomość późno w nocy i dzisiaj wyleciało mi to z głowy. Załatwię to teraz.

– Nie, wracaj do domu – rzekł Bosch. – Możesz to zrobić jutro z domu albo tutaj w poniedziałek. Zresztą to i tak jest strzał w ciemno.

Chu się roześmiał.

– Co jest? – spytał Bosch.

– Nic, Harry. Tyle że ty zawsze strzelasz w ciemno.

Bosch skinął głową.

– Możliwe. Ale czasami się oplaca, a wtedy...

Teraz to Chu skinął głową. Nieraz widywał, jakie korzyści płynęły ze strzelania na oślep w wykonaniu partnera.

– Na razie, Harry. Uważaj tam na siebie.

Bosch zwierzył się Chu ze swoich „wakacyjnych” planów.

– Będę w kontakcie.

□ □ □

W niedzielę Bosch wstał wcześniej, zaparzył kawę i przeszedł z nią i z telefonem na ganek z tyłu domu, żeby się napawać porankiem. Na

dworze było zimno i wilgotno, ale uwielbiał niedzielne poranki, ponieważ na przełęczy Cahuenga w ciągu tygodnia nigdy nie panował aż taki spokój. Od autostrady dolatywał ledwie słyszalny szum, z rozmaitych placów budowy w rozpadlinie góry nie dudniło echo młotów, nawet kojoty nie czekały.

Spojrzał na zegarek. Musiał zadzwonić, ale postanowił odczekać do ósmej. Położył komórkę na podręcznym stoliku i wyciągnął się na szezlongu, czując, jak poranna rosa przenika przez koszulę na jego plecach. Nie miał nic przeciwko temu, wręcz lubił to uczucie.

Zazwyczaj budził się głodny. Ale nie dzisiaj. Poprzedniego wieczoru w Craig's zjadł pół koszyczka pieczywa czosnkowego, po czym wsunął sałatkę Zielona Bogini i befsztyk z polędwicy. A wreszcie na deser wziął od córki pół porcji puddingu chlebowego. Dawno już nie jadł takich pyszności i dawno tak dobrze mu się nie rozmawiało, więc uznał ten wieczór za wyjątkowo udany. Maddie i Hannah sądziły podobnie, chociaż przestały zwracać uwagę na jedzenie, odkąd wyśledziły aktora Ryana Philippe'a, siedzącego z grupką przyjaciół w boksie z tyłu sali.

Teraz wolno popijał kawę, wiedząc, że to całe jego śniadanie. O ósmej zamknął drzwi, po czym zadzwonił do przyjaciela, Billa Holodnaka, by się upewnić, że ich – ustalone wcześniej – plany na rano są aktualne. Mówił cicho, żeby za wcześnie nie zbudzić córki ani żeby nie mogła go podsłuchać. Z doświadczenia wiedział, że nie zna piekło straszliwszej furii nad wściekłość nastolatki, którą wyrwano ze snu w dzień wolny od szkoły.

– Możemy jechać, Harry – oznajmił Holodnak. – Wczoraj wyzerowałem celowniki, od tej pory nikogo tam nie było. Mam tylko jedno pytanie: czy mam uruchomić opcję z ostrzałem zwrotnym? Jeśli tak, możemy ją ubrać w kamizelkę kuloodporną, ale może będzie wolą zostać w swoich ciuchach.

Holodnak służył w policji miejskiej Los Angeles jako instruktor prowadzący zajęcia na symulatorze strzeleckim w akademii w Elysian Park.

– Myślę, że tym razem darujemy sobie ostrzał zwrotny, Bill.

– Dla mnie to mniej sprzątania. Kiedy przyjedziecie?

– Jak tylko uda mi się ją obudzić.
– Znam ten ból, sam to przerabiałem. Ale musisz mi podać godzinę, o której mam być na miejscu.
– Może być dziesiąta?
– Czemu nie.
– Świetnie. To na...
– Zaraz, Harry, jakie płyty masz ostatnio w odtwarzaczu?
– Stare nagrania na żywo Arta Peppera. Córka wyszukała mi to na urodziny. A co, coś ci chodzi po głowie?

Bosch nie znał innego tak wielkiego pasjonata jazzu jak Holodnak, który znakomicie podsuwał mu co ciekawsze nagrania.

– Danny Grissett.

Bosch skojarzył nazwisko, chociaż nie od razu zorientował się, skąd je zna. Często bawili się tak z Holodnakiem.

– Fortepian – odparł w końcu. – Gra w zespole Toma Harrella, dobrze mówię? No i jest stąd. – Poczuł przypływ dumy.

– I tak, i nie. Jest stąd, ale od jakiegoś czasu mieszka w Nowym Jorku. Słyszałem go z Harrellem w Standard, kiedy byłem tam ostatnio z wizytą u Lili.

Córka Holodnaka, pisarka, mieszkała w Nowym Jorku. Często do niej jeździł i odkrył wielu świetnych jazzmanów w klubach, do których chadzał po nocy, kiedy córka wyrzucała go z mieszkania, by mogła pisać.

– Grissett nagrywa też własne rzeczy – ciągnął Holodnak. – Polecam ci płytę *Form*. To nie jego najnowsza, ale warto posłuchać. Taki tam hard bop. Spodoba ci się saks tenorowy, pierwsza klasa. Seamus Blake. Posłuchaj solówki w *Let's Face the Music and Dance*. Kapitalna.

– Dobra, posłucham – obiecał Bosch. – Do zobaczenia o dziesiątej.
– Chwileczkę, kolego, nie tak prędko. Twoja kolej. – Holodnak odbił piłeczkę. – Podrzucić mi coś.

Takie były zasady. Bosch musiał dać mu coś w zamian. Wpaść na coś takiego, na co – oby! – Holodnak nie zwrócił jeszcze uwagi. Myślał usilnie. Zatopił się w płytach Peppera, które dostał od Maddie, ale zanim otrzymał ten urodzinowy dar, próbował nieco poszerzyć swoje jazzowe

horyzonty, a także zainteresować córkę tą muzyką, sięgając po młodych wykonawców.

– Grace Kelly – powiedział. – Nie mówię o księżnej.

Holodnak skwitował śmiechem tak łatwe wyzwanie.

– Nie księżna, tylko dzieciak. Młode objawienie saksu altowego.

Na płytach gra w parze z Woodsem i z Konitzem. Moim zdaniem te z Konitzem są lepsze. Następny?

Bosch uważał, że zadanie jest beznadziejne.

– No dobra, jeszcze jedno. A może by tak... Gary Smulyan?

– *Hidden Treasures* – odpowiedział Holodnak błyskawicznie, podając tytuł akurat tej płyty, o której myślał Bosch. – Smulyan na barytonowym, a do tego tylko rytm na basie i perkusji. Mocna rzecz, Harry. Ale wygrałem.

– Pewnego dnia to ja pokonam ciebie.

– Na święty nigdy. Do zobaczenia o dziesiątej.

Bosch rozłączył się i sprawdził godzinę na telefonie. Mógł dać pospać córce jeszcze godzinę, obudzić ją zapachem dzbanka świeżej kawy i w ten sposób zmniejszyć ryzyko, że będzie marudziła, bo ją obudził za wcześnie jak na niedzielę. Wiedział jednak, że nawet jeśli będzie marudna, to i tak w końcu wyjdzie z sypialni i ucieszy się z tego, co zaplanował na ten dzień.

Wrócił do środka, żeby zapisać sobie nazwisko Danny'ego Grissetta.

□ □ □

Symulator strzelecki w akademii to urządzenie ćwiczebne składające się z zajmującego całą ścianę ekranu, na którym wyświetlano różne interaktywne scenariusze strzelania dynamicznego – „strzelać-nie strzelać”. Obrazy nie były generowane przez komputer. Prawdziwi aktorzy sfilmowani w technologii wysokiej rozdzielczości w wielokrotnych sekwencjach zachowywali się zgodnie z tym, jak postępował ćwiczący policjant. Funkcjonariusz dostawał pistolet strzelający nie kulami, lecz promieniami lasera, i był połączony elektronicznie z rozgrywającą się na ekranie akcją. Gdy laser trafiał w jednego z graczy na ekranie – dobrego bądź złego – ten ktoś padał.

Każdy scenariusz rozgrywał się do momentu, aż policjant zareagował bądź uznał, że właściwą reakcją jest brak reakcji.

Istniała opcja ostrzału zwrotnego. Polegała ona na tym, że umieszczony nad ekranem karabin do paintballu strzelał do ćwiczącego policjanta w tej samej chwili co postać na symulatorze.

Po drodze do akademii Bosch wyjaśnił córce, dokąd jadą, co wzbudziło jej entuzjazm. Na lokalnych zawodach w swojej grupie wiekowej należała do najlepszych strzelców, tam jednak liczyła się celność w strzelaniu do tarczy z papieru. O sytuacjach „strzelać-nie strzelać” czytała w książce Malcolma Gladwella, ale tego dnia miała po raz pierwszy z bronią w ręku w ułamku sekundy podejmować decyzje, od których zależało czyjeś życie bądź śmierć.

Plac przed akademią był niemal pusty. W niedzielę rano nie było lekcji ani zaplanowanych zajęć. Poza tym zamrożenie zatrudnienia w całym mieście uszczupliło liczbę kadetów i ograniczyło zajęcia, ponieważ policja mogła przyjmować nowych ludzi tylko na miejsce funkcjonariuszy odchodzących na emeryturę.

Przez salę gimnastyczną i boisko do koszykówki przeszli do dawnego magazynu, w którym zamontowano symulator strzelecki. Holodnak, życzliwy mężczyzna z grzywą siwiejących włosów, już tam na nich czekał. Bosch przedstawił mu córkę jako Madeline, na co instruktor wręczył im pistolety z laserami, połączone elektronicznie z komputerem symulatora.

Wyjaśnwszy im procedurę, Holodnak zajął miejsce przy komputerze z tyłu pomieszczenia. Przygasił światła i puścił pierwszy scenariusz. Zaczynał się od widoku przez przednią szybę radiowozu zatrzymującego się za autem, które zjechało na pobocze szosy. Z sufitu dobiegł elektroniczny głos, wyjaśniający sytuację.

– Ty i twój partner zatrzymaliście kierowcę pojazdu, który poruszał się zygzakiem.

Niemal natychmiast z obu stron samochodu przed nimi wysiadło dwóch mężczyzn. Obaj obrzucili wyzwiskami policjantów, którzy ich zatrzymali.

– Coś się do mnie przypierdolił, człowieku? – rzucił kierowca.

– Nic żeśmy nie zrobili. To nie w porządku – poskarżył się pasażer.

Potem sytuacja się zaogniła. Bosch rozkazał mężczyznom odwrócić się i położyć ręce na dachu samochodu. Ale oni go nie słuchali. Zwrócił uwagę na ich tatuaże, spodnie z krokiem w kolanach i bejsbolówki założone daszkiem do tyłu. Kazał im się uspokoić. Bez skutku – i wtedy włączyła się jego córka:

– Spokój! Ręce na dach samochodu! Ani się ważcie...

Obaj mężczyźni jednocześnie sięgnęli do pasa. Bosch uniósł pistolet i widząc, że kierowca wyjmuje broń, otworzył ogień. Usłyszał, że siedząca po prawej córka też strzela.

Obaj mężczyźni na ekranie padli na ziemię.

Zapaliły się światła.

– No i co takiego zobaczyliśmy? – odezwał się Holodnak za ich plecami.

– Byli uzbrojeni – odparła Maddie.

– Jesteś pewna?

– Mój facet miał broń. Widziałam.

– Harry, a ty? Co widziałeś?

– Widziałem pistolet – odrzekł Bosch. Zerknął na córkę i skinął głową.

– No dobra – rzucił Holodnak. – Cofnijmy to.

Następnie puścił pierwszy scenariusz w zwolnionym tempie. Rzecz jasna, obaj mężczyźni sięgali po broń i byli gotowi do strzału, ale Bosch i jego córka wystrzelili pierwsi. Na ekranie trafienia zaznaczono czerwonymi iksami, a pudła na czarno. Maddie trzy razy trafiła pasażera w tułów, nie spudłowała. Bosch wpakował kierowcy dwie kulki w pierś, a trzecia poleciała wysoko nad celem, bo ten padał już do tyłu na ziemię.

Holodnak pochwalił ich, że dobrze się spisali.

– Pamiętajcie, my zawsze jesteśmy w gorszej sytuacji – powiedział. – Półtorej sekundy zajmuje rozpoznanie broni, kolejne półtorej podjęcie decyzji i otwarcie ognia. Trzy sekundy. Taką przewagę ma nad nami zabójca. Musimy się starać ją zmniejszyć. Trzy sekundy to za długo. W ciągu trzech sekund ludzie giną.

Następnie puścili nagranie napadu na bank. Tak jak przy pierwszym ćwiczeniu, oboje otworzyli ogień i zastrzelili człowieka, który wyszedł przez szklane drzwi banku i wycelował w policjantów.

Kolejne scenariusze były już coraz trudniejsze. W jednym na pukanie do drzwi mieszkańiec domu otworzył im, z wściekłością wymachując czarnym telefonem komórkowym. Potem była awantura domowa, w trakcie której skłócone małżeństwo rzuciło się na interweniujących funkcjonariuszy. Holodnak pochwalił ich reakcję w obu sytuacjach, kiedy obyło się bez sięgania po broń. W końcu puścił samej Madeline serię scenariuszy, w których musiała reagować na wezwania bez pomocy partnera.

W pierwszym ćwiczeniu napotkała uzbrojonego w nóż niepoczytalnego mężczyznę i przekonała go, żeby rzucił broń. W drugim znów zjawiała się do kłótni domowej, jednak tym razem mężczyzna z odległości trzech metrów groził jej nożem, więc prawidłowo otworzyła ogień.

– Pokonanie trzech metrów wymaga dwóch kroków – rzekł Holodnak. – Gdybyś zaczekała, aż się ruszy, dopadłby cię w chwili, kiedy byś strzelała. To by był remis. A kto przegrywa w sytuacji remisowej?

– Ja – odparła Madeline.

– Otóż to. Postąpiłaś tak, jak należało.

W kolejnym scenariuszu wchodziła do szkoły, w której zgłoszono strzelaninę. Idąc pustym korytarzem, usłyszała dolatujące z góry krzyki dzieci. Zawróciła i ujrzała mężczyznę przed wejściem do sali lekcyjnej, który celował do skulonej na podłodze kobiety, osłaniającej rękami głowę.

– Proszę, nie! – błagała kobieta.

Strzelec stał zwrócony plecami do Madeline. Wypaliła natychmiast, trafiając go w tył głowy i zabijając, zanim zdążył strzelić do kobiety. Mimo że nie przedstawiła się jako policjantka i nie kazała mężczyźnie rzucić broni, Holodnak orzekł, że postąpiła słusznie i w ramach obowiązujących przepisów. Wskazał tablicę na ścianie po lewej. Narysowano na niej kilka schematów strzeleckich, ale na górze widniało jedno słowo wypisane wielkimi literami: BOŻY.

– Bezpośrednia obrona życia – wyjaśnił ten skrót Holodnak. – Działasz w ramach obowiązujących przepisów, jeżeli twoje postępowanie wynika z bezpośredniej konieczności obrony życia. I nie

ma znaczenia, czy chodzi o życie twoje czy kogoś innego.

– Rozumiem.

– Mam jednak pytanie. W jaki sposób oceniłaś zastaną sytuację? To znaczy, dlaczego uznałaś, że przestępca grozi nauczycielce? Skąd wiedziałaś, że to nie nauczyciel rozbroił uzbrojoną napastniczkę?

Bosch natychmiast wyciągnął te same wnioski co jego córka. Zadziałał po prostu instynkt. Otworzyłby ogień dokładnie tak samo jak ona.

– No cóż – odparła Maddie. – Ich ubrania. Miał wypuszczoną ze spodni koszulę, a nie sędzę, żeby nauczyciel tak się nosił. Natomiast ona miała okulary i zebrane w kok włosy jak nauczycielka. Widziałam też gumkę na jej nadgarstku, tak samo robiła jedna z moich nauczycielek.

Holodnak skinął głową.

– Rozgryzłaś to jak należy. Byłem po prostu ciekaw, jak do tego doszłaś. To niesamowite, ile szczegółów naraz potrafi przyswoić ludzki umysł.

Wrócili do ćwiczeń. Holodnak puścił jej teraz niezwykle scenariusz, w którym leciała – co śledczym często się zdarza – samolotem pasażerskim. Była uzbrojona. Nagle pasażer siedzący dwa rzędy przed nią zerwał się z miejsca, złapał stewardesę za kark i przystawił jej nóż do szyi.

Madeline wstała, uniosła broń, przedstawiła się jako policjantka i kazała mu puścić wrzeszczącą kobietę. Mężczyzna jednak przyciągnął zakładniczkę do siebie i zasłaniając się nią jak tarczą, zagroził, że poderżnie jej gardło. Pozostali pasażerowie z krzykiem miotali się po kabinie, patrząc, gdzie by tu się ukryć. W końcu nastąpił moment, gdy stewardesa spróbowała się wyrwać i odsunęła się od napastnika z nożem na kilkanaście centymetrów. Madeline wystrzeliła.

Stewardesa padła.

– Cholera!

Przerażona Madeline zgięła się wpół.

– Kto następny?! – krzyknął mężczyzna na ekranie.

– Madeline! – ryknął Holodnak. – Czy to już koniec? Czy zagrożenie minęło?

Maddie uświadomiła sobie, że się zdekoncentrowała.

Wyprostowała się i wpakowała w napastnika z nożem pięć kul. Ten padł na podłogę.

Zapaliły się światła. Holodnak wyszedł z za pulpitu z komputerem.

– Zabiłam ją – wykrztusiła Maddie.

– Porozmawiajmy o tym – odparł Holodnak. – Dlaczego strzeliłaś?

– Dlatego, że chciał ją zabić.

– Dobrze. Tak trzeba, zgodnie z zasadami BOŻY. Bezpośrednia obrona życia. Czy mogłaś postąpić inaczej?

– Nie wiem. On by ją zabił.

– Czy musiałaś wstawać, pokazywać broń i ostrzegać, że jesteś z policji?

– Nie wiem. Chyba nie.

– Na tym polegała twoja przewaga. Napastnik nie wiedział, że jesteś policjantką. Ani że jesteś uzbrojona. Wstając, zmusiłaś go do działania. A odkąd pokazałaś broń, nie było już odwrotu.

Maddie przytaknęła i zwiesiła głowę, a Bosch nagle pożałował, że jej załatwił tę sesję.

– Mała, radzisz sobie lepiej niż większość gliniarzy, którzy tu przychodzą – pocieszył ją Holodnak. – Spróbujmy jeszcze raz, zakończymy miłą nutą. Zapomnij o tym i przygotuj się.

Wrócił do komputera, a Maddie przerobiła jeszcze jeden scenariusz – kiedy po służbie natyka się na uzbrojonego złodzieja samochodów. Zaledwie sięgnął po broń, położyła go strzałem prosto w pierś. Potem powstrzymała się, gdy przechodzący cywil nagle puścił się biegiem, wymachując telefonem komórkowym i krzycząc na nią: „Coś ty zrobiła?! Coś ty zrobiła?!”.

Holodnak oświadczył, że poradziła sobie w tej sytuacji jak prawdziwy fachowiec, co najwyraźniej podniosło ją na duchu. Jeszcze raz zapewnił, że jest pod dużym wrażeniem jej umiejętności strzeleckich i decyzyjnych.

Harry i Maddie podziękowali mu za poświęcony im czas i wyszli. Gdy wracali przez boisko do koszykówki, Holodnak zawołał do nich, stojąc w progu pomieszczenia z symulatorem. Wciąż bawił się z Boschem w zgadywanke.

– Michael Formanek – powiedział. – *The Rub and Spare Change*.

Wykonał gest, jakby chciał pokazać Boschowi „A mam cię!”. Maddie parsknęła śmiechem, choć nie wiedziała, że Holodnak mówi o jazzie. Bosch odwrócił się i ruszył z powrotem, unosząc ręce, jakby się poddawał.

– Kontrabasista z San Francisco – wyjaśnił Holodnak. – Wspaniała awangarda. Musisz poszerzyć horyzonty, Harry. Warto słuchać nie tylko umarłaków. Madeline, przed następnymi urodzinami ojca wpadnij do mnie.

Bosch zbył go machnięciem ręki i zawrócił.

Rozdział 25

Zatrzymali się na lunch w Academy Grill, gdzie na ścianach wisiały pamiątki policji miejskiej Los Angeles, a kanapki nosiły nazwiska byłych naczelników policji oraz słynnych gliniarzy, prawdziwych i fikcyjnych.

Krótko po tym, jak Maddie zamówiła hamburgera à la Bratton, a Bosch wziął Joego Fridaya, dobry humor zaszczerpiony im przez Holodnaka na koniec sesji strzeleckiej ulotnił się, a dziewczyna zamilkła i skuliła się na krześle.

– Uszy do góry, skarbie – próbował pocieszyć ją Bosch. – To był tylko symulator. W sumie spisałaś się bardzo dobrze. Słyszałaś, co ci powiedział Bill. Masz trzy sekundy na ocenę sytuacji i strzał... Według mnie poszło ci świetnie.

– Tato, zabiłam stewardesę.

– Ale uratowałaś nauczycielkę. Poza tym to się nie działo naprawdę. Oddałaś strzał, chociaż w realnej sytuacji byś nie strzeliła. Symulator zmusza nas do pośpiechu. W prawdziwym życiu wszystko rozgrywa się wolniej. Bo ja wiem? Wszystko widzisz jaśniej.

Jego słowa nie zrobiły na niej wrażenia. Spróbował ponownie:

– Poza tym celownik pewnie nie był idealnie wyzerowany.

– Wielkie dzięki, tato. To znaczy, że miałam tyle celnych trafień tylko dlatego, że celownik nie działał jak należy.

– Nie, ja...

– Muszę umyć ręce.

Gwałtownie wstała i wyszła z boksu do korytarza z tyłu restauracji, a tymczasem Bosch uświadomił sobie, jak głupio postąpił, zwalając niecelny strzał na złe wyregulowanie połączenia broni z ekranem.

Czekając na córkę, spojrzął na oprawioną pierwszą stronę „Los Angeles Timesa” wiszącą na ścianie nad boksem. Całą górę poświęcono strzelaniu policji z Symbiotyczną Armią Wyzwolenia na rogu Pięćdziesiątej Czwartej i Compton w 1974 roku. Bosch był tam tego dnia jako młody policjant z patrolu. Podczas śmiertelnego starcia próbował zapanować nad ruchem ulicznym oraz tłumem gapiów, a nazajutrz trzymał straż przed ruinami spalonego domu, w których policyjna ekipa

poszukiwała szczątków Patty Hearst.

Miała szczęście, że jej tam nie było.

Córka Boscha wróciła do boksu.

– Dlaczego to trwa tak długo? – zapytała.

– Spokojnie – odparł. – Złożyliśmy zamówienie zaledwie pięć minut temu.

– Tato, dlaczego zostałeś policjantem?

Pytanie padło tak niespodziewanie, że na chwilę zbiło Boscha z tropu.

– Z wielu powodów.

– Na przykład jakich?

Milczał, próbując zebrać myśli. Już po raz drugi w tym tygodniu zadała mu to pytanie. Wiedział, że to jest dla niej ważne.

– Tak na szybko mógłbym powiedzieć, że po to, by służyć i bronić. Ale ponieważ to ty mnie pytasz, powiem ci prawdę. Nie dlatego, że chciałem służyć i bronić, nie marzyłem też, żeby zostać kimś w rodzaju dobroczyńcy ludzkości. Kiedy się nad tym zastanawiam, widzę, że tak naprawdę zrobiłem to, żeby bronić samego siebie.

– Co masz na myśli?

– Widzisz, wtedy właśnie wróciłem z wojny w Wietnamie i tacy jak ja... no, wiesz, żołnierze, którzy tam służyli... nie spotykali się po powrocie ze zrozumieniem. Zwłaszcza wśród rówieśników.

Bosch rozejrzał się, licząc na to, że nadejdzie kelnerka z jedzeniem. Teraz to jemu zaczęło się śpieszyć. Znów spojrzął na córkę.

– Pamiętam, że po powrocie nie bardzo wiedziałem, co robię. Zacząłem naukę w Los Angeles City College przy Vermont. Na zajęciach poznałem fajną dziewczynę, z czasem trochę ze sobą chodziliśmy, ale nie przyznałem jej się, gdzie służyłem... no, wiesz, że byłem w Wietnamie... bo wiedziałem, że byłyby z tego same kłopoty.

– Nie widziała twojego tatuażu?

Szczur tunelowy na ramieniu od razu by go zdradził.

– Nie, aż tak daleko się nie posunęliśmy. Nigdy nie ściągałem przy niej koszuli. Ale któregoś dnia po zajęciach szliśmy przez błonia i ni stąd, ni zowąd spytała mnie, dlaczego jestem taki milczący... Sam nie wiem, jak to się stało, w każdym razie pomyślałem, że oto nadarza się

okazja, żeby wreszcie przestać to w sobie dusić. Myślałem, że ona to zaakceptuje, rozumiesz?

– Ale nie zaakceptowała.

– Nie, niestety. Powiedziałem jej coś w rodzaju: „Wiesz, spędziłem kilka lat w wojsku”, na co od razu spytała, czy to znaczy, że byłem w Wietnamie, a ja powiedziałem... a ja przyznałem, że tak.

– I co ona na to?

– Nie skomentowała tego. Zrobiła piruet niczym tancerka i sobie poszła. Nie odezwała się ani słowem.

– O Boże! Wredna dziewczucha!

– Właśnie wtedy uświadomiłem sobie, do czego wróciłem.

– A co było następnego dnia, kiedy poszedłeś na zajęcia?

Powiedziałeś jej coś?

– Nie, bo już nie wróciłem. Nie wróciłem do tej uczelni, bo wiedziałem, co by mnie tam czekało. I głównie dlatego tydzień później wstąpiłem do policji. Służyło tam mnóstwo kombatanów, wielu z nich walczyło w Azji Południowo-Wschodniej. Wiedziałem, że spotkam takich jak ja, którzy mnie przyjmą jak swojego. To tak, jakby po wyjściu z więzienia ktoś poszedł najpierw do ośrodka resocjalizacji. Tyle że ja nie siedziałem w pudle, byłem wśród podobnych sobie.

Wyglądało na to, że córka zapomniała o tym, że zastrzeliła stewardesę. Bosch ucieszył się z tego, choć nie podobało mu się przywoływanie akurat tych wspomnień.

Nagle się uśmiechnął.

– Co się stało? – spytała Maddie.

– Nic. Tylko że właśnie przypomniało mi się coś innego z tamtych czasów. Zwariowana historia.

– No to mów. Opowiedziałeś mi coś tak smutnego, że teraz należy mi się zwariowana historia.

Odczekał, aż kelnerka postawi przed nimi talerze. Pracowała tutaj od czasu, gdy Bosch był kadetem, przed niemal czterdziestu laty.

– Dzięki, Margie – powiedział.

– Nie ma za co, Harry.

Madeline połała keczupem hamburgera à la Bratton i najpierw zjedli po kilka kęsów, zanim Bosch zaczął opowieść:

– No więc, kiedy po dyplomie dostałem blachę i wysłano mnie na ulicę, wciąż miałem do czynienia z tym samym, na okrągło. No, wiesz, kontrkultury, ruchy antywojenne, takie tam wariactwa.

Wskazał oprawioną w ramkę czołówkę gazety wiszącą na ścianie obok nich.

– Wielu ludzi uważało wtedy policjantów za niewiele lepszych od tych dzieciobójców wracających z Wietnamu. Rozumiesz, o czym mówię?

– Domyślam się.

– No więc, kiedy pierwszy raz wysłali mnie jako szczawia na ulicę, kazali mi...

– Co to jest szczaw?

– Kot, żółtodziób. Dopiero zaczyna, więc jest kompletnie zielony.

– Aha.

– Moim pierwszym zadaniem poza akademią był pieszy patrol na Hollywood Boulevard. Wtedy to była naprawdę nędzna ulica.

Kompletnie zapuszczona.

– Na niektórych odcinkach do dziś jest nefajna.

– To prawda. W każdym razie jako partnera przydzielili mi starszego gościa. Miał na imię Pepin i był moim instruktorem. Pamiętam, że wszyscy nazywali go Banana Split, bo podczas patrolu codziennie wpadał na lody do lokalu zwanego Dips niedaleko Hollywood i Vine. Jak w zegarku. Dzień w dzień. Tak czy siak, Pepin patrolował ulice od lat, a ja chodziłem razem z nim. Zawsze tą samą trasą. Z posterunku szliśmy Wilcox, skręcaliśmy w Hollywood i dochodziliśmy do Bronson, a potem zawracaliśmy, drałowaliśmy pieszo aż do La Brea i w końcu wracaliśmy na posterunek. Banana Split miał zegar w głowie i dokładnie wiedział, jakim tempem mamy iść, żeby wrócić do komisariatu pod koniec zmiany.

– Potworne nudy.

– Owszem, chyba że dostawaliśmy jakieś wezwanie. Ale nawet jeśli, to wciąż były same gówniane sprawy... znaczy się, mało ważne. Kradzieże w sklepach, prostytutka, handel prochami... takie tam duperele. W każdym razie prawie codziennie ktoś się na nas wydzierał z przejeżdżających samochodów. Wiesz, wymyślali nam od faszystów,

psów i tak dalej. A Banana Split nie znosił, jak ktoś go nazywał psem. Można go było zwymyślać od faszystów czy hitlerowców, byle go nie porównać do psa. Dlatego jeżeli ktoś z przejeżdżającego auta wyzywał nas od psów, Banana Split zapisywał markę, model i numer rejestracyjny samochodu, wyjmował bloczek i wypisywał mandat za parkowanie w niedozwolonym miejscu. Potem dał kopię, którą należało zostawić za wycieraczką, i wyrzucał do śmietnika.

Bosch znów się roześmiał i ugryzł kęs sera z rusztu, z pomidorem i cebulą.

– Nie rozumiem – powiedziała Maddie. – Co w tym jest śmiesznego?

– To, że oczywiście oddawał na posterunku swoją kopię mandatu, o czym właściciel auta, rzecz jasna, nie wiedział, więc niezapłacone mandaty w końcu skutkowały wystawieniem nakazu zatrzymania. I facet, który wymyślał nam od psów, prędzej czy później wpadał podczas kontroli drogowej jako ktoś, za kim wydano nakaz aresztowania. Dzięki temu to Banana Split śmiał się ostatni.

Zjadł frytkę i dopiero wtedy dokończył:

– Rozbawiło mnie wspomnienie pierwszego razu, kiedy to zrobił na obchodzie w mojej obecności. Spytałem go, co robi, więc mi wyjaśnił. No to go pytam: „Regulamin chyba tego nie przewiduje, co?”. A on na to: „Przewiduje. Mój regulamin!”.

Znów parsknął śmiechem, ale córka tylko pokręciła głową. Pomyślał, że widocznie ta anegdotka bawi tylko jego, i zajął się kanapką. Wkrótce zebrał się, by poruszyć temat, który odkładał przez cały weekend.

– Posłuchaj, muszę wyjechać na kilka dni. Już jutro.

– Dokąd?

– Tylko do Doliny Centralnej, pogadać na temat śledztwa z paroma ludźmi z okolicy Modesto. Wrócę pewnie we wtorek wieczorem, no chyba żebym musiał zostać do środy. To się okaże dopiero na miejscu.

– W porządku.

Zebrał się w sobie.

– Dlatego chciałbym, żeby Hannah zamieszkała z tobą.

– Tato, nikt nie musi ze mną zostawać. Mam szesnaście lat

i pistolet. Dam sobie radę.

– Wiem, a jednak chcę, żeby pomieszkała z tobą. Będę spokojniejszy. Zrobisz to dla mnie?

Pokręciła głową, lecz zgodziła się bez entuzjazmu.

– Niech będzie. Chociaż nie...

– Ona nie może się tego doczekać. Nie będzie ci wchodziła w drogę, nie będzie ci mówiła, o której masz iść spać i tak dalej. Wszystko to już z nią omówiłem.

Odłożyła połówkę hamburgera. Bosch nauczył się, że robiąc to takim gestem, dawała mu do zrozumienia, że straciła apetyt.

– A dlaczego nigdy nie zostaje u nas na noc, kiedy jesteś na miejscu? – spytała.

– Nie wiem. Ale nie o tym teraz mówimy.

– Na przykład wczoraj wieczorem. Świetnie się bawiliśmy, a potem odwiozłeś ją do domu.

– Maddie... To są nasze prywatne sprawy.

– Jak sobie chcesz.

Tego typu rozmowy zazwyczaj kończyły się na „jak sobie chcesz”. Bosch rozejrzał się, próbując znaleźć inny temat. Czuł, że sknocił całą tę sytuację z Hannah.

– Skąd ci nagle przyszło do głowy pytanie, dlaczego zostałem gliną?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Po prostu byłam ciekawa.

Zanim odpowiedział, przemyślał sobie jej słowa.

– Jeżeli się zastanawiasz, czy to właściwa droga także dla ciebie, to masz jeszcze mnóstwo czasu.

– Wiem. Nie o to chodzi.

– I wiesz także, że chcę, żebyś robiła w życiu to, na co masz ochotę. Bądź szczęśliwa, to i ja będę szczęśliwy. Niech ci nie przyjdzie do głowy robić coś ze względu na mnie ani iść w moje ślady, bo tak wypada. Nic podobnego.

– Wiem, tato. Ja tylko zadałam ci pytanie, po prostu.

Skinął głową.

– No to w porządku. A z drugiej strony i tak wiem, że byłabyś

cholernie dobrą policjantką i znakomitą śledczą. Nie chodzi o to, jak strzelasz, tylko o to, jak myślisz i o sposób, w jaki pojmujesz uczciwość. Masz wszystkie niezbędne cechy, Mads. Musisz się tylko zdecydować, czy rzeczywiście tego chcesz. Tak czy siak, masz moje poparcie.

– Dzięki, tato.

– A wracając na chwilę do symulatora, naprawdę jestem z ciebie dumny. I nie tylko ze względu na to, jak strzelałaś. Mam na myśli twoje opanowanie i pewność w podejmowaniu decyzji. To było pierwsza klasa.

W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że pochwała sprawiła córce przyjemność, lecz nagle zobaczył, że jej usta wyginają się w podkówkę.

– Powiedz to stewardesie – burknęła.

CZEŚĆ 3
Detektyw marnotrawny

Rozdział 26

Kiedy Bosch wyjeżdżał w poniedziałek rano, było jeszcze ciemno. Do Modesto miał przynajmniej pięć godzin jazdy, a nie chciał stracić na to całego dnia. Poprzedniego wieczoru na lotnisku w Burbank wynajął w Hertz Forda Crown Victoria, ponieważ przepisy policji miejskiej Los Angeles nie zezwalały funkcjonariuszom na korzystanie z samochodów służbowych podczas urlopu. W normalnych okolicznościach by się tym nie przejmował, ale skoro O'Toole bacznie śledził każdy jego ruch, postanowił nie ryzykować. Wziął jednak ze służbowego wozu przenośnego kociąg i przeniósł do bagażnika Forda swoje skrzynki ze sprzętem. O ile wiedział, przepisy tego nie regulowały. A w razie konieczności w wynajętym aucie spokojnie mógł uchodzić za glinę.

Modesto leżało prawie dokładnie na północ od Los Angeles. Bosch wyjechał z miasta międzystanową 5 i dopiero w Grapevine odbił na stanową CA-99, która po drodze przecinała Bakersfield i Fresno. Podczas jazdy słuchał dalej muzyki Arta Peppera z zestawu, który dostał od Maddie. Był już przy piątej części, to znaczy koncercie zarejestrowanym w 1981 roku w Stuttgarcie. Zawierał kapitalną wersję popisowego kawałka Peppera *Straight Life*, ale dopiero przy smętnym *Over the Rainbow* Bosch wcisnął przycisk powtórnego odtwarzania na desce rozdzielczej.

Do Bakersfield dotarł w porze porannego szczytu i po raz pierwszy zwolnił poniżej setki. Postanowił przeczekać, aż ruch się przewali, więc zjechał na śniadanie do Knotty Pine Cafe. Znał ten lokal, bo zaledwie kilka przecznic dalej mieściło się biuro szeryfa hrabstwa Kern, gdzie przez lata pojawiał się od czasu do czasu w sprawach służbowych.

Zamówił jajka na bekonie i kawę, rozłożył mapę, którą wydrukował w sobotę na dwóch kartkach, a potem skleił je przyklepcem. Była na niej Dolina Centralna, a konkretnie jej pas o długości ponad sześćdziesięciu kilometrów, tak istotny dla śledztwa w sprawie Anneke Jespersen. Wszystkie miejsca, które zaznaczył, leżały przy szosie CA-99, poczynając od Modesto na południu i dalej przez Ripon, Mantecę aż po Stockton na północy.

Uznał za godne uwagi, że skleciona mapa obejmowała dwa

hrabstwa: Stanislaus na południu i San Joaquin na północy. Modesto i Salida leżały w hrabstwie Stanislaus, gdzie władzę, zgodnie z jurysdykcją, sprawował szeryf Drummond. Natomiast Manteca i Stockton podlegały jurysdykcji szeryfa hrabstwa San Joaquin. Jakoś go nie zdziwiło, że mieszkający w Mantece Reggie Banks wolał jeździć na ochłaj do Modesto, podobnie zresztą jak Francis Dowler.

Zakreślił kółkiem miejsca, które chciał sprawdzić przed końcem dnia. Salon sprzedaży ciągników John Deere, w którym pracował Reggie Banks, biuro szeryfa hrabstwa Stanislaus, centrum operacyjne Cosgrove Ag. w Mantece, a także domy tych, których zamierzał obserwować. Na ten dzień zaplanował zanurzenie się tak bardzo, jak to tylko możliwe, w świecie, w którym obecnie żyli ci ludzie. A wtedy wymyśli następny ruch – jeżeli w ogóle będzie jakiś ruch do zrobienia.

Gdy wrócił na szosę CA-99 i ruszył dalej na północ, położył na lewym udzie wydruk e-maila od Dave'a Chu, który otrzymał w niedzielę w nocy. Chu szukał Beau Bentleya oraz Charlotte Jackson – dwojga żołnierzy cytowanych w artykule Anneke Jespersen o *Saudyjskiej Księżniczce*.

Szybko okazało się, że Bentley to ślepy trop. Chu znalazł pochodzący z 2003 roku nekrolog niejakiego Briana „Beau” Bentleya, kombatanta wojny w Zatoce Perskiej, w wychodzącym w Fort Lauderdale „Sun-Sentinel”. Według nekrologu Bentley w wieku trzydziestu czterech lat przegrał walkę z rakiem.

Z żołnierką Chu dopisało niewiele większe szczęście. Korzystając z parametrów wiekowych, które dostał od Boscha, znalazł siedem mieszkanek Georgii o nazwisku Charlotte Jackson. Pięć z nich zlokalizował w Atlancie i na przedmieściach tego miasta. Przeglądając policyjne konto TLO i różne inne bazy danych w internecie, zdołał wyszukać numery telefonów sześciu spośród tych siedmiu kobiet. Nie przerywając jazdy, Bosch zaczął do nich dzwonić.

W Georgii było wczesne popołudnie. Pierwsze dwa telefony odebrały Charlotty Jackson, żadna z nich nie była jednak tą, której szukał. Numerów trzy i cztery nikt nie odebrał, wobec tego nagrał się, mówiąc, że jest śledczym z policji Los Angeles i prosi o pilny telefon zwrotny w związku z prowadzonym śledztwem.

Kolejne dwa telefony odebrały kobiety, lecz żadna z nich nie była tą Charlotte Jackson, która służyła swojemu krajowi podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej.

Po ostatniej rozmowie rozłączył się i zganiał za marnowanie czasu na poszukiwania Charlotte Jackson. Nazwisko było pospolite, no i od tej pory minęło dwadzieścia jeden lat. Nie miał gwarancji, że nadal mieszka w Atlancie, w Georgii, ani że w ogóle jeszcze żyje. Poza tym mogła wyjść za mąż i zmienić nazwisko. Wiedział, że mógł się udać do archiwum wojskowego Stanów Zjednoczonych w St. Louis i zlecić im poszukiwania, ale jak zawsze w wypadku spraw przesiąkniętych biurokracją, na odpowiedź mógłby czekać w nieskończoność.

Złożył wydruk i schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

□ □ □

Za Fresno krajobraz zmienił się na równinny. W upalnym słońcu powietrze było suche i pełne kurzu z wyschniętych pól. Do tego autostrada była wyboista. Upływ czasu i brak napraw spowodowały, że spod cienkiego asfaltu przebijały spojenia betonu. Na popękanej nawierzchni koła fordą waliły o dziury tak mocno, że czasem przeskakiwała płyta w odtwarzaczu. Nie tego by chciał Art Pepper.

Stan był zadłużony na szesnaście miliardów, więc wiadomości stale trąbiły o wpływie deficytu na infrastrukturę. W samym środku stanu ta teoria stała się faktem.

Do Modesto Bosch dotarł w południe. Na początek przejechał się przed Centrum Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie władzę dzierżył szeryf J.J. Drummond. Ze stosunkowo nowym budynkiem sąsiedował areszt. Od frontu stał pomnik poległego na służbie psa policyjnego. Boscha zdumiało, że jakoś nikt z ludzi nie zasłużył tu na podobne wyróżnienie.

Zazwyczaj kiedy prowadził śledztwo poza Los Angeles, meldował się w miejscowym posterunku policji albo biurze szeryfa. Ten grzecznościowy gest był także czymś w rodzaju rzucania za siebie okruszków chleba na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Ale nie tym razem. Nie wiedział, czy szeryf J.J. Drummond nie jest przypadkiem zamieszany w śmierć Anneke Jespersen. Pojawiło się za dużo dymu,

zbyt wiele zbiegów okoliczności i powiązań, by mógł ryzykować, że ostrzeże go o prowadzonym śledztwie.

Jakby na potwierdzenie tych zbiegów okoliczności, zaledwie pięć przecznic od siedziby szeryfa natknął się na firmę Cosgrove Tractor – salon sprzedaży produktów John Deere, w którym pracował Reginald Banks. Minął go powoli, zawrócił i zaparkował przy krawężniku.

Przed salonem stały w szeregu zielone ciągniki, od najmniejszego do największego. Za nimi znajdował się parking na jeden rząd samochodów, a dalej salon, od frontu przeszklony w całości, od podłogi po sufit. Bosch wysiadł z forda i z jednej ze skrzynek ze sprzętem w bagażniku wyjął silną lornetkę. Po powrocie za kierownicę spojrzął przez lornetkę do wnętrza salonu. W każdym rogu od ulicy stało biurko, za którym urzędował sprzedawca. Między nimi stał szereg ciągników i pojazdów terenowych – wszystkie zielone jak młoda trawa i błyszczące.

Bosch otworzył teczkę i obejrzał zdjęcie Banksa z prawa jazdy, które zdobył Chu. Potem znów popatrzył do salonu i bez trudu rozpoznał Banksa w łysiejącym mężczyźnie z obwisłym wąsem, urzędującym przy bliższym rogu. Obserwował go z profilu, bo tak było ustawione biurko. Banks udawał, że w skupieniu ogląda coś na ekranie komputera, lecz Bosch zorientował się, że tamten stawia pasjansa – obrócił monitor w taki sposób, by nie było widać ekranu z sali wystawowej, a zwłaszcza ze stanowiska szefa.

Po chwili, znudzony obserwowaniem Banksa, Bosch odpalił silnik auta i ruszył od krawężnika. Jednocześnie spojrzął w lusterko wsteczne i zobaczył, że do ruchu włącza się niebieski mały samochód stojący pięć pojazdów za nim. Wrócił Crows Landing Road na autostradę 99, co pewien czas spoglądając w lusterko wsteczne i widząc, że niebieskie auto siedzi mu na ogonie. To go nie zaniepokoiło. Był na jednej z głównych arterii i wiele pojazdów jechało w tym samym kierunku co on. Ale kiedy zdjął nogę z pedału gazu, przepuszczając jadących z tyłu kierowców, niebieskie auto także zwolniło i nadal wlokło się za nim. W końcu zjechał do krawężnika przed sklepem motoryzacyjnym i patrzył w lusterko wsteczne. Pół przecznicy za nim niebieski samochód skręcił w prawo i zniknął, a Bosch bił się z myślami, czy rzeczywiście

ktoś naprawdę go śledził.

Włączył się do ruchu i kierując się do wjazdu na autostradę 99, co chwila spoglądał w lusterko wsteczne. Po drodze minął na pozór niekończący się ciąg meksykańskich knajp i autokomisów, między którymi trafiały się tylko sklepy oponiarskie, z częściami samochodowymi oraz warsztaty motoryzacyjne. Ulica przypominała zakupy w centrum handlowym: tu kup starego grata, a tam ci go wyszykują. Czekał, weź taco z rybami z furgonetki sprzedającej *mariscos*. Bosch wpadł w przygnębienie, kiedy pomyślał, ile kurzu osiadło na tych tacos.

W chwili gdy zobaczył wjazd na CA-99, po raz pierwszy dostrzegł także tablicę z napisem „Drummond do Kongresu”. Plakat o wymiarach półtora metra na metr dwadzieścia wisiał na ogrodzeniu kładki dla pieszych, tak że uśmiechnięta twarz Drummonda była widoczna dla wszystkich kierowców jadących autostradą poniżej na północ. Bosch zauważył, że ktoś domalował nad górną wargą kandydata wąsik à la Hitler.

Skręcając z wjazdu na autostradę, znów spojrzał w lusterko wsteczne i odniósł wrażenie, że widzi za sobą mały niebieski samochód. Gdy włączył się do ruchu, jeszcze raz zerknął w lusterko, ale widok zasłaniały mu inne pojazdy. Uznał, że mu się przywidziało i że wpada w paranoję.

Znów podążał na północ. Kilka kilometrów za Modesto zobaczył zjazd na Hammett Road i ponownie pożegnał się z autostradą. Jechał Hammett na zachód, pośród migdałowców zasadzonych w idealnie równych rzędach; ciemne pnie drzew wystawały nad zalaną przez system irygacyjny równinę. Woda była tak nieruchoma, że zdawało się, jakby drzewa wyrastały z olbrzymiego lustra.

Wjazdu na teren posiadłości Cosgrove'a nie sposób było przegapić. Szeroka droga prowadziła do bramy z oksydowanego żelaza w ceglany murze, zaopatrzonym w zawieszoną wysoko kamerę i bramofon dla tych, którzy by chcieli wjechać. Bramę zdobiły litery CC.

Bosch skorzystał z szerokiego pasa asfaltu przed wjazdem i zawrócił, jak gdyby pomylił drogę. Wracając Hammett Road w kierunku autostrady 99, zwrócił uwagę, że zabezpieczenia dotyczyły

wyłącznie drogi dojazdowej na teren posiadłości. Nikt nie mógł tam wjechać bez uzyskania zgody i otwarcia bramy. Ale wejście pieszo to już inna sprawa. Dostępu nie bronił ani mur, ani siatka. Jeśli ktoś gotów był zmoczyć nogi, mógł się tam dostać przez zagajnik migdałowców. Zakładając, że nie zamontowano tam kamer ani czujników ruchu, był to klasyczny mankament systemu ochrony. Wszystko na pokaz, ale zero skuteczności.

Zaledwie wrócił na autostradę 99 w kierunku północnym, minął tablicę witającą podróżnych w hrabstwie San Joaquin. Kolejne trzy zjazdy prowadziły do miasteczka Ripon. Bosch ujrzał neon motelu wystający ponad gęste krzewy z biało-różowymi kwiatami, rosnące wzdłuż autostrady. Skręcił w najbliższy zjazd i cofnął się do Blu-Lite – motelu i targu trunków. Był to staroświecki motel w stylu ranczerskim, jakby żywcem wyjęty z lat pięćdziesiątych. Bosch szukał ustronnego miejsca, w którym nikt nie będzie śledził, kiedy przychodzi i wychodzi. Uznał, że to nada się idealnie, bo mimo licznych pokoi zobaczył od frontu zaledwie jeden samochód.

Zapłacił za pokój przy ladzie w sklepie z alkoholem. Poszedł na całość i szarpnął się na najdroższy pokój z wnęką kuchenną za czterdzieści dziewięć dolarów.

– Nie macie tu przypadkiem Wi-Fi? – zapytał recepcjonistę.

– Oficjalnie nie – odparł facet. – Ale za pięć dolarów dam panu hasło dostępu do internetu w domu za motelem. W pokoju złapie pan sygnał.

– Do kogo trafi te pięć dolców?

– Dzielimy się po połowie z gościem, który tam mieszka.

Bosch zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Łącze jest prywatne i bezpieczne – zapewnił go recepcjonista.

– Zgoda – rzekł Bosch. – Biorę.

Podjechał do pokoju numer 7 i zaparkował przed drzwiami.

Zataszczył do środka torbę podróżną, rzucił ją na łóżko i rozejrzał się. We wnęce kuchennej był mały stół i dwa krzesła. Stwierdził, że ten pokój się nada.

Przed wyjściem zmienił koszulę, a niebieską z przypinanymi rogami kołnierzyka powiesił w szafie na wypadek, gdyby został do środy

i musiał ją włożyć raz jeszcze. Otworzył torbę i wybrał czarny pulower. Ubrawszy się, zamknął pokój na klucz i wrócił do samochodu. Gdy wracał na szosę, z głośników znów leciała *Over the Rainbow*.

Następny przystanek miał w Mantece; na długo przed tym, zanim tam dojechał, zobaczył wieżę ciśnień z napisem Cosgrove Ag. Przedsiębiorstwo Cosgrove'a mieściło się przy drodze dojazdowej biegnącej równoległe do autostrady. W jego skład wchodził biurowiec, a także olbrzymi magazyn płodów rolnych oraz firma przewozowa, w której stały dziesiątki gotowych do drogi ciężarówek i cystern. Kompleks otaczały – zdaniem Boscha – kilometry winorośli porastającej teren do miejsca, gdzie wznosił się, tworząc popielate góry od zachodu. Na horyzoncie naturalny krajobraz szpeciły jedynie stalowe giganty, schodzące po zboczach niczym najeźdźcy z innego świata – strzeliste turbiny wiatrowe, które Carl Cosgrove sprowadził do doliny.

Będąc już pod należytym wrażeniem rozmachu imperium Cosgrove'a, Bosch przeniósł się w krainę bylejakości. Korzystając z wydrukowanej w sobotę mapy, pojechał pod adresy Francisa Johna Dowlera i Reginalda Banksa figurujące w aktach urzędu komunikacji. Żaden z tych domów nie zrobił na nim wrażenia, pomijając to, że oba najwyraźniej stały na ziemi Cosgrove'a.

Banks mieszkał w małym wolno stojącym domu sąsiadującym od tyłu z migdałowcami rosnącymi wzdłuż Brunswick Road. Bosch sprawdził mapę i widząc, że między Brunswick od północy i Hammett na południu nie ma wydzielonych dróg, uznał, że dałoby się wejść pieszo między drzewa za domem Banksa i wyjść na Hammett Road... wiele godzin później.

Dom Banksa wymagał odmalowania, a okna mycia. Nic nie wskazywało na to, by mieszkał tam z rodziną. Podwórze było usłane butelkami po piwie, a wszystkie leżały w odległości rzutu od werandy, na której stała rozpadająca się stara kanapa. Banks nie posprzątał po upojnym weekendzie.

Ostatnim przystankiem Boscha przed kolacją była podwójnej szerokości przyczepa mieszkalna Dowlera, z anteną satelitarną zamontowaną na grzbiecie dachu. Stała na parkingu obok drogi dojazdowej. Każda przyczepa miała obok miejsce parkingowe tej samej

długości co ona, dla długiego ciągnika. To tutaj mieszkali kierowcy ciężarówek Cosgrove'a.

Gdy Bosch siedział w wynajętym samochodzie, podziwiając rezydencję Dowlera, z boku pod wiatą otworzyły się drzwi, na dwór wyszła jakaś kobieta i przyjrzała mu się podejrzliwie. Pomachał jej ręką jak stary przyjaciel, co trochę ją ugłaskało. Zeszła na podjazd, wycierając dłonie w ścierkę. Dawny partner Boscha, Jerry Edgar, określiłby ją jako *fifty-fifty*: pięćdziesiąt lat i pięćdziesiąt funtów nadwagi.

– Szuka pan kogoś? – spytała.

– Miałem nadzieję, że zastanę Franka w domu. Ale widzę, że nie ma jego ciężarówki. – Ruchem ręki wskazał puste miejsce parkingowe. – Spodziewa się go pani jakoś niedługo?

– Miał zawieźć transport soku do American Canyon. Może będzie musiał poczekać, aż znajdą dla niego coś na kurs powrotny. Powinien wrócić do jutra wieczorem. Kim pan jest?

– Znajomym, jestem przejazdem. Poznaliśmy się dwadzieścia lat temu w Zatoce Perskiej. Przekaze mu pani pozdrowienia od Johna Bagnalla?

– Oczywiście.

Nie potrafił sobie przypomnieć, czy imię żony Dowlera znalazło się w materiale przygotowanym przez Chu. Gdyby je znał, użyłby go na pożegnanie. Kobieta odwróciła się i ruszyła do drzwi, które zostawiła otwarte. Bosch zauważył motocykl ze zbiornikiem paliwa pomalowanym na niebieską muszkę plujkę, zaparkowany pod jedną z podwójnej szerokości markiz. Domyślił się, że kiedy Dowler nie rozwoził soku wielgachną ciężarówką, lubił poszaleć sobie na harleyu.

Wyjechał z parkingu, mając nadzieję, że nie wzbudził w kobiecie podejrzeń wykraczających poza zwykłą ciekawość. Liczył też na to, że Dowler nie jest z tych, co to będąc w trasie, codziennie wydzwanają do domu.

Przedostatni przystanek w podróży po Dolinie Centralnej zaprowadził Boscha do Stockton, gdzie zjechał na parking przed Steers – steakhouse'em, w którym Christopher Henderson dokonał żywota w chłodni.

Musiał jednak przyznać, że poza obserwacją lokalu w ramach śledztwa zrobił coś jeszcze. Umierał z głodu i przez cały dzień marzył o porządnym steku. Trudno byłoby pobić stek, który zjadł w Craig's w sobotni wieczór, ale był na tyle głodny, żeby spróbować.

Samotne jadenie w restauracji nigdy go nie krępowało, więc powiedział młodej hostessie przy wejściu, że chciałby dostać stolik, a nie miejsce przy barze. Zaprowadzono go do dwuosobowego stolika obok lodówki na wino, gdzie usiadł tak, by mieć widok na całą restaurację. Miał taki nawyk ze względów bezpieczeństwa, lecz chodziło też o to, że zawsze liczył na drobny łut szczęścia. A nuż Carl Cosgrove osobiście pojawi się we własnej restauracji, żeby coś przekąsić.

Przez następne dwie godziny nie rozpoznał nikogo z wchodzących do lokalu, ale nie stracił czasu na próżno. Zjadł befsztyk z polędwicy z purée ziemniaczanym i wszystko było przepyszne. Poza tym wypił kieliszek merlota produkcji Cosgrove'a, który świetnie pasował do wołowiny.

Jedyny zgrzyt nastąpił, gdy w sali jadalnej głośno zadzwoniła jego komórka. Nastawił głośność dzwonka na maksimum, żeby móc go usłyszeć w trakcie jazdy, a potem zapomniał przyciszyć go do zwykłego nienatrętnego bzyczenia. Inni klienci przy stołach spiorunowali go wzrokiem. Jedna kobieta posunęła się aż do tego, że z niesmakiem pokręciła głową, najwyraźniej biorąc go za aroganckiego palanta z wielkiego miasta.

Może i był arogancki, w każdym razie odebrał, ponieważ na wyświetlaczu zobaczył prefiks 404 oznaczający Atlantę. Tak jak się spodziewał, dzwoniła jedna z tych Charlotte Jackson, którym nagrał wiadomość w poczcie głosowej. Kilka pytań wystarczyło, by się upewnić, że nie jest to właściwa Charlotte Jackson. Podziękował jej i rozłączył się. Uśmiechnął się i skinął głową kobiecie, która kręciła nosem na jego brak ogłady.

Otworzył teczkę, którą wziął do restauracji, i skreślił Charlotte Jackson numer cztery. Zostały mu już tylko dwie możliwości – numery trzy i siedem – ale do tej drugiej nie miał nawet numeru telefonu.

Kiedy wrócił na parking, już się ściemniło, a po długim dniu w trasie był zmęczony. Wpadł nawet na pomysł, żeby się zdrzemnąć

godzinkę w samochodzie, ale szybko porzucił tę myśl. Musiał ruszać dalej.

Stojąc przy bagażniku samochodu, spojrzął w niebo. Noc była bezchmurna i bezksiężycowa, ale gwiazdy nad Doliną Centralną świeciły pełnym blaskiem. To mu się nie podobało. Musiał odczekać, aż się bardziej ściemni. Zatrzasnął bagażnik.

Rozdział 27

Mijając bramę wjazdową na teren posiadłości Cosgrove'a, Bosch zgasił światła. Na Hammett Road nie zauważył innego pojazdu. Potoczył się jeszcze dwieście metrów i dopiero gdy droga łagodnie skręcała w prawo, zjechał na nieutwardzone pobocze.

Już wcześniej wyłączył światła w kabinie, żeby samochód pozostał ciemny, kiedy otworzy drzwi. Wsiadł i stojąc w chłodnym powietrzu, wyteżył wzrok i słuch. Wokół panowała cisza. Sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów po złożoną kartkę i wetknął ją za wycieraczkę. Wcześniej napisał na niej:

ZABRAKŁO MI BENZYNY – ZARAZ WRACAM

Na nogach miał kalosze, które wyjął z jednej ze skrzynek ze sprzętem, schowanych w bagażniku. Wziął też małą latarkę, choć miał nadzieję, że nie będzie jej musiał używać. Zszedł z metrowego nasypu, po czym ostrożnie ruszył przez wodę, z lekkim szmerem mącąc powierzchnię lustra pod migdałowcami.

Zamierzał pójść na skos, aż wróci do drogi dojazdowej. Potem idąc równoległe do niej, dotarłby do domu Cosgrove'a. Nie bardzo wiedział, co robi ani czego konkretnie szuka. Słuchał instynktu, a ten podpowiadała mu, że mając tyle pieniędzy i taką władzę, Cosgrove tkwi w samym środku tej sprawy. Czuł, że musi się do niego zbliżyć, zobaczyć, gdzie i jak tamten żyje.

Woda miała może z dziesięć centymetrów głębokości, lecz jego kalosze grzęzły w błocie, przez co szedł bardzo wolno. Kilkakrotnie grzęzawisko nie chciało go puścić – omal nie stracił kalosza i nie został z gołą nogą.

W lustrze wody odbijały się gwiazdy, przez co odnosił wrażenie, że jest widoczny z daleka, bezprawnie wkraczając na teren prywatny. Co jakieś dwadzieścia metrów chował się za pnem drzewa, by odpocząć i nasłuchiwać. Wśród drzew panowała śmiertelna cisza, nie słyszał nawet sporadycznego brzęczenia latających owadów. Jedyne odgłosy dobiegały z oddali, lecz Bosch nie wiedział, co to za dźwięk. Nieustający szum nasunął mu myśl, że może to być pompa systemu irygacyjnego

nawadniającego migdałowce.

Po chwili w zagajniku poczuł się jak w labiryncie. W pełni dojrzałe drzewa miały dziesięć metrów wysokości i wszystkie wyglądały jak wierne kopie sąsiadów. Zasadzono je wzdłuż zaskakująco prostych linii. Dlatego droga w każdym kierunku wydawała mu się taka sama. Ogarnął go strach, że się zgubi, i pożałował, że nie zabrał czegoś, czym mógłby znaczyć swoją trasę.

Wreszcie, po upływie pół godziny, dotarł do drogi wjazdowej. Był tak wyczerpany, jakby jego kalosze były odlane z betonu. Postanowił jednak, że nie zrezygnuje z misji. Ruszył wzdłuż drogi, przechodząc od drzewa do drzewa w pierwszym rzędzie.

□ □ □

Niemal godzinę później, poprzez gałęzie ostatnich rzędów drzew, ujrzał na wprost siebie światła rezydencji. Człapiąc dalej, zwrócił uwagę, że im bliżej był światła, tym bardziej ów szum narastał.

Gdy dotarł na skraj drzew, przykucnął z boku skarpy, by dokładnie obejrzeć teren przed sobą. Rezydencja była egzotyczną wariacją na temat francuskiego *château*. Miała tylko dwie kondygnacje, ale strome dwuspadowe dachy oraz wieżyczki na rogach sprawiały, że przypominała Boschowi mniejszą wersję Château Marmont w Los Angeles.

Od zewnątrz dom oświetlały wycelowane z ziemi reflektory. Droga dojazdowa tworzyła od frontu wielkie rondo do zawracania, a dalej skręcała i ginęła z widoku za głównym budynkiem. Bosch zakładał, że garaż znajduje się z tyłu domu. Nigdzie nie było widać żadnych pojazdów. Uświadomił sobie, że wszystkie światła, które widział zza drzew, są na zewnątrz. W domu było kompletnie ciemno. Wyglądało na to, że nikogo tam nie ma.

Wstał i wszedł na skarpe. Gdy tylko wdrapał się na wzniesioną betonową płytę, skierował się do domu. Wymalowana na środku płyty litera H wskazywała, że jest to lądowisko dla śmigłowców. Jak po sznurku szedł dalej w stronę domu, gdy nagle kątem oka coś zauważył. Obejrzał się w lewo, na lekkie wzniesienie terenu.

W pierwszej chwili niczego nie dostrzegł. Na tle jasnego

oświetlenia domu nawet gwiazdy na niebie były ledwo widoczne, a otoczenie rezydencji zdawało się czarne jak smoła. Po chwili jednak jego uwagę znów zwrócił jakiś ruch, wysoko na wzgórzu. Nagle zdał sobie sprawę, że patrzy na przecinające powietrze ciemne łopaty turbiny wiatrowej, które na chwilę przesłaniały słabe światło gwiazd, zmieniając wygląd nieba.

Szum, który słyszał, przedzierając się między drzewami, dobiegał właśnie stamtąd. Cosgrove do tego stopnia wierzył w potęgę wiatru, że postawił jeden z tych stalowych gigantów na własnym podwórku. Bosch domyślił się, że reflektory oświetlające z zewnątrz *château* zasilane są przez wiatr, niestrudzenie hulający w Dolinie Centralnej.

Przeniósł uwagę z powrotem na oświetloną rezydencję i niemal od razu zawahał się, jakby coś kazało mu przemyśleć swoje postępowanie. Człowiek mieszkający w tych murach był dostatecznie mądry i potężny, żeby ujarzmić wiatr. Chroniła go góra pieniędzy i falanga – nie, na dobrą sprawę cała armia – drzew. Nie musiał wznosić ogrodzenia wokół swojej olbrzymiej posiadłości, bo wiedział, że las odstraszy intruza, który chciałby się tu wdrzeć. Mieszkał w zamku otoczonym fosą, więc kimże był Bosch, by myśleć, że może go podejść? Bosch nawet nie wiedział, jakie konkretnie przestępstwo popełnił bogacz. Anneke Jespersen nie żyła, a on szedł za tym, co podpowiadał mu policyjny nos. Nie dysponował żadnymi dowodami. Miał jedynie zbiegi okoliczności sprzed dwudziestu lat i nic ponadto.

Nagle nad głową usłyszał warkot i poczuł powiew wiatru, gdy zza drzew wyleciał śmigłowiec i zawisł dokładnie nad nim. Bosch czym prędzej ześlizgnął się ze skarpy w błoto i wodę i wbiegł w las. Obejrzał się na śmigłowiec – czarny kształt na tle nieba – ustawiający się nad lądowiskiem. Zapalił się reflektor w podwoziu maszyny, celując w wymalowane na betonie H. Bosch schylił się niżej i patrzył, jak pilot walczy z wiatrem, żeby się zmieścić nad lądowiskiem. Kiedy śmigłowiec powoli opadł i delikatnie dotknął ziemi, reflektor zgasł, a piskliwe wycie silnika ucichło.

Łopaty wirnika obracały się jeszcze przez chwilę siłą rozpędu, aż w końcu się zatrzymały. Otworzyły się drzwi od strony pilota i ktoś wysiadł. Z odległości ponad trzydziestu metrów Bosch widział jedynie

niewyraźny zarys sylwetki, ale ocenił, że jest to mężczyzna. Pilot przeszedł do tylnych drzwi i je otworzył. Bosch spodziewał się, że z kabiny wysiądzie druga osoba, tymczasem zaś wyskoczył z niej pies. Pilot wyciągnął z maszyny plecak, zatrzasnął drzwi i ruszył w kierunku domu.

Pies truchtał kilka metrów za nim. Nagle stanął jak wryty i odwrócił się dokładnie w stronę kryjącego się Boscha. Było to wielkie psisko, ale po ciemku Bosch nie potrafił rozpoznać rasy. Usłyszał tylko warknięcie, po czym bestia popędziła ku niemu.

Bosch zamarł, gdy zwierzę szybko pokonywało dzielący ich dystans. Wiedział, że nie ma sensu uciekać. Nie zrobiłby nawet dwóch kroków. Skulił się jeszcze bardziej i przypadł do skarpy, licząc na to, że rozjuszony pies przeskoczy nad nim i ugrzęźnie w błocie.

Wyszarpnął pistolet zza paska. Gdyby pies się nie zatrzymał, był gotów go powstrzymać.

– Cosmo!

To krzyknął mężczyzna zmierzający ścieżką do domu. Pies zarył w pół kroku, ślizgając się na tylnych łapach w reakcji na rozkaz.

– Do nogi!

Pies obejrzał się na Boscha i przez chwilę Harry miał wrażenie, że jego ślepia jarzą się na czerwono. A potem wrócił do swojego pana. Mimo to został nieźle zrugany.

– Niedobry pies! Nie wolno uciekać! Ani warczeć!

Mężczyzna klepnął w zad biegnącego obok psa. Ten wysforował się na ścieżce i przypadł do ziemi w pozie uległości. A jeszcze przed chwilą zamierzał przegryźć Boschowi gardło. Teraz Harry'emu zrobiło się go żal.

Odczekał, aż mężczyzna z psem wejdą do *château*, po czym wrócił między drzewa, licząc na to, że nie zgubi się w drodze powrotnej do samochodu.

□ □ □

Do motelu Blu-Lite dojechał o jedenastej. Poszedł od razu do łazienki, zdjął mokre, zabłocone ubranie i wrzucił je do wanny. Też miał wejść do wanny i puścić prysznic, gdy naraz usłyszał brzęczenie swojej

komórki – po incydencie w Steers wyciszył dzwonek.

Wyszedł z łazienki owinięty sztywnym jak tektura ręcznikiem. Numer dzwoniącego był zastrzeżony. Usiadł na łóżku i odebrał.

– Bosch.

– Harry, to ja. Nic ci nie jest?

Chu.

– Wszystko gra. Dlaczego pytasz?

– Bo się nie odzywałeś i nie odpowiadałeś na moje e-maile.

– Przez cały dzień byłem w trasie i nie sprawdzałem poczty.

Dopiero co wróciłem do motelu i jeszcze nie wiem, czy mają tu Wi-Fi.

– Harry, możesz odbierać e-maile w telefonie.

– Tak, wiem, ale to zawracanie głowy z tymi hasłami i tak dalej.

Poza tym komórka jest za mała, nie lubię tego robić. Wolę SMS-ować.

– Niech ci będzie. Chcesz wiedzieć, co ci przesłałem?

Bosch padał z nóg. Zmęczenie całym dniem i mozolna wędrówka przez las migdałowców dały mu się we znaki. Mięśnie ud bolały go po – jak mu się zdawało – dziesięciu tysiącach kroków w grząskim błocie. Marzył o prysznicu i chciał pójść spać, ale jednak kazał Chu mówić dalej.

– W sumie to dwie rzeczy – powiedział jego partner. – Po pierwsze, znalazłem bardzo solidny związek między dwoma nazwiskami z listy, którą mi dałeś.

Bosch rozejrzał się za notesem. Przypomniał sobie, że zostawił go w samochodzie. Teraz nie mógł po niego wyjść.

– Jaki związek? Wal.

– Wiesz, że Drummond startuje do Kongresu?

– Tak, widziałem dziś jeden billboard, ale nic więcej nie wiem.

– To dlatego, że wybory są dopiero w przyszłym roku. Dlatego jeszcze przez jakiś czas będzie panował spokój i cisza. Prawdę mówiąc, na razie nawet nie ma kontrkandydata. Obecny poseł przechodzi na emeryturę, a Drummond chyba po to tak wcześniej ogłosił swoją kandydaturę, żeby odstraszyć wszelką konkurencję.

– Pal go licho. Na czym polega ten związek?

– Cosgrove. On prywatnie i Cosgrove Agriculture to dwaj najwięksi sponsorzy kampanii Drummonda. Wyciągnąłem oryginał

sprawozdania z kampanii, które musiał wypełnić po zgłoszeniu swojej kandydatury.

Bosch skinął głową. Chu miał rację, to był solidny związek między dwoma członkami spisku. Teraz musiał już tylko wykryć tę znowę.

– Harry, jesteś tam? Chyba cię nie uspiłem swoim gadaniem, co?

– Prawie. Ale odwaliłeś kawał dobrej roboty, Dave. Jeżeli popiera go teraz, to pewnie wspierał go także w obu przypadkach, kiedy ubiegał się o urząd szeryfa.

– Też tak myślałem, ale tych danych nie ma w internecie. Może uda ci się je wyciągnąć w urzędzie hrabstwa na miejscu.

Bosch pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – To mała miejscina. Jeśli to zrobię, obaj od razu się o tym dowiedzą. A tego na razie chcę uniknąć.

– Rozumiem. Jak ci tam idzie?

– Jakoś leci. Dzisiaj robiłem tylko rozpoznanie. Jutro zacznę popychać sprawy do przodu. A ta druga rzecz? Mówiłeś, że masz dwie.

Chu odezwał się po dłuższej przerwie, więc Bosch od razu zorientował się, że druga wiadomość nie będzie miła.

– Tool wezwał mnie dzisiaj na dywanik.

No jasne, pomyślał Bosch. O’Toole.

– Czego chciał?

– Chciał wiedzieć, nad czym pracuję, ale widziałem, że poza tym gryzie go to, że tak naprawdę nie jesteś na urlopie. Pytał mnie, czy wiem, dokąd wyjechałeś, o takie tam rzeczy. Powiedziałem mu, że z tego, co wiem, jesteś u siebie i malujesz dom.

– Maluję dom. W porządku, zapamiętam. Ostrzegłeś mnie o tym w tym e-mailu?

– Tak, zaraz po lunchu.

– Nie pisz o takich rzeczach w e-mailach. Lepiej dzwoń. Kto wie, do czego O’Toole jest gotów się posunąć, byleby wywalić kogoś z sekcji?

– Jasne, Harry. Więcej tego nie zrobię. Przepraszam.

Bosch usłyszał sygnał, że ma drugie połączenie. Spojrzał na wyświetlacz i zobaczył, że dzwoni jego córka.

– Nie przejmuj się tym, Dave. Muszę kończyć, dzwoni córka.

Pogadamy jutro.

– Dobrze, Harry, wyśpij się.

Bosch odebrał telefon od córki. Odezwała się cicho, niemal szeptem.

– Jak ci minął dzień, tato?

Zastanowił się nad odpowiedzią.

– Właściwie to był nudny – odparł. – A u ciebie?

– U mnie też nudy. Kiedy wracasz?

– Hm, popatrzmy. Jutro mam tu jeszcze trochę roboty. Kilka rozmów. Więc chyba dopiero w środę. Dzwonisz ze swojego pokoju?

– Ehe.

A zatem była sama i – oby – poza zasięgiem słuchu Hannah. Bosch oparł się o poduszki. Były cienkie i twarde, ale poczuł się jak w Ritzu-Carltonie.

– I jak ci się układa z Hannah? – zapytał.

– Chyba dobrze – odrzekła.

– Na pewno?

– Chciała mnie wysłać wcześniej do łóżka. Chyba o dziesiątej, coś koło tego.

Uśmiechnął się. Znał ten ból. Zbyt wczesne wysyłanie nastolatki spać to odwrotność budzenia jej za wcześnie.

– Przed wyjazdem prosiłem ją, żeby się nie wtrącała w takie rzeczy. Mogę z nią porozmawiać jeszcze raz i przypomnieć, że sama wiesz, kiedy się położyć.

Tego samego argumentu córka użyła wobec niego, kiedy popełnił ten sam błąd co teraz Hannah.

– Nie, nie ma potrzeby. Sama sobie poradzę.

– A co jadłaś na kolację? Nie mów mi, że znowu zamówiłaś pizzę.

– Nie, ona coś ugotowała, było naprawdę dobre.

– A co to było?

– Kurczak w sosie, jakby z jogurtu. Do tego makaron zapiekany z serem.

– Bez makaronu z serem byś się nie obeszła.

– Ona zrobiła go inaczej niż ja.

To znaczyło, że Maddie wołała swój. Bosch poczuł, że pada na

twarz. Spróbował wykrzesać z siebie trochę energii.

– No cóż, to kucharz decyduje. Kiedy sama będziesz gotowała, zrobisz go po swojemu.

– Wiem. Powiedziałam jej, że jutro ja się zajmę gotowaniem, jeżeli nie będę miała za dużo pracy domowej.

– Świetnie, a ja może pogotuję w środę.

Uśmiechnął się na tę myśl i wiedział, że córka też się uśmiechnęła.

– Jasne, japoński rosół z makaronem. Rany, nie mogę się doczekać.

– Ja też. Ale teraz muszę się przespać, skarbie. Porozmawiamy jutro, dobrze?

– Jasne, tato. Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Rozłączyła się, co Boschowi zasygnalizowały trzy piski. Leżał na łóżku, nie miał siły wstać. Zamknął oczy, nie gasząc światła. Kilka sekund później już spał.

Śnił mu się bezkresny marsz przez błoto. Tyle że migdałowce zniknęły, zastąpiły je spalone pnie z powyginanymi czarnymi konarami sięgającymi po niego jak ręce. Z oddali dobiegło ujadanie rozjuszonego psa. I mimo że Bosch wciąż przyśpieszał, to pies i tak go doganiał.

Rozdział 28

Brzęczenie komórki leżącej na jego piersi wyrwało Boscha ze snu. Z początku pomyślał, że dzwoni córka, bo ma kłopoty albo Hannah ją czymś zdenerwowała. Zegar przy łóżku wskazywał czwartą dwadzieścia dwie nad ranem.

Chwycił telefon, ale na wyświetlaczu nie zobaczył zdjęcia Maddie pokazującej mu język, które pojawiała się zawsze, kiedy dzwoniła. Numer na ekranie miał kierunkowy czterysta cztery. Atlanta.

– Mówi detektyw Bosch.

Uniósł się i rozejrzył za notesem, po czym znowu przypomniał sobie, że zostawił go w samochodzie. Uświadomił sobie, że pomijając ręcznik, którym był owinięty w pasie, jest nagi.

– Nazywam się Charlotte Jackson, wczoraj nagrał mi pan wiadomość. Odsłuchalam ją dopiero późno w nocy. Czy u pana nie jest za wcześnie?

Boschowi rozjaśniło się w głowie. Przypomniał sobie, jak będąc w restauracji, odebrał telefon od Charlotte Jackson numer cztery. Czyli musiała to być Charlotte Jackson numer trzy. Tylko z nią nie miał jeszcze kontaktu. O ile pamiętał, mieszkała przy Ora Avenue we wschodniej Atlancie.

– Nic nie szkodzi, proszę pani. Cieszę się, że pani oddzwoniła – odparł. – Jak przekazałem w wiadomości, jestem detektywem z policji Los Angeles. Pracuję w sekcji spraw otwartych i niewyjaśnionych, to jednostka zajmująca się sprawami umorzonymi, jeśli widzi w tym pani jakiś sens.

– Kiedyś oglądałam w telewizji *Dowody zbrodni*. Dobry serial.

– Świetnie. W każdym razie prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa sprzed lat i próbuję odnaleźć Charlotte Jackson, która służyła w wojsku podczas Pustynnej Burzy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym.

Zapadła cisza. Bosch czekał na odpowiedź.

– No cóż, to ja. Służyłam tam, ale nie znam nikogo w Los Angeles ani nikogo, kto został zamordowany. Bardzo dziwna historia.

– Tak, rozumiem panią, cała ta sprawa jest dość zagmatwana.

Jeżeli pozwoli mi pani na kilka pytań, spróbuję ją pani wyjaśnić.

Znów czekał na odpowiedź. Bez skutku.

– Proszę pani? Jest pani tam?

– Tak, jestem. Proszę, niech pan pyta. Nie mam zbyt dużo czasu.

Zaraz muszę się zbierać do pracy.

– Dobrze, będę się streszczał. Po pierwsze, czy to pani numer domowy, czy na komórkę?

– Na komórkę. Innego nie mam.

– Dobrze. Mówiła pani, że służyła w wojsku podczas Pustynnej Burzy. W jakim rodzaju wojsk?

– W armii Stanów Zjednoczonych.

– Czy nadal służy pani w wojsku?

– Nie.

Jej ton dawał do zrozumienia, że zadał głupie pytanie.

– Gdzie pani stacjonowała w kraju?

– Benning.

Bosch podczas służby wojskowej również spędził nieco czasu w Fort Benning. To był jego ostatni przystanek przed Wietnamem. Wiedział, że baza leży dwie godziny jazdy od Atlanty – pierwszego miasta, do którego zawitała Anneke Jespersen po przylocie do Stanów Zjednoczonych. Poczul, że chyba do czegoś dochodzi. Że ukryta prawda lada chwila wyjdzie na jaw. Próbował nadal mówić równym, beznamiętnym tonem.

– Ile czasu spędziła pani w Zatoce Perskiej?

– W sumie około siedmiu miesięcy. Najpierw w Arabii Saudyjskiej brałam udział w Pustynnej Tarczy, a potem przenieśliśmy się do Kuwejtu, gdzie toczyła się wojna naziemna. Pustynna Burza. Do Iraku nie dotarłam.

– Czy w tym czasie brała pani urlop i przebywała na pokładzie statku wycieczkowego *Saudyjska Księżniczka*?

– Oczywiście – odparła Jackson. – Na dobrą sprawę każdy na niej był w tym czy innym czasie. Co to ma wspólnego z morderstwem w Los Angeles? Naprawdę nie rozumiem, po co pan do mnie dzwonił, a jak mówiłam, niedługo muszę iść do pracy, więc...

– Proszę pani, zapewniam, że dzwonię nie bez powodu, możliwe,

że to dzięki pani uda się wyjaśnić morderstwo. Co pani teraz robi zawodowo, jeśli wolno spytać?

– Pracuję w Centrum Sprawiedliwości w Atlancie. To w Inman Park.

– Rozumiem. Jest pani prawnikiem?

– Nie, Boże uchroni.

Ten sam ton, jak gdyby zadał głupie czy oczywiste pytanie, a przecież dotychczas nigdy z nią nawet nie rozmawiał.

– Wobec tego, czym się pani zajmuje w Centrum Sprawiedliwości?

– Pracuję w dziale mediacji, a mój szef nie lubi, kiedy się spóźniam do pracy. Powinnam już iść.

Jakimś cudem Bosch odszedł od głównego tematu rozmowy. Źle znosił sytuację, gdy prowadzone krok po kroku przesłuchanie zbaczało na manowce. Złożył to na karb tego, że został wyrwany ze snu i zmuszony do rozmowy.

– Jeszcze tylko kilka pytań. To bardzo ważne. Wróćmy do *Saudyjskiej Księżniczki*. Czy pamięta pani, kiedy przebywała na tym statku?

– W marcu, tuż przed odesłaniem mojej jednostki do domu. Pamiętam, jak myślałam, że nie pojechałabym na ten urlop, gdybym wiedziała, że miesiąc później będę już w Georgii. Ale wojsko mnie o tym nie poinformowało, więc wzięłam siedemdziesiąt dwie godziny wolnego.

Bosch skinął głową. Wrócił na właściwy tor. Byleby się go trzymał.

– Czy pamięta pani wywiad, który przeprowadziła z panią dziennikarka? Niejaka Anneke Jaspersen?

– Ta Holenderka? – odparła Jackson po krótkiej przerwie. – Tak, pamiętam ją.

– Anneke była Dunką. Czy mówimy o tej samej kobiecie? Biała blondynka, ładna, koło trzydziestki?

– Tak, zgadza się, ja udzieliłam tylko jednego wywiadu. Holenderka, Dunka... Pamiętam nazwisko i pamiętam ją.

– Dobrze, a pamięta pani, gdzie przeprowadzała ten wywiad?

– Siedziałam w barze. Nie pamiętam w którym, w każdym razie

nad basenem. Tam przesiadywałam.

– Czy pamięta pani coś jeszcze w związku z tym wywiadem?

– Z wywiadem? Raczej nie. To było tylko kilka szybkich pytań.

Ona wypytywała wielu z nas. Poza tym tam było głośno, ludzie byli pijani, wie pan, jak to jest.

– Jasne.

Nadszedł właściwy moment. Na jedyne pytanie, które tak naprawdę chciał zadać.

– Czy po tamtym dniu widziała pani jeszcze kiedyś Anneke?

– Hm, najpierw widziałam ją w tym samym miejscu następnego dnia wieczorem. Powiedziała mi, że wysłała artykuł czy zdjęcia, jakoś tak, i że teraz też jest na urlopie. Miała spędzić na statku jeszcze dwa dni i nie musiała nic robić.

Bosch milczał. Nie to spodziewał się usłyszeć. Pomyślał o przylocie Jespersen do Atlanty.

– Dlaczego pan o nią pyta? – zaintrygowała się Jackson. – Czy to ona nie żyje?

– Tak, niestety. Dwadzieścia lat temu zamordowano ją w Los Angeles.

– Boże jedyny!

– To się zdarzyło podczas rozruchów w dziewięćdziesiątym drugim. Rok po Pustynnej Burzy.

Przerwał, ciekaw, czy ona jakoś na to zareaguje, ale odpowiedziała mu tylko cisza.

– Myślę, że miało to jakiś związek z tym statkiem – podjął. – Czy może pamięta pani coś jeszcze w związku z jej pobytem na pokładzie? Czy kiedy ją pani widziała następnego dnia, była pijana?

– Nie wiem, czy była pijana, ale trzymała butelkę. Obie piłyśmy piwo. Właśnie to się robiło na tamtym statku. Piło się.

– Rozumiem. Czy pamięta pani coś jeszcze?

– Pamiętam tylko, że była z niej taka blond seksbomba, że żadna z nas nie musiała się tak napocić jak ona, żeby utrzymać chłopaków na dystans.

„Żadna z nas”, czyli z kobiet w barze i na tym statku.

– Ona pytała mnie o to samo, kiedy mnie odwiedziła w Benning.

Bosch zamarł. Wstrzymał dech, nie wydał najmniejszego dźwięku. Czekał na ciąg dalszy. A gdy się nie doczekał, spróbował delikatnie wrócić do tematu.

– Kiedy to było? – zapytał.

– Mniej więcej rok po Burzy. Pamiętam, że wtedy już pracowałam na pół gwizdka. Jakies dwa tygodnie później zostałam zwolniona. Ona mnie jakimś cudem znalazła, przyjechała do bazy i zadawała te wszystkie pytania.

– O co konkretnie pytała, pamięta pani?

– Pytała mnie o drugi dzień, wie pan, kiedy już miała wolne.

Najpierw spytała, czy ją widziałam, a ja na to, czy nie pamięta. Wtedy spytała, z kim była i kiedy widziałam ją po raz ostatni.

– I co pani jej powiedziała?

– Przypomniałam sobie, że poszła z jakimiś facetami. Mówili, że idą na dyskotekę, a ja nie miałam ochoty. Więc poszli beze mnie. Później zobaczyłam ją dopiero w Fort Benning.

– Pytała ją pani, po co jej te informacje?

– Nie. Myślę, że i tak to wiedziałam.

Bosch pokiwał głową. Prawdopodobnie dlatego tak dobrze pamiętała tę rozmowę, mimo upływu dwudziestu lat.

– Coś jej się przydarzyło na tym statku – powiedział.

– Tak myślę – przytaknęła Jackson. – Ale nie dopytywałam się o szczegóły. Nie sędzę, żeby miała ochotę mi opowiadać. Zależało jej tylko na odpowiedziach na jej pytania. Chciała wiedzieć, z kim poszła.

Pomyślał, że teraz już chyba rozumie wiele związanych z tą sprawą zagadek. Na czym polegała zbrodnia wojenna, którą badała Anneke Jespersen, i dlaczego nikomu o tym nie mówiła. Los kobiety, której nigdy nie spotkał, nappełnił go jeszcze większym bólem.

– Niech mi pan opowie o mężczyznach, z którymi poszła na tym statku. Ilu ich było?

– Nie pamiętam, trzech albo czterech.

– Pamięta pani o nich coś jeszcze? Cokolwiek?

– Byli z Kalifornii.

Bosch zamilkł, odpowiedź Jackson rozdzwoniła się w jego głowie jak dzwon.

– Czy to już wszystko, proszę pana? Muszę kończyć.
– Jeszcze chwilka, proszę pani. Bardzo mi pani pomogła. Skąd pani wie, że ci mężczyźni byli z Kalifornii?

– Nie wiem, po prostu wiedziałam. Widocznie nam powiedzieli, skoro wiedziałam, że są z Kalifornii. Powiedziała jej o tym, kiedy odwiedziła mnie w bazie.

– Nie pamięta pani żadnych imion albo nazwisk?

– Nie, teraz już nie. Minęły wieki. Pamiętam tylko to, o czym panu mówię, bo do mnie przyjechała.

– A wtedy? Pamięta pani, czy wtedy podała jej pani jakieś nazwiska tych gości?

Zapadła dłuższa cisza, kiedy Jackson zastanawiała się nad pytaniem.

– Nie przypomnę sobie, czy znałam jakieś nazwiska. Znaczący się, na pokładzie pewnie byłam z nimi po imieniu, ale wątpię, czy po roku jeszcze ich pamiętałam. Na tym statku facetów było co niemiara. Pamiętam tylko, że byli z Kalifornii i że nazywaliśmy ich ciężarowcami.

– Ciężarowcami?

– Tak.

– Skąd ta nazwa? Czy mówili, że jeżdżą ciężarówkami?

– Może i jeździli, w każdym razie ja pamiętam tylko, że mieli te tatuaże *Keep on Truckin'* z tym gościem w wielkich buciorach. Zna pan ten komiks?

Bosch pokiwał głową, nie w odpowiedzi na jej pytanie, ale jako potwierdzenie tego, co sądził.

– Tak, znam. Czyli ci faceci mieli ten tatuaż? Gdzie?

– Na ramionach. Na statku było gorąco, przesiadywaliśmy w barze nad basenem, więc albo w ogóle nie nosili koszul, albo mieli takie bez rękawów. Co najmniej dwóch z nich miało identyczny tatuaż, więc my, to znaczący dziewczyny z baru, zaczęłyśmy nazywać ich ciężarowcami. Trudno mi sobie przypomnieć szczegóły, a zresztą i tak już się spóźnię do pracy.

– Dobrze się pani spisała. Nie wiem, jak pani dziękować.

– Czy to ci faceci ją zabili?

– Jeszcze nie wiem. Ma pani adres e-mailowy?

– Oczywiście.

– Mogę pani wysłać link? Jest pod nim zdjęcie z witryny internetowej, na którym widać kilku facetów na pokładzie *Saudyjskiej Księżniczki* z tamtego okresu. Mogłaby pani je obejrzeć i dać mi znać, jeśli pani kogoś rozpozna?

– Czy mogę to zrobić z pracy? Naprawdę muszę kończyć.

– Tak, oczywiście. Wyślę pani link, jak tylko skończymy rozmowę.

– Dobrze.

Podawała mu adres swojej poczty elektronicznej. Zapisał go w bloczku papieru leżącym na stoliku nocnym.

– Dziękuję pani. Proszę się odezwać w sprawie linku jak najszybciej.

Rozłączył się. Usiadł przy stole we wnęce kuchennej, odpalił laptop i podłączył się pod sygnał Wi-Fi z domu za motelem. Korzystając z umiejętności podpatrzonych u partnera i u córki, na stronie internetowej 237. Kompanii odnalazł link do zdjęcia z *Saudyjskiej Księżniczki*, po czym wysłał go e-mailem do Charlotte Jackson.

Podszedł do okna, wyjrzał zza zasłony. Na dworze wciąż było ciemno, na razie nie zanosilo się na wschód słońca. W ciągu nocy parking w połowie zapełnił się pojazdami. Czekał na odpowiedź w sprawie zdjęcia, postanowił wziąć prysznic i przygotować się na nadchodzący dzień.

Kiedy dwadzieścia minut później wycierał się praniem z tysięcy razy ręcznikiem, usłyszał sygnał nadejścia poczty, więc poszedł do wnęki kuchennej i sprawdził komputer. Nadeszła odpowiedź od Charlotte Jackson.

Moim zdaniem to oni. Nie jestem pewna, ale tak mi się zdaje. Tatuaze są takie same i to jest ten statek. Ale minęło wiele lat, a ja tam piłam. Ale tak, według mnie to są oni.

Bosch usiadł przy stole i jeszcze raz przeczytał treść e-maila. Poczł narastający lęk i podniecenie. Identyfikacja dokonana przez Charlotte Jackson nie była niezbita, ale prawie. Wiedział, że wydarzenia sprzed dwudziestu czy więcej lat niezaprzeczalnie zaczęły się łączyć, i to jak szybko. Przeszłość sięgała ręką spod ziemi i nie sposób było przewidzieć, kogo złapie i wciągnie w głąb, kiedy już przebijie się na

powierzchnię.

Rozdział 29

Cały ranek Bosch spędził w swoim pokoju, tylko na chwilę wyszedł do sklepu monopolowego po drugiej stronie parkingu, by kupić karton mleka i pączki na śniadanie. Postanowił samodzielnie pościelić łóżko i rozwiesić ręczniki, więc zawiesił na klamce wywieszkę z napisem „Nie przeszkadzać”. Zadzwoił do córki, zanim wyszła do szkoły, i porozmawiał też z Hannah. Obie rozmowy były krótkie, w rodzaju „miłego dnia”. Potem usiadł do pracy i następne dwie godziny spędził nad laptopem, szczegółowo uzupełniając o najnowsze dane streszczenie prowadzonego śledztwa. Kiedy skończył, schował komputer i wszystkie dokumenty, z których korzystał, do plecaka.

Przed wyjściem przygotował pokój: przesunął łóżko pod ścianę, żeby stworzyć więcej miejsca pod lampą na suficie. Następnie postawił pod nią stół z wnęki kuchennej. Na koniec zdjął abażury z dwóch lampek nocnych i ustawił żarówki pod takim kątem, żeby świeciły w twarz człowieka, który usiądzie po lewej stronie stołu.

W progu sięgnął do tylnej kieszeni spodni, upewniając się, że ma klucz do pokoju. Namacał plastikowy breloczek od klucza i coś jeszcze. Wyciągnął wizytówkę detektyw Mendenhall i uświadomił sobie, że nosił ją w spodniach, odkąd znalazł ją na swoim biurku.

Wizytówka podsunęła mu myśl, żeby zadzwonić do Mendenhall i sprawdzić, czy rzeczywiście pojechała wczoraj do San Quentin, jak to zapowiedziała Hannah. Zrezygnował jednak z tego pomysłu. Postanowił skupić się wyłącznie na rzeczach, które wynikły z telefonu Charlotte Jackson. Schował wizytówkę z powrotem i otworzył drzwi. Upewnił się, że wywieszka „Nie przeszkadzać” nie spadnie z klamki, po czym zatrzasnął za sobą drzwi.

□ □ □

W śledztwie takie posunięcie to klasyka. Najlepszą i najszybszą metodą rozbicia spisku jest znalezienie najsłabszego ogniwa w łańcuchu oraz sposobu, w jaki można je wykorzystać. Wystarczy, że pęknie jedno ogniwo, a cały łańcuch się rozpadnie.

Najsłabszym ogniwem przeważnie jest człowiek. Bosch uważał, że

ma do czynienia ze spiskiem sprzed dwudziestu lat, zawiązanym przez czterech, może pięciu ludzi. Jeden nie żył, dwóch otoczyło się ochronnym kokonem z pieniędzy, władzy i prawa. Pozostawali więc John Francis Dowler i Reginald Banks.

Dowlera nie było w mieście, a Bosch nie zamierzał czekać na jego powrót – nabrał rozpędu i nie chciał zwalniać. Zatem został jedynie Banks, nie tylko z braku innych kandydatów, lecz także dlatego, że zdaniem Boscha to właśnie on dzwonił dziesięć lat temu i dopytywał się o stan śledztwa. To podpowiedziało mu, że tamten się martwi. I że się boi. Teraz mógł wykorzystać te oznaki słabości.

Zjadł wczesny lunch w In-N-Out Burger na Yosemite Avenue, wpadł na chwilę do pobliskiego Starbucks, po czym wrócił na Crows Landing Road i znalazł to samo wolne miejsce przy krawężniku, skąd mógł obserwować Reginalda Banksa przy pracy.

W pierwszej chwili nie zobaczył go przy biurku, które zajmował poprzedniego dnia. Drugi sprzedawca urzędował na swoim miejscu, ale nie Banks. Bosch czekał cierpliwie. Dwadzieścia minut później Banks wyszedł z zaplecza salonu, niosąc kubek kawy. Usiadł, stuknął w klawisz spacji na klawiaturze komputera i zaczął obdzwaniać klientów, przy każdym nowym numerze przesuwając palcem po ekranie. Bosch domyślił się, że dzwoni na chybił trafił do starych klientów z nadzieją, że są już gotowi na wymianę starego ciągnika.

Odczekał jeszcze pół godziny, przygotowując przez ten czas swoją bajeczkę. Ruszył dopiero wtedy, gdy drugi sprzedawca zajął się klientem, który się zjawił w salonie. Wysiadł z samochodu i przeszedł na drugą stronę ulicy. W sali wystawowej skierował się do pojazdu terenowego stojącego najbliżej biurka Banksa, który wciąż gadał przez telefon.

Obchodził eksponat dookoła – dwumiejscowy pojazd z napędem na cztery koła, małą platformą i wzmacniającym sufit pałąkiem. Obok, na odlanej z plastiku podstawie, stała tabliczka z ceną. Zgodnie z oczekiwaniami Boscha Banks szybko się rozłączył.

– Szuka pan gatora?! – zawołał od biurka.

Bosch odwrócił się i spojrzał na niego, jakby dopiero teraz go zauważył.

– Niewykluczone – odparł. – A nie macie takiego trochę używanego?

Banks wstał i podszedł do niego. Miał na sobie sportową marynarkę i poluzowany pod szyją krawat. Stał obok Boscha i spojrzał na terenówkę, jakby ją widział po raz pierwszy.

– Ten XUV to najbardziej wypasiony model. Ma napęd na cztery koła, wtrysk paliwa, czterosuwowy silnik, tak że jest silny i cichy... Co by tu jeszcze? Regulowane amortyzatory, hamulce tarczowe i najlepszą gwarancję, jakiej na taką bestię nie dostanie pan nigdzie indziej. Tu ma pan wszystko, czego panu trzeba. Jest jak czołg, nie da się go zatrzymać, a jednocześnie zapewnia wygodę i niezawodność produktów John Deere. A swoją drogą, jestem Reggie Banks.

Bosch uściśnił wyciągniętą do niego rękę.

– Harry – przedstawił się.

– Miło cię poznać, Harry. To co, wypisać rachunek?

Bosch zachichotał jak zdenerwowany kupiec.

– Wiem, że ma wszystko, czego mi trzeba. Nie wiem tylko, czy muszę mieć fabrycznie nowy model. Nie zdawałem sobie sprawy, że te rzeczy są takie drogie. Kosztuje prawie tyle co samochód.

– Ale jest wart każdego centa. Poza tym udzielamy rabatów, od razu mniej boli.

– O ile mniej?

– Pięćset dolarów zwrotu w gotówce i dwieście pięćdziesiąt w bonach do stacji obsługi. Mógłbym pogadać z szefem, żeby spuścił trochę z ceny, ale wiele nie zejdzie. Sprzedajemy tych zabawek od groma.

– Niby tak, ale po kiego mi bony do stacji obsługi, skoro według pana to coś jest niezniszczalne jak czołg?

– Konserwacja i pielęgnacja, mój drogi. Te bony wystarczą panu jak nic na dwa lata, rozumiemy się?

Bosch skinął głową, wpatrując się w pojazd, jakby zastanawiał się nad zakupem.

– A więc używanego nie macie? – spytał w końcu.

– Możemy poszukać na zapleczu.

– To chodźmy. Przynajmniej będę mógł powiedzieć mojej starej,

że obejrzałem cały magazyn.

– I słusznie. Tylko skoczę po klucze.

Banks zajrzał do gabinetu kierownika pod ścianą na wprost wejścia do sali wystawowej i wkrótce wrócił z wielkim pękiem kluczy.

Zaprowadził Boscha korytarzem na tył budynku. Wyszli na ogrodzony parking, gdzie trzymano używane ciągniki i pojazdy terenowe.

Terenówki stały w rzędzie pod ścianą salonu.

– Tu jest wszystko, co mam – rzekł Banks, idąc przodem. –

Wypoczynek czy interesy?

Bosch nie miał pojęcia, o co mu chodzi, więc nie odpowiedział.

Udał, że nie usłyszał pytania, zahipnotyzowany rzędem błyszczących pojazdów.

– Ma pan farmę albo ranczo, czy chce pan po prostu taplać się tym w błocie? – uściślił Banks, żeby Bosch go zrozumiał.

– Właśnie kupiłem winnicę niedaleko Lodi. Potrzebuję czegoś, co się zmieści między rzędami i czym dojadę tam raz-dwa. Jestem za stary na takie wędrówki.

Banks pokiwał głową, jakby znał to z doświadczenia.

– Farmer dżentelmen, co? – rzucił.

– Ehe, coś w tym guście.

– Wszyscy kupują winnice, ten interes jest w modzie. Mój szef... właściciel salonu... ma kupę winorośli w Lodi. Zna pan Cosgrove Vineyard?

Bosch potwierdził ruchem głowy.

– Trudno ją przegapić. Ale nie znam tych ludzi. W porównaniu z nimi jestem jak szaraczek.

– No, może i tak, ale w końcu od czegoś trzeba zacząć, no nie? Może coś tu znajdziemy. Który się panu podoba?

Ruchem ręki wskazał sześć pojazdów terenowych z platformą – na oko Boscha wszystkie były takie same. Każdy w takim samym odcieniu zieleni, a jedyna dostrzegalna różnica polegała na tym, czy miały tylko jeden pałąk dachowy, czy całą klatkę, oraz na tym, jak bardzo poobijane i podrapane były platformy. Tutaj nie ustawiono wyszukanych plastikowych stojaków z cenami.

– Wszystkie muszą być zielone, co? – mruknął Bosch.

– W segmencie używanych wyłącznie zielone – odparł Banks. – To jest John Deere. Jesteśmy dumni z naszej zieleni. Ale jeśli zażyczy pan sobie coś nowego, możemy panu zamówić taki w barwach kamuflażowych.

Bosch w zamyśleniu pokiwał głową.

– Chcę taki z klatką – powiedział.

– Jasne, bezpieczeństwo przede wszystkim – przytaknął Banks. – Dobry wybór.

– Tak – potwierdził Bosch. – Bezpieczeństwo przede wszystkim. Chodźmy się jeszcze raz przyjrzyć temu w środku.

– Nie ma sprawy.

□ □ □

Godzinę później Bosch wrócił do samochodu. Na pozór bliski kupna pojazdu z sali wystawowej, w końcu jednak się wycofał, tłumacząc, że musi się jeszcze zastanowić. Banks, choć zirytowany, że transakcja w ostatniej chwili przeszła mu koło nosa, postanowił utrzymać dobre stosunki na przyszłość. Dał Boschowi wizytówkę, prosząc, żeby zadzwonił. Obiecał, że pominie kierownika i poprosi samego wielkiego szefa, by zszedł z ceny nowego pojazdu bardziej, niż to wynika z rabatu oraz bonów. Zdradził Boschowi, że jest z wielkim szefem za pan brat i że ta znajomość trwa już ćwierć wieku.

Boschowi nie przyświecał żaden specjalny cel tego spotkania poza tym, że chciał poznać Banksa osobiście, otaksować go i być może nieco zakłócić jego dobre samopoczucie. Prawdziwy ruch wykona później, gdy przejdzie do drugiej fazy swojego planu.

Uruchomił wynajęty samochód i odjechał Crows Landing, na wypadek gdyby Banks go obserwował. Dwie przecznice dalej zawrócił. Zaparkował dalej od salonu, tym razem po drugiej stronie ulicy, ale tak, by nadal mieć widok na Banksa przy biurku.

Do końca dnia pracy Banksowi nie trafił się już żaden klient. Co jakiś czas telefonował i sprawdzał coś w komputerze, ale – zdaniem Boscha – raczej bez powodzenia. Wiercił się nerwowo na krześle, bębnił palcami w biurko i często wstawał, by dolać sobie kawy na zapleczu. Dwukrotnie Bosch przyłapał go na tym, że dolewa coś do kawy

z półlitrowki trzymanej w szufladzie biurka.

O osiemnastej Banks i reszta personelu zamknęli salon i razem wyszli na ulicę. Bosch wiedział, że Banks mieszka na północ od Modesto, w Mantece, więc ruszył od krawężnika, minął salon, a potem zawrócił, by móc go śledzić w drodze do domu.

Banks wsiadł do srebrnej toyoty i zgodnie z oczekiwaniami pojechał na północ. Nagle jednak zaskoczył Boscha, skręcając w lewo w Hatch Road i oddalając się od autostrady 99. W pierwszej chwili Bosch pomyślał, że tamten jedzie na skróty, lecz wkrótce okazało się, że tak nie jest. Gdyby wskoczył na autostradę, byłby już w domu.

Bosch wjechał za nim w częściowo przemysłową, częściowo mieszkalną okolicę. Z jednej strony stały domy kiepsko zarabiających oraz klasy średniej, upakowane ciasno jak zęby, a z drugiej ciągnęły się złomowiska samochodów.

Bosch zwiększył dystans do Banksa w obawie, że tamten go zauważy. Stracił go z oczu na odcinku Hatch Road, na którym droga wiała się wzdłuż zakrętów pobliskiej rzeki Tuolumne.

Przyśpieszył, pokonał zakręt, ale toyota zniknęła. Jechał dalej, coraz szybciej i zbyt późno uświadomił sobie, że właśnie minął siedzibę oddziału organizacji VFW – Kombatantów Wojen Zagranicznych. Wrócił do VFW i skręcił na parking. Natychmiast zauważył srebrną toyotę zaparkowaną z tyłu budynku, jakby została ukryta. Domyślił się, że wracając do domu, Banks zatrzymywał się tu na drinka i nie chciał, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

Bosch wszedł do kiepsko oświetlonego baru. Przystanął, czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do półmroku, by mógł wypatrzeć Banksa. Ale nie musiał.

– No proszę, kogo ja widzę!

Bosch obrócił się w lewo, a tam na stołku barowym siedział samotnie Banks, już bez sportowej marynarki i krawata. Młoda barmanka nachylała się, stawiając przed nim nowego drinka. Bosch udał, że jest zaskoczony.

– Hej, a pan tu skąd? Ja wpadłem tylko na jednego szybkiego w drodze na północ.

Banks ruchem ręki zaprosił go, by usiadł na sąsiednim stołku.

– Wstap do klubu – rzucił.

Bosch podszedł, sięgając po portfel.

– Już do niego należę – odparł.

Wyciągnął swoją legitymację kombatanta i rzucił ją na kontuar.

Zanim barmanka zdążyła ją sprawdzić, Banks wziął kartę z podrapanej lady i spojrział na nazwisko.

– A mówiłeś, że masz na imię Harry – powiedział.

– Bo mam. Wszyscy tak na mnie mówią.

– Hi... e... Jak się wymawia to cudaczne imię?

– Hieronimus. Tak miał na imię malarz sprzed setek lat.

– A, to się nie dziwię, że wolisz Harry.

Bosch podał barmance legitymację.

– Ręczę za tego gościa, Lori – rzekł Banks. – Dusza człowiek.

Lori ledwie rzuciła okiem na legitymację i oddała ją Boschowi.

– Harry, poznaj Potrójną L – dokonał prezentacji Banks. – Lori Lynn Lukas, najlepsza barmanka w branży.

Bosch skinął jej głową na powitanie i usiadł na stołku obok Banksa. Miał wrażenie, że mu się udało. Banks nie dostrzegł nic podejrzanego w takim zbiegu okoliczności. A jeśli będzie pił dalej, ewentualne podejrzenia tym bardziej znikną.

– Lori, dopisz go do mojego rachunku – rzucił Banks.

Bosch podziękował mu i zamówił piwo. Po chwili stanęła przed nim zmrożona butelka, a Banks podsuwał swoją szklankę do toastu.

– Za nas, wojowników.

Stuknął szklanką w butelkę Boscha i wychylił jedną trzecią czegoś, co wyglądało na whisky z wodą. Gdy wyciągnął szklankę, Bosch zauważył na jego ręku wielki wojskowy zegarek z kilkoma tarczami i obrotowym pierścieniem i zastanawiał się, jak to się ma do sprzedaży ciągników.

Banks spojrział na Boscha z ukosa.

– Niech zgadnę. Wietnam.

Bosch skinął głową.

– A ty?

– Pustynna Burza, chłopie. Pierwsza wojna w Zatoce.

Jeszcze raz stuknęli się butelką i szklanką.

– Pustynna Burza – mruknął Bosch z uznaniem. – Z tej akurat nic nie mam.

Banks zmrużył oczy.

– Czego z niej nie masz? – zapytał.

Bosch wzruszył ramionami.

– Jestem kimś w rodzaju kolekcjonera. Zbieram rzeczy ze wszystkich wojen, rozmaitego typu. Głównie uzbrojenie wroga. Żona ma mnie za świra.

Banks nic nie powiedział, więc Bosch ciągnął wątek:

– Mój największy skarb to tanto zabrane martwemu Japońcowi w jaskini na Iwo Jimie. Użył go.

– Co to jest, spluwa?

– Nie, krótki miecz.

Bosch wykonał gest przesuwania sztyletu z lewej na prawą po brzuchu. Lori Lynn prychnęła z niesmakiem i przeszła na drugi koniec baru.

– Wybuliłem za niego dwa kawałki – ciągnął Bosch. – Kosztowałyby mniej, gdyby nie był używany. A ty przywiozłeś coś ciekawego z Iraku?

– Właściwie to nigdy tam nie dotarłem. Stacjonowałem w Arabii Saudyjskiej i kilka razy wyskoczyłem do Kuwejtu. Służyłem w transporcie.

Opróżnił szklankę, a Bosch pokiwał głową.

– Czyli nie byłeś w prawdziwej akcji, co?

Banks walnął pustą szklanką o kontuar.

– Lori, pracujesz dzisiaj, czy się obcyndalasz?! – warknął.

A potem spojrzał Boschowi prosto w oczy.

– Człowieku, coś ty, u nas też się działo! Raz SCUD o mały włos nie spalił całej naszej jednostki. I parę razy skopaliśmy im dupska. Jak mówiłem, byłem w transporcie. Mieliśmy dostęp do wszystkiego i wiedzieliśmy, jak to przewieźć do kraju.

Bosch odwrócił się do niego szybko, jakby nagle się zainteresował. Ale odczekał, aż Lori Lynn skończy dolewać Banksowi i odejdzie, i dopiero wtedy odezwał się cicho, konspiracyjnym szeptem:

– Szukam czegoś z Gwardii Republikańskiej. Znasz kogoś, kto

może mieć coś takiego? Dlatego będąc w nowym mieście, zawsze zaglądam do VFW. To tam wynajduję eksponaty. Tanto odkupiłem od starszego gościa, którego poznałem w barze w Tempe. To było ze dwadzieścia lat temu.

Banks pokiwał głową, próbując poskładać słowa w zamroczonym alkoholem umyśle.

– No... zna się tego i owego. Mają tu rozmaity towar. Spluwy, mundury, co tylko zechcesz. Ale trzeba zapłacić, no i mógłbyś kupić tego pieprzonego gatora, coś się na niego gapił przez cały dzień.

Bosch skinął głową.

– Się wie. Jeszcze pogadamy. Jutro wpadnę do ciebie do salonu. Co ty na to?

– To rozumiem, współniku.

Rozdział 30

Boschowi udało się wyjść z VFW bez stawiania Banksowi drinka; ten zresztą najwyraźniej nie zauważył, że Harry nie wypił nawet pół butelki piwa. Po powrocie do samochodu Bosch pojechał na skraj parkingu, skąd pochylnią okrętową można się było dostać do rzeki. Zaparkował obok stojących w rzędzie pick-upów z zamocowanymi przyczepami do przewozu łodzi. Czekał dwadzieścia minut, aż w końcu Banks wyszedł z baru i wsiadł do swojego samochodu.

W barze widział, jak tamten wlewa w siebie trzy szklaneczki. Zakładał, że zanim się zjawił, tamten wypił jedną i przynajmniej dwie po jego wyjściu. Martwił się, że jeżeli Banks będzie w oczywisty sposób prowadził niezdarnie, to będzie go musiał przedwcześnie zatrzymać, żeby nie zrobił krzywdy sobie albo innym.

Ale Banks miał wprawę w prowadzeniu po pijaku. Ruszył Hatch na wschód, drogą, którą tam przyjechał. Bosch śledził go z daleka, nie spuszczać wzroku z tylnych świateł jadącego przed nim auta. Nie zauważył gwałtownych skrętów, przyśpieszania ani hamowania bez powodu. Wyglądało na to, że Banks panuje nad kierownicą.

Mimo to Bosch przez dziesięć minut w napięciu jechał za nim do wjazdu na stanową 99 w kierunku północnym. Na autostradzie zmniejszył dzielący ich dystans i usiadł Banksowi na ogonie. Pięć minut później minęli zjazd na Hammett Road, po czym zobaczyli tablicę witającą podróżnych w hrabstwie San Joaquin. Bosch postawił nad deską rozdzielczą i włączył lampę stroboskopową. Jeszcze bardziej zmniejszył odległość między samochodami i błysnął światłami drogowymi, oświetlając wnętrze auta przed sobą. Nie miał syreny, ale Banks nie mógł nie zauważyć dyskoteki za plecami, więc kilka sekund później wrzucił prawy kierunkowskaz.

Bosch miał nadzieję, że Banks nie zjedzie na pobocze autostrady i nie przeliczył się. Kilkaset metrów dalej znajdował się najbliższy zjazd, na Ripon. Banks zwolnił i skręcił tam, po czym zatrzymał się na żwirowym placyku przed zamkniętym straganem z owocami. Zgasił silnik. Było ciemno i pusto. Idealne warunki dla Boscha.

W przeciwieństwie do wielu protestujących pijaków, Banks nie

wysiadł z samochodu. Nie opuścił też szyby. Bosch podszedł, trzymając wielką latarkę Mag-Lite na ramieniu, żeby w oślepiającym blasku Banks nie mógł zobaczyć jego twarzy. Zapukał w szybę. Banks niechętnie otworzył okno.

– Nie miałeś powodu mnie zatrzymywać, chłopie – obruszył się, zanim Bosch zdążył się odezwać.

– Przez cały czas jechał pan przede mną zygzakiem. Czy pan coś pił?

– Bzdura!

– Proszę wysiąść z samochodu.

– Masz pan.

Banks podał przez okno prawo jazdy. Bosch wziął je i podniósł do światła, jak gdyby je oglądał. Ale ani na chwilę nie spuścił wzroku z Banksa.

– Zadzwoń pan do centrali – rzekł Banks wyzywająco. – Zadzwoń pan do szeryfa Drummonda, już on panu powie, żebyś wracał do tego tajniackiego wozu i wypierdalał.

– Nie muszę zawiadamiać szeryfa Drummonda – odparł Bosch.

– Lepiej do niego zadzwoń, kolego, bo twoja robota wisi na włosku. Dobrze ci radzę. Weź, kurwa, zadzwoń.

– Nie, panie Banks, nie rozumiemy się. Nie muszę dzwonić do szeryfa Drummonda, bo nie jesteśmy w hrabstwie Stanislaus. To jest hrabstwo San Joaquin, a nasz szeryf nazywa się Bruce Ely. Mógłbym do niego zadzwonić, ale nie chcę go wkurzać z powodu takiej dupereli jak pijak za kółkiem.

Zobaczył, jak Banks zwiesza głowę, gdy uświadomił sobie, że przejechał granicę hrabstwa i znalazł się na terytorium, gdzie nie miał ochrony.

– Proszę wysiąść z samochodu – powiedział Bosch. – Trzeci raz nie powtórzę.

Banks błyskawicznie wyciągnął rękę do stacyjki i próbował przekręcić kluczyk. Ale Bosch był na to przygotowany. Upuścił latarkę i sięgnął do auta, wykręcając rękę Banksa, zanim zdążył odpalić silnik. Następnie, trzymając go jedną ręką za nadgarstek, drugą otworzył drzwi. Wywłókł Banksa z samochodu i odwrócił, przyciskając go piersią do

boku auta.

– Panie Banks, jest pan aresztowany. Za stawianie oporu policjantowi oraz za podejrzenie prowadzenia samochodu pod wpływem alkoholu.

Tamten próbował się wyrwać, gdy Bosch wykręcił mu ręce za plecami, żeby zatrzaskać kajdanki. Udało mu się odwrócić i obejrzeć za siebie. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, w środku paliło się światło. Było dostatecznie jasno, by rozpoznać Boscha.

– To ty?

– Owszem.

Bosch skończył skuwać Banksa kajdankami.

– Co to ma być, do kurwy nędzy?

– Jesteś aresztowany. Teraz pójdziemy na tył mojego samochodu, a jeśli znów się będziesz szarpał, potkniesz się i polecisz na twarz. Rozumiemy się? Będziesz pluł żwirem, Banks. Chcesz tego?

– Nie, chcę adwokata.

– Dostaniesz go, jak już trafisz do aresztu. Idziemy.

Bosch szarpnął go, oderwał od samochodu i zaprowadził do crown victorii. Lampa stroboskopowa nadal pulsowała. Zawłókł Banksa do tylnych drzwi po prawej stronie, wepchnął go do środka i zapiął mu pasy.

– Jeżeli podczas jazdy spróbujesz się stąd ruszyć, wpakuję ci koniec latarki do gęby. A wtedy oprócz adwokata będziesz musiał wezwać dentystę. Czy wyrażam się jasno?

– Tak. Nie będę się szarpał. Weź mnie zapuszkuj i ściągnij mi papugę.

Bosch zatrzaskał drzwi. Wrócił do samochodu Banksa, wyjął kluczyk ze stacyjki i zamknął auto. Na koniec poszedł do swojego samochodu po tabliczkę z napisem „Zabrakło mi benzyny”, z której korzystał poprzedniego wieczoru, i zatknął ją za wycieraczkę auta Banksa.

Wracając do swojego wozu, na tle padających z szosy światła zobaczył sylwetkę samochodu. Auto z wygaszonymi światłami stało zaparkowane na poboczu zjazdu z autostrady. Bosch nie pamiętał, żeby stał tam jakiś pojazd, gdy jechał w ślad za Banksem.

Ciemne wnętrze samochodu nie pozwalało mu dojrzeć, czy ktoś jest w środku. Otworzył drzwi swojego auta, wsiadł, zgasił stroboskop i wrzucił bieg. Szybko wyjechał z szutrowego parkingu i na szosę biegnącą wzdłuż autostrady. Przez całą drogę patrzył w lusterko wsteczne, w równym stopniu obserwując Banksa, co sprawdzając, czy nie śledzi go tajemniczy samochód.

□ □ □

Skręcił na parking Blu-Lite. Stały tam tylko dwa samochody, oba po przeciwnej stronie placu niż jego pokój. Wjechał tyłem na takie miejsce parkingowe, by stanąć prawym bokiem auta od strony drzwi do pokoju.

– Co tu jest grane?! – zapytał ostro Banks.

Bosch nie odpowiedział. Wsiadł i otworzył kluczem drzwi pokoju. Wróciwszy do samochodu, dokładnie zlustrował wzrokiem parking, zanim wywłócił Banksa z tylnego siedzenia. Objął go tak, jakby podtrzymywał pijaka, i szybko zaprowadził do drzwi.

W pokoju pstryknął kontakt, kopniakiem zatrzaskał za sobą drzwi, po czym usadził Banksa na krześle przy stole, twarzą do światła.

– Nie wolno ci tego robić – zaprotestował jego jeniec. – Musisz mnie zapuszkować i wezwać mi adwokata.

Bosch nadal milczał. Przeszedł za plecy Banksa, zdjął mu kajdanki z jednego nadgarstka, po czym przeciągnął obręcz i łańcuch przez dwa drążki wzmacniające oparcie krzesła. W końcu z powrotem założył kajdanki na nadgarstek Banksa, przykuwając go do krzesła.

– Masz przejebane – zapowiedział mu Banks. – Mam w dupie, co to za hrabstwo. Przecholowałaś, pojebie! Zdejmij mi kajdanki!

Bosch nie odpowiedział. Poszedł do wnęki kuchennej i napełnił plastikowy kubek wodą z kranu. Wrócił do stołu, usiadł. Upił nieco wody i postawił kubek na blacie.

– Czy ty mnie, kurwa, słuchasz? Mam znajomości. Znam wszystkich najpotężniejszych ludzi w tej dolinie, więc wpadłeś w gówno po uszy.

Bosch bez słowa mierzył go wzrokiem. Mijały sekundy. Banks napiął mięśnie i Boscha doleciał grzechot łańcucha kajdanków o drążki

oparcia krzesła. Ale wysiłki jeńca na nic się nie zdały. W poczuciu porażki zwiesił głowę.

– Powiesz coś wreszcie czy nie?! – ryknął.

Bosch wyjął telefon komórkowy i położył go na stole. Znowu napił się wody, odchrząknął. W końcu odezwał się chłodnym, beznamiętnym głosem. Posłużył się wariacją na temat tego, jak tydzień wcześniej rozpoczął rozmowę z Rufusem Colemanem.

– Teraz jest najważniejsza chwila w twoim życiu. Wybór, którego zaraz dokonasz, zaważy na twoim życiu jak żaden inny.

– Nie wiem, kurwa, o czym ty gadasz.

– Owszem, wiesz. Wiesz wszystko na ten temat. Więc jeśli chcesz się uratować, opowiesz mi wszystko. Na tym polega twój wybór... Czy chcesz się uratować, czy nie.

Banks potrząsnął głową, jakby chciał się uwolnić od sennego koszmaru.

– Człowieku... to jest, kurwa, jakiś obłąd. Nie jesteś gliną, przyznaj się. Otóż to. Jesteś jakimś świrem, którego rajcuje takie akcje. Jeżeli jesteś gliną, pokaż mi blachę. Chętnie ją sobie obejrzę, palancie.

Bosch nie ruszył się, jeśli nie liczyć tego, że napił się wody. Czekał. Po oknie od frontu przesunęły się reflektory samochodu na parking, na co Banks zaczął wrzeszczeć:

– Hej! Ratunku! Jestem...

Bosch chwycił kubek i chlusnął resztką wody w twarz Banksa, żeby się przymknął. Szybko ruszył do łazienki po ręcznik. Gdy wrócił, Banks kaszlał i charczał. Bosch zakneblował go ręcznikiem, a końce zawiązał z tyłu jego głowy. Chwycił go za włosy, przekrzywił mu głowę i wyszeptał do ucha:

– Krzyknij jeszcze raz, a nie będę taki delikatny.

Podszedł do okna i palcem rozsunał zasłony. Zobaczył tylko te dwa samochody, które stały już na parking, kiedy przyjechali. Widocznie ten, kto skręcił tu przed chwilą, zawrócił i odjechał. Bosch odwrócił się, sprawdzając, co porabia Banks, po czym zdjął marynarkę i rzucił ją na łóżko, pokazując pistolet w kaburze na biodrze. Znowu usiadł prawie naprzeciwko Banksa.

– Na czym to skończyliśmy? A właśnie, na wyborze. Dziś wieczór

musisz dokonać wyboru, Reggie. W tej chwili to kwestia tego, czy porozmawiasz ze mną, czy nie. Ale ta decyzja będzie miała dla ciebie poważne konsekwencje. Bo tak naprawdę jest to wybór między spędzeniem reszty życia w więzieniu albo zoptymalizowaniem swojej sytuacji dzięki współpracy. Wiesz, co to znaczy „zoptymalizować”? To znaczy „poprawić”.

Banks pokręcił głową, ale nie w geście zaprzeczenia. Raczej chciał tym wyrazić, że sam nie wierzy w to, co się dzieje.

– Wyjmę ci teraz knebel, ale jeśli znowu spróbujesz krzyknąć, to... cóż, poniesiesz konsekwencje. Zanim to jednak zrobię, skoncentruj się na tym, co ci będę mówił przez kilka minut, bo chcę, żebyś naprawdę dobrze zrozumiał swoją sytuację. Czy to jasne?

Banks posłusznie skinął głową, a nawet próbował wyartykułować swą zgodę pomimo knebla, lecz wydał tylko niezrozumiały bełkot.

– Świetnie – rzekł Bosch. – A więc sprawa przedstawia się następująco. Należysz do spisku, który ma już ponad dwadzieścia lat. Ten spisek zawiązał się na statku *Saudyjska Księżniczka* i trwał aż do tej chwili.

Patrzył, jak Banks rozszerza oczy ze strachu, gdy dotarły do niego jego słowa. Z każdą chwilą wzyerało z nich coraz większe przerażenie.

– Albo trafisz na długie lata do więzienia, albo pójdziesz na współpracę i pomożesz nam ujawnić zмовę milczenia. Współpracując, możesz liczyć na pobłażliwość, być może unikniesz spędzenia reszty życia za kratkami. To co, mogę ci wyjąć knebel?

Banks energicznie pokiwał głową. Bosch wyciągnął rękę nad stołem i bezceremonialnie zerwał mu ręcznik.

– Już – powiedział.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. W końcu Banks odezwał się z autentyczną desperacją w głosie:

– Proszę pana, pan mówi o jakimś spisku i rzeczach, o których nie mam pojęcia. Ja sprzedaję ciągniki. Wie pan o tym. Człowieku, przecież sam mnie widziałeś. Właśnie tym się zajmuję. Jeśli chce mnie pan zapytać o produkty John Dee...

Bosch mocno walnął otwartą dłonią w stół.

– Dość!

Banks zamilkł, a Bosch wstał. Poszedł po akta sprawy, które miał w plecaku, i położył je na stole. Rano poprzekładał papiery tak, żeby po otwarciu teczki zdjęcia i dokumenty leżały w takiej kolejności, w jakiej zamierzał je zaprezentować. Kiedy ją teraz otworzył, na wierzchu znalazła się fotografia Anneke Jespersen leżącej na ziemi w zaułku. Przesunął ją po blacie tak, że zatrzymała się przed nosem Banksa.

– Oto kobieta, którą wasza piątka zabiła, a potem zatuszowała zbrodnię.

– Zwariowałeś. To jest...

Bosch pchnął do niego kolejne zdjęcie, na którym widniało narzędzie zbrodni.

– A to jest pistolet wojska irackiego, z którego ją zastrzelono. Jeden z tych, które przeschmuglowaliście znad Zatoki Perskiej, tak jak mi opowiadałeś.

Banks wzruszył ramionami.

– I co z tego? Co mi za to zrobią? Odbiorą mi legitymację kombatanta? Też coś! Zabieraj mi, kurwa, te zdjęcia z oczu.

Bosch podsunął mu następne. Banks, Dowler, Cosgrove i Henderson na pokładzie *Saudyjskiej Księżniczki* przy basenie.

– A tutaj czterech z was jest na pokładzie *Księżniczki*, dzień przed tym, jak się upiliście i zgwałciliście Anneke Jespersen.

Banks pokręcił głową, ale Bosch widział, że ostatnia fotografia zrobiła swoje. Banks się wystraszył, bo nawet on zdawał sobie sprawę z tego, że jest najsłabszym ogniwem. Możliwe, że na równi z Dowlerem, tyle że Dowler nie był przykuty kajdankami do krzesła, tak jak on.

Strach i niepokój tak się w nim gotowały, że popełnił gigantyczny błąd.

– W przypadku gwałtu przedawnienie następuje po siedmiu latach, a zresztą i tak mi go nie udowodnisz. A z tą drugą sprawą nie miałem, kurwa, nic wspólnego.

Było to z jego strony nie lada wyznanie. Dotychczas Bosch miał jedynie teorię spisku, bez najmniejszych dowodów na jej poparcie. Ta gra z Banksem miała tylko jeden cel – skłócić go z pozostałymi. Sprawić, żeby dostarczył mu dowodów przeciwko nim.

Ale Banks najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, co właśnie

powiedział, co ujawnił. Bosch przystosował się do nowej sytuacji.

– Tak ci powiedział Henderson? Że w sprawie gwałtu nic wam nie grozi? To dlatego zaszantażował Cosgrove’a i wyciągnął od niego pieniądze na własną restaurację?

Banks nie odpowiedział. Wydawał się zaszokowany dogłębną wiedzą Boscha na ten temat. Bosch strzelał na oślep, będąc przekonanym, że wie, jak wyglądają powiązania między mężczyznami, którzy byli na statku.

– Tylko że ten ruch obrócił się przeciwko niemu, co? – ciągnął.

Pokiwał głową, jakby na potwierdzenie własnych słów. Po oczach Banksa poznał, że dociera do niego istota rzeczy. Czekał na tę chwilę.

– Zgadza się – powiedział. – Mamy Dowlera. Nie uśmiecha mu się spędzenie reszty życia za kratkami. Dlatego poszedł na współpracę.

Banks pokręcił głową.

– To niemożliwe – oświadczył. – Dopiero co z nim rozmawiałem. Przez telefon. Zaraz po tym, jak wyszedłeś z knajpy.

Ot i kłopot wynikający z improwizacji. Nigdy nie wiadomo, kiedy nasza bajeczka zderzy się z niezbitymi faktami. Bosch ratował sytuację, uśmiechając się przebiegle i potakując głową.

– Jasne, że do niego zadzwoniłeś. On był wtedy z nami. Powiedział ci dokładnie to, co mu kazaliśmy. A potem wrócił do opowieści na temat ciebie, Cosgrove’a i Drummonda... Dobosza, jak go wtedy nazywaliście.

Po oczach Banksa poznał, że ten mu uwierzył, bo wiedział, że ktoś musiał powiedzieć Boschowi o Doboszu. Policjant nie mógł tego wymyślić.

Bosch udał, że zagląda do leżących przed nim akt, jak gdyby sprawdzał, czy o czymś nie zapomniał.

– No, nie wiem, Reg. Kiedy ława przysięgłych wypowie się na ten temat i wszyscy zostaniecie oskarżeni o morderstwo, gwałt, znowę itede, itepe, to jak ci się zdaje, co Cosgrove i Drummond podsuną swoim adwokatom? A tobie co zostanie? Jeżeli postanowią rzucić cię na pożarcie i oświadczą, że to ty, Dowler i Henderson ukuliście tę znowę, to komu według ciebie uwierzą przysięgli? Im czy tobie?

Banks, z rękami skutymi za oparciem krzesła, próbował się

pochylić, ale mógł się ruszyć do przodu raptem o kilka centymetrów. Zwiesił więc tylko głowę w poczuciu przemożnego strachu i rozczarowania.

– Sprawa się przedawniła – powiedział. – Nie można mnie skazać za statek, a nic więcej nie zrobiłem.

Bosch wolno pokręcił głową. Zawsze zdumiewało go, jak przestępcy potrafią dystansować się od swoich zbrodni i je racjonalizować.

– Nawet nie potrafisz tego wymówić, co? Nazywasz to skazaniem „za statek”. A to był gwałt, wy ją zgwałciliście zbiorowo. Poza tym nie znasz się na prawie. Zmowa przestępcza w celu zatuszowania zbrodni zatrzymuje bieg przedawnienia tej zbrodni. Wciąż można cię oskarżyć, Banks, i staniesz przed sądem.

Improwizował, wciskał kit, wymyślając wszystko na poczekaniu.

Nie miał wyboru, bo w tej sytuacji zadowalałby go tylko jeden rezultat. Musiał odwrócić Banksa, rozwiązać mu język i skłonić go do zeznawania oraz dostarczenia dowodów przeciwko pozostałym. Wszystkie te groźby o wyroku skazującym i więzieniu były właściwie bezpodstawne. Miał zaledwie słabiutki cień poszlak łączących Banksa i resztę z zabójstwem Anneke Jespersen. Na poparcie tego nie dysponował ani świadkami, ani dowodami rzeczowymi. Miał wprawdzie narzędzie zbrodni, ale nie mógł go włożyć w ręce żadnego ze swoich podejrzanych. Owszem, mógł dowieść, że denatka i podejrzani przebywali w bezpośredniej bliskości w Zatoce Perskiej, a rok później w południowym Los Angeles. To jednak nie dowodziło morderstwa. Wiedział, że to za mało, by nawet najbardziej zielony prokurator z prokuratury okręgowej w Los Angeles zechciał się tym zająć. Miał jedyną szansę, mianowicie przekabacić jednego ze sprawców na swoją stronę. Stosując podstęp, wciskając kit, robiąc cokolwiek, musiał złamać Banksa i sprawić, żeby wyśpiewał całą historię.

Teraz to Banks kręcił głową, ale chyba po to, by otrząsnąć się z jakichś myśli albo pozbyć się obrazu przed oczami. Jak gdyby uważał, że dopóki będzie kręcił głową, nie dopuści do siebie realiów tego, co go czeka.

– Człowieku, nie! Nie... nie możesz, musisz mi pomóc –

wykrztusił. – Powiem ci wszystko, ale musisz mi pomóc. Obiecaj mi to.

– Niczego nie mogę ci obiecać, Reggie. Ale pójdę wstawić się za tobą do prokuratury okręgowej, a przecież wiesz, że prokuratorzy zawsze dbają o swoich najważniejszych świadków. Jeśli ci na tym zależy, musisz się otworzyć i opowiedzieć mi wszystko. Wszystko. I nie wolno ci mnie okłamywać. Jedno kłamstwo i po naszej umowie. A ty do końca życia trafiasz za kratki.

Przerwał na dłuższą chwilę. Albo uda mu się teraz doprowadzić do tego, by zdobyć dowody przeciwko pozostałym, albo szansa przepadnie i nigdy nie doprowadzi śledztwa do końca.

– To jak, jesteś gotów na rozmowę? – zapytał w końcu.

Banks z wahaniem skinął głową.

– Tak – odparł. – Będę gadał.

Rozdział 31

Bosch wstukał do telefonu swoje hasło i uruchomił aplikację z funkcją dyktafonu. Następnie rozpoczął przesłuchanie. Przedstawił się, powiedział, jakiego śledztwa dotyczy rozmowa, a wreszcie przedstawił Banksa, podając też jego wiek i adres. Odczytał Banksowi jego prawa z kartki, którą nosił w etui na legitymację, na co tamten odparł, że rozumie przysługujące mu prawa i gotów jest współpracować, wyraźnie podkreślając, że nie życzy sobie wcześniejszych konsultacji z adwokatem.

Później Banks przez dziewiętnaście minut opowiadał dwudziestoletnią historię, zaczynając od *Saudyjskiej Księżniczki*. I choć ani razu nie użył słowa „gwałt”, to przyznał, że czterej z nich – Banks, Dowler, Henderson i Cosgrove – uprawiali seks z Anneke Jespersen w prywatnej kajucie na statku, kiedy była do nieprzytomności odurzona alkoholem oraz narkotykiem, który Cosgrove dodał do jej drinka. Banks i Cosgrove nazywali ten narkotyk „igraszki i swawole”, lecz Banks nie wiedział dlaczego. Powiedział, że to było coś, co podawało się bydłu przed transportem, żeby je uspokoić.

Bosch domyślił się, że mówił o stosowanym w weterynarii środku uspokajającym o nazwie Rompun, który pojawiał się już w prowadzonych przez niego śledztwach.

Banks mówił dalej. Stwierdził, że Cosgrove specjalnie wybrał Jespersen i tłumaczył pozostałym, że prawdopodobnie to naturalna blondynka i że nigdy jeszcze nie miał takiej kobiety.

Na pytanie Boscha, czy J.J. Drummond był obecny w kajucie podczas ataku, Banks z naciskiem odparł, że nie. Później oznajmił, że Drummond wiedział, co się stało, ale że nie brał w tym udziału. Powiedział też, że ich piątka nie była jedynymi członkami 237. Kompanii spędzającymi wówczas urlop na tym statku, ale że nikt więcej nie był w to zamieszany.

Opowiadając tę historię, Banks płakał, często wtrącając, jak bardzo mu przykro, że był uczestnikiem tego, co się wydarzyło w kajucie.

– To przez tę wojnę, człowieku. Coś z nami porobiła.

Bosch nieraz już słyszał tę wymówkę – pomyślał, że stres

wynikający z życia w nieustannym zagrożeniu oraz lęki wojenne stanowią przepustkę do popełniania nikczemnych zbrodni, których dokonanie w ojczyźnie nawet nie przyszłoby im na myśl. Używano jej do tłumaczenia wszystkiego – od zabijania cywilnych mieszkańców wiosek po zbiorowe gwałcenie pijanych kobiet. Bosch tego nie kupował i był zdania, że Anneke słusznie uważała takie rzeczy za zbrodnie wojenne i czyny niewybacalne. Jego zdaniem wojna wydobywała z człowieka prawdziwy charakter, obojętnie czy dobry, czy zły. Nie miał współczucia dla Banksa i jemu podobnych.

– Czy właśnie po to Cosgrove wziął ze sobą na drugą stronę świata te „igraszki i swawole”? Na wypadek gdyby wojna coś z nim porobiła? Na ilu kobietach wypróbował tam jeszcze ten specyfik? A co było przedtem? Co robił w liceum? Założę się, że wszyscy chodziliście do tej samej szkoły. Coś mi mówi, że na tym statku zastosowaliście ten narkotyk nie po raz pierwszy.

– Nie, człowieku, nie ja. Ja nigdy tego nie tykałem. Nie miałem nawet pojęcia, że on wtedy tego używał. Myślałem, że ona była, no, wiesz, normalnie pijana. Drummond tak mi potem powiedział.

– O czym ty mówisz? Twierdziłeś, że Drummonda tam nie było.

– Bo go nie było. Mówię o tym, co było potem. Po powrocie do kraju. On wiedział, co się wydarzyło w tej kajucie. Wiedział o wszystkim.

Bosch musiał dowiedzieć się więcej, by móc ocenić rolę Drummonda w zbrodniach przeciwko Anneke Jespersen. Żeby utrudnić Banksowi wygodne snucie swojej historii, ni stąd, ni zowąd przeskoczył w czasie do roku 1992 i rozruchów w Los Angeles.

– Opowiedz mi teraz o Crenshaw Boulevard – polecił.

Banks pokręcił głową.

– Co takiego? Nie mogę – powiedział.

– Co znaczy, że nie możesz? Przecież tam byłeś.

– Byłem tam i nie byłem, rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Nie, nie rozumiem. Wyjaśnij mi.

– No więc byłem tam, rzecz jasna. Wezwano nas. Ale kiedy zastrzelono tę dziewczynę, nie było mnie w pobliżu tego zaułka. Mnie i Hendersonowi kazano legitymować ludzi na blokadzie drogowej po

drugiej stronie szyku.

– Czyli twierdzisz teraz, co jest zarejestrowane na taśmie, że podczas pobytu w Los Angeles ani razu nie widziałeś „tej dziewczyny”, czyli Anneke Jespersen, żywej lub martwej?

Tak oficjalne pytanie kazało Banksowi się zastanowić – wiedział, że policjant szuka dziur w jego historii. Wcześniej Bosch kategorycznie dał mu do zrozumienia, że jedyną nadzieję daje mu mówienie prawdy. Ostrzegł go jednak, że wystarczy jedno kłamstwo, by umowę szlag trafił, i Bosch przestanie robić cokolwiek, co polepszyłoby sytuację Banksa.

Jako świadek koronny Banks nie był już skuty kajdankami. Uniósł ręce, przeczesał włosy palcami. Dwie godziny wcześniej siedział na stołku barowym w VFW. A teraz – w przerośni – walczył o życie, które po tym wieczorze z pewnością w ten czy inny sposób się zmieni.

– Zaraz, zaczekaj, nic takiego nie twierdzą. Widziałem ją. Tak, widziałem ją, ale nie miałem pojęcia, że została zastrzelona w tym zaułku. Nie było mnie w pobliżu. Dowiedziałem się, że to ona, kiedy wróciliśmy tam ze dwa tygodnie później, taka jest prawda.

– No dobrze, wobec tego opowiedz mi, w jakiej sytuacji ją widziałeś.

Banks powiedział, że krótko po tym, jak 237. Kompania przybyła do Los Angeles w celu tłumienia rozruchów, Henderson zawiadomił pozostałych, że widział „tę blondynę” ze statku w tłumie dziennikarzy przed Coliseum, gdzie zbierały się oddziały kalifornijskiej Gwardii Narodowej, które zjechały długim konwojem ciężarówek z Doliny Centralnej.

Początkowo tamci mu nie uwierzyli, ale Cosgrove wysłał Drummonda, by sprawdził przedstawicieli mediów, bo skoro nie był w tamtej kajucie na pokładzie *Saudyjskiej Księżniczki*, nie zostałby rozpoznany.

– Zgoda, ale w jaki sposób miał ją rozpoznać? – zapytał Bosch.

– Widział ją na statku, więc wiedział, jak wyglądała. On po prostu nie poszedł z nami do kajuty. Powiedział, że czterech to już tłok.

Bosch dokonał rachunków w pamięci, po czym kazał Banksowi mówić dalej. Ten powiedział, że Drummond wrócił po obejrzeniu zgromadzonych dziennikarzy i potwierdził obecność tej kobiety wśród

nich.

– Pamiętam, że zastanawialiśmy się, czego ona chce i jakim cudem nas znalazła. Ale Cosgrove się nie przejmował. Stwierdził, że niczego nie zdoła nam udowodnić. To się zdarzyło jeszcze przed DNA, badaniami jak z serialu CSI, kojarzysz, w czym rzecz?

– Tak, kojarzę. A więc kiedy konkretnie widziałeś ją na własne oczy?

Banks odparł, że zobaczył Jespersen, kiedy ich oddział zgodnie z rozkazem przeniósł się na Crenshaw Boulevard. Jechała za transportem, robiąc zdjęcia członkom jednostki, którzy zajmowali stanowiska na bulwarze.

– Śledziła nas jak duch i robiła nam zdjęcia. Aż przechodziły mnie ciarki. Hendersona też. Myśleliśmy, że zamierza napisać o nas artykuł albo co.

– Czy rozmawiała z wami?

– Nie ze mną. Nigdy.

– A z Hendersonem?

– Nie zauważyłem, a prawie cały czas przebywałem razem z nim.

– Kto ją zabił, Reggie? Kto zawłókł ją do tego zaułka i zastrzelił?

– Żałuję, że nie wiem, człowieku, bobym ci powiedział. Ale mnie tam nie było.

– I wasza piątka nigdy potem o tym nie rozmawiała?

– No nie, rozmawialiśmy, ale nigdy nie padło, co kto zrobił.

Dobosz wziął sprawy w swoje ręce i powiedział, że musimy zawrzeć układ, na mocy którego nigdy więcej nie poruszymy tego tematu.

Oświadczył, że Carl jest bogaty, więc zatroszczy się o każdego z nas, bylebyśmy milczeli. I że jeśli nie będziemy trzymać języka za zębami, to osobiście dopilnuje, żebyśmy wszyscy za to beknęli.

– W jaki sposób?

– Twierdził, że ma dowód. Powiedział, że to, co się wydarzyło na statku, stanowi motyw, więc wszyscy zostaniemy oskarżeni. O znowę w celu popełnienia morderstwa.

Bosch pokiwał głową. Wszystko to się zgadzało z jego teorią spisku.

– Więc kto w końcu zastrzelił tę kobietę? Carl? Czy tak to

zrozumiałeś?

Banks wzruszył ramionami.

– No, tak, zawsze tak myślałem. Wepchnął ją do tego zaułka albo ją tam zwabił, a pozostali pilnowali, żeby mu nikt nie przeszkadzał. Byli tam razem. Carl, Frank i Dobosz. Ale mnie i Hendersona tam nie było, człowieku. Słowo.

– A potem tej samej nocy Frank Dowler wchodzi do tego zaułka, żeby się odlać, i „przypadkiem” odkrywa zwłoki?

Banks tylko skinął głową.

– Dlaczego? Po co się fatygował? Czemu po prostu nie zostawił tam zwłok? Prawdopodobnie nie znaleziono by ich co najmniej przez kilka dni.

– Nie wiem. Pewnie sądzili, że jeśli je znajdą podczas rozruchów, to śledztwo nic nie wykaże. Wiesz, z powodu pośpiechu. Dobosz był tu zastępcą szeryfa i znał się na policyjnej robocie. Słyszeliśmy opowieści o tym, jak to w żadnej sprawie niczego się nie robi. Tam panowało kompletne szaleństwo.

Bosch przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– No, co do tego akurat mieli rację – mruknął.

I zamilkł, jak gdyby zastanawiał się, o co jeszcze powinien zapytać. Czasami gdy świadek zaczynał mówić, pojawiała się tyle aspektów sprawy do wyjaśnienia, że trudno było się w tym połapać. Przypomniawszy sobie, że do tej nasiadówki z Banksem doprowadził go pistolet. Idź za pistoletem, powtarzał sobie.

– Z czyjej broni ją zastrzelono? – zapytał.

– Nie wiem. Nie z mojej. Swoją trzymam w domu w sejfie.

– Wszyscy przywieźliście z Iraku beretty?

Banks skinął głową i opowiedział o tym, jak to ich oddział zwoził całymi ciężarówkami skonfiskowaną iracką broń do dziury wykopanej na pustyni w Arabii Saudyjskiej, gdzie miała zostać wysadzona w powietrze i zakopana. Prawie wszyscy pracujący przy tym członkowie oddziału podkradali jakąś broń z ciężarówek, w tym także ta piątka, która później znalazła się na pokładzie *Saudyjskiej Księżniczki* w tym samym czasie, co Anneke Jespersen.

Następnie broń przewieziono do kraju, gdzie Banks – jako

magazynier kompanii – ukrył ją na dnie kartonów z należącym do kompanii sprzętem.

– To zupełnie tak, jakby lis pilnował kurnika – ciągnął. – Byliśmy kompanią transportową, a ja nadzorowałem rozbiórkę sprzętu i pakowanie wszystkiego do kartonów. Przewiezienie tej broni do kraju to była łatwizna.

– A po powrocie rozdałeś ją komu trzeba.

– Zgadza się. Ale wiem tylko tyle, że swoją wciąż trzymam w domu w kasie pancernej, co dowodzi, że to nie ja ją zastrzeliłem.

– Czy wszyscy nosiliście tę broń w Los Angeles?

– Nie wiem. Ja nie. Takie rzeczy trzeba było ukrywać przez cały czas.

– Ale jechałeś do miasta, w którym, jak widziałeś w telewizji, panował kompletny chaos. Nie chciałeś mieć czegoś ekstra na wszelki wypadek?

– Nie wiem. Nie chciałem.

– A kto chciał?

– Nie wiem, człowieku. Wtedy już nie byliśmy ze sobą tak blisko, rozumiesz. Po Pustynnej Burzy wróciliśmy do kraju i każdy radził sobie na własną rękę. A potem, kiedy wezwano nas do Los Angeles, znowu byliśmy razem. Ale nikt nikogo nie pytał, czy wziął ze sobą dodatkową splotkę.

– W porządku. Ale mam jeszcze jedno pytanie w związku z tą bronią. Kto usunął z niej numery fabryczne?

Banks był wyraźnie zdezorientowany.

– O co ci chodzi? O ile wiem, nikt.

– Jesteś tego pewny? Pistolet, z którego zastrzelono tę kobietę w zaułku, miał spiłowany numer seryjny. Żaden z was tego nie zrobił? Nie spiłowaliście tych numerów?

– Nie. Po co? W każdym razie ja tego nie zrobiłem. Te pistolety stanowiły coś w rodzaju dowodu, że tam byliśmy. Taką pamiątkę.

Bosch musiał sobie przemyśleć odpowiedzi Banksa. Charles Washburn obstawał przy tym, że pistolet, który znalazł na podwórku za domem, miał już spiłowany numer seryjny. To pasowało do koncepcji, że po dokonaniu morderstwa zabójca wyrzucił broń za płot – wierząc, że

nijk nie da się jej z nim połączyć. Ale, jeśli wierzyć Banksowi, nie wszyscy z piątki będącej na pokładzie *Saudyjskiej Księżniczki* usunęli numery seryjne po powrocie z wojny w Zatoce Perskiej. Jednak przynajmniej jeden z nich to zrobił. Przynajmniej jeden z tej piątki wiedział, że pistolet przyda mu się nie tylko jako pamiątka. Że pewnego dnia się nim posłuży.

Bosch zastanawiał się, co się działo dalej. Dla niego ważne było to, żeby udokumentować całość tej historii, włącznie z późniejszymi, zmieniającymi się relacjami między pięcioma mężczyznami ze statku.

– Opowiedz mi o Hendersonie. Co twoim zdaniem mu się przydarzyło?

– Ktoś go zabił, ot co.

– Kto?

– Nie wiem, człowieku. Wiem tylko tyle, że zapewniał mnie, że w tej sprawie ze statku jesteśmy czyści, bo minęło dosyć czasu, a skoro nie mamy nic wspólnego z tym, co się zdarzyło w Los Angeles, to i tutaj jesteśmy czyści.

Banks stwierdził, że więcej już z Hendersonem nie rozmawiał. Miesiąc później tamtego zabito podczas kradzieży w restauracji, którą kierował.

– Restauracja należała do Cosgrove’a – zauważył Bosch.

– Zgadza się.

– W tamtym czasie ukazał się w prasie artykuł o tym, że Henderson chce otworzyć własną restaurację. Wiesz coś na ten temat?

– Też o tym czytałem, ale nie wiedziałem, że miał takie plany.

– Sądziś, że ta kradzież to zwykły zbieg okoliczności?

– Nie, moim zdaniem to była wiadomość. Na mój gust Chris uważał, że nic mu nie grozi, bo miał jakiegoś haka na Carla. Poszedł do niego, wymógł na nim, żeby go przyjął do interesu albo urządził w inny sposób, no a potem doszło do kradzieży i zarobił kulkę. Wiesz, że nikogo nie złapali w tej sprawie i nigdy nie złapią.

– Wobec tego kto go załatwił?

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Carl się tarza w forsie. Jeśli chce, żeby coś zostało załatwione, to tak się dzieje, kapujesz?

Bosch skinął głową. Rozumiał, w czym rzecz. Podniósł teczkę

i zaczął przeglądać akta, szukając czegoś, co by mu podsunęło kolejne pytanie. Trafił na szereg zdjęć aparatów fotograficznych, takich jak te, które podobno nosiła Anneke Jespersen. Po zamieszkach RCTF rozproszyla je po okolicznych lombardach, ale bez rezultatu.

– A co się stało z jej aparatami? Ktoś je zabrał. Widziałeś, żeby ktoś je wziął?

Banks pokręcił głową. Bosch naciskał dalej.

– A co z kliszą? Czy Cosgrove wspominał, że wyjął film z aparatu?

– Nie mnie. Nie wiem nic o tym, co się działo w tym zaułku, człowieku. Ile razy jeszcze mam ci to powtarzać? Mnie tam nie było!

Nagle Bosch przypomniał sobie o kluczowym obszarze pytań, którego jak dotąd nie poruszył, i zganił się w duchu za to, że omal nie wyleciało mu to z głowy. Był pewien, że ma szansę tylko na tę jedną rundę z Bankssem. Bo kiedy śledztwo ruszy z miejsca, ten weźmie adwokata. I nawet jeśli za radą prawnika nadal będzie współpracował, to niemożliwe, żeby mogli pogadać w cztery oczy, bez obecności prawników i w dodatku na jego zasadach. Musiał więc wydusić z Banksa, ile się da, właśnie teraz.

– A jak to było z pokojem hotelowym tej dziewczyny? – zapytał. – Ktoś tam był po jej śmierci, posłużył się kluczem zabranym z jej kieszeni po zabójstwie.

Już w połowie pytania Banks zaczął kręcić głową. Bosch odczytał to jako znak, że próbuje coś ukryć.

– Nic o tym nie wiem – odrzekł Banks.

– Na pewno? – powiedział Bosch. – Coś przede mną ukrywasz, a to tak samo, jakbyś mnie okłamał. Jeśli się dowiem, o co chodzi, z naszego układu będą nici, a wszystko, co tu powiedziałeś, wykorzystam, żeby cię posadzić za kratki. Rozumiemy się?

Banks ustąpił.

– No, w sumie niewiele wiem. Ale kiedy tam byliśmy, usłyszałem, że Doboszowi coś się stało i wylądował w szpitalu. Chyba miał wstrząśnienie mózgu, zatrzymali go na noc. Ale później powiedział mi, że nic takiego się nie wydarzyło, że wymyślili to z Carlem, żeby mógł się urwać z oddziału, pójść do hotelu, użyć jej klucza i sprawdzić, czy miała coś, no wiesz, obciążającego nas w związku z tą historią na statku.

Bosch znalazł już oficjalną wersję. Drummond, bohater wojenny, jako jedyny członek 237. Kompanii został ranny na służbie w Los Angeles. Była to jedna wielka lipa, część planu mającego zatuszować zbiorowy gwałt oraz morderstwo. A teraz, przy pomocy jednego z mężczyzn, których krył, przez dwie kadencje sprawował urząd szeryfa i kandydował do Kongresu.

– Co jeszcze słyszałeś? – dopytywał się Bosch. – Co zabrał z jej pokoju?

– Słyszałem tylko, że wziął jej notatki. To było coś w rodzaju dziennika, w którym opisywała, jak nas szukała i próbowała odkryć, kim jesteśmy. Zdaje się, że pisała na ten temat książkę.

– Czy on wciąż ma ten dziennik?

– Nie mam pojęcia. Nigdy go nie widziałem.

Bosch doszedł do wniosku, że Drummond z pewnością zachował ten dziennik. Te zapiski oraz wiedza na temat tego, co się wydarzyło, pozwalały mu kontrolować pozostałych czterech spiskowców. Zwłaszcza Carla Cosgrove'a – bogatego, ustosunkowanego faceta, który mógł mu pomóc zaspokoić ambicje.

Sprawił telefon komórkowy. Nadal rejestrował dźwięk, nagranie trwało już dziewięćdziesiąt jeden minut. A Bosch miał jeszcze jeden zestaw pytań w zanadrzu.

– Alex White – powiedział. – Opowiedz mi o nim.

Zdezorientowany Banks pokręcił głową.

– Kto to jest Alex White? – zapytał.

– Jeden z twoich klientów. Dziesięć lat temu sprzedałeś mu w salonie kosiarkę ciągnikową.

– Możliwe. A co to ma...

– W dniu, kiedy odebrał sprzęt, zadzwoniłeś na policję Los Angeles i podając się za niego, dopytywałeś się o stan śledztwa w sprawie Jespersen.

Bosch poznał po oczach Banksa, że ten wreszcie sobie przypomniał.

– A tak, owszem, to byłem ja.

– Po co? Po co dzwoniłeś?

– Bo byłem ciekaw, na jakim etapie jest śledztwo. Czytałem

gazetę, którą ktoś zostawił w stołówce, i był w niej artykuł o tym, że właśnie mija dziesięć lat od wybuchu zamieszek. Więc zadzwoniłem na policję, zapytałem o śledztwo, przełączali mnie kilka razy, aż w końcu pogadał ze mną jakiś facet. Ale kazał mi podać nazwisko, bo inaczej nic mi nie powie. I sam nie wiem, jak to było, zobaczyłem to nazwisko na jakimś kwitku czy gdzieś, w każdym razie przedstawiłem się jako Alex White. Wiesz, gość nie miał mojego numeru, zero namiarów, więc wiedziałem, że nie będzie z tego afery.

Bosch skinął głową. Uświadomił sobie, że gdyby Banks nie zadzwonił wtedy na policję, to pewnie nie powiążałby sprawy z Modesto i śledztwo wciąż by tkwiło w martwym punkcie.

– A jednak twój numer został zarejestrowany – powiedział. – Właśnie z tego powodu tu jestem.

Banks ponuro pokiwał głową.

– Jednego tylko nie rozumiem – ciągnął Bosch. – Dlaczego zadzwoniłeś? Nic wam nie groziło. Po co ryzykować, że ktoś nabierze podejrzeń?

Banks wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Bo ja wiem? To był impuls. Przez ten artykuł zacząłem myśleć o tej dziewczynie i o tym, co się wtedy stało. No, wiesz, byłem ciekaw, czy nadal kogoś szukają.

Bosch spojrział na zegarek. Dziesiąta wieczorem. Późno, ale nie chciał czekać do rana, by zawieźć Banksa do Los Angeles. Pragnął wykorzystać siłę rozpędu.

Zakończył nagrywanie i zapisał plik. A ponieważ nie ufał nowoczesnym technologiom, zrobił potem coś niezwykłego. Za pomocą poczty elektronicznej w telefonie wysłał e-mailem plik dźwiękowy swojemu partnerowi, ot tak, na wszelki wypadek. Na przykład, gdyby jego komórka wysiadła, upuścił ją do toalety albo plik został uszkodzony. Po prostu chciał mieć pewność, że nagranie opowieści Banksa nie przepadnie.

Zaczekał na sygnał w telefonie, potwierdzający wysłanie e-maila, po czym wstał.

– No dobra – powiedział. – Na razie skończyliśmy.

– Odstawisz mnie do mojego samochodu?

– Nie, Banks, jedziesz ze mną.

– Dokąd?

– Do Los Angeles.

– Teraz?

– Teraz. Wstawaj.

Ale Banks ani drgnął.

– Człowieku, nie jadę do żadnego Los Angeles. Ja chcę do domu.

Mam dzieci.

– Tak? A kiedy je widziałeś ostatnio?

Banks milczał, na takie pytanie nie miał odpowiedzi.

– Tak myślałem. Idziemy. Wstawaj.

– Dlaczego teraz? Puść mnie do domu.

– Posłuchaj, Banks, jedziesz ze mną do Los Angeles. Rano posadzę cię przed zastępcą prokuratora okręgowego, który zbierze od ciebie oficjalne zeznanie, a potem pewnie postawi cię przed obliczem sędziów przysięgłych. Dopiero później zadecyduje, kiedy będziesz mógł wrócić do domu.

Banks nadal siedział bez ruchu, niczym człowiek zamrożony przez swoją przeszłość. Wiedział, że jeśli nawet uniknie wyroku skazującego, to i tak jego dotychczasowe życie się skończyło. Każdy od Modesto do Manteki dowie się o roli, jaką odegrał w tej sprawie... przed laty i teraz.

Bosch zajął się zbieraniem zdjęć oraz dokumentów i chowaniem ich do teczki.

– Układ jest taki – powiedział. – Jedziemy do Los Angeles i albo możesz siedzieć obok mnie z przodu, albo cię aresztuję, skuję kajdankami i posadzę na tylnym siedzeniu. Jeśli przejedziesz taki kawał drogi tak zgarbiony, to pewnie już nigdy nie będziesz chodził prosto. To jak wolisz jechać?

– Dobrze już, dobrze, pojedę. Ale najpierw muszę się odlać.

Widziałeś, ile wypilem, a przed wyjściem z baru nie poszedłem do kibla.

Bosch zmarszczył czoło. Prośba miała sens. Prawdę mówiąc, sam się zastanawiał, jak by tu skorzystać z łazienki, nie dając Banksowi szansy na zmianę zdania i ucieczkę.

– W porządku – zgodził się.

Pierwszy wszedł do toalety i sprawdził okno nad sedesem. Było to

stare okno żaluzjowe, podnoszone na korbę. Bez trudu usunął korbę, żeby Banks nie miał złudzeń, że uda mu się uciec.

– Rób, co tam masz do zrobienia – powiedział.

Wyszedł z łazienki, zostawiając drzwi otwarte, by mógł usłyszeć próby wybicia czy otwarcia okna przez Banksa. A kiedy tamten sikał, rozejrzał się za miejscem, do którego mógłby go przykuć, żeby samemu skorzystać z toalety przed pięciogodzinną jazdą. Zdecydował się na pręty stanowiące część wzoru wezgłowia łóżka.

Pospiesznie zaczął się pakować, bezładnie wrzucając ubrania do torby. Gdy Banks spuścił wodę i wyszedł z toalety, zaprowadził go do łóżka, kazał mu usiąść, po czym przykuł go do wezgłowia.

– A to co ma znaczyć? – zaprotestował Banks.

– To na wszelki wypadek, gdybyś zmienił zdanie, kiedy się będę odlewał.

Bosch stał nad sedesem i właśnie kończył sikać, kiedy usłyszał trzask frontowych drzwi. Szybko zapiął suwak spodni i wbiegł do sypialni, gotów ścigać Banksa, lecz zobaczył, że ten wciąż jest przykuty do łóżka.

Przesunął wzrok na otwarte drzwi. W progu stał mężczyzna z bronią w ręku. Nawet bez munduru i wąsika à la Hitler, domalowanego na jego plakacie wyborczym, Bosch bez trudu rozpoznał J.J. Drummonda, szeryfa hrabstwa Stanislaus. Był to potężnie zbudowany, wysoki i przystojny facet o ostro zarysowanej szczęce. Marzenie każdego szefa kampanii.

Drummond wszedł do pokoju sam, przez cały czas celując w pierś Boscha.

– Detektywie Bosch – odezwał się. – Zdaje się, że zapuścił się pan poza swoją jurysdykcję.

Rozdział 32

Drummond kazał Boschowi podnieść ręce. Podeszedł do niego, zabrał mu pistolet z kabury i włożył go do kieszeni swojej zielonej kurtki myśliwskiej. Potem ruchem własnej broni wskazał Banksa.

– Rozkuj go – polecił.

Bosch wyjął kluczyk z kieszeni i odpiął Banksa od wezglowia łóżka.

– Zdejmij mu kajdanki i zapnij sobie jedną obręcz na lewym nadgarstku.

Bosch wykonał rozkaz i z powrotem schował kluczyk do kieszeni.

– A teraz, Reggie, skuj mu ręce. Za plecami.

Bosch założył ręce za plecy i dał się skuć Banksowi. Wtedy Drummond podeszedł do niego, tak blisko, że gdyby chciał, mógłby go dotknąć lufą broni.

– Gdzie masz telefon, detektywie?

– W prawej przedniej kieszeni.

Sięgając po komórkę, Drummond z odległości ćwierć metra spojrzął Boschowi w oczy.

– Trzeba było zostawić sprawy własnemu biegowi, detektywie – rzekł.

– Możliwe – odparł Bosch.

Drummond sięgnął do drugiej kieszeni Boscha i wyciągnął klucze. Następnie poklepał go po innych kieszeniach, upewniając się, że są puste. Podeszedł do łóżka, wziął marynarkę Boscha i przetrząsnął ją, wyciągając jego etui z legitymacją oraz klucze do samochodu z wypożyczalni. Potem sięgnął pod kurtkę na plecach i wyjął drugi pistolet, który wręczył Banksowi.

– Pilnuj go, Reggie.

Podeszedł do stołu i paznokciem otworzył teczkę z aktami. Nachylił się, oglądając zdjęcia modeli aparatów fotograficznych noszonych przez Anneke Jespersen.

– A więc co tu porabialiście, panowie? – zapytał.

Banks wypluł z siebie odpowiedź tak szybko, jakby za wszelką cenę chciał uprzedzić Boscha.

– Doboszu, próbował mnie zmusić do mówienia. O Los Angeles i statku. Wie, co się zdarzyło na statku. Wziął mnie, kurwa, porwał. Ale głównie się ode mnie dowiedział.

Drummond pokiwał głową.

– To dobrze, Reggie. Bardzo dobrze.

Nadal patrzył na akta, czasami przewracając – znowu paznokciem – jakąś kartkę. Bosch wiedział, że on wcale nie czyta akt. Tak naprawdę oceniał sytuację, w jaką się wpakował, i myślał, co w związku z tym powinien zrobić. W końcu zamknął teczkę i wsadził ją pod pachę.

– A teraz wybierzemy się na przejażdżkę – oznajmił.

Bosch wreszcie się odezwał z argumentacją, o której z góry wiedział, że nic na niej nie zyska.

– Wiesz, szeryfie, że nie musisz tego robić. Mam tylko przeczucia, a te bez dowodów są guzik warte.

Drummond uśmiechnął się posepnie.

– No, nie wiem. Moim zdaniem ktoś taki jak ty działa na podstawie czegoś więcej niż zwykle przeczucia.

Bosch zrewanżował się równie posepnym uśmiechem.

– Żebyś się nie zdziwił.

Drummond odwrócił się i zlustrował wzrokiem pokój, upewniając się, że niczego nie przegapił.

– Dobra, Reg, bierz marynarkę detektywa Boscha. Przejedziemy się. Skorzystamy z jego samochodu.

Gdy wyprowadzili Boscha do jego forda crown victoria z wypożyczalni, na parkingu nie było żywej duszy. Wepchnęli go na tylne siedzenie, po czym Drummond dał kluczyk Banksowi i kazał mu prowadzić. Sam usiadł z tyłu, za jego plecami, a obok Boscha.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Banks.

– Na Hammett Road – odparł Drummond.

Banks wyjechał z parkingu i skierował się do wjazdu na szosę 99. Bosch zerknął na szeryfa, który nie wypuszczał broni z ręki.

– Skąd wiedziałeś? – zapytał.

W ciemności zobaczył, jak Drummond uśmiecha się, zadowolony z siebie.

– Chodzi ci o to, skąd wiedziałem, że tu wędzisz? No cóż,

detektywie, popełniłeś kilka błędów. Przede wszystkim wczoraj wieczorem zostawiłeś ślady z błota na lądowisku dla śmigłowców w posiadłości Carla Cosgrove'a. Zobaczył je dziś rano i zadzwonił do mnie. Powiedział, że ktoś podejrzany kręci się po jego terenie, więc wysłałem dwóch moich ludzi, żeby to sprawdzili. A dziś wieczorem zadzwonił do mnie Frank Dowler z informacją, że nasz Reggie pije w barze z facetem, który chce kupić pistolet należący do irackiej Gwardii Republikańskiej. Zbieżność tych dwóch rzeczy dała mi do myślenia...

– Dobosz, ten gość mnie oszukał – wtrącił Banks z przedniego siedzenia, spoglądając na Drummonda w lusterku wstecznym. – Człowieku, ja nic nie wiedziałem. Nie sądziłem, że jest trefny, więc zadzwoniłem do Franka z pytaniem, czy nie chce sprzedać swojej broni. Kiedy ostatnio z nim gadałem, było u niego krucho z forszą.

– Tyle to sam się domyśliłem, Reggie. Ale Frank wie kilka rzeczy, o których ty nie wiesz... Poza tym denerwował się, bo żona powiedziała mu, że jakiś obcy był u nich w domu i wypytywał o niego.

Zerknął na Boscha i kiwnął głową na znak, że wie, że to on był tym obcym.

– Frank dodał dwa do dwóch i był na tyle mądry, że zadzwonił do mnie. Wtedy ja podzwoniłem tu i tam i wkrótce dowiedziałem się, że w Blu-Lite zameldował się ktoś o nazwisku, które kojarzyłem z pewnej długiej nocy przed laty. To twój kolejny błąd, detektywie. Wynajęcie pokoju na swoje nazwisko.

Bosch nie odpowiedział. Wyglądał przez szybę w ciemność, próbując pocieszać się świadomością, że wysłał plik dźwiękowy z przesłuchaniem Banksa do swojego partnera. Chu znajdzie go rano, sprawdzając pocztę.

Zdawał sobie sprawę, że mógłby wykorzystać teraz tę wiedzę, by może wytargować sobie wolność, lecz czuł, że to zbyt ryzykowne. Nie miał pojęcia, jakie znajomości i kontakty Drummond ma w Los Angeles. Nie mógł wystawić na ryzyko swojego partnera ani nagrania. Musiał się zadowolić świadomością, że cokolwiek się z nim stanie tej nocy, cała historia dotrze do Chu i Anneke Jespersen zostanie pomszczona. Sprawiedliwości stanie się zadość. Mógł na to liczyć.

Jadąc na południe, wkrótce przekroczyli granicę hrabstwa

Stanislaus. Banks spytał, kiedy będzie mógł zabrać swój samochód, na co Drummond odparł, żeby się nie martwił, podjadą po niego później. Widząc zbliżający się zjazd na Hammett Road, Banks wrzucił kierunkowskaz.

– Jedziemy na spotkanie z szefem, co? – spytał Bosch.

– Coś w tym rodzaju – przyznał Drummond.

Zjechali z autostrady i pośród drzew migdałowych ruszyli w kierunku wspaniałej bramy na teren posiadłości Cosgrove'a. Drummond kazał Banksowi podjechać nieco do przodu, żeby z tylnego siedzenia mógł nacisnąć guzik bramofonu.

– Tak?

– To ja.

– Wszystko w porządku?

– Wszystko gra. Otwórz.

Brama otworzyła się automatycznie i Banks pojechał drogą dojazdową między migdałowcami w kierunku *château*. W ciągu dwóch minut pokonali dystans, który poprzedniej nocy zabrał Boschowi godzinę. Bosch oparł się o boczną szybę i spojrzał w niebo. Wydawało się ciemniejsze niż poprzedniej nocy. Rozgwieżdżony nieboskłon przesłoniły zwały chmur.

Gdy wyjechali zza drzew, zobaczył, że światła na zewnątrz rezydencji są zgaszone. Może zbyt słaby wiatr nie napędzał turbin za domem. A może Cosgrove wolał załatwić, co miał do załatwienia, po ciemku. Reflektory auta omiotły czarny śmigłowiec czekający na lądowisku, gotowy do lotu.

W kręgu przed *château* czekał na nich jakiś mężczyzna. Banks zajechał po niego i mężczyzna usiadł na przednim siedzeniu. Kiedy zapaliło się światło w samochodzie, Bosch zobaczył, że jest to Carl Cosgrove, którego rozpoznał ze zdjęć. Był potężnie zbudowany, z napakowanym mięśniami torsem i bujną grzywą kręconych siwych włosów. Drummond nie odezwał się do niego, za to Banks był wyraźnie podniecony spotkaniem z dawnym kumplem z gwardii.

– Carl, stary, kopę lat!

Cosgrove zerknął na niego z ukosa – najwyraźniej nie podzielał jego entuzjazmu z powodu ich ponownego spotkania.

– Reggie.

Nie powiedział nic więcej. Drummond polecił Banksowi objechać krąg i skręcić w drogę dojazdową wijącą się za *château* i za wolno stojącym garażem, w kierunku wzgórz na tyłach posiadłości. Wkrótce dotarli do starej obory z sięgającym ziemi dwuspadowym dachem, otoczonej zagrodami dla bydła, ale sprawiającej wrażenie nieużywanej i opuszczonej.

– Co robimy? – zapytał Banks.

– My? – rzekł Drummond. – My zajmujemy się detektywem Boschem, ponieważ detektyw Bosch nie mógł zostawić upiorów przeszłości w spokoju. Zaparkuj przed oborą.

Banks zatrzymał auto tak, że wielkie dwuskrzydłowe drzwi tonęły w blasku reflektorów. Na ich lewym skrzydle wisiała tabliczka z napisem „Wstęp wzbroniony”. Były zamknięte na wielką zasuwę i zabezpieczone grubym łańcuchem przeciągniętym przez dwie obręcze i spiętym kłódką.

– Zakradali się tu gówniarze, wszędzie rozrzucali puszki po piwie i inne gówno – odezwał się Cosgrove, jak gdyby musiał się wytłumaczyć z tego, że obora jest zamknięta na cztery spusty.

– Otwórz – powiedział Drummond.

Cosgrove wysiadł i z kluczem w ręku ruszył do drzwi obory.

– Dobosz, jesteś tego pewny? – zapytał Banks.

– Nie mów tak do mnie, Reggie. Od dawna już nikt mnie tak nie nazywa.

– Przepraszam, więcej nie będę. Ale czy jesteś pewien, że musimy to zrobić?

– A ty znowu wyskakujesz z tym „my”. Czy kiedykolwiek „my” robiliśmy coś razem? Chyba myślałeś o mnie, co? Czy to nie ja zawsze sprzątam po tym, co napaskudziliście?

Banks nie odpowiedział. Cosgrove otworzył drzwi obory i odciągnął prawe skrzydło.

– Załatwmy to – rzekł Drummond.

Wysiadł z samochodu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Banks nie kwapił się, by pójść w jego ślady, więc Bosch skorzystał z okazji i w lusterku wstecznym spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie bierz w tym udziału, Reggie – powiedział. – On ci dał broń, możesz to powstrzymać.

W tym momencie otworzyły się drzwi po stronie Boscha i Drummond sięgnął w głąb samochodu, żeby go wyciągnąć na zewnątrz.

– Reggie, na co czekasz? Rusz się, człowieku.

– Nie wiedziałem, że chcecie, żebym poszedł z wami.

Banks wysiadł, gdy szeryf wywlókł Boscha z auta.

– Do obory, Bosch – rozkazał Drummond.

Bosch jeszcze raz spojrzął na czarne niebo, kiedy popychali go w stronę otwartych drzwi obory. Gdy znaleźli się w środku, Cosgrove zapalił żarówkę pod sufitem, umieszczoną tak wysoko na belce stropowej, że na klepisko, gdzie stali, rzucała ledwie nisko światło.

Drummond podszedł do słupa na środku, podtrzymującego stryszek na siano, i pchnął go, sprawdzając jego wytrzymałość. Wydawał się solidny.

– Dawaj go tutaj – polecił.

Banks pchnął Boscha, a Drummond złapał go za ramię i odwrócił tak, by stanął plecami do słupa. Uniósł pistolet i wycelował w jego twarz.

– Nie ruszaj się – rozkazał. – Reggie, przykuj go do tego słupa.

Banks wyjął z kieszeni kluczyki, rozkuł jedną rękę Boscha, po czym splótł jego ręce za słupem. To znaczy, że mnie nie zabiją, uświadomił sobie Harry. W każdym razie jeszcze nie teraz. Z jakiegoś powodu potrzebny był im żywy.

Gdy był już przykuty do słupa, w Cosgrove'a wstąpiła odwaga i podszedł do niego.

– Wiesz, co powinienem był zrobić? Powinienem był wpakować w ciebie cały magazynek mojego M-szesnaście w tamtym zaułku. Oszczędziłbym sobie teraz fatygi. Widocznie mierzyłem za wysoko.

– Wystarczy, Carl – przerwał mu Drummond. – Wracaj do domu i zaczekaj na Franka. My się nim zajmiemy, niedługo do ciebie dołączę.

Cosgrove obrzucił Boscha przeciągłym spojrzeniem i uśmiechnął się wrednie.

– Siadaj, proszę – powiedział.

A potem kopnięciem podciął mu lewą nogę, złapał go za ramiona i popchnął w dół. Bosch, szorując po słupie, osunął się na ziemię i wylądował twardo na kości ogonowej.

– Carl! Człowieku, uspokój się, zostaw go nam.

W końcu Cosgrove się odsunął, a jednocześnie Bosch uświadomił sobie, co znaczyły słowa o celowaniu za wysoko. To Cosgrove był tym żołnierzem, który owej nocy otworzył ogień na miejscu zbrodni, tak że wszyscy rzucili się na ziemię, szukając osłony. Teraz już był pewien, że tamten nie zauważył nikogo na dachu. On tylko chciał podziałać wszystkim na nerwy i oderwać ich od śledztwa w sprawie zbrodni, którą sam popełnił.

– Zaczekam w samochodzie – rzekł Cosgrove.

– Nie, samochód zostawimy tutaj. Nie chcę, żeby Frank go zobaczył, jak tam dotrze. Mógłby się zdenerwować. Żona powiedziała mu, że Bosch do nich zajrzał.

– Jak sobie chcesz. Wrócę pieszo.

Cosgrove wyszedł z obory, a Drummond stanął nad Boschem i spojrzał na niego w mrocznym świetle. Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął pistolet, który mu odebrał.

– Hej, Dobosz – odezwał się nerwowo Banks. – Dlaczego chcesz, żeby Frank nie zobaczył samochodu? Dlaczego Frank...

– Reggie, mówiłem ci, żebyś mnie tak nie nazywał.

Drummond uniósł broń i przyłożył lufę pistoletu Boscha do skroni Reggiego Banksa. Pociągając za spust, nie spuszczał wzroku z Boscha. Huk był ogłuszający. Boscha obryzgała krew i mózg Banksa na ułamek sekundy przed tym, nim ten zwałił się na usłane sianem klepisko obok niego.

Drummond spojrzał w dół na zwłoki. Kilka ostatnich skurczów serca bryznęło krwią z rany wylotowej na brudne siano. Szeryf z powrotem schował pistolet Boscha do kieszeni, a potem schylił się po ten, który wcześniej dał Banksowi. Podniósł go.

– Kiedy zostałeś z nim sam na sam w samochodzie, namawiałeś go, żeby mnie z tego zastrzelił, może nie?

Bosch nie odpowiedział, a Drummond po krótkiej przerwie podjął:

– Należałoby się spodziewać, że sprawdzi, czy jest naładowany.

Wyrzucił magazynek i pomachał nim Boschowi przed nosem, by się przekonał, że jest pusty.

– Miałeś rację, detektywie – ciągnął. – Zaatakowałeś słabe ogniwo, a Reggie rzeczywiście był najsłabszy. Gratuluję.

Bosch uświadomił sobie, że się mylił. To jednak był koniec. Podciągnął kolana i przycisnął plecy do słupa. Nastawił się na strzał.

Potem zwiesił głowę i zamknął oczy. Przywołał obraz córki. Taki, który zapamiętał z udanego dnia. Kiedy zabrał ją w niedzielę na pusty parking przy pobliskiej szkole średniej na naukę jazdy samochodem. Zaczęło się marnie, bo zbyt energicznie poczyniała sobie z hamulcem. Ale zanim skończyli, prowadziła samochód całkiem gładko i znacznie lepiej, niż robiła to większość kierowców, których spotykał na ulicach Los Angeles. Był z niej dumny, a co ważniejsze, ona była dumna z siebie. Pod koniec nauki, kiedy przesiedli się i Bosch prowadził w drodze do domu, wyznała mu, że chce zostać policjantką, chce prowadzić dalej jego misję. Przyszło jej to do głowy z nienacka, w rezultacie bliskości z ojcem tego dnia.

Teraz Bosch przypomniał to sobie i poczuł, jak spływa na niego spokój. Takie będzie jego ostatnie wspomnienie, to, które zabierze ze sobą do czarnej skrzynki.

– Nigdzie się nie wybieraj, detektywie. Później będziesz mi potrzebny.

Głos Drummonda. Bosch otworzył oczy i spojrzał w górę. Szeryf pokiwał głową i ruszył do drzwi. Bosch zobaczył, jak wsuwa pistolet, który wcześniej dał Banksowi, pod kurtkę, za pasek spodni na plecach. Łatwość, z jaką załatwił Banksa, oraz wprawa, z jaką schował broń za pasek, rozjaśniła Boschowi sytuację. Nie zabija się człowieka z tak zimną krwią, jeżeli już wcześniej się tego nie zrobiło. A z piątki spiskowców tylko jeden w 1992 roku pracował w fachu, w którym broń nie do namierzenia – taka ze spiłowanym numerem seryjnym – mogła się przydać. Pistolet irackiej Gwardii Republikańskiej wcale nie był dla Drummonda pamiątką z Pustynnej Burzy. Miał mu służyć do strzelania w robocie. To dlatego przywiózł go do Los Angeles.

– Ty to zrobiłeś – rzekł Bosch.

Drummond zatrzymał się i spojrzał na niego.

– Mówiłeś coś?

Bosch mierzył go wzrokiem.

– Mówiłem, że wiem, że to twoja robota. Nie Cosgrove’a. To ty ją zabiłeś.

Drummond cofnął się do niego. Omiótł wzrokiem ciemne kąty obory i wzruszył ramionami. Wiedział, że to on ma wszystkie karty w rękę. Rozmawiał z trupem, a nieboszczycy nie zdradzają tajemnic.

– No cóż – odparł. – Stała się niewygodna.

Uśmiechnął się, zadowolony z siebie i najwyraźniej zachwycony tym, że po dwudziestu latach może się przyznać do swojej zbrodni przed Boschem. Ten pociągnął temat.

– Jak ci się udało zwabić ją do tego zaułka? – zapytał.

– To akurat było najłatwiejsze. Podszedłem do niej i powiedziałem jej wprost, że wiem, kogo i czego szuka. Przyznałem, że byłem na tamtym statku i słyszałem, co się tam stało. Obiecałem, że zostanę jej informatorem, ale boję się mówić teraz. Zaproponowałem spotkanie o piątej rano w tym zaułku. A ona była na tyle durna, że przyszła.

Pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć „i po robocie”.

– A co się stało z jej aparatami?

– To samo co z bronią. Wyrzuciłem cały ten kram za płot. Rzecz jasna, najpierw wyjąłem film.

Bosch wyobraził sobie tę scenę. Aparat fotograficzny ląduje na czyimś podwórku i ktoś go zatrzymuje albo zastawia w lombardzie, zamiast go zanieść na policję.

– Coś jeszcze, detektywie? – zapytał Drummond. Najwyraźniej napawał się możliwością popisania się swoim sprytem przed więźniem.

– Tak – odparł Bosch. – Skoro to ty ją zabiłeś, jak ci się udało utrzymać w ryzach Cosgrove’a i pozostałych przez dwadzieścia lat?

– Bardzo łatwo. Ojciec Carla juniora by się go wyrzekł, gdyby dowiedział się o jego udziale w tej sprawie. Pozostali siedzieli cicho, a kto się wyłamał, ten zginął.

Co rzekłszy, odwrócił się i ruszył do drzwi. Otworzył je i zawahał się. Obejrzał się na Boscha z ponurym uśmiechem, sięgając w górę i gasząc żarówkę na suficie.

– Prześpij się, detektywie.

Wyszedł na dwór, zamykając za sobą drzwi. Bosch usłyszał zgrzyt zasuw, gdy Drummond ryglował wrota.

Otoczyła go absolutna ciemność. Ale żył... przynajmniej chwilowo.

Rozdział 33

Bosch nie pierwszy raz został zamknięty w ciemności. I za każdym razem bał się, wiedząc, że śmierć jest bliska. Wiedział też, że jeśli poczeka, w ciemności zobaczy w różnych miejscach zagubione światełka, a znajdując je, ocali życie.

Wiedział, że musi spróbować zrozumieć, co się właśnie stało i dlaczego. Nie powinien już żyć. Wszystkie jego teorie prowadziły do tego, że ląduje w trumnie. Po tym, jak Drummond wpakuje mu kulkę w głowę w ten sam bezduszny sposób, w jaki zastrzelił Reggiego Banksa. To Drummond był tu głównym macherem i sprzątaczem, a Bosch narobił bałaganu. Oszczędzanie go, nawet chwilowe, nie miało sensu. Musiał się zorientować, czy zamierzają go zostawić przy życiu.

Ale przede wszystkim musiał się uwolnić. Odsunął pytania na bok i skupił się na ucieczce. Podciągnął nogi pod siebie i dźwignął się wolno, aż stanął wyprostowany, by lepiej ocenić otoczenie i możliwości.

Zaczął od słupa. Solidnego kawałka drewna o wymiarach piętnaście na piętnaście centymetrów. Uderzył w niego plecami, ale słup nie zdrzął ani się nie zachybotał. Bosch tylko nabawił się bólu pleców. Musiał pogodzić się z tym, że słup nie zamierza się ruszyć z miejsca.

Spojrzał w górę, ale po ciemku ledwo rozróżniał kształty dźwigarów nad głową. Zanim zgasło światło, zdążył się zorientować, że w żaden sposób nie dotrze do szczytu słupa, nie uda mu się wspiąć, żeby się uwolnić.

Spuścił wzrok, lecz jego stopy tonęły w ciemności. Wiedział, że klepisko jest z ziemi posypanej sianem, więc kopnął piętą w podstawę słupa. Wydawał się solidnie umocowany, ale nie potrafił ocenić, na ile trwale.

Wiedział, że do wyboru ma albo czekać na Drummonda, albo podjąć próbę ucieczki. Przywołał wcześniejszy obraz córki i postanowił, że nie podda się bez walki. Będzie walczył do ostatniego tchu. Nogami rozgarnął siano, po czym zaczął kopać w ziemię piętą, powoli drążąc dziurę.

Ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem wierzgnął nogą, jak gdyby kopał kogoś bądź coś, co go powstrzymywało. Obtarte pięty piekły go

żywym ogniem. Kajdanki tak ciasno opinały jego nadgarstki, że czuł, jak drętwieją mu palce. Ale miał to gdzieś. Pragnął skopać wszelkie przeszkody, jakie napotkał w życiu.

Jego wysiłki okazały się bezowocne. W końcu dokopał się do czegoś, co uznał za beton, w którym osadzono słup. Ten był mocno wbity i nigdzie się nie wybierał. Bosch też nie. W końcu zaprzestał dalszych prób, pochylił się i zwiesił głowę. Wraz z wyczerpaniem ogarnęło go poczucie porażki.

Pogodził się ze świadomością, że jedną okazję, jedyną szansę będzie miał po powrocie Drummonda. Jeżeli uda mu się nakłonić szeryfa, żeby go rozkuł, będzie mógł walczyć. Skoczyć po broń albo rzucić się do ucieczki. Tak czy siak, będzie to jego jedyna szansa.

Ale co miał w zanadrzu, co takiego mógł powiedzieć Drummondowi, żeby ten nie skorzystał ze strategicznej przewagi? Bosch wyprostował się przy słupie. Musiał być czujny. Przygotowany na wszelkie możliwości. Wrócił pamięcią do tego, co Banks opowiadał mu w pokoju motelowym, szukając w jego historii czegoś, co mógłby wykorzystać. Potrzebował czegoś, czym mógłby zagrozić Drummondowi, czegoś ukrytego, na co tylko on mógłby naprowadzić szeryfa.

Szybko zrezygnował z pomysłu wyjawienia, że wysłał e-mail do Chu. Nie mógł narazić partnera na potencjalne niebezpieczeństwo ani dopuścić do tego, by Drummond zniszczył najważniejszy dowód i uniemożliwił rozwiązanie sprawy. Zeznanie Banksa było zbyt ważne, by użyć go jako karty przetargowej.

Nie wątpił, że Drummond sprawdzał już jego telefon, który na szczęście był zabezpieczony hasłem. Trzykrotne złe wprowadzenie hasła powodowało blokadę telefonu. Gdyby jednak Drummond nadal próbował, uruchomiłby w końcu kasowanie danych. Dzięki temu Bosch miał przekonanie graniczące z pewnością, że nagranie bezpiecznie dotrze do Chu, bez wiedzy szeryfa. Uznał, że nie wolno mu zrobić niczego, co by zmieniło ten stan rzeczy.

Potrzebował więc czegoś innego. Jakiegoś podstępu, scenariusza, na którym mógłby się oprzeć.

Czyli czego?!

W jego myślenie wkradła się desperacja. Musi być coś, czego da się użyć. Zaczął od tego, że Drummond zastrzelił Banksa, bo wiedział, że ten z nim rozmawiał. Opierając się na tym, uznał, że Banks musiał mu coś zdradzić, dać wskazówkę dotyczącą dowodu, który trzymał jako asa w rękawie. Coś takiego, dzięki czemu w razie potrzeby mógłby odwrócić sytuację na niekorzyść Cosgrove'a i Drummonda.

Czyli co?!

Nagle coś przyszło mu do głowy. Znowu broń. *Idź za pistoletem.* Całe śledztwo opierało się na tej zasadzie. Nie widział powodu, żeby teraz to zmieniać. Banks zeznał, że był magazynierem kompanii Gwardii Narodowej. To on pakował pamiątkową broń na dno kartonów ze sprzętem, które wysyłano do Stanów Zjednoczonych. Był lisem pilnującym kurnika. Bosch powie Drummondowi, że lis sporządził wykaz. Zapisał na nim numery seryjne wraz z nazwiskami ludzi, którzy dostali konkretną sztukę broni. Na tej liście figuruje nazwisko żołnierza posiadającego pistolet, z którego zastrzelono Anneke Jespersen. Banks ukrył tę listę, ale skoro zginął, wkrótce ujrzy ona światło dzienne. I tylko Bosch może doprowadzić do niej Drummonda.

Nadzieja dodała mu wigoru. Uznał, że ten plan ma szansę powodzenia. Nie był bez wad, ale mógł się powieść. Należało go tylko nieco upiększyć. Dać Drummondowi poważny powód do zaniepokojenia, nastraszyć go, że wraz ze śmiercią Banksa lista zostanie ujawniona i będzie zdemaskowany.

Bosch naprawdę uwierzył, że ma szansę. Musiał jedynie opakować sedno historii w szczegóły, by dodać jej wiarygodności. Musiał tylko...

Nagle przerwał proces myślenia. Pojawiło się światełko. Uświadomił sobie, że obmyślając plan przechytrzenia Drummonda, przez cały czas miał otwarte oczy. A teraz jego wzrok przykuła mała bladozielona plamka u stóp. Zamazany krąg z cętek, nie większy od półdolarówki. W tym kręgu coś się ruszało. Maleńka plamka światła, niczym odległa gwiazda, przesuwała się po obwodzie okręgu, dotykając kolejnych cętek.

Uświadomił sobie, że patrzy na zegarek Reggiego Banksa. I w tej samej chwili zorientował się, jak może uciec.

Szybko opracował plan. Zsunął się do takiej pozycji, jakby siedział

oparty o słup, tyle że bez krzesła. Pomimo bólu ud i ścięgien podkolanowych po brnięciu przez gąszcz migdałowców poprzedniej nocy zaparł się prawą nogą o słup, żeby całkiem nie opaść, i wyprostował lewą. Piętą próbował zaczepić o nadgarstek zmarłego i przyciągnąć go do siebie. Po kilku próbach znalazł punkt zaczepienia i przesunął rękę trupa. Gdy nie mógł jej ruszyć dalej za pomocą nogi, wstał i obrócił się wokół słupa o sto osiemdziesiąt stopni. Potem ześlizgnął się na sam dół i siedząc na ziemi, wyciągnął rękę po dłoń Banksa. Dosięgnął jej z najwyższym trudem.

Chwyciwszy dłoń zabitego obiema rękami, wychylił się jak najdalej, by przyciągnąć zwłoki bliżej siebie. Gdy mu się to udało, rozpiął pasek zegarka i zdjął go z nadgarstka Banksa. Trzymając go lewą ręką, odchylił sprzączkę tak, by wystawał sam trzpień. Następnie przekręcił nadgarstek, by wetknąć mały stalowy bolec w zamek prawych kajdanek.

Robiąc to, wyobrażał sobie całą procedurę. Mało jest zamków, które można otworzyć wytrychem równie łatwo jak kajdanki, pod warunkiem że nie robi się tego po ciemku i z wykręconymi za plecy rękami. W zasadzie klucz miał tylko jedno nacięcie. Był uniwersalny, ponieważ w organach ścigania kajdanki wraz z więźniem często przekazywane są od jednego funkcjonariusza do drugiego albo z sądu do sądu. Gdyby każda para kajdanek miała osobny klucz, wówczas i tak już powolna procedura trwałaby jeszcze dłużej. Bosch liczył na to, dłubiąc w zamku bolcem sprzączki paska od zegarka. Wprawnie posługiwał się wytrychami, które nosił w skonfiskowanym przez Drummonda etui pod legitymacją, ale obracanie bolca sprzączki paska od zegarka to inna para kaloszy.

Otwarcie kajdanek zajęło mu niecałą minutę. Wtedy przełożył rękę z za słupa i drugą obręcz otworzył już szybciej. Był wolny. Wstał, natychmiast ruszył w kierunku drzwi od obory, lecz zaraz potknął się o zwłoki Banksa i padł twarzą w dół na siano. Podniósł się, otrząsnął i ruszył dalej, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Gdy dotarł do drzwi, wyciągnął rękę w lewo i przesunął nią po ścianie, dopóki nie trafił na wyłącznik światła.

Wreszcie w oborze zrobiło się jasno. Szybko cofnął się do wielkich

dwuskrzydłowych drzwi. Wcześniej słyszał, jak Drummond zamyka je na zasuwę, a mimo to napał na nie z całej siły. Bez skutku. Spróbował jeszcze dwukrotnie, z takim samym rezultatem.

Cofnął się i rozejrzał. Nie miał pojęcia, czy Drummond i Cosgrove wrócą za minutę, czy nazajutrz, ale czuł, że musi się śpieszyć. Obszedł zwłoki, idąc na drugą, ciemniejszą stronę obory. W tylnej ścianie też znalazł dwuskrzydłowe drzwi, ale i one były zamknięte. Odwrócił się i rozejrzał, lecz nie zauważył innych drzwi ani okien. Zaklął na głos.

Próbował uspokoić się i pomyśleć. Usiłował sobie przypomnieć, jak wyglądała obora z zewnątrz w świetle reflektorów, gdy do niej podjeżdżali. Konstrukcja miała sięgający ziemi dwuspadowy dach i drzwiczki na stryszku, do wrzucania i wyładowywania siana.

Szybko podszedł do drewnianej drabiny wbudowanej obok głównych filarów i wspiał się na górę. Na strychu wciąż wały się bele siana, których nie usunięto przed porzuceniem obory. Obszedł je, zmierzając do małych podwójnych drzwi. Te również były zaryglowane, ale tym razem od wewnątrz.

Był to prosty skobel z wielką kłódką. Bosch wiedział, że dałby radę ją otworzyć wytrychami z etui na legitymację, tyle że było ono teraz w kieszeni Drummonda. Bolec od klamerki paska do zegarka nie wystarczy. Znów coś udaremniało mu drogę ucieczki.

Nachylił się, by – na ile to możliwe w mrocznym świetle – obejrzeć skobel. Przyszło mu na myśl, żeby wykopać drzwi, ale drewno wyglądało solidnie, a skobel umocowano ośmioma śrubami. Próba wykopania drzwi byłaby tak głośna, że podjąłby ją tylko w ostateczności.

Przed zejściem na dół rozejrzał się jeszcze po strychu, szukając czegoś, co umożliwiłoby mu ucieczkę albo obronę. Narzędzia, którym podważyłby i oderwał skobel, lub kawałka twardego drewna do wykorzystania w charakterze pałki. Tymczasem jednak znalazł coś lepszego. Za rzędem połamanych bel siana leżały zardzewiałe widły.

Zrzucił je na ziemię, uważając, żeby nie spadły na zwłoki Banksa, po czym zszedł po drabinie. Z widłami w rękę jeszcze raz rozejrzał się po oborze, szukając drogi ucieczki. Nie znalazłszy jej, wrócił w krąg światła na środku klepiska. Przeszukał zwłoki Banksa w mizernej

nadziei, że może miał on przy sobie składany nóż czy coś innego, czego mógłby użyć.

Nie znalazł żadnej broni, za to odzyskał kluczyki do swojego samochodu z wypożyczalni. Drummond zapomniał je zabrać po tym, jak zastrzelił Banksa.

Bosch podszedł do frontowych drzwi obory i pchnął je jeszcze raz, choć właściwie był przekonany, że nie ustąpią. Od samochodu dzieliło go mniej niż pięć metrów, lecz nie mógł się do niego dostać. Wiedział, że w bagażniku, pod kartonami ze sprzętem, jest jeszcze jedno pudło, które przeniósł ze służbowego auta do tego z wypożyczalni. Trzymał w nim swój drugi pistolet – Kimber Ultra Carry czterdziestkępiątkę, z siedmioma nabojami w magazynku plus jednym w komorze, na szczęście.

– Jasna cholera! – wyszeptał.

Wiedział, że nie ma wyboru i musi czekać. A potem zaskoczył i obezwładnił dwóch uzbrojonych mężczyzn, kiedy wrócą. Wyciągnął rękę i zgasił światło – obora znów pograżyła się w ciemnościach. Na jego korzyść przemawiały teraz widły, ciemność i element zaskoczenia. Stwierdził, że szanse nie są takie złe.

Rozdział 34

Nie musiał czekać długo. Najwyżej dziesięć minut po tym, jak zgasił światło, usłyszał zgrzyt metalu o metal, gdy ktoś na zewnątrz odsuwał rygiel. Ów ktoś robił to tak wolno, że Bosch pomyślał, że pewnie Drummond chce go zaskoczyć.

Drzwi otworzyły się powoli. Ze swego miejsca Bosch widział jedynie ciemność na zewnątrz. Poczul powiew chłodniejszego powietrza wpadający do obory. A potem zobaczył zarys wchodzącej do środka postaci.

Spiął się, unosząc widły. Stał obok włącznika światła. To tutaj jeden z nich powinien się skierować w pierwszej kolejności. Żeby zapalić światło. Bosch zamierzał go pchnąć widłami trzymanymi na wysokości ramienia i wbić je w jego ciało. Załatwić pierwszego przeciwnika i odebrać mu broń. A wtedy będzie to już walka jeden na jednego.

Ale samotna postać nie skierowała się do włącznika światła. Stała jak wryta w progu, być może czekając, aż oczy przywykną do ciemności. Potem zrobiła trzy kroki w głąb obory. Bosch nie był na to gotowy. Zajął pozycję do ataku przy kontakcie. Teraz znalazł się za daleko od celu.

Nagle w oborze zapaliło się światło, ale nie to na suficie. Intruz miał latarkę. A Bosch odniósł wrażenie, że jest nim kobieta.

Postać minęła Boscha, trzymając latarkę przed sobą, ale daleko od boku. Ze swojego miejsca nie widział jej twarzy, lecz po posturze i zachowaniu poznał, że nie jest to Drummond ani Cosgrove. To niewątpliwie była kobieta.

Promień latarki omiótł oborę, po czym raptownie wrócił do zwłok na ziemi. Kobieta podbiegła, by oświetlić twarz zmarłego. Banks leżał na plecach, z szeroko otwartymi oczami i koszmarną raną wlotową w prawej skroni. Lewą rękę miał wyciągniętą pod dziwnym kątem w kierunku słupa. Obok na sianie leżał jego zegarek.

Kobieta uklękła obok Banksa i omiotła latarką całe zwłoki. Przy okazji oświetliła broń w drugiej ręce oraz swoją twarz. Bosch opuścił widły i wyszedł z ukrycia.

– Detektyw Mendenhall – odezwał się.

Mendenhall okręciła się w prawo, celując z pistoletu w Boscha. Podniósł ręce, nie wypuszczając wideł.

– To ja – powiedział.

Uświadomił sobie, że w jej oczach wygląda pewnie jak parodia słynnego obrazu *Amerykański gotyk* przedstawiającego farmera z widłami i jego żonę... tyle że tu bez żony. Rzucił widły na klepisko.

Mendenhall opuściła broń i wstała.

– Bosch, co tu jest grane?

Zauważył, że zrezygnowała ze swoich wymagań co do stopnia służbowego i szacunku. Zanim jej odpowiedział, podszedł do drzwi i wyjrzał na dwór. Widział prześwitujące zza drzew światła *château*, ale nie było ani śladu Cosgrove'a i Drummonda. Wyszedł na zewnątrz, ruszył do wypożyczonego samochodu i pilotem w kluczyku otworzył bagażnik.

Mendenhall wyszła za nim.

– Detektywie Bosch, pytałam, co tu jest grane?

Wyjął z bagażnika jeden z kartonów i postawił go na ziemi.

– Proszę mówić ciszej – powiedział. – Co pani tu robi? Śledzi mnie pani w związku ze skargą O'Toole'a?

Znalazł pudło z pistoletem i je otworzył.

– Niezupełnie.

– To dlaczego?

Wyjął kimbera i odbezpieczył.

– Chciałam się czegoś dowiedzieć.

– Czego?

Schował broń do kabury, po czym wziął z pudła zapasowy magazynek i włożył go do kieszeni.

– Przede wszystkim, co pan kombinuje. Czułam, że nie pojechał pan na urlop.

Bosch cicho zamknął bagażnik i rozejrzał się, zbierając myśli. Potem spojrzał na Mendenhall.

– Gdzie pani samochód? Jak pani się tu dostała?

– Zaparkowałam tam, gdzie pan ubiegłej nocy. Dostałam się tu w ten sam sposób.

Spojrzał na jej buty. Były utyłane błotem z lasku migdałowców.

– Śledziła mnie pani i jest pani sama. Czy ktokolwiek w ogóle wie, że pani tu jest?

Uciekła wzrokiem. Zorientował się, że odpowiedź brzmi: nie. Śledziła go na własną rękę, tak samo jak on na własną rękę prowadził sprawę Anneke Jespersen. Na swój sposób nawet mu się to w niej spodobało.

– Niech pani zgasi latarkę – polecił. – Tylko zdradzi pani naszą pozycję.

Wykonała polecenie.

– A zatem co pani tu robi, pani detektyw?

– Prowadzę śledztwo.

– Kiepska wymówka. Śledzi mnie pani na własną rękę, więc chce się dowiedzieć dlaczego.

– Powiedzmy, że pojechałam za panem bez wiedzy przełożonych, i nie mówmy o tym więcej. Kto zabił tego człowieka?

Bosch wiedział, że to nie czas na przepychanki z Mendenhall na temat tego, po co go śledziła. Jeśli wyjdą cało z tej afery, wróci do tego tematu w odpowiednim czasie.

– Szeryf J.J. Drummond – odparł. – Z zimną krwią. Na moich oczach, bez chwili wahania. Widziała go pani, kiedy się tu podkradała?

– Widziałam dwóch mężczyzn. Obaj weszli do domu.

– A widziała pani jeszcze kogoś? Czy przyjechał trzeci mężczyzna?

Pokręciła głową.

– Nie, tylko tych dwóch. Mógłby mi pan wyjaśnić, co tu się dzieje? Widziałam, jak pana tu prowadzą. A teraz leży tu trup, a pan był zamknięty jak...

– Proszę posłuchać, nie mamy wiele czasu. Jeśli ich nie powstrzymamy, dojdzie do kolejnych morderstw. W skrócie zaprowadziło mnie tu wznowione śledztwo. To, o którym pani opowiadałem i w związku z którym pojechałem do San Quentin. Wszystko jest tutaj. I tu się to zakończy. Niech pani wsiada.

Przechodząc do drzwi od strony kierowcy, zniżył głos do szeptu:

– Moja denatka to Anneke Jespersen z Danii. Była korespondentką wojenną. Cztery żołnierze z Gwardii Narodowej odurzyli ją

narkotykami i zgwałcili podczas urlopu wypoczynkowego w trakcie Pustynnej Burzy w dziewięćdziesiątym pierwszym. Rok później przyleciała tutaj, szukając ich. Nie wiem, czy chciała napisać o tym artykuł, książkę, czy zrobić coś innego, w każdym razie pojechała za nimi do Los Angeles podczas rozruchów. A oni, pod płaszczykiem zamieszek, skorzystali z okazji i ją zabili.

Wsiadł, włożył kluczyk do stacyjki i odpalił silnik, starając się dodawać jak najmniej gazu. Mendenhall usiadła na siedzeniu obok niego.

– Moje śledztwo spowodowało, że łącząca ich zmowa zaczęła się pruć. Banks był najsłabszym ogniwem, więc go zabili. Wspominali o przyjeździe jeszcze jednego człowieka, moim zdaniem jego też zabijają.

– Kto to jest?

– Niejaki Frank Dowler.

Wrzucił bieg wsteczny i odjechał od obory. Nie zapalał świateł.

– Dlaczego pana nie zabili? – spytała Mendenhall. – Czemu załatwili tylko Banksa?

– Bo byłem im potrzebny żywy... jeszcze przez jakiś czas.

Drummond ma plan.

– Jaki plan? To przecież obłąd.

Czekając w ciemności z widłami w ręku, Bosch sprawdził wszystkie bazy danych w swojej głowie. I w końcu zrozumiał, na czym polega plan szeryfa J.J. Drummonda.

– Czas zgonu – wyjaśnił. – Jestem mu potrzebny żywy z powodu czasu zgonu. Zamierza zwalić wszystko na mnie. Powiedzą, że miałem obsesję na punkcie tej sprawy i postanowiłem pomścić ofiarę. Zabiłem więc Banksa, a potem Dowlera, ale nie zdążyłem dopaść Cosgrove'a, bo szeryf był szybszy i mnie sprzątnął. Drummond chce mnie wykończyć, jak tylko załatwi Dowlera. Jestem pewien, że ta historia przedstawi go jako nieustraszonego stróża prawa, który stawił czoło wściekłemu psu z policji, żeby ocalić jednego z czołowych i najświetniejszych obywateli Doliny Centralnej, Cosgrove'a. Po takim czymś jako bohater bez trudu dostanie się do Kongresu. Wspominałem pani, że on startuje w wyborach?

Ruszył w dół wzgórza w kierunku *château*. Nadal jechał bez

światel w nadciągającej od drzew mgle, która spowijała okolicę w jeszcze głębszej ciemności.

– Nie rozumiem, w jaki sposób Drummond się w to wpakował. Przecież to szeryf, na miłość boską!

– Został szeryfem z nadania Cosgrove’a. I tak samo Cosgrove zapewni mu miejsce w Kongresie. Drummond zna wszystkie tajemnice. Służył z nimi w dwieście trzydziestej siódmej. Był na tym statku podczas Pustynnej Burzy i był z nimi w trakcie rozruchów w Los Angeles. To on zastrzelił Anneke Jespersen. I dzięki temu miał haka na Cosgrove’a przez te wszystkie...

Urwał, bo nagle coś sobie uświadomił. Zatrzymał samochód. W głowie odtworzył jedno z ostatnich zdań Drummonda przed wyjściem z obory. *Ojciec Carla juniora by się go wyrzekł, gdyby dowiedział się o jego udziale w tej sprawie.*

– Cosgrove’a również zabije – powiedział.

– Dlaczego?

– Bo ojciec Cosgrove’a nie żyje. Przez to Drummond nie ma już nad nim władzy.

Jakby na potwierdzenie wniosku Boscha od strony *château* doleciał huk wystrzału z broni palnej. Bosch wdusił gaz. Szybko wyjechali z boku domu na rondo przed rezydencją.

Siedem metrów od drzwi frontowych stał motocykl. Bosch rozpoznał niebieski metalik na zbiorniku paliwa.

– To Dowler – powiedział.

Z domu dobiegł kolejny wystrzał. I jeszcze jeden.

– Spóźniliśmy się.

Rozdział 35

Drzwi frontowe nie były zamknięte na klucz. Bosch i Mendenhall weszli do domu, z bronią wycelowaną na prawo i lewo od futryny. Znaleźli się w okrągłym przedpokoju z grubym owalnym szkłem umieszczonym na pniaku cyprysu o wysokości około metra. Nie było tam nic więcej, jedynie ten stół na klucze, listy i przesyłki. Stamtąd ruszyli głównym korytarzem, sprawdzając najpierw jadalnię ze stołem na dwanaście osób, a potem salon o powierzchni co najmniej dwustu metrów, z dwoma kominkami na przeciwległych ścianach. Wrócili do korytarza, który omijał główne schody i kończył się mniejszym korytarzem na tyłach domu, prowadzącym do kuchni. Tutaj leżał na podłodze pies, który poprzedniej nocy zaatakował Boscha. Cosmo. Zarobił kulkę za lewe ucho.

Przed zwłokami psa zawahali się i w tej samej chwili zgasły światła w kuchni. Bosch wiedział, co się święci.

– Padnij! – krzyknął.

Rzucił się na podłogę i wylądował obok martwego psa. W ciemnych drzwiach od kuchni stanęła jakaś postać – Bosch najpierw ujrzał błysk prochu, a dopiero potem usłyszał wystrzały. Poczuł, jak ciało psa podskakuje od kul przeznaczonych dla niego, i odpowiedział ogniem. Po ciemku wypalił cztery razy w prześwit drzwi. Usłyszał brzęk tłuczonego szkła i trzask pękającego drewna. A potem dźwięk otwieranych drzwi i tupot oddalających się kroków.

Po jego salwie nie padły dalsze strzały. Rozejrzał się i zobaczył, że Mendenhall kuli się obok regału pełnego książek kucharskich, stojącego pod prawą ścianą.

– Jesteś cała? – wyszeptał.

– Cała i zdrowa – odparła.

Odwrócił się i spojrział w korytarz za nimi. Zostawili otwarte drzwi frontowe. Zabójca mógł teraz okrążyć dom, żeby ich zająć od tyłu. Najwyższy czas się ruszyć. Oczyszczyć kuchnię.

Przykucnął i zniemacka puścił się biegiem, przeskakując nad martwym psem i szybko pokonując dystans do ciemnych drzwi od kuchni.

Przekroczył próg, natychmiast przesunął ręką po ścianie z prawej, pstryknął cztery włączniki i kuchnię zalało ostre światło lamp na suficie. Po lewej miał otwarte drzwi prowadzące nad basen za domem.

Omiótł pistoletem całe pomieszczenie, ale nikogo tam nie było.

– Czysto! – krzyknął.

Ruszył do otwartych drzwi, wyszedł na dwór i natychmiast skręcił w prawo, żeby się nie odcinać na tle jasnego wejścia. W padającym z kuchni świetle migotała ciemna woda prostokątnego basenu, ale poza tym była tylko ciemność. Bosch nic nie widział.

– Czy on uciekł?

Odwrócił się. Stała za nim Mendenhall.

– Jest gdzieś na zewnątrz.

Wrócił do kuchni, by sprawdzić resztę domu, i od razu zobaczył strużkę czegoś przypominającego krew, płynącą spod drzwi do masywnej lodówki ze stali nierdzewnej. Wskazał ją Mendenhall, która także weszła do kuchni i stanęła z wycelowaną bronią, kiedy sięgnął do klamki.

Otworzył drzwi do spiżarni, a tam, na podłodze, leżały zwłoki dwóch mężczyzn. Natychmiast poznał, że jeden z nich to Carl Cosgrove. Domyślał się, że drugim jest Frank Dowler. Tak samo jak pies, obaj dostali po kulce za lewe ucho. Zwłoki Cosgrove'a przygniatały ciało Dowlera, co wskazywało na kolejność, w jakiej zostali zabici.

– Drummond namawia Cosgrove'a, żeby zadzwonił do Dowlera i wezwał go do domu. Załatwia Dowlera tutaj... to był ten pierwszy strzał. Potem zabija psa i na koniec jego pana.

Zdawał sobie sprawę, że kolejność mogła być nieco inna, ale nie wątpił, że Drummond posłużył się jego pistoletem. Nie mógł też nie zwrócić uwagi na podobieństwa z zabójstwem Christophera Hendersona sprzed czternastu laty. Tamtego także wepchnięto do małej kuchennej chłodni i zamordowano strzałem w tył głowy, jakby wykonano na nim egzekucję.

Mendenhall przykucnęła i sprawdziła puls ofiar. Bosch wiedział, że to beznadziejna sprawa. Mendenhall pokręciła głową i chciała się odezwać, lecz przeszkodził jej przenikliwy, metaliczny warkot, który zagrzmiął w korytarzu.

– A to co, do cholery?! – zawołała, przekrzykując narastający hałas.

Bosch spojrział w otwarte drzwi do kuchni, a potem na korytarz, dający bezpośredni widok od frontu domu na przestrzał aż do basenu.

– Śmigłowiec Cosgrove’a! – ryknął i ruszył w tamtą stronę. – Drummond jest pilotem!

Przebiegł korytarzem i wypadł na dwór przez otwarte drzwi frontowe. Mendenhall deptała mu po piętach. Niemal natychmiast zasypał ich grad kul, wbijających się w gips ścian i drewnianą futrynę. Bosch znów padł na ziemię i przeturlał się, tym razem chowając się za jedną z betonowych donic stojących wokół ronda przed domem.

Wystawił głowę. Zobaczył, że śmigłowiec nadal stoi na betonowym lądowisku; obracające się wirniki nabierały prędkości, by unieść maszynę w powietrze. Obejrzał się na oświetlone od wewnątrz drzwi frontowe i ujrzał, jak Mendenhall turla się po podłodze tuż za progiem, zasłaniając ręką lewe oko.

– Mendenhall! – ryknął. – Do środka! Dostałaś?!

Nie odpowiedziała. Odturlała się od drzwi, szukając osłony.

Bosch znów wyjrzał ponad donicą na śmigłowiec. Silnik wył głośno, gdy maszyna niemal osiągnęła gotowość do lotu. Widział, że drzwi wciąż są otwarte, ale nie mógł zajrzeć w głąb śmigłowca. Wiedział, że pilotem na pewno jest Drummond. Skoro ucieczka Boscha unicestwiła jego plan, on także próbował ratować się ucieczką.

Bosch wyskoczył zza osłony, raz za razem strzelając w kierunku śmigłowca. Po czterech strzałach opróżnił magazynek, więc biegiem wrócił do drzwi wejściowych. Przykucnął obok Mendenhall, wyrzucając magazynek z pistoletu.

– Jest pani ranna?

Wcisnął zapasowy magazynek do pistoletu i wprowadził nabój do komory.

– Mendenhall! Jesteś ranna?!

– Nie! Znaczy się, nie wiem. Coś mnie trafiło w oko.

Chwycił ją za rękę, by oderwać jej dłoń od oka. Opierała się.

– Niech zobaczę – powiedział.

Ustała, a on ją puścił. Z bliska spojrział na jej oko, ale niczego nie

zauważył.

– Nie zostałam trafiona, Mendenhall. Widocznie zraniła cię drzazga albo kawałek gipsu.

Z powrotem zakryła oko dłonią. Na dworze turbina wirnika osiągnęła prędkość krytyczną – Bosch wiedział, że Drummond odlatuje. Wstał i ruszył do drzwi frontowych.

– Nie zatrzymuj go! – zawołała Mendenhall. – I tak nie będzie miał się gdzie ukryć.

Puścił jej słowa mimo uszu. Wybiegł na zewnątrz, na środek ronda, w chwili gdy śmigłowiec uniósł się z lądowiska.

Od maszyny dzieliło go sześćdziesiąt metrów. Wznoszący się śmigłowiec przesuwał się od prawej do lewej wzdłuż linii drzew. Ściskając pistolet oburącz, wyciągnął ręce i wycelował w nasadę wirnika. Wiedział, że ma siedem kul, by zestrzelić śmigłowiec.

– Bosch, nie wolno ci do niego strzelać!

Mendenhall wyszła z domu i stanęła za nim.

– Diabła tam, nie mogę! On strzelał do nas!

– Regulamin tego nie przewiduje!

Stanęła obok niego. Wciąż zakrywała zranione oko.

– Przewiduje. Mój regulamin!

– Posłuchaj mnie! On już ci nie zagraża! Odlatuje! Nie strzelasz w obronie własnej.

– Gówno prawda!

Uniósł wysoko rękę i szybko wystrzelił trzy razy, licząc na to, że Drummond usłyszy huk broni albo zobaczy błyski z lufy.

– Co ty wyrabiasz?

– Chcę, żeby myślał, że walę do niego.

Uniósł broń i jeszcze trzykrotnie wystrzelił w powietrze; na wszelki wypadek zachował jeden nabój. Jego działanie odniosło skutek. Śmigłowiec zmienił kierunek – pochylił się gwałtownie i odleciał z dala od Boscha, za dom, który Drummond zamierzał wykorzystać jako tarczę.

Bosch stał bez ruchu i czekał. W końcu usłyszał donośny metaliczny trzask, a po nim warkot złamanego wirnika, który obracając się wściekle, wpadł w las migdałowców, kosząc ich konary jak piłą tarczową.

Na milisekundę czas jakby się zatrzymał, wydawało się, że turbina śmigłowca ucichła i na świecie zapanowała cisza absolutna. A potem usłyszeli, jak śmigłowiec z hukiem spada na wzgórze za *château* i zobaczyli wirującą kulę ognia wznoszącą się nad dachem rezydencji i ginącą na niebie.

– Co to?! – krzyknęła Mendenhall. – Co się stało? Nie strzelałeś w jego kierunku!

Bosch puścił się biegiem w stronę, skąd dobiegł odgłos katastrofy.

– Turbina wiatrowa! – odkrzyknął.

– Jaka znowu turbina wiatrowa?! – wrzasnęła za nim.

Skręcił za róg domu. Na wzgórzu zobaczył dym i rozrzucone tu i tam ogniska płomieni. W powietrzu unosił się silny odór paliwa. Mendenhall dogoniła go i oświetlając drogę latarką, pobiegła przodem.

Śmigłowiec runął z wysokości nie większej niż pięćdziesiąt metrów, ale podczas zderzenia rozpadł się na kawałki. Na wzgórzu po prawej płonął ogień, w miejscu gdzie najwyraźniej spadł i eksplodował zbiornik paliwa. Znaleźli Drummonda pod strzaskaną osłoną kabiny pilota, z połamanymi kończynami wygiętymi pod nienaturalnym kątem w stosunku do tułowia i głęboką raną na czole spowodowaną przez rozdarty podczas katastrofy metal. Gdy Mendenhall oświetliła jego twarz, zareagował i powoli otworzył oczy.

– Dobry Boże, on żyje – powiedziała.

Oczy Drummonda śledziły ją, gdy krzątała się, oczyszczając go z resztek maszyny, ale jego głowa ani drgnęła. Poruszał ustami, lecz oddychał zbyt płytko, by zdołał wydobyć jakiś dźwięk.

Bosch przykucnął, wsuwając rękę do lewej kieszeni kurtki Drummonda. Wyjął swój telefon komórkowy oraz etui na legitymację.

– Co ty robisz? – fuknęła Mendenhall. – Musimy sprowadzić mu pomoc i nie wolno ci usuwać niczego z miejsca zdarzenia.

Zignorował jej uwagę. On jedynie odbierał swoją własność. Mendenhall wyjęła telefon, by wezwać ratowników medycznych i śledczych. Tymczasem Bosch poklepał drugą kieszeń kurtki Drummonda i namacał kształt pistoletu. Wiedział, że to jego pistolet. Spojrzał Drummondowi w twarz.

– Chcę, żebyś go zatrzymał, szeryfie. Niech go znajdą przy tobie.

Słyszając, jak Mendenhall klnie głośno, odwrócił się do niej.

– Nie mogę złapać sygnału – powiedziała.

Przesunął kciukiem po ekranie swojej komórki i telefon ożył. Jak widać, nie ucierpiał w katastrofie i wciąż działał. Poza tym wskaźnik siły sygnału pokazywał trzy kreski.

– Ja też nie mam zasięgu – oświadczył, chowając telefon do kieszeni.

– Jasna cholera! – zaklęła Mendenhall. – Musimy coś zrobić.

– Czyżby? – rzucił.

– Owszem – powiedziała z naciskiem. – Musimy.

Bosch spojrzał Drummondowi prosto w oczy.

– Wróc do domu! – zawołał. – Widziałem telefon w kuchni.

Odwrócił się, patrząc, jak Mendenhall idzie w dół zbocza. A potem znów spojrzał na Drummonda.

– Zostaliśmy sami, szeryfie – powiedział cicho.

Drummond przez cały czas usiłował coś powiedzieć. W końcu Bosch na czworakach nachylił się nad nim i przysunął ucho do jego ust.

– Ja... nic... nie... czuję – wykrztusił Drummond z trudem, na raty.

Bosch przysiadł na piętach i popatrzył na szeryfa tak, jakby oceniał jego rany. Drummond usilnie starał się przywołać na twarz uśmiech. Bosch ujrzał na jego zębach rubinowoczerwoną krew, widocznie podczas katastrofy zostało przebite płuco. Szeryf powiedział coś, czego Bosch nie dosłyszał.

Harry znów się nad nim nachylił.

– Co mówiłeś?

– Zapomniałem ci powiedzieć... Tam w zaułku kazałem jej uklęknąć... a potem kazałem jej błagać...

Bosch cofnął się, rozsadała go wściekłość. Wstał, odwrócił się od Drummonda i spojrzał w kierunku *château*. Mendenhall nigdzie nie było widać.

Z wykrzywioną z gniewu twarzą odwrócił się z powrotem do szeryfa. Każdą komórką ciała czuł pragnienie zemsty. Opadł na kolana i chwycił za przód koszuli Drummonda. Nachylił się do niego.

– Wiem, co kombinujesz, ale na mnie nie licz, Drummond –

wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Mam nadzieję, że czeka cię długie i bolesne życie. W więzieniu. Przykuty do łóżka. W śmierdzącej gównem i szczynami klitce. Z rurką do oddychania w gębie. Żrąc przez rurkę. I mam nadzieję, że dzień w dzień będziesz marzył o śmierci, tylko że za chuja nic na to nie poradzisz.

Puścił Drummonda i cofnął się. Szeryf już się nie uśmiechał. Patrzył w swoją ponurą przyszłość.

Bosch wstał, otrzepał kolana z ziemi, odwrócił się i ruszył w dół stoku. Zobaczył, że Mendenhall wraca do niego, z latarką w ręku.

– Już jadą – powiedziała. – Czy on...?

– Wciąż oddycha. Jak twoje oko?

– Wyjęłam to, co mi tam wpadło. Ale wciąż kłuje.

– Niech cię obejrzą, jak już tu dojadą.

Minął ją, schodząc dalej ze wzgórza. Po drodze wyjął telefon, żeby zadzwonić do domu.

Królewna Śnieżka
2012

Gdy Bosch zadzwonił, w Kopenhadze była siódma rano. Henrik Jespersen odebrał telefon natychmiast.

– Henriku, tu Harry Bosch z Los Angeles.

– Detektyw Bosch, co słyhać? Ma pan jakieś wieści o Anneke?

Bosch milczał. Takie sformułowanie pytania wydało mu się co najmniej dziwne. Henrika rozpie-rało uniesienie, jak gdyby wiedział, że to na ten telefon czekał od dwudziestu lat. Nie kazał mu więc czekać dłużej.

– Henriku, aresztowano sprawcę morderstwa twojej siostry. Mamy zabójcę, więc chciałem...

– *Endelig!*

Bosch nie znał tego duńskiego słowa, ale zabrzmiało jak okrzyk ulgi i zdumienia zarazem. Zapadła długa cisza – domyślił się, że mężczyzna po drugiej stronie, na drugim końcu świata, prawdopodobnie się rozplakał. Znał już takie przypadki z przeszłości, kiedy przekazywał tego rodzaju informacje. Tym razem wystąpił o delegację do Danii, żeby osobiście poinformować Henrika Jespersena, lecz jego wniosek utracił porucznik O'Toole, który wciąż boleśnie przeżywał odrzucenie przez Mendenhall i BEZ jego skargi na Boscha.

– Przepraszam, detektywie – rzekł Henrik. – Jestem bardzo uczuciowy, pan rozumie. Kim jest zabójca mojej siostry?

– Niejaki John James Drummond. Nie znała go.

Nie słysząc od razu odpowiedzi, Bosch wypełnił ciszę:

– Henriku, niektórzy dziennikarze mogą do ciebie dzwonić w sprawie aresztowania. Zawarłem układ z reporterem „BT” w Kopenhadze. Pomógł mi w śledztwie, dlatego muszę go zawiadomić w następnej kolejności.

I znów nie doczekał się odpowiedzi.

– Henriku, jest pan...

– Ten cały Drummond, dlaczego on ją zabił?

– Dlatego, że chciał się przysłużyć bardzo potężnemu człowiekowi i jego rodzinie. W ten sposób pomógł im zatuszować inne przestępstwo, którego ofiarą padła pańska siostra.

– Czy jest już w więzieniu?

– Jeszcze nie. Leży w szpitalu, ale niedługo przeniosą go na oddział więzienny.

– W szpitalu? Pan go postrzelił?

Bosch skinął głową. Rozumiał uczucia kryjące się za tym pytaniem. I związaną z nim nadzieję.

– Nie, Henriku. On próbował uciec. Śmigłowcem. Ale się rozbił. Już nigdy nie będzie chodził. Ma zmiądzony kręgosłup. Podobno od szyi w dół jest sparaliżowany.

– Ja uważam, że to dobrze. A pan?

– Tak, Henriku – odparł Bosch bez wahania. – Ja też tak sądzę.

– Pan mówi, że zabijając Anneke, zdobył władzę. Jak?

Przez następne piętnaście minut Bosch streszczał mu historię z punktu widzenia piątki spiskowców. Powiedział, kim byli i co zrobili. O jakiej zbrodni wojennej wspominała Anneke. Zakończył opowieść ostatnim zwrotem w śledztwie, śmiercią Banksa, Dowlera oraz Cosgrove’a i przeszukaniem dwóch nieruchomości, a także magazynu wynajmowanych przez Drummonda bądź należących do niego w hrabstwie Stanislaus.

– Znaleźliśmy dziennik, który pańska siostra prowadziła w związku ze swoim śledztwem. Jak notatnik. Drummond już dawno dał go do tłumaczenia. Zdaje się, że zlecał różne części tekstu innym tłumaczom, żeby nikt nie poznał całej historii. Jako gliniarz prawdopodobnie wyjaśnił im, że to dotyczy sprawy, którą prowadzi. Mamy to tłumaczenie... Sięga czasów, kiedy się to wszystko zaczęło, a przynajmniej tego, co zapamiętała ze statku. Uważamy, że trzymała go w pokoju hotelowym, a Drummond poszedł i ukradł go już po dokonaniu morderstwa. Między innymi dzięki temu miał władzę nad pozostałymi ludźmi ze statku.

– Czy mogę dostać ten dziennik?

– Jeszcze nie, Henriku, ale skseruję go i wyślę panu kopię. Kiedy sprawa trafi do sądu, będzie to jeden z naszych dowodów rzeczowych. Między innymi dlatego dzwonię. Potrzebne mi są próbki pisma pańskiej siostry, żeby można było potwierdzić autentyczność dziennika. Czy ma pan jakieś odręczne listy od siostry albo coś innego z jej charakterem

pisma?

– Tak, mam kilka listów. Mogę wysłać kopie? One są dla mnie bardzo ważne. To wszystko, co mi zostało po siostrze. I jej zdjęcia.

Właśnie dlatego Bosch chciał tam pojechać. Żeby załatwić sprawę z Henrikiem osobiście. Ale O'Toole nazwał jego wniosek wyrzucaniem pieniędzy publicznych w błoto, próbą załatwienia sobie wakacji na koszt podatników.

– Henriku, muszę pana prosić, żeby mi pan powierzył te oryginały. Są nam potrzebne, ponieważ dokonując porównania, grafolog opiera się na tego typu rzeczach jak siła nacisku piszącego przy niektórych literach albo znakach przestankowych. Zgodzi się pan? Daję słowo, że zwrócimy je w nienaruszonym stanie.

– Tak, zgoda. Ufam panu, detektywie.

– Dziękuję, Henriku. To ważne, żeby wysłał mi je pan jak najszybciej. Najpierw odbędzie się posiedzenie przed wielką ławą przysięgłych, ale chcemy mieć potwierdzenie autentyczności, zanim zgłosimy dziennik jako dowód rzeczowy. Poza tym, Henriku, do tej sprawy przydzielono świetnego prokuratora. Prosił, żebym pana zapytał, czy zechciałby przyjechać pan do Los Angeles na proces.

Zapadła długa cisza, zanim Henrik zdobył się na odpowiedź.

– Muszę przyjechać, detektywie. Dla mojej siostry.

– Tak sądziłem, że pan to powie.

– Kiedy mam przyjechać?

– Pewnie nieprędko. Jak mówiłem, najpierw mamy posiedzenie przed wielką ławą przysięgłych, a poza tym zawsze są jakieś opóźnienia.

– Jak długo?

– No cóż, stan zdrowia Drummonda pewnie opóźni trochę rozpoczęcie procedury, a potem jego adwokat... W naszym systemie winni przestępstwa zawsze mają mnóstwo możliwości odraczania tego, co nieuniknione. Przykro mi, Henriku. Wiem, że tak długo pan na to czekał. Będę pana informował o...

– Szkoda, że pan go nie zastrzelił. Chciałbym, żeby zdechł.

Bosch pokiwał głową.

– Rozumiem.

– Powinien zginąć, jak pozostali.

Bosch pomyślał o szansie, jaką miał na wzgórzu, kiedy Mendenhall zostawiła go z Drummondem sam na sam.

– Rozumiem – powtórzył.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Henriku? Jest pan tam?

– Przepraszam. Proszę zaczekać.

Zanim Bosch zdążył zareagować, na linii zapadła cisza. Znów pożałował, że nie może rozmawiać w cztery oczy z tym mężczyzną, który tak wiele stracił. O'Toole przypomniał mu, że Anneke Jespersen nie żyła od dwudziestu lat. Oświadczył, że życie toczy się dalej, więc nie ma powodu fundować mu wycieczki do Kopenhagi tylko po to, by osobiście mógł poinformować kogoś o aresztowaniu zabójcy najbliższej krewnej.

Czekając, aż Henrik znów się odezwie na linii, Bosch wyrzał ponad ścianką działową między boksami niczym żołnierz wychylający się z okopów. W progu swojego gabinetu stał akurat O'Toole, rozglądając się po sali odpraw niczym właściciel ziemski doglądający swoich włości. On uważał, że wszystko się sprowadza do liczb i statystyki. Nie miał bladego pojęcia, czym naprawdę się tu zajmują. Nie wiedział, co to znaczy misja.

O'Toole spojrział w końcu na Boscha i przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. A potem słabszy z nich spuścił oczy, cofnął się do swojego gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Kiedy czekali na wzgórzu na przyjazd wezwanych ekip, Mendenhall po cichu wyjawiała Boschowi kulisy swego śledztwa. To, co powiedziała, zaskoczyło go i zabolowało. O'Toole jedynie skorzystał z okazji, by dobrać mu się do skóry, ale to nie on pierwszy złożył skargę. Zrobił to Shawn Stone, który zawiadomił z San Quentin, że Bosch naraził jego życie, wzywając go do pokoju przesłuchań, przez co więźniowie mogli go wziąć za kapusia. Mendenhall powiedziała, że po przesłuchaniu wszystkich zainteresowanych doszła do wniosku, że Stone bał się nie tyle tego, że przylgnie do niego łatka kapusia, ile utraty zainteresowania ze strony matki na rzecz Boscha. Liczył na to, że składając skargę, popsuje relacje Hannah i Harry'ego.

Bosch jak dotąd nie rozmawiał z Hannah na ten temat i wciąż nie

był pewien, czy i kiedy go poruszy. Obawiał się, że na dłuższą metę plan jej syna może się okazać skuteczny.

Mendenhall odmówiła tylko podania mu motywów, które nią kierowały. Nie chciała zdradzić Boschowi, dlaczego śledziła go na własną rękę, bez wiedzy przełożonych. Musiał się zadowolić wdzięcznością za to, że tak postąpiła.

– Detektywie Bosch?

– Jestem, Henriku.

Zapadła dłuższa cisza, kiedy Duńczyk zbierał myśli po powrocie do telefonu.

– Sam nie wiem – powiedział w końcu. – Myślałem, że to będzie inaczej, pan rozumie?

Mówił przez ściśnięte z emocji gardło.

– To znaczy jak?

Kolejna cisza.

– Czekałem na ten telefon od dwudziestu lat... I przez cały ten czas myślałem, że mi to przejdzie. Wiedziałem, że zawsze będę smutny po stracie siostry. Ale sądziłem, że to drugie minie.

– Czym jest to drugie, Henriku? – zapytał Bosch, chociaż i tak z góry znał odpowiedź.

– Gniew... Ja wciąż jestem wściekły, detektywie.

Bosch pokiwał głową. Spojrzał na biurko, na zdjęcia wszystkich ofiar zabójstw, które miał wetknięte pod szklany blat. Sprawy i twarze. Przesunął wzrok z Anneke Jespersen na inne. Te, którymi jak dotąd się nie zajął.

– Ja też, Henriku – odparł. – Ja też.

Podziękowania

Autor chciałby wyrazić wdzięczność za pomoc w zbieraniu materiałów i w pisaniu tej książki wielu osobom. Są wśród nich: śledczy Rick Jackson, Tim Marcia, David Lambkin i Richard Bengtson, a także Dennis Wojciechowski, John Houghton, Carl Seibert, Terrill Lee Lankford, Laurie Pepper, Bill Holodnak, Henrik Bastin, Linda Connelly, Asya Muchnick, Bill Massey, Pamela Marshall, Jane Davis, Heather Rizzo oraz Don Pierce.

Pisarce Sarze Blædel dziękuję za pomoc przy tłumaczeniach z języka duńskiego.

Nieocenioną inspiracją była też dla mnie muzyka Franka Morgana i Arta Peppera. Wszystkim serdeczne dzięki.

¹ Paragraf 187 kodeksu karnego stanu Kalifornia definiuje pojęcie morderstwa, stąd w żargonie gangsterów liczba 187 uchodzi za synonim mordu.

² ATF – skrót od Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives (Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych); jest to amerykańska agencja federalna podległa Departamentowi Sprawiedliwości, zajmująca się zwalczaniem przestępstw, o których mówi jej nazwa.

³ CRASH (ang.) – między innymi: kraksa, zderzenie, rozbijać.

⁴ *The Tool* (ang.) – narzędzie, a w slangu także fiut.

⁵ *May* (ang.) – maj; *Cock* (ang.) – m.in. kutas.

⁶ *MyCock* (ang.) – mój kutas.

⁷ *Fool* (ang.) – głupiec, dureń.

⁸ *Straight Life* – autobiografia Arta Peppera, napisana z jego trzecią żoną. Książka uchodzi za jedną z najlepszych autobiografii muzyków.

⁹ Ramen – rodzaj japońskiego rosółu z makaronem i mięsem.

¹⁰ Cytat z *Romea i Julii* Szekspira, wyśmiewający konkurencyjny teatr „Róża”.

¹¹ *Tool* (ang.) – narzędzie, ale w slangu także fiutek.

